

KRYMINAŁ HISTORYCZNY Z RZYMEM CZASÓW WESPAZJANA W TLE

LINDSEY DAVIS



ŻELAZNA RĘKA MARSA





Lindsey DAVIS

Cykl MARKA DYDIUSZA FALKONA

ᄒᄒ

tom 4

ŻELAZNA REKA MARSA



Księgozbiór DiGG



2012

*Dla Rosalie,
ku pamięci dwóch rzymskich legionistów
z autobusu linii 29A (kursującego niegdyś)
w Birmingham*

Opowieść, którą rozpoczynam, jest naszpikowana zdarzeniami, naznaczona zaciętą walką, rozdzierana zdradą, złowieszczą nawet wtedy, kiedy dotyczy czasu pokoju...

Tacyt, Dzieje



GŁÓWNE POSTACI

(z których nie wszystkie mają okazję się ujawnić)

CESARZ WESPAZJAN, który potrzebuje zaufanego agenta, np. takiego **MARKA DYDIUSZA FALKONA**, detektywa szukającego zajęcia, który pragnie **HELENY JUSTYNY**, która chce czegoś niemożliwego, ale na pewno nie chodzi jej o **TYTUSA**, cesarskiego syna, który woli, by Falko się gdzieś ulotnił.

NADTO W RZYMIE I NIEOPODAL:

WDOWA Z WEJÓW, wyłącznie dla urozmaicenia (słowo!);

KANIDIUSZ, niedomyty gryzpiórek z cenzorskich archiwów;

BALBIL, legionista kuternoga z niewyparzoną gębą;

KSANTUS, bystry golibroda, ciekaw świata;

SYLWIA, żona Petroniusza (trzymająca się na uboczu);

DECYMUS, ojciec Heleny, zwykle przepraszaający; będący również rodzicem;

KAMILA ELIANA, szlachetnego młodzieńca, obecnie przebywającego w Hiszpanii.

ZNANI HISTORYKOM:

PUBLIUSZ KWINKTYLIUSZ WARUS, fatalny dowódca (od dawna nieżyjący);

PETYLIUSZ CERALIS, sławny wódz (nie tak fatalny jak Warus);

KLAUDIA SAKRATA, kobieta knująca intrygi (najchętniej z wodzami);

MUNIUSZ LUPERKUS, zaginiony dowódca (zapewne martwy);

JULIUSZ CYWILIS, przywódca buntowników, któremu należałoby przyciąć włosy;

WELEDA, kapłanka żyjąca samotnie ze swoimi myślami oraz:

KILKU JEJ KREWNYCH, którzy też tam mieszkają.

W GALII:

GALIJSKI GARNCARZ, który wkrótce znajdzie się daleko od Lugdunum;

DWÓCH GERMAŃSKICH GARNCARZY, którzy mogą do domu nigdy nie wrócić.

W GERMANII:

DUBNUS, handlarz, który sprzedaje więcej, niż powinien;

JULIUSZ MORDANTYK, ceramik, który wie to i owo;

REGINA, rozgniewane dziewczę usługujące w szynku *Meduza*;

AUGUSTYNILLA, siostrzenica Falkona, przytłoczona miłością i bólem zęba;

ARMINIA, jej lnianowłosa przyjaciółeczka.

ZWIĄZANI ZE SŁAWETNYM XIV LEGIONEM:

FLORIUSZ GRACYLIS, legat legionu; kolejny zaginiony dowódca;

MENIA PRYSCILLA, małżonka legata, która za nim nie tęskni;

JULIA FORTUNATA, kochanka legata, która twierdzi, że tęskni;

RUSTYKUS, jego niewolnik, który zwyczajnie zniknął;

PRIMIPILUS, szydrczy pierwszy centurion XIV Legionu;

CORNICULARIUS, nadęty urzędnik z intendentury;

A. MAKRYNUS, arogancki starszy trybun;

S. JUWENALIS, zadzierzysty prefekt obozowy.

ZWIĄZANI Z MNIEJ SŁAWNYM I LEGIONEM:

Kw. KAMIL JUSTYN, drugi brat Heleny; prostoduszny trybun;

HELWECJUSZ, centurion z problemami, do których należy

DAMA, jego tęskniący za Mezą służący oraz

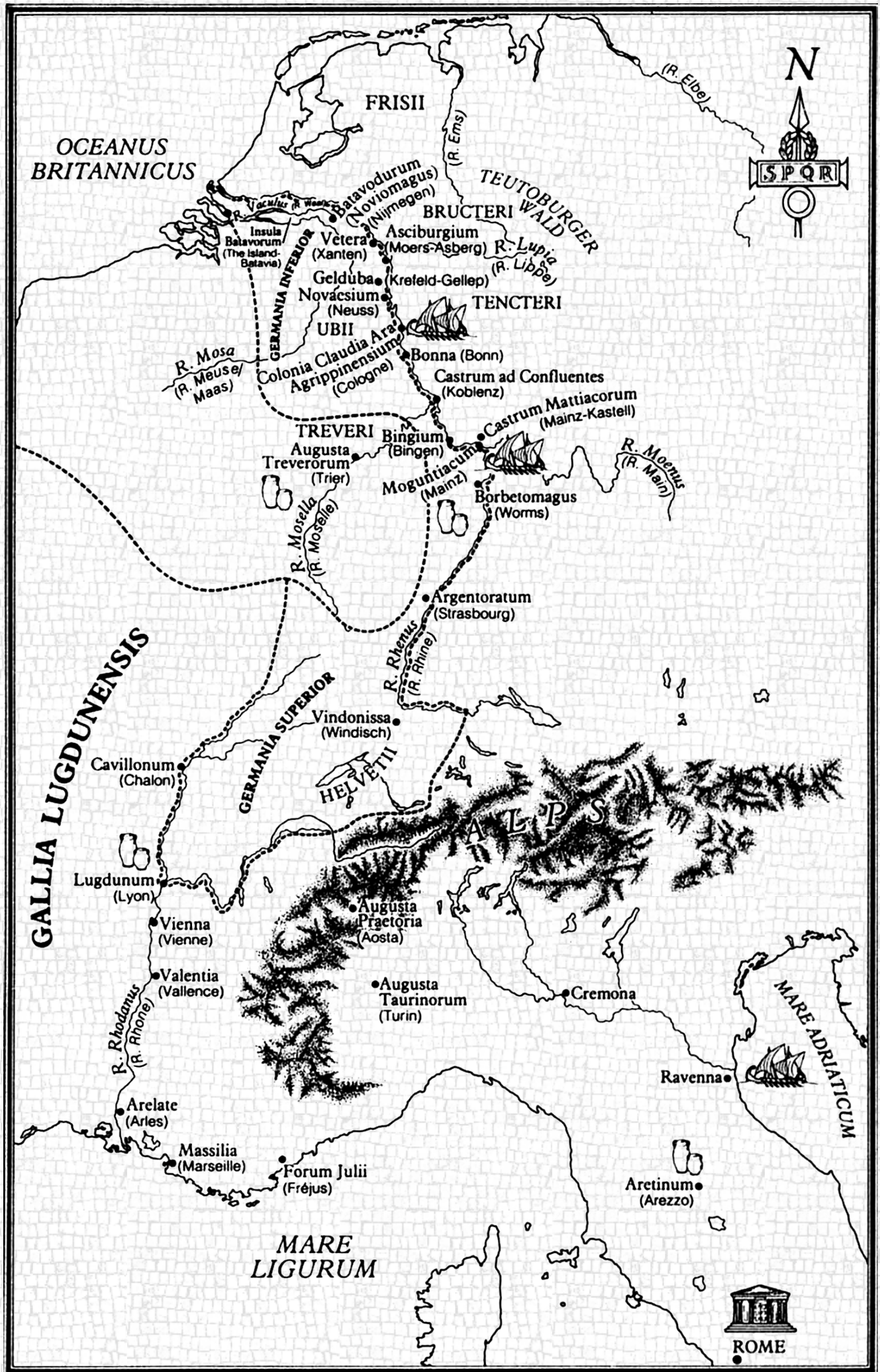
DWUDZIESTU NIEZBYT ROZGARNIĘTYCH REKRUTÓW wśród których znajduje się nie nadający do niczego **LENTUL**.

WYSTĘPUJĄ RÓWNIEŻ:

TUR legendarne zwierzę słynne ze swej dzikości;

TYGRYS pies, który znajduje ciekawą kość.







CZEŚĆ I

BRAK CHEĆCI DO WYJAZDU

RZYM

WRZESIEŃ A. D. 71

*„Początki kariery publicznej zawdzięczam Wespazjanowi,
jej postępy Tytusowi (...) przyznaję to otwarcie”.*

Tacyt, Dzieje

1

- **J**edno jest pewne - oświadczyłem Helenie Justynie. - Nie jadę do Germanii!
W myślach już widziałem, jak się zastanawia, co mi zapakować na drogę.

Leżeliśmy w łóżku, w moim mieszkaniu. Kamienica stała wysoko na Awentynie. Mieszkanie było nędzną pluskwiarnią na szóstym piętrze i na szczęście większości robactwa nie chciało się wchodzić tak wysoko. Czasami mijałem te stworzonka wyciągnięte na podestach półpięter z oklapniętymi czułkami i wyciągniętymi odnóżami...

Moja obskurna nora była miejscem, które należało traktować z humorem, bo inaczej człowiek by wpadł w czarną rozpacz. Nawet łóżko się kiwało. I to już po tym, jak wstawiłem nową nóżkę i napiąłem mocniej pasy pod materacem.

Wypróbowałem właśnie nowy sposób kochania się z Heleną, który obmyśliłem po to, żeby nasz związek jej nie spowszedniał. Znałem ją od roku, po sześciu miesiącach refleksji dałem jej się uwieść, a wreszcie, dwa tygodnie temu, namówiłem ją, by ze mną zamieszkała. Zważywszy na moje doświadczenie z kobietami, w każdej chwili mogłem usłyszeć, że za dużo piję, za dużo śpię i że matka domaga się jej bezzwłocznego powrotu do domu.

Moje wysiłki, mające na celu wzbudzenie jej zainteresowania, zostały zauważone.

- Dydiuszu Falkonie... gdzieżeś nauczył się... tej sztuczki?

- Sam ją wymyśliłem...

Helena była córką senatora. Nie należało oczekiwać, że będzie dzielić ze mną ten nędzny styl życia dłużej niż dwa tygodnie. Tylko głupiec mógł sądzić, że potraktuje przygodę ze mną jako coś więcej niż tylko ciekawostkę przed poślubieniem jakiegoś brzuchatego kapłona odzianego w szaty patrycjusza, który ofiaruje jej szmaragdowe wisiorzy i letnią posiadłość w Surrentum.

Za to ja ją uwielbiałem. No, ale ja byłem głupcem, mającym nadzieję, że przygoda może nabrać trwałego charakteru.

- Nie jesteś zadowolona - zauważyłem. Jak przystało na prywatnego detektywa, moje umiejętności dedukcji były wystarczające.

- Nie uważam... - stęknęła Helena - ...by to się udało!

- Czemu nie? - Sam już dostrzegałem kilka powodów. Chwytał mnie skurcz w lewą łydkę, ostry ból poniżej jednej z nerek i mój entuzjazm ulatywał jak u niewolnika przetrzymywanego w domu w dzień świąteczny.

- Na pewno jedno z nas - stwierdziła Helena - wybuchnie w końcu śmiechem.

- Wyrysowane na starej dachówce wyglądało bardzo obiecująco.

- To jak z marynowaniem jajek. Przepis wygląda prosto, ale rezultat rozczarowuje...

Odparłem jej na to, że nie jesteśmy w kuchni, więc Helena zapytała skromnie, czyby pomogło, gdybyśmy tam byli. Jako że moja awenturyńska kwatery w ogóle nie miała takich udogodnień, potraktowałem to pytanie jako całkowicie retoryczne.

Roześmieliśmy się oboje, jeśli to kogoś interesuje.

Potem nas rozplatałem i kochałem się z Heleną w sposób, jaki oboje uważamy za najlepszy.

- A tak w ogóle, Marku, to skąd wiesz, że cesarz chce cię wysłać do Germanii?

- Z obrzydliwych pogłosek krążących po Palatynie.

Wciąż tkwiliśmy w łóżku. Po tym, jak zakończyłem wreszcie moją ostatnią sprawę, przyrzekłem sobie tydzień odprężenia w zaciszu domowym... W rezultacie mogłem się odprężyć do woli, ponieważ nie doczekałem się ani jednego zlecenia. Gdybym zechciał, mógłbym leżeć w łóżku cały dzień. Co też najczęściej robiłem.

- A więc... - Helena była osobą wytrwałą. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Wystarczająco, by uznać, że jakiś inny frajer może podjąć się tej misji dla cesarza.

Ponieważ nie raz już załatwiałem mętne sprawy dla Wespazjana, musiałem udać się do Pałacu, żeby sprawdzić, jakie mam szanse zarobić u niego jakiegoś nie całkiem czystego denara. Nim zjawiłem się osobiście w sali tronowej, przezornie poniuchałem najpierw w korytarzach na jej zapleczu. Okazało się to mądrym posunięciem: przeprowadzona w samą porę krótka wymiana zdań z moim starym znajomkiem Momusem pomogła mi szybko podjąć decyzję.

- Dużo roboty, Momusie? - spytałem.

- Nie ma o czym mówić. Podobno jesteś zapisany na tę germańską wycieczkę - odparł (z szyderczym śmiechem, który mówił, że jest to coś, czego za wszelką cenę należy unikać).

- Co to takiego?

- Akurat katastrofa w sam raz dla ciebie - nie przestawał się szczerzyć. -

Jakieś śledztwo w XIV Legionie *Gemina*...

Błyskawicznie owinąłem się płaszczem po uszy i wziąłem nogi za pas... zanim ktoś zdążył poinformować mnie o sprawie oficjalnie. Wystarczająco dużo wiedziałem o XIV Legionie, by usilnie unikać z nim bliższych kontaktów i nawet bez wnikania w szczegóły tamtej bolesnej historii nie było najmniejszego powodu, żeby te butne fanfarony miały przyjąć mnie z otwartymi ramionami.

- Czy cesarz z tobą rozmawiał? - Moja ukochana nie dawała za wygraną.

- Heleno, nie dopuszczę do tego. Za nic nie chciałbym go obrazić, odrzucając jego wspaniałą ofertę...

- Czy nie byłoby prościej, gdyby on cię zapytał, a ty byś zwyczajnie się nie zgodził?

Odpowiedziałem jej pełnym wyższości uśmiechem, który mówił, że kobiety (nawet inteligentne, dobrze wykształcone córki senatorów) nie potrafią pojąć subtelności polityki... Zareagowała na to jednym ruchem, wypychając mnie z łóżka.

- Musimy coś jeść, Marku. Idź i znajdź jakąś pracę!

- A co ty będziesz robić?

- Malować twarz przez parę godzin, na wypadek wizyty kochanka.

- Och, niech ci będzie! Zejdę mu z drogi...

Pożartowaliśmy sobie jeszcze na temat kochanka. Cóż, przynajmniej miałem nadzieję, że to żarty.

2

Na Forum życie toczyło się normalnie. Dla prawników był to najgorętszy okres. Ostatni dzień sierpnia jest również ostatnim dniem zgłaszania nowych spraw przed przerwą zimową, więc *basilica Iulia* rozbrzmiewała gwarem głosów. Mielśmy nony wrześniowe i większość adwokatów - wciąż zaróżowionych po wakacjach w Bajach - spieszyła się, by przed zamknięciem sądu zakończyć kilka spraw i w ten sposób uzasadnić jakoś swoją społeczną pozycję. Jak zawsze przy rostrze kręcili się ich naganiacze, oferując łapówki wszystkim gotowym wpaść do hali, żeby wygwizdać przeciwników. Przepchnąłem się pomiędzy nimi.

W cieniu Palatynu stateczna procesja członków jednego z kolegów kapłańskich podążała za nie najmłodszą, odzianą na biało dziewczicą do Domu Westalek. Kobieta rozglądała się z zadzierzystością zbzikowanej starszej damy, otoczonej wianuszkami mężczyzn, których zadaniem jest okazywać jej szacunek przez cały czas. Tymczasem na schodach świątyni Saturna oraz Kastora i Polluksa rozłożyły się grupy opętanych seksem nierobów, obrzucających taksującym spojrzeniem wszystko (nie tylko kobiety), na co warto było zagwizdać. Jakiś rozjuszony edyl rozkazywał swoim osiłkom, żeby

zrobili porządek z pijaczkiem, który stracił świadomość i nieopatrznie osunął się na zegar słoneczny u podnóża złotego kamienia milowego. Wciąż panowała letnia pogoda. W powietrzu unosił się gryzący zapach oślich odchodów.

Od jakiegoś już czasu oceniałem fragment ściany budynku Tabularium. Wreszcie przyniosłem ze sobą gąbkę i kilkanaście zręcznymi ruchami zmyłem wyborcze bazgroły, które bezcześciły zabytkowy mur. (Popierany przez manikiurzystki z łaźni Agryppy... typowy wyrafinowany kandydat). Pozbywszy się tych bredni ze ściany okazji naszego architektonicznego dziedzictwa, miałem na wysokości wzroku spory kawał wolnej powierzchni, w sam raz na moje własne graffiti:

*Dydiusz Falko
Wszelkie dyskretne
śledztwa + problemy prawne
lub rodzinne
dobre referencje + niskie stawki
w pralni Pod Orłem
Dziedziniec Fontanny*

Kuszące, co?

Wiedziałem, kogo tym mogę przyciągnąć: przebiegłych urzędników od importu, którzy zechcą sprawdzić status materialny interesujących wdówek, albo kelnerów z pobliskich knajp, zaniepokojonych zniknięciem swoich dziewczyn.

Ci urzędnicy nigdy nie płacą, natomiast kelnerzy potrafią być użyteczni. Prywatny detektyw może spędzić całe tygodnie, szukając zaginionych kobiet, po czym, kiedy zmęczy go łażenie po winiarniach (jeśli to możliwe), wystarczy powiedzieć klientowi, że usługujące w gospodach zaginione dziewczęta odnajduje się na ogół z rozbitą głową pod podłogą domu przyjaciela. Wtedy rachunek za wykonaną pracę zostaje bezzwłocznie uregulowany, czasami też zleceniodawca opuszcza w pośpiechu miasto na dłużej... z pożytkiem dla Rzymu. Lubię mieć poczucie, że moja praca ma pewną wartość dla miejscowej społeczności.

Oczywiście taka sprawa może okazać się fiaskiem. Zdarza się też, że przyjaciółeczka zwyczajnie uciekła z jakimś gladiatorem. Człowiek spędza tygodnie na jej poszukiwaniu, aż w końcu tak współczuje temu nierozgarniętemu ofermie, który stracił swoją nic niewartą gołąbeczkę, że nie ma sumienia upominać się o honorarium...

Poszedłem do łaźni, żeby trochę poćwiczyć ze swoim trenerem, tak na wszelki wypadek, gdyby trafiła mi się sprawa wymagająca jakichś wyczynów. Potem wybrałem się na poszukiwanie mojego przyjaciela Petroniusza Longusa. Był dowódcą patrolu straży awentyńskiej, w związku z czym miał do czynienia z przeróżnymi typkami, często pozbawionymi skrupułów, którym

przydałyby się moje usługi. Zdarzało się, że Petroniusz podsylał mi klientów, choćby dlatego, żeby się pozbyć dokuczliwych osobników.

Nie znalazłem go w żadnym z najczęściej odwiedzanych przez niego miejsc, wobec czego ruszyłem do jego domu. Zastałem tam tylko małżonkę mojego przyjaciela... co mnie specjalnie nie ucieszyło. Arria Sylwia była ładną kobietą o drobnej budowie; miała małe dłonie i kształtny nosek, gładką skórę i śliczne jak u dziecka brwi. Natomiast w jej charakterze nie było już nic delikatnego. Miała o mnie jak najgorsze zdanie i nie robiła z tego tajemnicy.

- Jak tam Helena, Falkonie? Rzuciła cię już? - zapytała kąśliwie.

- Jeszcze nie.

- Ale rzuci! - zapewniła mnie Sylwia.

Kpiła sobie złośliwie, ale nie przejąłem się tym zbyt. Zostawiłem Petroniuszowi wiadomość, że trwa u mnie posucha, jeśli chodzi o zlecenia, i się ulotniłem.

Skoro już znalazłem się w tej okolicy, wpadłem do matki; nie zastałem jej, gdyż poszła kogoś odwiedzić. Nie byłem w nastroju, żeby wysłuchiwać, jak moje siostry żalą się na mężów, więc dałem sobie spokój z rodziną (co nie było trudną decyzją) i poszedłem do domu.

Powitała mnie niepokojąca scena. Minałem właśnie cuchnący zaułek i kierowałem się ku nędznej, gubiącej odzienie klientów pralni Lenii, zajmującej parter naszej kamienicy, kiedy dostrzegłem grupkę najeżonych metalowymi klamrami twardzieli; stali przed wejściem na schody, starając się nie rzucać w oczy. Nie było to łatwe zadanie: sceny bitewne na ich napierśnikach były tak wypolerowane, że zatrzymałyby zegar wodny, a co dopiero przechodnia. Dziesięcioro dzieci otoczyło ich kręgiem, podziwiając szkarłatne pióra przy hełmach i podjudzając się nawzajem do próby wciśnięcia mocarzom patyków pomiędzy rzemienie butów. Gwardia pretoriańska. Na pewno już cały Awentyn wiedział, że są tutaj.

Nie przypominałem sobie, żebym zrobił ostatnio coś, czym mogłem się narazić wojskowym, zatem pewnym krokiem człowieka niewinnego ruszyłem w ich stronę. Bohaterowie ci, wyrwani ze swojego wytwornego otoczenia, wyglądali na dość nerwowych. Nie zaskoczyło mnie więc, kiedy przy wejściu do domu natknąłem się na dwie skrzyżowane na wysokości mojej piersi włócznie.

- Spokojnie, chłopcy, bo podrzecie mi tunikę, a ona ma posłużyć jeszcze kilka dziesiątków lat...

Z kłębow pary wyłoniła się młoda praczka z krzywym uśmiechem i koszem utyłanych łąchów. Uśmiešek przeznaczony był dla mnie.

- To twoi przyjaciele? - zakpiła.

- Nie obrażaj mnie! Na pewno chcą aresztować jakiegoś obwiesia i pomylili adresy...

Oni nie byli tu jednak po to, by kogoś zatrzymać. Jakiś szczęśliwy obywatel z tej nędzniejszej części społeczeństwa bez wątpienia przyjmował wizytę członka rodziny cesarskiej, incognito, jeśli nie liczyć rzucającej się w oczy obecności jego straży przybocznej.

- Co się dzieje? - spytałem dowodzącego centuriona.

- Sprawa poufna... Zakaz wejścia!

Zdażyłem się już domyślić, kto jest nieszczęsną ofiarą (ja) i jaki jest cel tego najścia (namówienie mnie na misję w Germanii, przed którą ostrzegł mnie Momus). Miałem jak najgorsze przeczucia. Musiało chodzić o misję szczególnego rodzaju lub była to sprawa niecierpiąca zwłoki, a to oznaczało jedno; robota należy do takich, których nie znoszę. Stałem i dumałem, który to z Flawiuszów zmusił się, żeby wdepnąć swoimi szlachetnymi stopami w cuchnące błocko naszego zaułka.

Sam cesarz, Wespazjan, był zbyt dostojny i zbyt czuły na punkcie swojej pozycji, żeby zadawać się z plebsem. Poza tym przekroczył już sześćdziesiątkę. W żadnym razie nie udałoby mu się pokonać schodów w mojej kamienicy.

Miałem okazję poznać jego młodszego syna, Domicjana. Kiedyś wyciągnąłem na światło dzienne nieczne machinacje tego chłoptasia, co oznaczało, że Domicjan wolałby, bym zniknął z powierzchni ziemi; ja życzyłem mu tego samego. W każdym razie ignorowaliśmy się nawzajem.

Zatem musi to być Tytus.

- Tytus przyszedł odwiedzić Falkona? - zdziwiłem się głośno. Był na tyle impulsywny, że mógł to zrobić. Dając żołnierzowi do zrozumienia, że nie znoszę oficjalnych tajemnic, delikatnie, jednym palcem rozsunąłem imponująco wypolerowane ostrza włóczni. - Jestem Marek Dydiusz. Lepiej mnie przepuście, żebym mógł się dowiedzieć, jakie radości zaplanowało mi cesarstwo...

Nie zatrzymywali mnie, za to obrzucili pełnymi sarkazmu spojrzeniami. Może zakładali, że ich bohaterski wódz zniżył się do zadawania z jakąś awenturyńską dziewoją.

Bez najmniejszego pośpiechu, jako że byłem zagorzałym republikaninem, ruszyłem schodami w górę.

Kiedy wszedłem do mieszkania, Tytus rozmawiał z Heleną. Stałem jak wryty. Zacząłem pojmować, jakie to spojrzenie pretorianie wymienili między sobą. Cóż za głupiec ze mnie.

Helena siedziała na balkonie - niewielkiej konstrukcji wiszącej na słowo honoru przy ścianie naszej kamienicy, gdyż stare kamienne podpory trzymały się głównie za sprawą zgromadzonego na nich przez dwadzieścia lat brudu. Choć dla nie uznającego konwenansów człowieka, takiego jak ja, na ławce znalazłoby się dość miejsca obok Heleny, to jednak Tytus stał uprzejmie przy drzwiach. Przed jego oczyma rozciągał się malowniczy widok tego

wspaniałego miasta, którym władał jego ojciec, ale Tytus tam nie patrzył. Zawsze uważałem, że kiedy ma się przed sobą Helenę, nie warto zwracać oczu w inną stronę. Tytus wyraźnie był tego samego zdania.

Miał mniej więcej tyle lat co ja, kręcone włosy i zawsze wyglądał na optymistę, takiego, który nie będzie gorzkniał wraz z upływem lat. W mojej mizernej kwaterze złote liście wyhaftowane na jego tunice przedstawiały osobliwy widok, niemniej sam Tytus wyglądał tam zupełnie naturalnie. Miał nieodparty urok i pasował do każdego otoczenia. Był sympatyczny jak na kogoś postawionego tak wysoko, kulturalny aż po rzemyki sandałów. Zdążył wiele dokonać jako senator, wódz, dowódca pretorianów, donator budynków użyteczności publicznej, mecenas sztuki. Na dodatek był przystojny. Ja miałem to dziewczę (choć nie ogłosiliśmy tego publicznie); Tytus miał wszystko inne.

Rozmawiał z Heleną i miał tak zadowoloną, chłopięcą minę, że aż zacisnąłem zęby. Z rękoma skrzyżowanymi na piersiach opierał się o drzwi nieświadom, że zawiasy w każdej chwili mogą puścić. Serdecznie mu tego życzyłem. Chciałem, żeby Tytus w swojej wspaniałej purpurowej tunice wylądował na mojej dziurawej podłodze. Prawdę mówiąc, w chwili, w której go tam ujrzałem, pogrążonego w rozmowie z moją ukochaną, popadłem w nastrój, w którym niemal każda zdrada wydawała się świetnym pomysłem.

- Witaj, Marku - powiedziała Helena... usilnie się starając przybrać obojętną minę.

3

- Dzień dobry - udało mi się wykrztusić.

- Marku Dydiuszu! - Głos cesarskiego syna zabrzmiał niewymuszenie miło. Nie pozwalając, by mnie to zmieszało, zachowałem ponurą minę. - Przybyłem, by wyrazić ci współczucie w związku z utratą mieszkania! - oznajmił Tytus. Miał na myśli mieszkanie, jakie do niedawna wynajmowałem, posiadające same zalety... tyle że podczas gdy ta obrzydliwa kamienica wbrew wszelkim zasadom inżynierii wciąż stała, tamta zawała się w obłoku pyłu i kurzu.

- To była niezła chałupa. Solidnie wybudowana - powiedziałem. - Tak żeby mogła wytrzymać mniej więcej tydzień!

Helena zachichotała. To dało Tytusowi pretekst, żeby oświadczyć:

- Zastałem tutaj córkę Kamila Werusa. Bawiłem ją rozmową... - Dobrze wiedział, że próbuje zawłasczyć sobie Helenę Justynę, ale najwyraźniej wolał udawać, że jest ona wzorem skromności i przyzwoitości, kobietą, która tylko czeka na okazję spędzenia czasu w towarzystwie nie mającego akurat nic do roboty władcy.

- Och, wielkie dzięki - odparłem z goryczą.

Tytus obdarzył Helenę Justynę pełnym zachwytu spojrzeniem; poczułem się wykluczony. Zawsze ją podziwiał, a mnie zawsze bardzo się to nie podobało.

Stwierdziłem z ulgą, że mimo wszystko wcale nie pomalowała sobie oczu, czyli nie spodziewała się gościa. I tak wyglądała rozkosznie, w czerwonej szacie, którą lubiłem, z agatami na cienkich złotych kółkach bujającymi się u uszu i uniesionymi ciemnymi włosami, które przytrzymywały grzebienie. Miała zdecydowaną inteligentną twarz, w sytuacjach oficjalnych niezwykle opanowaną, choć prywatnie Helena nabierała łagodności i miękła niczym miód na słońcu. Uwielbiałem to, pod warunkiem że miękła dla mnie.

- Zdarza mi się zapominać, że wy dwoje się znacie! - zauważył Tytus.

Helena milczała, czekając, aż powiem dostojnemu gościowi, jak dobrze się znamy. Uparcie się przed tym powstrzymałem. Tytus był moim klientem; jeśli da mi zlecenie, wykonam je rzetelnie... wara jednak pałacowemu bawidamkowi od mojego prywatnego życia.

- Cóż mogę, panie, dla ciebie zrobić? - wykrztusiłem wreszcie. W przypadku każdego innego mężczyzny ton mojego głosu przybrałby groźne brzmienie, ale nikt, kto ma ochotę jeszcze pożyć, nie grozi cesarskiemu synowi.

- Mój ojciec chciałby z tobą porozmawiać, Falkonie.

- Czyżby pałacowe błazny strajkowały? Skoro Wespazjan nie ma się z czego śmiać, zobaczę, co mogę dla niego uczynić - odrzekłem lekko.

Trzy kroki ode mnie brązowe oczy Heleny nabrały bezlitośnie twardego wyrazu.

- Dzięki - oświadczył bez wahania Tytus. Jego uprzejmy sposób bycia zawsze powodował, że czułem się, jakbym miał na tunice płamę po wczorajszym rybnym sosie. Zupełnie mi nie odpowiadało to uczucie we własnym domu. - Mam dla ciebie propozycję...

- Och, świetnie! - odparłem ponuro, wykrzywiając twarz, by uświadomić mu, że ostrzeżono mnie już przed złowieszczym charakterem tej propozycji.

Oderwał się od drzwi balkonowych, które wahały się niebezpiecznie, ale wytrzymały. Wykonał w stronę Heleny delikatny gest, mający sugerować, że skoro przyszła tu w interesach, to nie będzie dłużej przeszkadzał. Podniosła się uprzejmie, kiedy ruszył ku wyjściu, jednak odprowadzenie go do drzwi pozostawiła mnie, zupełnie jakbym był jedynym lokatorem tego mieszkania.

Wróciłem i zacząłem grzebać przy rozchwianych drzwiach na balkon.

- Ktoś powinien powiedzieć Jego Wysokości, żeby nie opierał się swoją dostojną osobą o plebejskie sprzęty... - mamrotałem. Helena wciąż milczała. - Przybrałaś tę swoją pompatyczną minę, skarbie. Czyżbym źle się zachował?

- Przypuszczam, że Tytus jest do tego przyzwyczajony - odparła spokojnie Helena.

Nie pocałowałem jej i wiedziałem, że to zauważyła. Chciałem, ale teraz było już na to za późno.

- To, że Tytus jest taki przystępny, pozwala ludziom zapominać, że rozmawiają ze współregentem, przyszłym cesarzem.

- Tytus Wespazjan zawsze dokładnie pamięta, kim jest!

- Nie bądź niesprawiedliwy, Marku.

Zazgrzytałem zębami.

- Czego chciał?

Wyglądała na zaskoczoną.

- Poprosić cię na spotkanie z cesarzem... zapewne, żeby porozmawiać o Germanii.

- W tym celu mógł wysłać posłańca - oznajmiłem. Helenę zaczynało złościć moje zachowanie, więc oczywiście stałem się jeszcze bardziej uparty. - Mógł też sam porozmawiać o Germanii, kiedy już tutaj był. I w znacznie większej konfidencji, skoro to taka delikatna misja.

Helena złożyła dłonie na podołku i przymknęła oczy, odmawiając udziału w kłótni. Ponieważ zazwyczaj spierała się ze mną przy każdej, najmniejszej nawet sposobności, źle mi to wróżyło.

Zostawiłem ją na balkonie, a sam polazłem do środka. Na stole zobaczyłem list.

- To dla mnie ten zwój?

- To list do mnie! - zawołała. - Od Eliana, z Hiszpanii. - Miała na myśli starszego ze swoich dwóch braci. Odniosłem kiedyś wrażenie, że Kamil Elian to nastroszony młody drań, z którym nigdy nie spotkam się przy kielichu; skoro jednak nie zdążyłem go osobiście poznać, trzymałem język na wodzy. - Możesz przeczytać - zaproponowała.

- Przecież to nie do mnie! - zdecydowanie odrzuciłem jej łaskawą ofertę.

Poszedłem do sypialni i usiadłem na łóżku. Dobrze wiedziałem, dlaczego Tytus nas odwiedził. Nie miało to nic wspólnego z misją, jaką mi proponował. Tu w ogóle nie chodziło o mnie.

Pojawiła się bardzo szybko i usiadła cicho koło mnie.

- Tylko się nie kłóć! - rzuciła. Była ponura jak ja sam, kiedy siłą prostowała mi zaciśnięte palce, wciskając swoją dłoń w moją. - Och, Marku! Dlaczego życie nie może być proste?

Nie byłem w nastroju do filozofowania, jednak ująłem jej dłoń nieco serdeczniej.

- Co miał zatem do powiedzenia twój cesarski admirał?

- Rozmawialiśmy o mojej rodzinie.

- O, coś takiego!

W myślach przeleciałem listę szlachetnych przodków Heleny, jak na pewno uczynił to Tytus. Byli senatorami od pokoleń (czego o sobie nie mógł powiedzieć, wywodząc się z prowincjonalnej warstwy ekwitów. Jej ojciec był twardym zwolennikiem Wespazjana; matka kobietą o nieskazitelnej reputacji. Dwaj młodzi bracia robili karierę urzędniczą w prowincjach i przeznaczeniem co najmniej jednego z nich było znaleźć się ostatecznie w senacie. Wszyscy

mnie zapewniali, że spodziewają się wielkich rzeczy po szlachetnym Elianie. Natomiast Justyn, którego osobiście poznałem, wydawał się przyzwoitym młodzieńcem.

- Odniosłem wrażenie, że Tytus był bardzo zadowolony z tej rozmowy. Czy rozmawialiście o tobie? - zapytałem.

Helena Justyna odebrała znakomite wykształcenie; była energiczna i atrakcyjna w zdecydowany, obecnie niemodny sposób; żadnych skandali (poza mną). Była kiedyś mężatką i rozwód nastąpił za obopólną zgodą, a zresztą jej małżonek już nie żył. Tytus natomiast był dwukrotnie żonaty... raz owdowiał, raz wziął rozwód. Za to ja do tej pory się nie ożeniłem, choć daleko mi było do niewiniątka.

- Przecież jest mężczyzną... mówił o sobie - zadrwiła.

Prychnąłem. Była tego rodzaju młodą kobietą, z którą ludzie chętnie rozmawiają. Sam lubiłem z nią rozmawiać. Była jedyną osobą, z którą mogłem rozmawiać niemalże o wszystkim, i uważałem, że ten przywilej należy się tylko mnie.

- Wiesz, że jest zakochany w księżniczce Berenice z Judei?

- No to mogę mu tylko współczuć! - Helena uśmiechnęła się lekko. To nie był uroczy uśmiech i na pewno nie skierowany do mnie. Po chwili dodała łagodniejszym tonem: - Czym się martwisz?

- Niczym - odparłem.

Tytus nigdy nie poślubi Bereniki. Żydowską księżniczkę obciążała burzliwa i skomplikowana historia jej kraju. Rzym nigdy by nie zaakceptował cesarzowej obcego pochodzenia, nie darowałaby też cesarzowi takich pomysłów.

Tytus był marzycielem, ale i realistą. Podobno rzeczywiście darzył Berenikę uczuciem, jednak człowiek o jego pozycji zapewne weźmie za żonę inną kobietę. Był dziedzicem władcy cesarstwa rzymskiego. Jego brat, Domicjan, posiadał niektóre z rodzinnych talentów, jednak nie wszystkie. Tytus spłodził córkę, ale nie miał syna. Ponieważ roszczenia Flawiuszów do purpury opierały się w zasadzie na obietnicy zapewnienia cesarstwu stabilizacji, ludzie prawdopodobnie uważali, że powinien zabrać się energicznie do szukania sobie na małżonkę przyzwoitej Rzymianki. Mnóstwo kobiet, tych porządnych i nie tylko, musi żyć nadzieją, że tak właśnie uczyni.

Co więc miałem sobie myśleć, kiedy zobaczyłem, jak taka ważna persona rozmawia z moją dziewczyną? Helena Justyna była życzliwą, taktowną, łagodną (kiedy miała ochotę) towarzyszką; zawsze też wykazywała się rozsądkiem i taktem i miała wielkie poczucie odpowiedzialności. Gdyby nie zadurzyła się we mnie, byłaby właśnie taką osobą, jakiej Tytus powinien sobie poszukać.

- Marku Dydiuszu, wybrałam życie z tobą.

- Skąd to nagłe oświadczenie?

- Bo robisz wrażenie, jakbyś o tym zapomniał - powiedziała.

Nawet gdyby już jutro miała mnie opuścić, nigdy bym tego nie zapomniał. Ale to wcale nie oznaczało, że mogę z całkowitym spokojem myśleć o naszej wspólnej przyszłości.

4

Kolejny tydzień był dziwny. Dręczyła mnie myśl o wiszącej nade mną upiornej podróży do Germanii. Nie mogłem sobie pozwolić na odrzucenie oferty pracy - ale wędrówka po dzikich, zamieszkanym przez różne plemiona rubieżach cesarstwa zajmowała wysokie miejsce na liście tych rozrywek, których starałem się unikać.

Potem złapałem się na tym, że sprawdzam mieszkanie, poszukując w nim śladów obecności Tytusa. Nie znalazłem; za to Helena zauważyła moje zachowanie, co wywołało dalsze napięcia.

Moje ogłoszenie na Forum sprowadziło do mnie jakiegoś niewolnika, który nigdy nie byłby w stanie mi zapłacić. Poza tym chciał odnaleźć dawno niewidzianego brata bliźniaka, co drugorzędny dramaturg mógłby potraktować jako niezły temat, ale mnie się wydawało bardzo nudnym, rutynowym zajęciem. Potem zgłosiło się dwóch urzędników, łowców posagów; jakaś stuknięta niewiasta przekonana, że jej ojcem był Neron (to, że chciała, abym to udowodnił, oznaczało, że musi być stuknięta); i szczurołap. Ten ostatni był najciekawszą postacią, ale jemu potrzebne było świadectwo rzymskiego obywatelstwa. Załatwiłbym to bez trudu, spędziwszy jeden dzień w biurze cenzora, ale nawet dla tak intrygujących osobistości nie zajmuję się fałszowaniem dokumentów.

Petroniusz Longus przysłał mi kobietę, która chciała wiedzieć, czy jej mąż, już wcześniej żonaty, nie ma przypadkiem dzieci, o których zapomniał jej wspomnieć. Przejrzawszy odpowiednie dokumenty, mogłem ją zapewnić, że żadnych zarejestrowanych nie posiada. Przy okazji odkryłem dodatkową żonę, z którą się nigdy formalnie nie rozwiódł. Kobieta była teraz szczęśliwą małżonką kucharza, specjalisty od potraw z drobiu (określenia „szczęśliwa” używam umownie; podejrzewam, że była równie niezadowolona z życia jak wszyscy). Postanowiłem nic nie mówić klientce. Dobry detektyw odpowiada tylko na zadane pytania... po czym dyskretnie znika.

Sprawa od Petroniusza przyniosła dość srebra, żebyśmy mogli zjeść na kolację czerwoną barwenę. Resztę wydałem na róże dla Heleny, w nadziei że zobaczy we mnie mężczyznę z perspektywami. Był to prawdziwie radosny wieczór do chwili, kiedy się okazało, że ona może mieć własne perspektywy: Tytus zaprosił ją do Pałacu z rodzicami. Beze mnie.

- Niech zgadnę... skromna kolacyjka, o której informacja nie pojawi się w kalendarzu imprez publicznych? Kiedy to będzie?

Zauważyłem jej wahanie.

- W czwartek.

- Wybierasz się?

- Naprawdę nie mam najmniejszej ochoty.

Twarz miała napiętą. Gdyby jej znamienita rodzina podejrzewała, że możliwy jest związek Heleny z ozdobą cesarskiego dworu, poddałaby ją nieznośnej presji. Czym innym było odejście z domu, kiedy rodzice nie mieli względem niej żadnych innych planów. Kiedyś jej ojciec oświadczył mi szczerze, że wystarczy jedno nieudane małżeństwo i woli nie nakłaniać jej do żadnego kolejnego. Kamil Werus był człowiekiem niezwykłym, mianowicie - sumiennym ojcem. Jej wyprowadzka z domu nie odbyła się w atmosferze radości. Helena chroniła mnie przed reperkusjami, ale przecież swoje wiem. Chcieli ją odzyskać, zanim cały Rzym usłyszy, że zadaje się z podejrzanym prywatnym detektywem, a satyrycy zaczną układać na ten temat nieobyczajne wierszyki.

- Och, Marku, tak bardzo mi zależy, żeby spędzić ten wieczór z tobą... - Helena miała zmartwioną minę. Uważała, że powinienem coś w tej sprawie zrobić, ale przecież było to wykluczone. Tylko ona sama mogła odrzucić zaproszenie Tytusa.

- Nie patrz tak na mnie, skarbie. Nie mam zwyczaju się nigdzie wpraszać.

- A to coś nowego! - oświadczyła. Nie znoszę ironicznych kobiet. - Marku, zamierzam powiedzieć ojcu, że mam wcześniej umówione spotkanie, którego nie mogę przełożyć, z tobą...

Odnosiłem wrażenie, że unika istoty sprawy.

- Przykro mi - przerwałem jej. - W czwartek jadę do Wejów. Muszę sprawdzić pewną wdowę dla jednego z moich klientów, łowcy posagów.

- Nie możesz pojechać kiedy indziej?

- Przyda nam się to honorarium. A ty wykorzystaj okazję! - rzuciłem z szyderczym uśmiechem. - Idź do Pałacu i baw się dobrze. Tytus pochodzi z prostej, prowincjonalnej rodziny i łatwo go urobić. Poradzisz z nim sobie, kochanie... oczywiście założywszy, że tego chcesz!

Helena jeszcze mocniej pobladła.

- Marku, proszę cię tylko, żebyś został tu ze mną! - powiedziała. W jej głosie brzmiało coś niepokojącego, ale ja byłem pochłonięty uzalaniem się nad sobą i ani myślałem zmieniać swoje plany. - To dla mnie bardzo ważne - mówiła Helena groźnym tonem. - Nigdy ci nie wybaczę...

To załatwiło sprawę. Groźby kobiet wydobywają ze mnie to, co najgorsze. Pojechałem do Wejów.

Weje okazały się ślepą uliczką. Jakoś mnie to nie zaskoczyło.

Nie miałem trudności z odnalezieniem wdowy; w mieście każdy o niej słyszał. Może posiadała jakiś majątek, a może nie, ale była fertyczną brunetką o

roziskrzonych oczach i otwarcie przyznała, że ciągnie za sobą łańcuszek czterech czy pięciu żalonych zalotników, którzy kiedyś nazywali się przyjaciółmi jej zmarłego męża, a teraz uważali, że mogą być jeszcze lepszymi przyjaciółmi jej samej. Jednym z nich był eksporter wina, sprzedający Galom duże ładunki podłego etruskiego sikacza, i tego właśnie uznałem za oczywisty numer jeden wśród zalotników, gdyby wdówka zdecydowała się powtórnie wyjść z męż. Wątpiłem, by zwracała sobie tym głowę; za dobrze się bawiła.

Dała mi nawet do zrozumienia, że mógłbym odnieść pewne korzyści, zatrzymując się na dłużej w Wejach, jednakże całą drogę prześladował mnie obraz błagalnej miny Heleny. Zatem, przeklinając pod nosem i całkiem już skruszony, pospieszyłem z powrotem do Rzymu.

Heleny nie zastałem w mieszkaniu. Najpewniej wyruszyła już do Pałacu. Wyszedłem i upiłem się z Petroniuszem. Mój przyjaciel był głową rodziny, więc nie omijały go kłopoty i zawsze chętnie spędzał wieczór poza domem, żeby mnie pocieszyć i rozweselić.

Do domu wróciłem późno, celowo. Nie udało mi się zirytować tym Heleny, bo ona tam w ogóle nie wróciła.

Założyłem, że została u rodziców. To nie wyglądało dobrze. Kiedy jednak nazajutrz nie pojawiła się przy Dziedzińcu Fontanny, byłem przerażony.

5

No to się dograłem.

Wykluczyłem możliwość, że uprowadził ją Tytus. Był na to zbyt uczciwy. Poza tym Helena była osobą nieugiętą; nigdy by na to nie pozwoliła.

Nie byłem w stanie się zmusić, żeby pójść do domu senatora i błagać o jakąś informację. Zresztą niezależnie od tego, co się stało, to i tak jej szlachetna rodzina mnie obarczyłaby winą.

Odnajdywanie zaginionych kobiet było moim fachem. Znalezienie własnej powinno być prostym jak drut drobiażdżkiem. Przynajmniej wiedziałem, że jeśli ją zamordowano i ukryto pod podłogą, to nie była to moja podłoga. Ta świadomość nie przyniosła mi szczególnej pociechy.

Zacząłem tak, jak zawsze się zaczyna; po prostu przeszukałem mieszkanie. Kiedy już uprzątnąłem własne śmieci, niewiele pozostało do oglądania. Helena nie miała tu dużo ubrań czy biżuterii; a większość z tego, co miała, zniknęła. Natknąłem się na jedną z jej tunik, w kłębowisku swoich rzeczy; gagatowa szpila do włosów była pod poduszką po mojej stronie łóżka; steatytowe naczynko wypełnione jej ulubionym kremem do twarzy potoczyło się za kufer... Nic więcej. W końcu musiałem dopuścić do siebie myśl, że Helena Justyna obraziła się, zabrała swoje rzeczy i się wyprowadziła.

Wydało mi się to zbyt radykalnym posunięciem... do czasu, kiedy nie natrafiłem na wskazówkę. List od jej brata Eliana wciąż leżał na stole, jak

wtedy, kiedy powiedziała, że mogę go sobie przeczytać. Zrobiłem to teraz i w pierwszej chwili pożałowałem. Potem uznałem, że lepiej wiedzieć.

Elian był nonszalanckim młodym próżniakiem, który nie zwracał sobie głowy korespondencją z rodziną, choć Helena pisywała do niego regularnie. Była najstarsza z trójki dzieci Kamilów i darzyła młodsze rodzeństwo staromodnie ciepłym uczuciem, które w innych rodzinach wyparowało przez okno wraz z końcem republiki. Zdążyłem się już zorientować, że jej ulubieńcem był Justyn; listy do Hiszpanii słała raczej z poczucia obowiązku. Najwyraźniej kiedy Kamil Elian usłyszał, że siostra związała się z plebejuszem wykonującym haniebną zawód, uznał za swój obowiązek wygarnąć jej, co o tym myśli. List był tak jadowitą tyradą, że z obrzydzeniem wypuściłem go z rąk. Elian zaciekle wytykał Helenie, jak splamiła honor ich szlacheckiej rodziny. Jego słowa były grubiańskie i odzwierciedlały typowy dla dwudziestokilkuletniego młodzieńca brak wrażliwości.

Helena, tak przywiązana do rodziny, musiała się poczuć głęboko dotknięta. Na pewno długo zamartwiała się tym listem, czego ja w ogóle nie zauważyłem. A potem zjawił się Tytus, zapowiadając kolejne kłopoty... To, że nic nie powiedziała, było dla niej typowe. I jakże typowe dla mnie, że kiedy wreszcie poprosiła o pomoc, odwróciłem się do niej plecami.

W chwili, kiedy skończyłem czytać list, zapragnąłem otoczyć ją ramionami. Za późno, Falkonie. Za późno, żeby ją pocieszyć. Za późno, by ją ochronić. Na wszystko za późno.

Nie zdziwiłem się, kiedy otrzymałem krótki, pełen goryczy list informujący mnie, że Helena już dłużej nie zniesie Rzymu i wyjeżdża stąd.

6

W ten oto sposób dałem się wysłać do Germanii.

Bez Heleny nie miałem co ze sobą zrobić w Rzymie. Nawet nie próbowałem jej gonić; na tyle opóźniła termin dostarczenia mi wiadomości, że bym nie mógł już trafić na jej trop. Bardzo szybko miałem dość uwag członków mojej rodziny, którzy uważali za stosowne w kółko mi powtarzać, jak to oni wszyscy dobrze wiedzieli, że Helena mnie rzuci. Nie miałem jak się bronić; przecież sam się tego spodziewałem. Ojciec Heleny często korzystał z tej samej łaźni co ja, więc unikanie go było dość skomplikowane. W końcu mnie przyuważył, kiedy chowałem się za filar; szybko pozbył się niewolnika, który szorował mu plecy skrobaczką, i ruszył do mnie w obłoku pachnącego olejku.

- Ufam, Marku, że powiesz mi, gdzie się podziewa moja córka...

Przełknąłem ślinę.

- Cóż, znasz, panie, Helenę Justynę...

- Ty też nie masz pojęcia! - wykrzyknął jej rodzic. W następnej chwili przeproszał za Helenę, jakbym to ja miał się czuć dotknięty jej dziwacznym

zachowaniem.

- Proszę się uspokoić, senatorze! - Otuliłem go uspokajająco rącznikiem. - Przecież trudnię się zawodowo odszukiwaniem zagubionych skarbów innych ludzi. Wytropię ją. - Wypowiadając te kłamstwa, starałem się robić dobrą minę do złej gry. On też się starał.

Mój przyjaciel Petroniusz jak zawsze podtrzymywał mnie na duchu, ale nawet on był zdumiony.

- Wyjechała! Falko, ty naprawdę jesteś stuknięty. Dlaczego nie mogłeś zakochać się w zwyczajnej dziewczynie? Takiej, co to popędzi do swojej matki, kiedy ją zirytujesz, a w następnym tygodniu pojawi się jak gdyby nigdy nic, z nowym naszyjnikiem, za który ty będziesz musiał zapłacić?

- Dlatego, że na mnie mogła polecieć tylko dziewczyna lubiąca bezsensowne dramatyczne gesty.

Westchnął niecierpliwie.

- Szukasz jej?

- Jak? Może być wszędzie, od Luzytanii do Pustyni Nabatejskiej. Daj mi spokój, Petroniuszu, już dość bredni się nasłuchałem!

- No cóż, kobiety nigdy nie podróżują daleko samotnie... - Petroniuszowi zawsze podobały się proste, nieśmiałe ciepłe kluchy... a w każdym razie kobiety, które zdołały go przekonać, że takie właśnie są.

- Kobiety w ogóle nie powinny podróżować. Ta prosta zasada nie odstraszy Heleny.

- Czemu zwała?

- Nie umiem odpowiedzieć.

- Och, rozumiem: Tytus! - zawołał. Jeden z jego ludzi musiał zauważyć pretorianów przed moim domem. - W takim razie to przynajmniej masz z głowy!

Powiedziałem mu, że zmęczył mnie już optymizm innych ludzi, i poszedłem sobie.

Kiedy następnym razem przyszło wezwanie z Pałacu, rzekomo od Wespazjana, wiedziałem, że tak naprawdę to Tytus knuje, żeby pozbyć się mnie z Rzymu. Zduśliłem irytację i poprzysiągłem sobie, że wymuszę na nich najwyższe możliwe honorarium.

Na spotkanie z purpurą wyszykowałem się tak elegancko, jak życzyłaby sobie tego Helena. Włożyłem togę. Przystrzygłem włosy. Trzymałem wargi mocno zaciśnięte, by nie wymknęła mi się żadna uwaga świadcząca o moich republikańskich przekonaniach. Niczego więcej żaden pałac nie mógłby ode mnie oczekiwać.

Wespazjan skutecznie rządził cesarstwem ze swoim starszym synem. Spytałem o starego władcę, ale przyjmujący mnie wyższy urzędnik wydawał się kompletnie głuchy. Mimo że miałem zaproszenie na piśmie od jego ojca,

najwyraźniej to Tytus pełnił tego wieczoru dyżur i zajmował się prośbami, ułaskawieniami oraz pogawędkami z takimi jak ja bywalcami nędznych winiarni.

- To nie ta sala tronowa! - oświadczyłem przepraszającym tonem, kiedy niepozorny sługus wprowadził mnie do niego. - Panie, przypuszczam, że cesarstwo zyska na tym, kiedy zostanie gdzieś wysłany! Krążą pogłoski, że twój szlachetny rodzic ma dla mnie jakąś koszmarną propozycję, i nie mogę się doczekać, żeby o tym usłyszeć.

Tytus domyślił się, że drwię sobie z jego osobistych motywów. Usłyszawszy, że być może opuszczę Rzym, roześmiał się krótko, a ja nie poszedłem w jego ślady. Wykonał gest w stronę niewolnika, zapewne by ten zaprowadził mnie do cesarza, po czym powstrzymał nas obu.

- Próbowałem sprawdzić, gdzie się podziała pewna twoja klientka - przyznał... nieco zbyt bezceremonialnie.

- Więc wymknęła się nam obu! Co ci powiedziała? - zapytałem. Nie odpowiedział; mnie przynajmniej Helena zaszczyciła gniewnym listem. Poczuwszy przyływ odwagi, zaryzykowałem szyderczy uśmiech. - Jest w podróży. Najwyraźniej by odwiedzić brata. Niedawno otrzymała list od szlachetnego Eliana, wielce poruszonego jakąś wyimaginowaną obrazą. - Nie czułem potrzeby dezorientowania rozmówcy, mówiąc, że chodziło o mnie samego.

Tytus zmarszczył czoło.

- Skoro jej brat jest zły na nią, to chyba bardziej logiczne byłoby go unikać?

- To typowa reakcja Heleny Justyny, popędzić wprost do niego - oznajmiłem. Tytus wciąż nie wyglądał na przekonanego. O ile dobrze pamiętałem, sam miał siostrę, przykładną pod każdym względem, która wyszła za kuzyna, po czym zmarła młodo przy porodzie, jak przystoi rzymskim niewiastom z dobrych rodzin. - Helena lubi stawiać czoło trudnościom, panie.

- Coś takiego! - odrzekł na to, możliwe że ironicznie. Potem zadał już bardziej przemyślane pytanie. - Kamil Elian przebywa w Hiszpanii Betyckiej? Chyba jest jeszcze za młody na urząd kwestora? - zauważył.

Przyszli senatorowie zazwyczaj służą jako urzędnicy finansowi w prowincjach tuż przed formalnym wyborem do senatu w wieku dwudziestu pięciu lat. Bratu Heleny brakowało do tego dwóch czy trzech lat.

- Elian jest młodzieńcem, o którym cała rodzina ma jak najlepsze mniemanie - wyjaśniłem. Jeśli Tytusowi chce się Heleny, powinien dobrze poznać jej krewnych. W typowy dla siebie lekki sposób opisałem mu sytuację. - Senator przekonał swojego przyjaciela z Kordoby, by znalazł chłopcu miejsce w sztabie, co daje mu dodatkową korzyść w postaci zdobytego już doświadczenia - ciągnąłem. Sądząc po stylu jego listu do siostry, plan, by nauczyć Eliana dyplomacji, okazał się stratą czasu i pieniędzy.

- Czy wykazuje się jakimiś szczególnymi zaletami?

- Kamil Elian - odparłem z powagą - wydaje się dobrze wyposażony do błyskotliwej kariery publicznej.

Tytus zerknął na mnie, jakby podejrzewał, że sugeruję, jakoby odrobina łajna była oczywistym kryterium niezbędnym przy szybkim awansie do senatu.

- Wydajesz się niezłe zorientowany! - Przyjrzał mi się przenikliwie, po czym przywołał posłańca zza drzwi. - Falkonie, kiedy Helena wyjechała?

- Nie mam pojęcia.

Wymamrotał coś do swojego człowieka; wspomniał o Ostii. Zorientował się, że go podsłuchałem.

- Ta pani jest członkiem rodziny senatorskiej, mogę zabronić jej wyjazdu z Italii - powiedział po wyjściu umyślnego, jakby się tłumaczył.

Wzruszyłem ramionami.

- Więc wybrała się bezprawnie na wakacje. Dlaczego niby nie? Nie jest westalką albo kapłanką kultu cesarza. Twój poprzednik na tym urzędzie, panie, mogliby za pokaz takiej niezależności zesać ją na jakąś wysepkę, jednakże po Flawiuszach Rzym spodziewa się czegoś lepszego! - oznajmiłem. A przecież, jeśli mógł ją odnaleźć (a sam już spędziłem jeden dzień, bezowocnie przepatrując nabrzeża w Ostii), byłem gotów pozwolić Tytusowi sprowadzić moją panią z powrotem do Rzymu. Wiedziałem, że ze względu na swój status zostanie potraktowana z szacunkiem. Wiedziałem również, że Tytus Flawiusz Wespazjan wpadnie w kłopoty po uszy, jeśli taki rozkaz wyda. - Helena Justyna będzie z całą mocą sprzeciwiać się zdjęciu jej ze statku. Zostanę, jeśli sobie tego życzysz, panie - zaproponowałem. - Pretorianom może przydać się pomoc, kiedy szlachetna pani wpadnie w gniew!

Tytus nie zamierzał odwołać posłańca.

- Jestem pewien, że potrafię udobruchać Helenę Justynę... - powiedział, nie bez racji. Żadna kobieta, na której mu rzeczywiście zależało, nie odwróciłaby się do niego plecami. Pogładził fałdy purpurowej tuniki, przybrał wspaniałą pozę. Ja rozstawiłem szeroko nogi i starałem się wyglądać na twardziela. I wtedy spytał znienacka: - Ty i córka Kamila Werusa wydajecie się wyjątkowo sobie bliscy?

- Tak sądzisz, panie?

- Jesteś w niej zakochany?

- Jakżebym śmiał, cesarze? - wyszczerzyłem się.

- Falkonie, ona jest córką senatora!

- Ciągle to słyszę.

Obaj zdawaliśmy sobie sprawę z potęgi jego ojca, a także z tego, jak dużą część władzy przekazał już synowi. Tytus był zbyt uprzejmy, by porównywać mnie ze sobą, ale ja to uczyniłem.

- Czy Werus to aprobuje? - drażył.

- Jakżeby mógł, panie?

- Czy zezwala?

- Helena Justyna jest uroczą ekscentryczką - oświadczyłem spokojnie. Z twarzy Tytusa wyczytałem, że zdążył się już tego dowiedzieć. Zastanawiałem się, co też takiego jej powiedział; potem zastanawiałem się, a to było bardziej bolesne, co też ona powiedziała jemu.

Poruszył się na krześle, kończąc w ten sposób rozmowę. Mógł odesłać mnie z tej sali tronowej, mógł kazać mi wyjechać z Rzymu; obaj jednak nie byliśmy pewni, czy może mnie wykluczyć z życia Heleny.

- Marku Dydiuszu, mój ojciec chce, byś wyruszył w podróż. Czuję, że to wszystkim dobrze zrobi.

- Przypadkiem nie do Betyki? - spytałem beczelnie.

- Nie ten kierunek, Falkonie! - wypalił, z większą satysfakcją niż wypadało. Opanował się i wymamrotał: - Miałem nadzieję podejmować tu w czwartek Helenę Justynę. Żałowałem, że nie przyszła... ale rozumiem, że większość ludzi lubi obchodzić swoje święta z osobami sobie najbliższymi... - mówił. To był najwyraźniej jakiś rodzaj próby. Wpatrywałem się w niego w milczeniu. - Urodziny Heleny Justyny! - wyjaśnił, niczym gość, który rzuca dwie szóstki sfalszowanymi kośćmi.

Była to dla mnie nowina. Co od razu dostrzegł.

Jaka szkoda, że nie mogłem przyłożyć mu pięścią w ten doskonale wygolony podbródek i wbić go wraz z pięknymi zębami w głąb dostojnej czaszki.

- Baw się dobrze w Germanii! - rzucił.

Stonował swoje poczucie triumfu. Właśnie w tym momencie zmusiłem się, żeby zaakceptować trudne położenie, w jakim znaleźliśmy się oboje z Heleną. O ile dla niej ta sytuacja była niezręczna, o tyle dla mnie była ona zdecydowanie niebezpieczna. I niezależnie na jaką wszawą misję wysyłano mnie tym razem, Tytusowi będzie najbardziej na rękę, kiedy mi się ona nie powiedzie.

Był synem cesarza. Bez najmniejszego trudu mógł dopilnować, bym już nigdy nie wrócił do Rzymu.

7

Zatopionego w posępnych myślach przeprowadzono mnie przez trzy woniejące pachnidłami gabinety kolejnych sekretarzy.

Nie jestem kompletnym idiotą. Po dziesięciu latach czegoś, co nazywałem udanym życiem erotycznym, byłem przekonany, że szybko i bez najmniejszego trudu dowiem się, kiedy przypadają urodziny mojej nowej dziewczyny. Zapytałem o to Helenę; zbyła śmiechem moje pytanie. Spytałem jej ojca, ale ten, nie mając przy sobie sporządzonej przez sekretarza listy świąt rodzinnych,

był bezradny i pominął sprawę milczeniem. Mogła mi to powiedzieć jej matka, tyle że Julia Justa wolała inne sposoby wprawienia się w kiepski humor niż rozmowa ze mną o córce. Kilka godzin grzebałem w biurze cenzora, szukając świadectwa urodzenia Heleny. Bez rezultatu. Albo senator wpadł w taki popłoch, kiedy na świecie pojawiła się jego pierworodna (co byłoby całkiem zrozumiałe), że zapomniał ją zarejestrować, albo też znalazł ją pod krzakiem wawrzynu i nie mógł uznać za obywatelkę Rzymu.

Jedno było pewne. Dopuszciliem się czynu świętokradczego. Helena Justyna mogła darować mi różne impertynencje, jednak moja nagła wyprawa do Wejów w dzień jej urodzin była niewybaczalna. To, że nie wiedziałem o jej urodzinach, było zupełnie nieistotne. Miałem obowiązek wiedzieć.

- Dydiusz Falko, cesarze... - Zanim zdążyłem się skupić na sprawach politycznych, odezwał się pokojowy woniejący wieloletnią próżnością i całkiem niedawno duszoną cebulą.

- Ależ smętne oblicze. O co chodzi, Falkonie? - zainteresował się cesarz.

- Kłopoty z kobietą - przyznałem.

Wespazjan lubił się pośmiać. Teraz też przechylił do tyłu wielką głowę i zarechotał.

- Chcesz mojej rady?

- Dzięki, cesarze. - Uśmiechnąłem się. - Przynajmniej ta ukochana nie umknęła z moją sakiewką ani z moim najlepszym przyjacielem...

Nastąpiła krótka chwila ciszy, jakby cesarz przypomniał sobie właśnie, kim jest pani mojego serca i że nie pochwała tego związku.

Wespazjan August był postawnym, twardo stąpającym po ziemi przedstawicielem warstwy średniej, którego wyniesiono do władzy po zacieklej wojnie domowej. Bezzwłocznie wziął się do udowadniania, że ludzie nie posiadający imponujących przodków mogą mieć talent do rządzenia. On i jego starszy syn, Tytus, odnosili w tym względzie sukces... co im gwarantowało, że bufony z senatu nigdy ich nie zaakceptują. Wespazjan miał już sześćdziesiąt lat... to zbyt dużo, by oczekiwać łatwego uznania, nawet jeśli się nosi cesarską purpurę.

- Niespieszno ci, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej misji, Falkonie.

- Wiem, że jej nie chcę.

- To normalne - zauważył Wespazjan. - Hmm - mruknął i zwrócił się do niewolnika. - Wprowadź Kanidiusza - powiedział. Nie zawracałem sobie głowy zgadywaniem kto to taki. Skoro tutaj pracował, to wystarczający powód, by mnie nie obchodził. Cesarz gestem nakazał mi się zbliżyć. - Co wiesz o Germanii?

Otworzyłem usta, żeby powiedzieć „C h a o s !”, ale natychmiast je zamknąłem, jako że ten chaos został wywołany przez zwolenników Wespazjana.

W sensie geograficznym to, co Rzym zwie Germanią, stanowi wschodnią flankę Galii. Sześćdziesiąt lat temu Oktawian August postanowił nie przekraczać naturalnej granicy, jaką jest wielka rzeka Ren... decyzją tą spowodował klęskę Kwinktyliusza Warusa, który dał się wciągnąć w pułapkę ze swoim wojskiem i w rezultacie wojownicy plemion germańskich wycięli w pień trzy rzymskie legiony. Oktawian nigdy nie doszedł do siebie po tej tragedii. Możliwe, że tę właśnie salę tronową przemierzał, powtarzając z rozpaczą: „Warusie, Warusie, oddaj mi moje legiony...” Minęło tyle lat od masakry, a ja z wielką niechęcią myślałem o tym, że mam udać się w tamte strony.

- Więc jak, Falkonie?

Postarałem się zachować ton bezstronności.

- Panie, wiem, że Galia i nasze nadreńskie prowincje odegrały znaczącą rolę w wojnie domowej.

Rebelia wszczęta niedawno przez Windeksa w Galii zapoczątkowała łańcuch wydarzeń, które błyskawicznie przetoczyły się przez Italię. Kiedy pozbyto się Nerona, tron objął Galba. Namiestnik Germanii Górnej został odwołany do Rzymu, a jego żołnierze, ci sami, którzy wcześniej rozgromili Windeksa, odmówili odnowienia przysięgi Galbie. Gdy został zamordowany, o godność cesarską nierozważnie pokusił się Otho, armie reńskie jednak odrzuciły również jego, postanawiając wybrać swojego cesarza.

Obwołały cesarzem Witeliusza, wówczas namiestnika Germanii Dolnej. Miał reputację brutala, rozwiązłego pijaka... według ówczesnych norm oczywisty materiał na cesarza. Po przegranej zażartej bitwie ze stronnikami Witeliusza załamany Otho popełnił samobójstwo. Wespazjan rzucił Witeliuszowi wyzwanie z Judei. Chcąc przydusić popierające rywala legiony w Germanii, Wespazjan skontaktował się z Juliuszem Cywilisem, lokalnym przywódcą, żeby wszczynając niepokoje, przyciągnął uwagę armii Witeliusza. Udało się... aż za dobrze. Wespazjan dorwał co prawda cesarski wieniec, ale rebelia w Germanii wymknęła się całkowicie spod kontroli.

- Rolę, która osiągnęła dramatyczną kulminację w powstaniu Cywilisa, cesarze - dokończyłem po chwili.

Staruszek uśmiechnął się, dostrzegłszy moją ostrożną neutralność.

- Znasz przebieg wypadków?

- Czytuję „Acta Diurna”. - Dostosowałem się do jego poważnego tonu. Był to ponury okres w historii Rzymu.

Fiasko w Germanii było niewyobrażalne. W tym czasie sam Rzym był miastem rozdartym, jednakże wstrząsające wydarzenia nad Renem przerosły nawet nasze własne problemy z powszechnym rozgardiaszem, pożarem i zarazą. Przywódca rebelii - Cywilis z plemienia Batawów - wymarzył sobie, że zjednoczy wszystkie tamtejsze plemiona i stworzy niezależną Galię. Podczas

zamętu, jaki wywołał, zdobyto i spalono cały łańcuch rzymskich warowni. Nasza reńska flota, w której wioślarzami byli tubylcy, przeniosła się na stronę wroga. Obóz legionowy Wetera bronił się zacięcie, a kiedy po ciężkim oblężeniu zamorzoni głodem żołnierze złożyli broń i poddali się, po prostu ich wyrznięto.

Podczas gdy bunty autochtonów rozlewały się na wszystkie ziemie cesarstwa, dyscyplina w naszym wojsku pozostawiała wiele do życzenia. Dowódcy, którzy wykazywali jeszcze odwagę, byli atakowani przez własnych żołnierzy. Krążyły szalone opowieści o kamienowanych dowódcach, o takich, którzy próbowali uciekać i kryli się po namiotach przebrani za niewolników. Jednego zamordował dezertor. Na dwóch wyrok śmierci kazał wykonać Cywilis. Chorego namiestnika Germanii Górnej wyciągnięto z łóżka i zabito. Szczególnie odrażający był przypadek legata z poddającego się obozu warownego w Weterze, którego Cywilis odesłał w łańcuchach jako prezent pewnej wpływowej kapłance w barbarzyńskiej części Germanii, a jego los pozostał nieznany. Wreszcie, w punkcie kulminacyjnym wydarzeń cztery z naszych nadreńskich legionów po prostu sprzedały swoje usługi i byliśmy zmuszeni pogodzić się z czymś tak przerażającym jak przysięga wierności składana przez rzymskich żołnierzy „cesarstwu Galów”, wymyślonemu przez barbarzyńców.

Brzmi to niewyobrażalnie. W każdym innym okresie byłoby niemożliwością. Tymczasem w „roku czterech cesarzy”, kiedy całe cesarstwo się rozsypywało, bo konkurenci do cesarskiego tronu ścierali się ze sobą o władzę, było to tylko jedno z barwnych pobocznych przedstawień pośród tego bezmiernego szaleństwa.

Zastanawiałem się ponuro, w jaki sposób niespokojne rubieże nad Renem wpłyną na mój smętny żywot.

- Mamy Germanię w rękę - oświadczył Wespazjan. W wypadku większości polityków byłoby to oszukiwanie samego siebie. Ale on wiedział, co mówi. Sam był dobrym wodzem i przyciągał do siebie mocnych podwładnych. - Annius Gallus i Petyliusz Cerialis doprowadzili do istotnego zwrotu. - Gallusa i Cerialisa wyprawiono z dziewięcioma legionami, by podporządkowali sobie Germanię. Były to zapewne największe siły ekspedycyjne, jakie kiedykolwiek wysłano z Rzymu, sukces więc był sprawą murowaną, niemniej jako lojalny obywatel wiedziałem, kiedy robić minę człowieka, na którym coś wywarło wielkie wrażenie. - W nagrodę daję Cerialisowi namiestnictwo Brytanii - dokończył Wespazjan.

Też mi nagroda! Cerialis służył w Brytanii podczas powstania Icenów pod wodzą królowej Budiki, więc musiał wiedzieć, jakie żałosne wyróżnienie go właśnie spotkało.

Na szczęście zdążyłem sobie przypomnieć, że dostojny Petyliusz Cerialis jest

spowinowacony z Wespazjanem. Powstrzymałem się więc od dowcipów i zapytałem uprzejmie:

- Skoro możesz, panie, wyznaczyć Cerialisowi ważniejsze obowiązki, to chyba oznacza, że pogranicze jest już pod kontrolą?

- Są pewne niedokończone sprawy... zaraz do nich przejdę - oznajmił cesarz. Nieważne, co mówi się publicznie, cały ten region na pewno jest nadal mocno niepewny. Niezbyt odpowiednia pora na rejs w dół rzeki statkiem przewożącym wino. - Petyliusz Cerialis spotkał się z Cywilisem...

- Słyszałem o tym! - zawołałem. Pełne dramatyizmu wydarzenie: dwóch wrogich dowódców stanęło naprzeciwko siebie, wrzeszcząc do siebie z dwóch krańców zerwanego mostu. Można by przypuszczać, że to jeden z epizodów zaczerpniętych z czeluści bohaterskiej przeszłości Rzymu, o jakich chłopcy uczą się w szkole.

- Od tamtej pory Cywilis się dziwnie uspokoił... - Wspomniawszy przywódcę buntu, Wespazjan zamilkł w sposób, który winien dać mi do myślenia. - Mieliliśmy nadzieję, że osiądzie spokojnie w swojej batawskiej ojczyźnie, a tymczasem on się gdzieś zawieruszył - dodał po chwili. To mnie zainteresowało; odczytałem w tym złą dla siebie wróżbę. - Krążą pogłoski, że być może wyruszył na południe. W tej sprawie chciałbym ci powiedzieć...

Nigdy się nie dowiedziałem, co zamierzał mi powiedzieć - czy przed czym ostrzec - bo właśnie w tym momencie odsunięto kotarę i pojawił się urzędnik zwany Kanidiuszem.

8

Kiedy tylko przekroczył próg, wszyscy odziani w nieskazitelną biel służący odstąpili od cesarza, wlepiwszy w przybysza nieprzyjazny wzrok.

Domyśliłem się, że to gryzipiórek całą gębą. Nim zdążył ją otworzyć, już wiedziałem, że musi być jednym z tych dziwadeł, które kręcą się przy różnych sekretariatach i wykonują prace, jakich nikt inny by się nie podjął. W żadnym porządnie zarządzanym pałacu nie tolerowano by kogoś takiego, gdyby nie robił czegoś wyjątkowego. Miał na sobie wyświechtaną śliwkową tunikę, buty z krzywo związanymi rzemykami i pas tak kiepsko wygarbowany, że wyglądał, jak gdyby krowa, z której go zrobiono, jeszcze nie odeszła z tego świata. Włosy miał proste, skórę szarą, jakby zmyto z niej kolor, kiedy był młodszy, a od tamtego czasu zdążył ją przeżreć brud. Jeśli nawet nie cuchnął, to w każdym razie wyglądał stęchło.

- Dydiuszu Falconie, to jest Kanidiusz. - Wespazjan po swoim krótko i zwięźle dokonał prezentacji. - Prowadzi legionowe archiwum.

Zatem się nie myliłem. Gość był urzędnikiem bez szczególnych perspektyw, który znalazł sobie nietypowe zajęcie w sam raz pasujące do jego osobowości. Chrząknąłem niezobowiązująco.

Wespazjan zerknął na mnie podejrzliwie.

- Z następną misją, Falkonie, wyruszysz jako mój osobisty wysłannik do Czternastego Legionu *Gemina* w Germanii. - Tym razem darowałem sobie uprzejmości i całkiem otwarcie się skrzywiłem. Cesarz zignorował moją minę. - Z tego, co słyszę, Czternasty jest w zadzierzystym nastroju. Przedstaw nam raport, Kanidiuszu.

Urzędnik o ekscentrycznym wyglądzie zaczął recytować nerwowo, nie zaglądając do żadnych notatek.

- Czternasty Legion *Gemina* został utworzony przez Oktawiana Augusta i pierwotnie uformowany w Mogontiakum nad Renem. - Swoim piskliwym głosem mógł bardzo szybko zmęczyć słuchacza. - Znalazł się pośród tych czterech, które boski Klaudiusz wybrał do inwazji na Brytanię, sprawił się dzielnie w bitwie nad Medway, mocno wspomagany przez tubylcze oddziały posiłkowe, a konkretnie przez Batawów.

Mieszkańcy północnej Europy, z delty Renu, Batawowie, to co do jednego wioślarze, pływacy i rzeczni piloci. Wszystkie rzymskie legiony wspomagane są przez tego rodzaju jednostki cudzoziemskie, a w szczególności przez jazdę tubylczą.

- Falkonowi niepotrzebne są twoje klaudyjskie anegdotki - mruknął Wespazjan. - A ja tam byłem osobiście!

Urzędnik oblał się pąsem; zapomnienie drogi życiowej cesarza było poważnym błędem. Wespazjan dowodził II Legionem *Augusta* w bitwie nad Medway i zarówno on sam, jak i Drugi odegrali znaczącą rolę w podboju Brytanii.

- Cezarze! - wił się nieszczęsny Kanidiusz. - Osiągnięcia Czternastego obejmują pokonanie królowej Budiki, za co, razem z Dwudziestym *Valeria*, otrzymał honorowy tytuł „*Martia Victrix*”.

Można by się zastanawiać, dlaczego również II Legion *Augusta* nie otrzymał tego prestiżowego tytułu. Wyjaśnienie jest proste: z powodu nieporozumienia, do jakiego w zasadzie nie ma prawa dojść, wspaniały Drugi (mój i Wespazjana) nie pojawił się na polu bitwy. Legiony, które starły się z Icenami, miały szczęście, że w ogóle przetrwały. Z tego właśnie powodu każdy członek II Legionu musiał unikać XIV *Gemina*, niezależnie od wszelkich honorowych tytułów i w ogóle.

- Podczas niedawnych wojen - ciągnął Kanidiusz - złożone z Batawów oddziały pomocnicze Czternastego odegrały kluczową rolę. Zostały oddzielone od swojego macierzystego legionu i przeszły pod komendę Witeliusza. Sam Czternasty najpierw był wierny Neronowi i po powstaniu Icenów nazywany przez cesarza jego najlepszym legionem, a potem poparł Othona, który sprowadził go do Italii. W ten sposób legion i jego tubylcze kohorty znalazły się po przeciwnych stronach i przy okazji pierwszej bitwy pod Bedriakum... -

Kanidiusz niepewnie zawiesił głos.

Gość najwyraźniej wolał uniknąć tego tematu, więc uznałem za stosowne się wtrącić:

- To, czy *Gemina* wziął udział w bitwie pod Bedriakum, jest sprawą dyskusyjną. Możliwe, że zamiast się przyznać do porażki, wolą utrzymywać, że w ogóle ich tam nie było!

Wespazjan mruknął coś pod nosem. Zapewne uważał, że tamci po prostu ukrywają prawdę.

- Po samobójstwie Othona - mówił dalej Kanidiusz - Witeliusz ponownie połączył legion z jego jednostkami posiłkowymi. Doszło do pewnej rywalizacji - wyraził się dziwnie dyskretnie. Najwyraźniej nie bardzo wiedział, czego cesarz od niego oczekuje.

- Pomijasz bardzo malownicze szczegóły! - przerwałem mu. - Nie krępuj się! Dalsza historia Czternastego to sprzeczki i publiczne awantury z Batawami z ich własnych oddziałów posiłkowych, w czasie których spłonęła forteca Augusta Taurinorum... ten epizod stawiał pod znakiem zapytania ich dyscyplinę.

Niechętny zajmowaniu się delikatnymi sprawami Kanidiusz pospiesznie zmierzał do końca.

- Witeliusz rozkazał Czternastemu powrót do Brytanii, dołączając osiem batawskich kohort do swojego osobistego orszaku, dopóki nie zostały ponownie rozmieszczone w Germanii - mówił. Znowu ta polityka. Urzędnik miał nieszczęśliwą minę.

- W Germanii kohorty batawskie natychmiast dołączyły do Cywilisa. W ten sposób rebelii dostarczone mnóstwo dodatkowej siły - dorzuciłem. Wciąż mnie to złościło. - Skoro Cywilis jest ich przywódcą, przejście Batawów na jego stronę można było łatwo przewidzieć!

- Dość, Falkonie - wychrypiał Wespazjan, nie godząc się na krytykę innego cesarza... nawet tego, którego się pozbył. Skinął zachęcająco do Kanidiusza, który zdołał z siebie wydusić:

- Czternasty wrócił z Brytanii, by wspomóc Petyliusza Cerialisa, i stacjonuje w Mogontiakum. - Z ulgą zakończył swoją opowieść.

- Przetrwały jedynie obozy warowne Germanii Górnej, zatem Mogontiakum ma utrzymywać porządek w obu częściach tego terytorium - zwrócił się do mnie Wespazjan. Było oczywiste, że skoro ta warownia odgrywa taką kluczową rolę, cesarz musiał mieć absolutne zaufanie do Czternastego. - Najważniejszą sprawą jest wzmożenie dyscypliny i likwidacja dawnych sympatii.

- Co stanie się z jednostkami, które przysięgły posłuszeństwo zjednoczonym Galom? Które to legiony, Kanidiuszu? - zapytałem.

- Pierwszy *Germanica* z Bonny, Piętnasty *Primigenia* z Vetery i Szesnasty

Gallica z Nowezjum... oraz Czwarty *Macedonia* z... - Zapomniał skąd; była to u niego pierwsza oznaka człowieczeństwa.

- Mogontiakum - podpowiedział cesarz. Czym podkreślił, dlaczego tam właśnie chce mieć teraz lojalne legiony.

- Dzięki, cesarze. Kiedy Petyliusz Cerialis przyjął buntowników - poinformował mnie urzędnik - zwrócił się do nich takimi oto słowami... - Kanidiusz pierwszy raz skorzystał z tabliczki, żeby wywrzeć odpowiednie wrażenie stosownym cytatem: - „Obecnie żołnierze, którzy się zbuntowali, są znowu żołnierzami swojego kraju. Od dzisiaj jesteście na służbie i obowiązuje was przysięga złożona senatowi i ludowi Rzymu. Cesarz zapomniał o tym, co się wydarzyło, i wasz dowódca też puści wszystko w niepamięć!”

- Nazywamy to okolicznościami wyjątkowymi i okazujemy naszą wyrozumiałość, cesarze? - Starąłem się stłumić oburzenie w swoim głosie.

- Nie możemy sobie pozwolić na stratę czterech elitarnych legionów - warknął Wespazjan. - Rozformuje się je, wzmocni i włączy do innych jednostek.

- Te nowe legiony zostaną zabrane znad Renu?

- Nie ma innego rozsądnego wyjścia. Granicy strzec będą siły, którymi dowodzili Cerialis i Gallus.

- Nie będzie do tego potrzeba wszystkich dziewięciu legionów - zauważyłem. Teraz zrozumiałem, jakie możliwości ma cesarz. - Zatem *Gemina* może wrócić do Brytanii albo niezmiennie stacjonować w Mogontiakum. Z tego, co powiedział Kanidiusz, jest to ich pierwotna baza. Jaki masz plan, panie?

- Jeszcze się nie zdecydowałem - niechętnie oświadczył cesarz.

- Czy to ma być moja misja? - zapytałem. Lubię szczerłość.

- Nie uprzedzaj moich instrukcji - rzucił ze złością.

- Cesarze, przecież to oczywiste. Służyli ci dobrze pod dowództwem Cerialisa, ale przedtem byli trudni do okiełznania. Czternasty, po zwycięstwie nad Icenami, stał się symbolem samowoli...

- Nie potępiaj dobrego legionu! - Wespazjan był staromodnym dowódcą. Nie dopuszczał do siebie myśli, że jakaś jednostka o porządnej reputacji mogłaby zejść na psy. Gdyby jednak do tego doszło, byłby bezwzględny. - Mogontiakum to obóz warowny na dwa legiony, ale część wojska jest niedoświadczona. Potrzebuję ich... jeśli będę mógł im zaufać.

- Legion został tam uformowany - głośno myślałem. - żołnierze zachowują się najbardziej potulnie, kiedy w pobliżu czuwają ich własne babcie... Poza tym mamy do nich bliżej niż do Brytanii, co ułatwia nadzór.

- Zatem, Falkonie, co powiesz na dyskretną inspekcję?

- A jak sądzisz, panie? - zadrwiłem. - Służyłem w Drugim Legionie *Augusta* podczas zamętu z Icenami. Ludzie z Czternastego dobrze pamiętają, że ich opuściliśmy - dodałem. Jestem w stanie poradzić sobie w bójce ulicznej, ale

wzdragalem się przed stawieniem czoła sześciu tysiącom łaknących zemsty zawodowców, którzy mają powód, by rozgnieść mnie jak stonogę na ścianie łaźni. - Cezarze, oni są gotowi wrzucić mnie do dołu z niegaszonym wapnem i z radością patrzeć, jak się rozpuszczam!

- Uniknięcie tego będzie sprawdzianem twoich talentów - zakpił cesarz.

- Co konkretnie - spytałem, pozwalając mu zobaczyć, że się denerwuję - mam zrobić, ceszarze?

- Niewiele! Chcę posłać Czternastemu nowy znak legionowy, w uznaniu za dobre sprawowanie w Germanii. Ty go powieziesz.

- Brzmi niezwykle prosto - wymamrotałem z wdzięcznością, czekając, aż się dowiem, w czym tkwi haczyk. - Domyślam się, że wręczając ten symbol twojej wysokiej oceny, panie, mam oszacować nastroje i stwierdzić, czy powinieneś pozostać przy tej ocenie - mówiłem. Wespazjan potwierdził. - Z całym szacunkiem, ceszarze, jeśli zamierzasz wymazać Czternasty z listy jednostek naszej armii, czemu po prostu nie wezwiesz dowodzącego nim legata?

- Niezbyt dogodne.

Westchnąłem.

- Czy to znaczy, że z legatem też jest jakiś problem?

- W żadnym razie - odparł Wespazjan zdecydowanie. Tak właśnie powiedziałby publicznie, chyba że miałby poważne podstawy, by człowieka się pozbyć. Domyślałem się, że to ja miałem znaleźć te podstawy.

- Możesz mi coś o nim powiedzieć, panie? - spytałem bardziej umiarkowanym tonem.

- Nie znam go osobiście. Nazywa się Floriusz Gracylis. Na stanowisko dowódcy wysunął go senat, a ja nie miałem powodu, by się temu sprzeciwić - oznajmił. Istniał taki mit, że ludzi na wszystkie stanowiska publiczne wyznacza senat, choć weto cesarza miało charakter ostateczny. W praktyce Wespazjan proponował własnych kandydatów, choć czasami pochlebiał Kurii, pozwalając senatorom mianować jakiegoś własnego nieudacznika. Wyglądało mi na to, że ma podejrzliwy stosunek do tego człowieka... czego się jednak obawiał, jawnej korupcji czy zwyczajnej niekompetencji?

Nie dopytywałem się więcej. Miałem własne sposoby, żeby się dowiedzieć, czego chce od senatorów. Gracylis był zapewne typowym głupcem z wyższej warstwy, który został dowódcą legionu tylko dlatego, że miał akurat trzydzieści lat i przyszedł czas na stanowisko wojskowe jako niezbędny etap w służbie publicznej. Oczywiście wylądował na rubieżach imperium. Jego pech polegał na tym, że dostał legion akurat w Germanii.

- Jestem pewien, że szlachetny legat dorasta do wymogów swojego stanowiska - zauważyłem, pozwalając cesarzowi się domyślić, że kiedy będę obserwował legion, to może być przekonany, że będę też się uważnie przyglądał Floriuszowi Gracylisowi. - Wygląda mi to na moją typową

pogmatwaną misję, panie!

- Nic prostszego! - oświadczył cesarz. - Kiedy już tam będziesz - dodał, jakby mu to właśnie przyszło do głowy - możesz też zająć się pewnymi niedokończonymi sprawami, jakie zmuszony był pozostawić za sobą Petyliusz Cerialis.

Wziętem głęboki oddech. Więc o to chodzi. Bo przecież lojalność legionu mógł ocenić na miejscu każdy kompetentny centurion. Marka Dydiusza Falkona wysyłają natomiast, żeby gonił w kółko za jakąś zbiegłą gęsią.

- O? - zdziwiłem się.

- W pisemnych rozkazach znajdziesz wszystkie potrzebne szczegóły... - Cesarz zdawał się nie dostrzegać mojej kwaśnej miny.

Wespazjan rzadko unikał przedyskutowania problemu.

Ze sposobu, w jaki uchylił się teraz od podania szczegółów, wiedziałem, że te „niedokończone sprawy”, jakie dziedziczyłem po legendarnym Petyliuszu Cerialisie, musiały być naprawdę brudnymi zadaniami. Wespazjan miał nadzieję, że zanim przeczytam do końca instrukcje, znajdę się już daleko i będzie za późno na protesty.

Robił wrażenie, jakby nie chodziło o nic ważnego. Jednakże to te nie wyszczególnione teraz zadania, którymi mnie obdarzył, stanowiły prawdziwy powód wysłania mnie do Germanii.

9

Ukazywanie się publicznie z takim widmem jak Kanidiusz napawało mnie smutkiem. Bo wyglądał jak ktoś, kto trzy tygodnie wcześniej zgubił się, idąc do łaźni, i wciąż nie miał odwagi spytać o drogę.

Musiałem skorzystać z tej skarbnicy wiadomości. Ustawivszy się po nawietrznej, poprowadziłem bladolicego gościa do winiarni. Wybrałem taką, do której bardzo rzadko zaglądałem, zapominając, że powodem tego były nieprzyzwoicie wysokie ceny. Posadziłem go na ławie pośród grających od niechcienia w kości, gdzie chętnie zapoznał się z ciepłym kosztownego czerwonego wina z Lacjum.

- Uraczyłeś mnie oficjalną gadką o Czternastym, Kanidiuszu. Posłuchajmy więc teraz prawdy!

Urzędniczyna z archiwów robił wrażenie zaniepokojonego. Jasne było, że jego praca dotyczyła lakierowanej wersji wydarzeń publicznych. Jednak po wlaniu w siebie dzbana wina powinien przedstawić mi te wszystkie paskudne opowieści, których nikt nigdy nie zapisuje.

Jego wzrok zaczął nieco błądzić, kiedy przez sufit przesączyły się odgłosy zadowolenia, jakiego w pokoju na piętrze zawodowo dostarczały klientom dziewczęta usługujące w tej winiarni. Mój towarzysz miał na pewno czterdziestkę, a zachowywał się jak niedorostek, którego pierwszy raz

wypuszczono z domu.

- Nie zajmuję się polityką - oświadczył.

- Och, ja też nie! - odparłem ponuro.

Żułem kubek od wina, rozmyślając o tym, w jakie bagno wdepnąłem. Wysyłano mnie do odległej, położonej na krańcach cesarstwa prowincji, w chwili, kiedy jej perspektywy na cywilizowaną przyszłość rysowały się marnie. Przydzielono mi misję o tak niejasnym charakterze, że przypominała próbę ściągania rzepów z wełny wyrywającej się i beczącej owcy. Nie miałem pod ręką żadnej przyjaciółeczki, która by mnie pocieszała. Za to miałem szansę, że w którymś zajeździe będzie się na mnie czaił rzezimieszek naślany przez Tytusa z rozkazem dopilnowania, by był to mój ostatni postój. I również na to, że jeśli uda mi się dotrzeć do Mogontiakum, to żołnierze XIV Legionu *Gemina* wrzucą mnie do rowu jak bal drewna i kolejny szaniec zbudują na moim martwym ciele.

- Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć o ulubionym legionie Nerona?

- ponownie zaatakowałem urzędnika. Kanidiusz pokręcił głową. - Żadnych skandali czy plotek? - drążyłem. Nic z tego. - Kanidiuszu, może się domyślasz, jakie zadanie mam wypełnić w Germanii? - spróbowałem inaczej. Domyślanie się nie było jego mocną stroną. - No dobrze, a może wiesz, co cesarz zamierzał mi powiedzieć o przywódcy rebelii, Cywilisie? Twoje przybycie przerwało mu w połowie zdania - próbowałem jeszcze.

Nie wiedział. Kompletna beznadzieja.

Straciłem cierpliwość i pieniądze. Było mnóstwo faktów, których mi brakowało; kiedy już znajdę się na miejscu, będę musiał sam poodkrywać wszystkie luki i wypełnić je.

Przeklinając się za uprzejmość wyświadczoną temu durniowi, zostawiłem go przy dzbanie wina. Kanidiusz naturalnie pozwolił mi zapłacić. W końcu nie na darmo był urzędniczyną.

Wróciłem do domu z chlebem i kiełbasą. Za otwartym oknem zapadała noc. Kamienica rozbrzmiewała dźwiękami świadczącymi o tym, że lokatorzy bawią się wesoło, wzajemnie się okładając. Z ulicy pod moim balkonem dochodziły dziwne szepty, których znaczenia wolałem nie dociekać. Nocne powietrze miasta wypełniała znajoma kakofonia, na którą składało się skrzywienie kół, fałszywe dźwięki fletów, wrzaski kotów i żalosne skargi pijaczków. Jednak nigdy przedtem nie zauważyłem, jak głęboka cisza panuje w moim mieszkaniu, kiedy nie ma w nim Heleny.

Cisza była głęboka aż do momentu, w którym moje uszy wychwyciły odgłos kroków, stawianych lekko, ale z ociąganiem człowieka zmęczonego długą wędrówką pod górę. To nie był dźwięk wydawany przez buty czy jakieś szmatławe sandały. Krok wydawał się za długi jak na kobietę, chyba że była to kobieta, jakiej wolałbym tutaj nie oglądać i był zbyt swobodny, by należeć do

kogoś, kogo powinienem się obawiać.

Ktokolwiek to był, zatrzymał się przed moimi drzwiami. Po dłuższej chwili ciszy rozległo się pukanie. Odchyliłem się do tyłu na stołku i milczałem. Ktoś uchylił ostrożnie drzwi. Wytworna woń jakiegoś niezwykle subtelnego balsamu wsączyła się do wnętrza i z ciekawością obiegała dookoła pokój.

Za zapachem pojawiła się głowa. Ozdobiona warstwami dokładnie ułożonych loków, utrzymywanych splecioną wstążeczką. Była to fryzura wymyślona po to, by ją zauważyć. Wyglądała czysto, schludnie, świadczyła o dbałości i pasowała do Awentynu jak pszczoły do puchowego łoża.

- Ty jesteś Falko?

Poczułem, jak skóra na głowie zaczyna mi się pocić i pokrywać łupieżem.

- A kto pyta?

- Jestem Ksantus. Powiedziano mi, że będziesz mnie oczekiwać.

- Nie oczekuję nikogo. Ale skoro już tu jesteś, możesz wejść.

Wszedł. Obrzucił moje mieszkanie pogardliwym spojrzeniem; przynajmniej nie byłem w tym osamotniony. Zostawił drzwi otwarte. Kazałem mu je zamknąć. Zrobił to tak nieśmiało, jakby się obawiał, że dwóch centaurów przyciśnie go do podłogi i pośród głośniego rżenia obrabuje z męskości.

Obejrzałem go sobie szybko. Prawdziwy różany paczuszek. Nie taki sobie zwyczajny pałacowy posłaniec, z mózgiem jak fasolka. Ten miał klasę... na swój dziwaczny sposób.

Podczas gdy ja się gapiłem, nie pasujący tu zapach zadomawiał się u mnie. Najwidoczniej tę magiczną mieszankę wschodnich woni wcierał sobie w podbródek od lat. Gość miał na sobie białą pałacową tunikę, ze złotym obrzeżem, natomiast buty, których miękki odgłos usłyszałem na schodach, odzwierciedlały osobowość: cynobrowe, z cielecej skóry, z zaokrąglonymi czubkami, musiały kosztować kupę pieniędzy, choć nie wyglądały zbyt gustownie. Jednym słowem, był to ten rodzaj butów, jakie nędzny aktorzyzna mógłby przyjąć w zamian za uwagę poświęconą swojej wielbicielce.

- List do ciebie - oznajmił i wyciągnął rękę.

Zobaczyłem zwój papirusu, który napawał mnie lękiem, twardy jak kruszonka ciasta, obciążony grubą woskową pieczęcią. Wiedziałem, że wewnątrz znajdują się instrukcje dotyczące mojej wyprawy do Germanii.

- Dzięki - rzuciłem, zastanawiając się nad tym dziwnym osobnikiem w krzykliwych butach. Nie był do końca tym, na kogo wyglądał. To akurat mogło dotyczyć większości Rzymian, jednak wiedząc, jak Tytus jest zazdrośnie zainteresowany moim prywatnym życiem, bardziej niż zazwyczaj obawiałem się osób podszywających się pod kogoś innego. Wziąłem list. - Powieś się tymczasem na tamtym kołku, na wypadek gdybym zechciał napisać niegrzeczną odpowiedź.

- No właśnie! - oświadczył z goryczą. - Rozkazuj mi! Moim jedynym celem

jest wystawanie na progu, podczas gdy ludzie czytają sobie korespondencję.

Coś tu było nie tak. Musiałem go wysondować.

- Robisz na mnie wrażenie bardzo niespokojnego posłańca. Czyżby odciski dokuczały ci bardziej niż zwykle?

- Jestem golarzem - powiedział.

- Trzymaj się tego, Ksantusie. Golenie bród może przynieść fortunę człowiekowi o sprawnych dłoniach - doradziłem mu. A także fortuny wynajętym nędznikom, którzy potrafili sprawnie przyłożyć ostrze do ludzkiego gardła. Obejrzałem go sobie dyskretnie; jeśli nawet miał broń, to była dobrze ukryta. - A w ogóle, to czym ty jesteś golarzem?

Popatrzył na mnie przygnębiony.

- Kiedyś goliłem Nerona. Z tego, co słyszałem, odebrał sobie życie brzytwą, zapewne jedną z moich. Od tamtej pory oni wszyscy przeszli przez moje ręce. Goliłem Galbę, goliłem Othona... w rzeczy samej, prałem nawet jego tupecik! - pochwalił się. Pierwszy raz jego słowa zabrzmiały prawdziwie: tylko autentyczny fryzjer wymieniałby tak swobodnie imiona swoich znakomitych klientów. - Potem, kiedy Witeliusz przypomniał sobie, że pora pozwolić komuś zmierzyć się z jego dwutygodniowym zarostem, to goliłem nawet jego...

Ponownie poczułem przyływ nieufności.

- Goliłeś kiedyś Wespazjana? - wychrypiałem ponuro.

- Nie.

- A Tytusa? - rzuciłem.

Pokręcił głową. Miałem za dużo lat, żeby w to uwierzyć.

- Znasz Anakrytesa?

- Nie.

Anakrytes, naczelnny szpieg pałacowy, w żadnym razie nie był moim przyjacielem. Jeśli już ktoś z Pałacu zlecał prywatne skrytobójstwo, to na pewno Anakrytes był w to wplątany. Pomysł ukatrupienia mnie bardzo by mu się podobał.

Zagryzłem wargę.

- Jak to więc możliwe, że kiedy dobry golarz zdarza się tak rzadko jak szmaragd w przemyku gęsi, cesarski spec od brzytwy został obsadzony w roli umyślnego, który biega po Awentynie w uciesznych butach?

- Zdegradowano mnie - oświadczył posepnie.

- I wysłano do najgorszego rewiru? To mi nie bardzo pasuje. Uważam, że łżesz.

- Myśl sobie, co chcesz. Starłem się jak mogłem, by zadowolić każdego, który znalazł się pod ręcznikiem, tymczasem powiedziano mi, że nie ma już zapotrzebowania na moje fachowe usługi, a ponieważ Wespazjan nie znosi marnotrawstwa, przeniesiono mnie do sekretariatu.

- Ciężka sprawa!

- Żebyś wiedział, Falkonie! Flawiusze mają silne podbródki. Wyznaczono mnie do obsługi Tytusa...

- Niezła burza loków!

- Tak. Wykonałbym przy Tytusie porządny kawał roboty...

- Ale zwycięzca z Jerozolimy nie godzi się podstawić swojego pięknego gardziołka pod ostrze hiszpańskiej stali, trzymane przez człowieka, który poprzednio drapał Nerona i Witeliusza? Kto by go za to winił, przyjacielu?

- Polityka! - parsknął. - Tak więc wypchnięto mnie, bym włóczył się, depcząc po odchodach w smrodliwych zaułkach, i wspinał po niekończących się cuchnących schodach, niosąc tak zwane pilne wiadomości do nieprzyjaźnie nastawionych typków, którzy nawet nie zwracają sobie głowy ich przeczytaniem.

Te narzekania nie zmieniły mojego nastawienia.

- Przykro mi, i tak ci nie wierzę. Czy przysłał cię Tytus? - zgadywałem. Potrząsnął niecierpliwie głową, ale ja już wiedziałem swoje. - Przestań podrygiwać jak dziwka w pracowitą noc po wyścigach.

- Skąd taka podejrzliwość? Jestem nic nie znaczącym człowieczkiem, dla którego nie znaleźli innego zajęcia.

Owszem, mieli dla niego zajęcia, i to jakie.

Rozwinąłem zwój przyniesiony przez Ksantusa i znalazłem w nim kolejne złe wieści.

Rozkazy Wespazjana dla mnie napisane zostały przez sekretarza, którego piękne greckie pismo nadawałoby się na dekorację wazonu, ale w czytaniu było istną torturą. Kiedy wysiłałem się, żeby odcyfrować te esy-floresy, mężczyzna tkwił nieruchomo pod jedną ze ścian. Wyglądało na to, że się boi. Może mnie.

Kiedy skończyłem, siedziałem w milczeniu. W ustach czułem smak żółci po winie, które wypilem z Kanidiuszem, i po zbyt pospiesznym przełknięciu kiełbasy. Zresztą i bez tego czułbym się fatalnie. Bo oto czego miałem dokonać w Germanii:

„Dostarczysz dar cesarza XIV Legionowi *Gemina*... / zdasz z tego sprawozdanie cesarzowi”.

To mógł zrobić każdy głupiec. Nawet mnie mogłoby się udać.

„Upewnisz się co do losu najszlachetniejszego Muniusza Luperkusa”.

Kto to taki? Powiem wam: to tylko legat dowodzący legionem w Weterze, tym, który bronił się przeciwko rebeliantom aż do granicy śmierci głodowej. Kiedy poddających się żołnierzy wyrznięto, oszczędzono tylko Luperkusa i odesłano na drugą stronę Renu jako prezent dla najbardziej niecnej z kapłanek.

„Spróbujesz ukrócić działalność Weledy”.

Już zgadliście: Weleda to ta kapłanka.

„Dowiesz się, gdzie przebywa Juliusz Cywilis...”

O bogowie! Mógłbym się pochwalić długą listą nieznośnych zleceń, ale to ostatnie zadanie brzmiało niewiarygodnie.

„Dowiesz się, gdzie przebywa Juliusz Cywilis, przywódca Batawów, i zapewnisz nam jego przyszłą współpracę na terenie spacyfikowanych Galii i Germanii.”

Wespazjan już dawno wysłał dwóch głównodowodzących, w pełnej zbroi i majestacie, z dziewięcioma zaufanymi legionami, by wykonali zadanie odzyskania dla Rzymu Cywilisa. Niezależnie od tego, co ufnie podawały „Acta Diurna”, wiszące na filarze na Forum, najwyraźniej misja się nie powiodła. Teraz przyszła kolej na mnie.

- Złe wieści? - zapytał Ksantus, drżąc nerwowo.

- Katastrofa!

- Wybierasz się do Germanii, prawda? - upewnił się. Zamierzałem, póki nie przeczytałem całego katalogu tych czekających mnie tam przyjemności. Teraz najlogiczniej byłoby ruszyć bezzwłocznie w przeciwną stronę. - Naprawdę ci zazdroszczę - oświadczył z entuzjazmem golarz, jak przystało na jego zawód, bez odrobiny taktu. - Zawsze chciałem zobaczyć jakiś fragment cesarstwa poza Rzymem.

- Jeśli ktoś ma ochotę poczuć się fatalnie, może to osiągnąć tańszymi sposobami na miejscu. Spróbuj spędzić upalne popołudnie w Circus Maximus. Obejrzyj kiepskie sztuczdyło w Teatrze Pompejusza. Kup coś do picia na Forum. Spróbuj małży. Kobiet. W sierpniu pójdz popływać w Tybrze, jeśli zależy ci na złapaniu jakiejś egzotycznej choroby... Ksantusie, muszę się teraz zastanowić. Więc się zamknij. Idź sobie. I postaraj się nie pokazywać tu więcej w swoich okropnych szkarłatnych butach.

- Och, kiedy muszę - zapewnił mnie, szczerząc się z zadowoleniem. - Przyjdem tu jutro, żeby dostarczyć ci paczkę, którą zabierzesz ze sobą do Germanii.

Podziękowałem mu za ostrzeżenie, bo przynajmniej wiedziałem, kiedy mam się ulotnić z domu.

10

Nie należało podejmować się tej misji. Chciałem odmówić.

Rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy. Za to zadanie mogłem dostać niezłą sumkę... jeśli przeżyję, żeby się po nią zgłosić. Zależało mi też bardzo na tym, żeby zniknąć z Rzymu, zanim spojrzenie, jakim obdarzył mnie Tytus, doprowadzi do czegoś dużo gorszego. A co najważniejsze, teraz, kiedy zdążyłem się przyzwyczać do obecności Heleny, nie mogłem znieść samotności w mojej norze.

Z ubóstwem bym sobie poradził. Mogłem nawet przeciwstawić się Tytusowi. Jednak tęsknota za Heleną to całkiem inna sprawa. To był prawdziwy powód,

dla którego siedziałem przygnębiony w swoim nędznym pokoju przy Dziedzińcu Fontanny i nawet nie byłem w stanie ruszyć na Palatyn z narzekaniami. Helena dostarczyła mi jednego poważnego argumentu za udaniem się do Germanii. Chciałem się tam znaleźć, nawet jeśli oznaczało to mękę europejskiej zimy w prowincji pozbawionej wszelkich wygód z powodu dopiero co stłumionej rebelii; moja misja obejmowała tam zadania od ryzykownych do wprost absurdalnie niemożliwych do wykonania.

Powiedziałem Tytusowi, że Helena udała się w odwiedziny do brata. Powiedziałem mu to, wierząc, że tak jest w istocie. Możliwe jednak, że nieco Tytusa zmyliłem.

Helena miała brata Eliana, który studiował w Betyce dyplomację. Jej drugiego brata, Kamila Justyna, poznałem w forcie, gdzie służył w randze trybuna. Miejsce to zwie się Argentoratum i leży w Germanii Górnej.

Następnego dnia zająłem się przygotowaniami. Pałacowy sekretarz, z którym utrzymywałem ciepłe stosunki, obiecał mi kopie raportów związanych z rewoltą Cywilisa. Złożyłem wniosek o dokument podróżny i komplet oficjalnych map. Potem poszedłem na Forum, oparłem się o kolumnę świątyni Saturna i czekałem. Szukałem mężczyzny o jednej nodze. Nie chodziło mi o jakiegoś konkretnego kuternogę. Miał spełniać tylko jeden warunek: służba w wojsku podczas wojny domowej, najlepiej pod komendą Witeliusza.

Sprawdziłem czterech. Jeden wrócił do kraju ze wschodu, co było dla mnie bezużyteczne, a trzech było oszustami, którzy wzięli nogi za pas (obie), kiedy tylko zacząłem zadawać im pytania. Potem znalazłem takiego, który pasował. Zabrałem go do szynku, pozwoliłem zamówić pełną micę, zapłaciłem za nią... po czym powtórzyłem zamówienie i kazałem sobie opowiadać.

Był ekslegionistą, zwolnionym po amputacji nogi, co miało miejsce niedawno, bo sądząc po zaognieniu kikuta, rana ledwie co zdążyła się zagoić. Używam terminu „zwolnionym” nieco lekko, ponieważ Rzym nigdy nie troszczył się o żołnierzy, którzy nie mieli dość taktu, by umrzeć, tylko stawali się niezdolni do dalszej służby. Temu nieszczęśnikowi nie udało zakwalifikować się ani do grobowca, ani do ziemi nadawanej weteranom; przykuśtykał z powrotem do Rzymu, gdzie tylko niewielki przydział ziarna i sumienie współobywateli stało pomiędzy nim a śmiercią głodową. Wyglądało na to, że w tym tygodniu jedynie moje sumienie wykazało niejaką aktywność i że był to przeciętny tydzień.

- Podaj mi swoje imię i nazwę legionu.
- Balbil. Służyłem w Trzynastym.
- Brałeś udział w bitwach pod Kremoną?
- Pod Bedriakum? Tylko w tej pierwszej.

Witeliusz dowodził w obydwu ważnych dlań bitwach - przeciwko Othonowi, którego pokonał, i Wespazjanowi, który pokonał jego - w tym samym miejscu:

w wiosce zwanej Bedriakum, w pobliżu Kremony. Niech was to nie dziwi. Skoro już wybrał sobie przyzwoite miejsce, z ładnym widokiem na roztaczający się nad rzeką krajobraz, to po co miałyby je zmieniać?

- Może być Bedriakum. Chcę usłyszeć o tym, jak zachował się Czternasty.

Balbil się roześmiał. Wzmianka o XIV Legionie *Gemina* niezmiennie wywoływała szydercze reakcje.

- Czasami się z nimi popijało... - przyznał. Pojąłem aluzję i natychmiast dostarczyłem mu zachęty w postaci trunku. - Więc co chcesz wiedzieć? - zapytał. Opuścił armię na najgorszych z możliwych warunkach; nie miał nic do stracenia, korzystając z demokratycznej wolności słowa.

- Potrzebne mi tło. To najbardziej aktualne. Możesz pominąć chwalebne czyny Czternastego w rozprawie z królową Budiką.

Teraz obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

- Oni zawsze byli zadziorni - zauważył Balbil.

- Rzeczywiście. Jeśli cofniemy się w czasie, zauważymy, że Klaudiusz posłał ich na podbój Brytanii, żeby byli czymś zajęci. Nawet trzydzieści lat temu ten legion wprowadzał zamęt. Najwyraźniej jest coś takiego w służbie w Germanii, co prowadzi do buntu! - podsumowałem. Wszystko, gdyby mnie spytano o opinię. - Zatem, Balbilu, opowiedz mi te barwne szczegóły. Po pierwsze, jak zareagowali na Wespazjana?

Było to ryzykowne pytanie, a on udzielił mi połowicznej odpowiedzi.

- Wszędzie odczucia były mieszane.

- No tak, wiem. W „roku czterech cesarzy” ludzie musieli odpowiednio zmieniać nastawienie za każdym razem, kiedy nowy aktor wchodził na scenę - oznajmiłem. Nie przypominałem sobie, co prawda, żebym ja zmieniał swoje. A to dlatego, że jak zwykle, gardziłem wszystkimi kandydatami z listy. - Zakładam, że legiony brytańskie widziały w Wespazjanie swojego człowieka?

Balbil nie zgodził się ze mną.

- Wielu dowódców i szeregowców z tychże legionów zostało awansowanych przez Witeliusza.

Nie dziwota, że Wespazjan usilnie się starał wysłać do Brytanii nowego namiestnika, któremu mógł ufać. Petyliusz Cerialis płynie już zapewne przez Cieśninę Galijską z poleceniem wykorzenia wszelkiego nieposłuszeństwa.

Balbil oderwał zębami kęs chleba.

- W Brytanii działy się dziwne rzeczy.

Podsunałem mu miseczkę z oliwkami.

- Co się stało? Podaj mi tę najbardziej skandaliczną wersję!

- Ci z Czternastego powiedzieli nam, że namiestnik Brytanii rozsierdził swoje wojsko bardziej, niż to się zazwyczaj namiestnikom zdarza - oświadczył. Ten cyniczny dowcip wywołał u mnie jeszcze większą sympatię do byłego żołnierza niż jego żałosne kalectwo. - Miał zatarg z legatem Legionu

Dwudziestego *Valeria* - dodał. Zetknąłem się z nimi w trakcie służby. Nieciekawi, choć kompetentni. - Wojna podsyciła zwadę - ciągnął - wojsko stanęło po stronie legata i w rezultacie namiestnik był zmuszony umknąć z prowincji.

- Na Jowisza! Co stało się z Brytanią?

- Dowódcy legionów utworzyli komitet, żeby móc administrować. Ludzie z Czternastego żalowali, że ich to ominęło.

Zagwizdałem.

- Ani słowo na temat tego skandalicznego wydarzenia nie wydostało się na zewnątrz!

- Przypuszczam, że do tych opustoszałych bagnisk Brytanii najbardziej pasują nietypowe rozwiązania! - uznał Balbil.

Myślałem o własnym problemie.

- W każdym razie wygląda na to, że kiedy Czternasty przeprawił się z powrotem na kontynent, to miał już zwyczaj wymyślania dla siebie własnych rozkazów. Żeby już nie wspomnieć o walkach wewnętrznych.

- Masz na myśli Batawów?

- Tak, szczególnie ich wyskok w Augusta Taurinorum. Walczyli pod Witeliuszem i spotkali się ze swoim legionem pod Bedriakum, zgadza się?

Znowu urwał kawałek chleba.

- Możesz się domyślić, że przed bitwą siedzieliśmy jak na szpilkach, bo rzekomo zbliżał się do nas sławny Czternasty.

- Było to kluczowe starcie i Czternasty mógł przechylić szalę?

- Cóż, oni tak uważali! - Balbil uśmiechnął się. - W ogóle się nie pojawili. Kohorty batawskie rzeczywiście walczyły po stronie zwycięskiej... zmierzyli się z grupą gladiatorów w potyczce na jednej z wysp na rzece Po. Potem oczywiście bez końca wykorzystywali ten fakt. Paradowali przed całą naszą resztą i szydzili, że pokazali sławnemu Czternastemu, gdzie jest jego miejsce, i że Witeliusz wyłącznie im zawdzięcza swoje zwycięstwo.

- Więc Czternasty czuł się zobowiązany jak najbardziej publicznie drzeć z nimi koty?

- Tylko wyobraź sobie tę sytuację, Falkonie. To były dwie warte siebie grupy, tymczasem w Augusta Taurinorum Witeliusz ulokował ich razem... mimo że odnosili się do siebie wrogo.

- I to doprowadziło do awantury? Byłeś jej świadkiem?

- Trudno to było przegapić! Żołnierz batawski oskarżył jakiegoś robotnika o oszustwo, a wtedy legionista, który u tego robotnika kwaterował, walnął Batawa pięścią. Na ulicach wybuchły bójki. Do rozróby przyłączył się cały legion. Kiedy ich rozdzieliliśmy i spłukaliśmy krew...

- Trupy?

- Zaledwie kilka! Czternasty dostał rozkaz powrotu do Brytanii. Kiedy

opuszczali miasto, podpalali wszystko po kolei, tak że Augusta Taurinorum doszczętnie spłonęło.

Niewybaczalne... w normalnej sytuacji. Jednak mimo że żołnierze Czternastego zachowali się jak młodociani przestępcy, to przecież nigdy się nie zbuntowali, podczas gdy batawskie kohorty, które znienawidzili, przeszły na stronę Cywilisa. Czternasty służył temu, kto akurat w danym miesiącu był cesarzem. Wespazjan mógł więc dojść do wniosku, że jedyne, czego potrzeba tym buńczucznym bohaterom, to dowódca, który potrafi wziąć ich w cugle.

- Będzie musiał mieć mocny uchwyt! - parsknął Balbil, kiedy o tym wspomniałem. - W drodze do Brytanii, kiedy już Witeliusz się ich pozbył, otrzymali ściśle rozkazy, by ominąć Wiedeń ze względu na drażliwość miejscowych. Połowa z tych idiotów chciała pomaszerować wprost tam. Wiedziałaś o tym? I tak by uczynili, gdyby nie ci pozostali, którzy myśleli o swojej karierze...

Zapamiętałem sobie, na korzyść Czternastego, że jednak ostatecznie przeważał rozsądek. Wszystko to jednak nie wskazywało na to, by mieli uprzejmie wysłuchać ode mnie, że mają spokojnie tkwić ze swoim żołdem w koszarach, a nie chełpić się i palić miasta...

Dałem Balbilowi na ogolenie się i jeszcze jedną flaszkę wina, po czym zostawiłem go przy misie gorącej strawy, a sam, jak przystało na szacownego obywatela, ruszyłem do siebie.

Powinienem być zostać na miejscu i zająć się popijaniem. Kompletnie zapomniałem o tym pałacowym fryzjerczyku. Czekał w moim mieszkaniu z promiennym uśmiechem, w odrażających wiśniowych butach i z wielkim wiklinowym koszem.

- Obiecałem!

- Owszem, ostrzegłeś mnie.

Klnąc, chwyciłem za rączkę i próbowałem przyciągnąć kosz bliżej siebie. Ani drgnął. Zaparłem się o ławę i szarpnąłem. Masywny ciężar przesunął się po podłodze z przeraźliwym zgrzytem. Odpiąłem solidne pasy i rzuciłem okiem na nowy znak Czternastego.

Ksantus był zaskoczony.

- A to co takiego?

Lubię podróżować z niewielkim bagażem (jeśli już w ogóle muszę gdzieś jechać). Tymczasem cesarz postarał się wybrać takiego rodzaju świecidełko, którego telepania się w kuferku nie zniósłby żaden wędrowiec. Wysyłano mnie do Germanii z ponad półmetrową, wyrzeźbioną dokładnie dłonią. Była pozłacana... ale pod blichtrzem to cudo, które miałem dźwigać taki szmat drogi, było z litego żelaza.

- Ekspert o spojrzeniu optymistycznym stwierdzi, że mamy tutaj do czynienia z gestem otwartej dłoni, wyrażającym przyjaźń między plemionami,

realista natomiast zobaczy w tym symbol bezwzględnej władzy wojskowej - wyszeptalem.

- A co ty sądzisz?

- Sądzę, że ta dłoń przygwoździ mnie do ziemi.

Opadłem na ławę. Zastanawiałem się, kto pomógł temu wątlęmu kwiatuskowi wnieść ten ciężar na górę.

- No cóż, już go przyniosłeś. Na co jeszcze czekasz?

Wątpliwy pałacowy posłaniec zerknął na mnie niepewnie.

- Chciałbym o coś zapytać.

- Śmiało.

- Czy mogę pojechać z tobą do Germanii?

To pasowało do mojego przekonania, że Tytus nastąpił go, żeby wyrządził mi coś perfidnego. Nie byłem zaskoczony.

- Chyba się przesłyszałem.

- Mam oszczędności... już wystąpiłem o zgodę na wyzwolenie. Byłbym zachwycony możliwością podróży, zanim osiadę gdzieś na stałe... - mówił beczelnie.

- Na Jowisza! - jęknąłem w wycięcie tuniki. - Mało, że zacinają klienta przy goleniu, bezsensownie wypytując o plany na lato, to jeszcze wybierają się z nim na wakacje!

Ksantus milczał.

- Słuchaj, jestem cesarskim agentem i wybieram się do barbarzyńców. Jakież więc sens miałoby, żeby golarz dzielił wraz ze mną to nieszczęście?

- Może komuś w Germanii przydałoby się porządne golenie! - odparł posepnie.

- Nie patrz na mnie! - Potarłem dłonią szyję; okropnie drapałem.

- Dobrze - zgodził się obraźliwym tonem. Najwyraźniej nic go nie było w stanie powstrzymać, kiedy wbił sobie coś do głowy pod tę dobrze przystrzyżoną strzechę. - Nikt nawet nie zauważył mojej nieobecności. Tytus chce się mnie pozbyć - poskarżył się.

W to akurat mogłem uwierzyć. Tytus chciał mieć swojego prywatnego specjalistę od noża jak najbliżej mnie. Może lepiej zabrać Ksantusa gdzieś daleko, zanim wyciągnie sztylet.

- Tytus może posmarować twój dokument podróży marynowaną rybą i zjeść go sobie pod wodą... ja podróżuję sam. Skoro Tytus chce cię zwolnić z twoich oficjalnych obowiązków, to niech ci da premię, żebyś mógł zasiąść w jakiejś łaźni...

- Nie będę przeszkadzał! - nie dawał za wygraną.

- Kwalifikacje do kariery z nożyczkami rodzą się zapewne razem z głuchotą!

Zamknąłem oczy, żeby zniknął, chociaż wiedziałem, że wciąż tam jest. Dochodziłem do pewnych wniosków. Byłem teraz przekonany, że Tytus

zapragnął, żeby ten pachnący bufon naostrzył sobie brzytwę na moim gardle. Jeśli zaakceptuję tę sytuację - a raczej udam, że akceptuję - to przynajmniej będę wiedział, na czyją rękę dzierżącą ostry przedmiot mam mieć oko. A jak odrzucę tę szansę, będę musiał podejrzewać każdego.

Podniosłem wzrok. Golarz najwyraźniej też wysilał swój mózdzek, bo całkiem niespodziewanie zapytał:

- Rozumiem, że ludzie cię wynajmują?

- Ci niemądrzy owszem.

- Ile to kosztuje?

- Zależy, jak bardzo nie mam ochoty robić tego, co mi zlecają.

- Wymień orientacyjną sumę, Falko! - zachęcił mnie. Wymieniłem, nie kryjąc obrzydzenia. - Mogę zorganizować taką sumę - chlipnął. Nie zdziwiło mnie to. Każdy cesarski niewolnik ma mnóstwo okazji, by zgarniać nieliczne napiwki. Domyśliłem się, że bankier Ksantusa sfinansuje mu tę wycieczkę po Europie. - Wynajmę cię, żebyś był moją eskortą podczas podróży, w którą sam się udajesz.

- Ten zew przygody! - zadrwiłem. - Więc dostanę premię za każdym razem, kiedy załatwię ci napad i rabunek? Podwójną stawkę, jak dostaniesz obrzydliwej wysypki, skorzystawszy z usług taniej prostytutki? Potrójną, jeśli się utopisz w morzu?

- Będziesz mi doradzać, w jaki sposób unikać niebezpieczeństw związanych z podróżą - odparł sztywno.

- No cóż, moja pierwsza rada brzmi: w ogóle nie wyruszaj w tę podróż.

Moje znużenie światem wydało mu się jakąś melancholijną pozą. Nic nie było go w stanie odstręczyć; musiał otrzymać rozkaz towarzyszenia mi od osób, których rozkazów się słucha.

- Falkonie, podoba mi się twoja postawa. Sądzę, że się świetnie dogadamy.

- W porządku - powiedziałem, udając, że jestem zbyt zmęczony, żeby się spierać. - Klienci, którzy lubią być obrażani dwadzieścia razy na godzinę, zawsze mogą na mnie liczyć. Jeszcze dwa dni poświęcę na dodatkowe przestudiowanie tła tamtych wydarzeń oraz na uporządkowanie swoich spraw. Spotkajmy się przy złotym kamieniu milowym... dalekie podróże zawsze zaczynam w punkcie zero. Bądź tam o świcie ze wszystkimi swoimi oszczędnościami, włóż na nogi coś praktyczniejszego od tego upiornego różowego obrzydlistwa i przynieś ważny dokument świadczący, że jesteś wyzwolencem, bo nie życzę sobie, by mnie aresztowano za kradzież cesarskiej własności!

- Dzięki, Falko!

Zareagowałem poirytowaną miną na te wyrazy wdzięczności.

- Jakie jeszcze utrapienia mnie czekają? Dar cesarza dla wojska swoje waży. Możesz mi pomóc przy transportowaniu tej żelaznej Ręki.

- Ależ nie! - wykrzyknął golarz. - Nie mogę, Falkonie; przecież będę dźwigał wszystkie swoje przybory do golenia!

Powiedziałem mu, że musi się jeszcze dużo nauczyć. Choć fakt, że do tego wszystkiego dałem się obarczyć Ksantusem, świadczył o tym, że sam muszę cierpieć na jakiś defekt mózgu.





CZĘŚĆ II

W DRODZE

GALIA I GERMANIA GÓRNA

PAŹDZIERNIK A. D. 71

„Ledwie letnia! Jednak już wkrótce znajdziemy się w ukropie...”

Tacyt, Dzieje

11

Przedstawialiśmy piękny obrazek: golarz, jego kuferek ze środkami zmiękcżającymi skórę, Ręka w koszu i ja.

Były dwie drogi, żeby się tam dostać: przez Augusta Pretoria i Alpy albo morzem do południowej Galii. W październiku najlepiej było unikać obydwu. Pomiedzy wrześniem i marcem każdy, kto ma choć odrobinę rozsądku, nie rusza się z Rzymu.

Nienawidzę morskiej podróży jeszcze bardziej niż wspinaczki górskiej, mimo to wybrałem drogę przez Galię. Jest to trasa, z której wojsko korzysta najczęściej... ktoś musiał ocenić, że z logistycznego punktu widzenia jest najmniej niebezpieczna. Poza tym jechałem kiedyś tamtędy z Heleną (tyle że w przeciwnym kierunku) i byłem przekonany, że jeśli ona udaje się do Germanii zamiast do Hiszpanii, to być może zechce ponownie odwiedzić miejsca, z którymi wiążą się miłe wspomnienia...

Najwyraźniej jednak nie. Spędziłem całą podróż, rozglądając się za wysoką, ciemnowłosą kobietą obrzucającą obelgami celników, ale nie było po niej ani śladu. Starłem się nie myśleć o tym, że pogrzebała ją żywcem lawina albo została zaatakowana przez wrogie plemiona, które czają się na wysokich przełęczach powyżej Helwecji.

Zeszliśmy na ląd w Forum Julii, miejscu całkiem przyjemnym. Sytuacja pogorszyła się, kiedy dotarliśmy do Massilii, gdzie musieliśmy spędzić noc. A wydawało się, że to jest dobrze zaplanowana wyprawa. Massilia moim zdaniem jest gnijącym ropniem przy najbardziej wrażliwym zębie cesarstwa.

- Na bogów, Falko! To niezbyt przyjemne... - biadolił Ksantus, kiedy przedzieraliśmy się przez fale hiszpańskich handlarzy oliwą, żydowskich przedsiębiorców i kupców winnych ze wszystkich krain, którzy walczyli o

łóżko w jednym z najbardziej podejrzanych zajazdów.

- Massilia od sześciuset lat jest grecką kolonią, Ksantusie. Wciąż uważa się za najlepsze miejsce na zachód od Aten, jednak sześćset lat cywilizacji zostawia przygnębiające piętno. Mają tu oliwki i wino, wspaniały port z trzech stron otoczony morzem i fascynujące dziedzictwo, ale człowiek nie może się przepchnąć między tymi wszystkimi kramarzami, którzy usiłują zainteresować cię tandetnymi metalowymi garnkami i posążkami pulchnych bóstw z dziwnymi okrągłymi oczyma.

- Już tu kiedyś byłeś...

- Już mnie tu kiedyś oszukano! Jeśli masz ochotę na kolację, nie licz na moje towarzystwo. Przed nami długa droga i nie zamierzam pozbawiać się sił, zwracając miskę tutejszych krewetek... Nie wszczynaj rozmów z nikim miejscowym... a prawdę mówiąc, z podróżnymi też nie.

Zasmucony golarz oddalił się, żeby samotnie wrzucić coś na ząb.

Zasiadłem przy ledwo świecącej lampce oliwnej, żeby przestudiować mapy. Jedyną korzyścią z tej wyprawy było to, że Pałac wyposażył mnie w pierwszej jakości wojskowy zestaw przedstawiający wszystkie ważne szlaki... miałem przed sobą świadectwo siedemdziesięciu lat działalności Rzymu w środkowej Europie. Nie ograniczono się do wykazu odległości pomiędzy miastami i obozami warownymi, ale dołączono przyzwoity przewodnik z komentarzami i rysunkami. Mimo to w niektórych miejscach będę musiał opierać się na własnym rozumie i radzić sobie sam. Na mapach, które miałem przed sobą, po wschodniej stronie Renu rozciągały się ogromne puste przestrzenie: *Germania Libera...* Były to bezkresne terytoria, gdzie „wolna” oznaczało nie tylko brak rzymskich wpływów handlowych, ale też całkowitą nieobecność rzymskiego prawa i ładu. Tam właśnie czaiła się ta kapłanka Weleda i tam być może ukrywał się Cywilis.

Już samo pogranicze było dość niepewne. Europę zamieszkiwały niespokojne plemiona, nieustannie podejmujące próby przenoszenia się na inne tereny, czasami w ogromnej liczbie ludzi. Od czasu Juliusza Cezara Rzym starał się osiedlać przyjazne ich grupy w taki sposób, żeby powstawały strefy buforowe. Nasze prowincje Germanii Górnej i Dolnej tworzyły wojskowy korytarz wzdłuż Renu pomiędzy spacyfikowanymi krainami w Galii i wielkim nieznanym. Taką przynajmniej prowadzono politykę, aż do czasu wojny domowej.

Starannie przestudiowałem mapę. Na dalekiej północy, obok prowincji Belgika, wokół ujścia Renu, leżała ojczyzna Batawów, z fortecą, którą nazywali po prostu Wyspą. Wzdłuż całej rzeki stały rzymskie warownie, posterunki, wieże strażnicze i stacje sygnalizacyjne, które wybudowano, by kontrolować Germanię; większość z nich została teraz porządnie zaznaczona przez skrybę, który uaktualniał dla mnie tę mapę. Najdalej na północ wysunięte było

Nowiomagus, gdzie Wespazjan planował budowę nowego warownego obozu, by mieć oko na Batawów, ale na razie był jedynie krzyżyk na mapie; najbliższej znajdowała się Wetera, miejsce tamtego straszliwego oblężenia. Było też Novaesium, którego żalosny legion przeszedł na stronę buntowników; Bonna, po bezlitosnej rzezi zajęta przez kohorty Batawów z XIV Legionu; i wreszcie Colonia Agrippinensium, którą buntownicy zdobyli, ale ze względów strategicznych nie puścili z dymem (myślę też, że mieszkali tam krewni Cywilisa). Nad Mozela stało Augusta Treverorum, stolica plemienia Trewerów, gdzie Petyliusz Cerialis pokonał buntowników. Moim pierwszym celem podróży była stolica Germanii Górnej, Mogontiakum, leżąca w miejscu, gdzie rzeka Men wpływa do Renu. Mogłem tam dotrzeć drogą prowadzącą bezpośrednio z wielkiego galijskiego skrzyżowania w Lugdunum.

Mogłem też wybrać inną możliwość i zjechać z drogi głównej przy leżącym przy rozwidleniu mieście Cavillonum i dotrzeć do Germanii Górnej bardziej od południa. Był to dobry sposób, żeby przywyknąć do tej prowincji. Do Mogontiakum i na spotkanie z XIV Legionem mogłem udać się drogą wodną. Ta alternatywna trasa nie była dłuższa (w każdym razie tak sobie mówiłem) i najlepiej byłoby dotrzeć do Renu w Argentoratum, miejscu stacjonowania pewnego indywiduum; na punkcie jego siostry miałem prawdziwego bzika.

Kiedy w zamyśleniu spoglądałem na ogromne odległości, jakie mieliśmy przed sobą, do pokoju wpadł golarz z pobladałą twarzą.

- Ksantusie! Które z niebezpieczeństw związanych z podróżą nęka cię teraz? Czosnek, zaparcie czy też obrobienie sakiewki? - zawołałem.

- Popeliłem błąd i zamówiłem sobie coś do picia!

- Aha! Każdemu się to zdarza.

- Kosztowało mnie...

- Nie musisz mi mówić. Już mnie zmartwiłeś. Galowie mają zupełnie dziwny system wartości. Szaleją za winem i nie szcędzą na nie pieniędzy. Nikt, kto wierzy, że sprawny fizycznie niewolnik stanowi odpowiedni ekwiwalent jednej amfory przeciętnego importowanego wina, nie jest człowiekiem godnym zaufania. A winiarz nie zażąda od ciebie mniej, niż sam za nie zapłacił, tylko dlatego że wychowałeś się z przekonaniem, że postawią ci flachę wina na stole tawerny za pół asa.

- To co ludzie mają robić, Falkonie?

- Myślę, że wytrawni podróżnicy wożą ze sobą własne.

Zagapił się na mnie. Odpowiedziałem mu spokojnym uśmiechem człowieka, który popijał wino ze swojego zapasu, podczas gdy jego towarzysz ruszył w miasto, żeby dać się ograbić.

- Nie chcesz, żebym cię ogolił, Falkonie? - zapytał urażonym tonem.

- Nie.

- Wyglądasz jak dzikus.

- Zatem tam, dokąd się udajemy, bez trudu wtopię się w tło.
- Słyszałem, że jesteś bawidamkiem.
- Dama, którą akurat chętnie bym zabawił, przypadkiem przebywa zupełnie gdzie indziej. Idź spać, Ksantusie. Ostrzegałem cię, że dreptanie w twoich ślicznych sandałach po obcej ziemi może okazać się przykre i denerwujące.
- Wynająłem cię, byś mnie chronił! - wymamrotał, owijając się cienkim kocem na wąskim łożku.

Znajdowaliśmy się w niewielkiej noclegowni. W Massilii są przekonani, że należy upychać klientów głowa przy głowie, jak słoje z marynatą na statku handlowym.

- I o to chodzi - powiedziałem z uśmiechem. - Przecież marzyły ci się przygody. A one nie istnieją bez kłopotów.

Tuż przed tym, jak lampka zgasła z wyczerpania, pozwoliłem mu zobaczyć, że sprawdzam ostrość sztyletu i umieszczam go pod tym czymś, na czym miałem złożyć głowę. Chyba zrozumiał przesłanie. Byłem profesjonalistą wysokiej klasy. Niebezpieczeństwo było treścią mojego życia. Gdyby tylko jakaś myszka zaskrobała o deskę w podłodze, zareagowałbym bezzwłocznie, podrzynając gardło golibrodzie. Zważywszy na ilość pachnideł, jakimi się zlewał, wywęchałbym go nawet w najgłębszych ciemnościach. I wiedziałem, gdzie najbardziej skutecznie wbić moją broń. Niezależnie od tego, co mu powiedziano - albo i nie powiedziano - w Pałacu, musiał być tego świadomy.

Po pierwszym dniu w Galii czuł się zbyt marnie, by tej nocy czegokolwiek spróbować. Będzie mnóstwo innych okazji. Jednakże kiedy wreszcie zabierze się do wykonania tej brudnej roboty dla Tytusa, pewno nie uda mu się mnie zaskoczyć.

12

Dotarliśmy do Lugdunum. Nie będę twierdził, że bez przygód. Odpędziliśmy bandę wiejskich urwisów, którzy uważali, że mój kosz z symbolicznym żelaznym dziełem zawiera coś, co mogliby spieniężyć, potem, kiedy dostaliśmy się na statek przewożący wino, mało brakowało, żeby Ręka wypadła mi za burzę. Prawdę mówiąc, za każdym razem, kiedy opuszczaliśmy miejsce noclegu, istniała groźba, że zapomnę zabrać dar Wespazjana dla Czternastego.

Woda, którą piliśmy, zaczęła dawać nam się we znaki w Arelate; galijska oliwa używana w kuchni spowodowała na nas mdłości, kiedy przepływaliśmy obok Walencji; jakaś podejrzana wieprzowina rozłożyła nas na cały dzień w Wiennie i zanim dotarliśmy do administracyjnej stolicy prowincji, wino, które w siebie wlaliśmy, jako lek po wieprzowinie, przyprawiło nas o nieznośny ból głowy. Przez całą drogę graliśmy w kotka i myszkę z typową dla jesieni masą pcheł, robiących sobie zapasy na zimę, z pluskwami i osami, i z takimi agresywnymi małymi czarnymi stworzeniami, których ulubioną kwaterą był

nos pechowego wędrowca. Ksantus, którego wypielegnowana skóra rzadko przebywała poza murami Pałacu, dostał wysypki, której postępy opisywał mi męcząco dokładnie i rozwlekle.

Zatem, Lugdunum. Kiedy opuściliśmy statek, uraczyłem Ksantusa porcją turystycznych informacji:

- Lugdunum to stolica trzech Galii. Cytując Cezara: „Cała Galia dzieli się na trzy części...”, co wie każdy uczeń, a czego tobie, przyszłemu golarzowi, nie kazano wkuwać w dzieciństwie... Piękne miasto, założone przez Marka Agryppę jako centrum komunikacyjne i handlowe. Zwróć uwagę na ciekawe rozwiązanie akweduktów. Do pokonywania rzecznych dolin zastosowano zamknięte rury w kształcie odwróconych syfonów. To bardzo kosztowna metoda, z czego należy wyciągnąć wniosek, że mieszkańcy Lugdunum są niezwykle zamożni! Jest tu też świątynia poświęcona kultowi cesarza, której nie odwiedzimy...

- Chciałbym trochę pozwiedzać!

- Trzymaj się mnie, Ksantusie. To miasto chełpi się ponadto warsztatami wytwarzającymi ceramikę typu terra sigillata, nie gorszą od tej słynnej aretyńskiej. Skorzystamy z okazji i udamy się tam. Postąpimy zgodnie ze wspaniałą turystyczną tradycją, nakazującą zabrać do domu jakieś naczynia stołowe... za podwójną cenę i z trzykroć większymi kłopotami przy kupnie.

- To po co to w ogóle robić?

- Nie pytaj.

Takie było życzenie mojej matki.

W warsztatach ceramicznych można było schodzić sobie nogi, łażąc bez końca pośród tysięcy skorup, i wydać fortunę na prezenty. Ceramicy z Lugdunum mieli ambicję zasypać swoimi wyrobami całe cesarstwo. Są bohaterami największego komercyjnego sukcesu naszych czasów. Opanowywali stopniowo cały rynek, a ich warsztaty tchnęły pazernością, którą czasem nazywają duchem przedsiębiorczości.

Piece do wypalania i kramy rozciągały się wokół miasta niczym jakaś oblegająca je armia, przytłaczając zwyczajne życie. Wozy blokowały wszystkie drogi wyjazdowe, z trudem tocząc się pod ciężarem skrzyń ze sławnymi czerwonymi naczyniami stołowymi, opakowanymi w słomę, a przeznaczonymi dla całego cesarstwa i zapewne dla krain poza nim. Nawet w czasie kryzysu, jaki nastąpił po wojnie domowej, interes nieprzerwanie kwitł. Jeśli kiedyś zawali się rynek ceramiki, Lugdunum pogrzeży się w głębokiej żałobie.

Warsztaty wyrosły na wielkiej połaci terenu. W każdym z nich pracował miejscowy rzemieślnik i w większości byli to ludzie wolno urodzeni, w przeciwieństwie do macierzystego zakładu w północnej Italii, który, z tego, co wiedziałem, prowadzili niewolnicy. Moja matka, która zawsze udzielała mi cennych wskazówek dotyczących podarku z podróży, poinformowała mnie, że

zakłady w Arretium podupadają, a znajdujące się na rzeczy gospodynie domowe uważają ceramikę z Lugdunum za bardziej wytworną. Ceny były wysokie, kiedy jednak spoglądałem na chwiejące się stosy półmisek, dzbanów i mis, musiałem w duchu przyznać, że mam do czynienia z wysoką jakością. W uzyskiwanych z form reliefowych dekoracjach przeważały motywy roślinne i figuralne. Czerwoną glinę wypalano fachowo i pokrywano błyszczącą polewą. Zrozumiałem, dlaczego poszukuje się tych pięknych wyrobów w ciepłym, czerwonym kolorze równie gorliwie jak naczyń z brązu lub szkła.

Matka, która wychowała siedmioro dzieci, w zasadzie bez wsparcia męża, zasługiwała na jakieś czerwone cacko, a Helena może dałaby się ugłaskać pięknym półmiskiem. Im obu należą się upominki ode mnie. Jednak nie życzyłem sobie, żeby mnie nabierano. Za każdym razem, kiedy już zdecydowałem się spytać o cenę, usłyszawszy odpowiedź, natychmiast ruszałem pospiesznie dalej.

Targowanie nie wchodziło w rachubę. W Lugdunum nie znano pojęcia obniżki ceny. Ci rzemieślnicy uważali, że skoro ludzie są tak głupi, że płyną dwieście mil w górę rzeki po to tylko, by obejrzeć ich sztywno wyrobione, to równie dobrze mogą zapłacić ich aktualną cenę. A ich aktualna cena zależała od tego, jak wysoko sprzedawcy oszacowali wartość pierścieni na rękach turysty i zapinki przy płaszczu podróżnym. W moim wypadku nie bardzo było co szacować... ale i tak cena była za wysoka.

Pomyszkowałem tu i tam, ale najwyraźniej oni wszyscy uważali, że turyści są po to, żeby z nich zdzierać. W końcu wylądowałem pod stołem na krzyżakach, grzebiąc w koszu z przecenionymi, lekko poobtłukiwanymi egzemplarzami.

- Te tutaj to strata czasu - mruknął Ksantus.

- Jestem synem licytatora. Nauczono mnie, że czasami w pudle ze śmieciem tkwi prawdziwy skarb...

- Och, ty jesteś pełen takich domowych mądrości! - wyszczerzył się do mnie.

- Owszem, potrafię wypatrzeć zdrową rzepę... widzisz?

Znalazłem ukryty głęboko półmisek, prawie bez spękań czy skaz powstałych podczas wypalania. Golarz przyznał łaskawie, że wytrzymałość się opłacała; po czym ruszyliśmy, żeby znaleźć kogoś, kto nam to sprzeda.

Okazało się to nie takie łatwe. Sprzedawcy ceramiki w Lugdunum mieli swoje sposoby utrudniania życia kutwom. Młodzieńcy przestawiający worki z mokrą gliną twierdzili, że nie mają pojęcia o cenach; mężczyzna przygotowujący świeżą formę był zbyt wielkim artystą, by bawić się w pośrednika; palaczom przy piecach było zbyt gorąco, żeby chciało im się z kimś rozmawiać; a żona rzemieślnika, która zazwyczaj przyjmowała zapłatę, akurat została w domu z bólem głowy.

- Zapewne nabawiła się go, zamartwiając się, co mają zrobić z zarobionymi pieniędzmi! - szepnąłem Ksantusowi.

Sam mistrz był chwilowo nieosiągalny. On i większość jego sąsiadów zbili się w niezadowolony tłumek na dróżce dla wozów. Kiedy próbowaliśmy go wyłowić, trwała dysputa z przepychankami. Kazałem Ksantusowi trzymać się z tyłu.

Niewielka grupka gniewnych garncarzy, z rękoma i fartuchami upapranymi gliną, zebrała się wokół mówcy, który ostro odgryzał się dwóm mężczyznom usiłującym przeforsować swoje racje. Widziało się tutaj o wiele więcej bród i bokobrodów niż podczas jakiegokolwiek zgromadzenia mężczyzn w Rzymie, ale poza tym niczym szczególnym się nie wyróżniali. Ci dwaj, najgłośniej perorujący, tak jak miejscowi mieli na sobie galijskie tuniki z chroniącymi szyje przed zimnem wysokimi, grubo zwiniętymi kołnierzami, ale na wierzchu nosili okrycia z pionowo wyciętymi otworami na głowę, szerokimi rękawami i odrzucanymi do tyłu spiczastymi kapturami. Obaj wywrzaskiwali jak ludzie, którzy przegrywają starcie. Inni od czasu do czasu pokrzykiwali na nich, na ogół jednak stali, milcząc pogardliwie, jakby im nie zależało na przedłużaniu awantury, bo racja i tak była po ich stronie.

Robiło się gorąco. Wysoki gość, z dołkiem w brodzie i szyderczą miną, okazał się przywódcą miejscowych. Niespodziewanie wykonał sprośny gest w kierunku tamtych dwóch. Roślejszy z nich zamachnął się pięścią, ale powstrzymał go jego towarzysz, młodszy mężczyzna, ryżawy i z twarzą pokrytą brodawkami.

Miałem nadzieję, że napięcie opadnie i będę mógł wreszcie kupić swoje naczynie. Zdawało się jednak, że wszelkie dzisiejsze transakcje zostaną przypieczętowane zakrwawionymi nosami. Wręczyłem jakiemuś tubylcowi swój prezent dla mamy i pospiesznie się stamtąd ulotniłem, pociągając Ksantusa za sobą.

- Falko, o co im chodziło?

- Pojęcia nie mam. Kiedy jesteś w podróży, nigdy nie daj się wciągnąć w żadne waśnie. Nie znasz ich historii, na pewno staniesz po niewłaściwej stronie i w rezultacie obie strony obrócą się przeciwko tobie.

- Zostawiłeś swój półmisek!

- Zgadza się - powiedziałem.

I tak był krzywy.

13

Podczas następnego etapu podróży wreszcie zaczęło się coś dziać.

Nie byłem w najlepszym nastroju. Wizyta w wytwórni ceramiki miała służyć rozrywce i odwróceniu uwagi od rzeczywistości, ale niestety wywołała innego rodzaju niepokój, ponieważ nie zrealizowałem zamówienia, za co oberwie mi się od matki. Postanowiłem jednak nie poświęcać już więcej uwagi tym delikatnym sprawom; miałem własne kłopoty. Wisiało nade mną moje

poważne zadanie. W Lugdunum mieliśmy już za sobą jedną trzecią zaplanowanej trasy, a przedtem odbyliśmy męczący rejs z Ostii do Massilii. Teraz czekał nas ostatni odcinek i im bliżej byliśmy Renu, tym większe odczuwałem przygnębienie.

Nie pierwszy to już raz byłem wstrząśnięty, że tak długo i tak daleko trzeba wędrować, by przebyć Europę.

- Więcej złych wieści, Ksantusie! Podróż rzeką ciągnie się zbyt ślamazarnie. W tym tempie, zanim wykonam zadanie, zacznie się zima. Przenoszę się na koński grzbiet, którą to możliwość daje mi cesarski dokument podróży, więc ty, jeśli chcesz się mnie trzymać, musisz wynająć sobie muła.

Nie wyobrażajcie sobie, że Wespazjan wyposażył mnie w środki pozwalające mi brać konie ze stacji kurierskich tylko po to, by mi się wygodnie podróżowało; zapewne uważał, że tak będzie lepiej dla żelaznej Ręki.

Krajobraz się zmienił i wyglądał obco. Zamiast ogromnych italskich willi z nieobecnymi właścicielami i setkami niewolników, mijaliśmy skromne gospodarstwa dzierżawców. Nie hodowano tu owiec, tylko świnie. Było mniej gajów oliwnych, a winnice z każdą milą marniejsze. Przy mostach przepuszczaliśmy konwoje z dostawami dla wojska; czuło się, że jesteśmy coraz bliżej strefy wojennej. Miasta wyrastały tu z rzadka. Było zimno, wilgotno i mroczno.

Ksantus nabierał pewności siebie jako podróżnik, co oznaczało, że jako niańka tego idioty jeszcze bardziej niż przedtem musiałem się mieć na baczności. Do szału doprowadzała mnie konieczność wyjaśniania regionalnych zwyczajów za każdym razem, kiedy zatrzymywaliśmy się, by zmienić wierzchowce. Do tego wszystkiego zaczęło padać.

- Wciśnięto mi jakieś fałszywe monety, Falkonie... pocięte na ćwiartki i połówki! - poskarżył się.

- Przykro mi, powinienem był cię ostrzec. Tu już od dawna brakuje drobnych monet. Nie wykazuj się ignorancją i nie rób z tego problemu. Te kawałki są używane lokalnie, ale nie zabieraj ich do domu. Jeśli kiedykolwiek tam wrócimy. - Byłem w takim ponurym nastroju, że szczerze w to wątpiłem. - Przyzwyczaj się. Po prostu nie marnuj asa czy kwadransa i jeśli możesz zapłacić którąś z większych monet, zbieraj drobne na później, kiedy nie będą mieli czym nam wydać. Jak już im się całkiem kończą miedziaki, dziewczęta wydają resztę całusami, a kiedy tych im braknie... - Wzdrygnąłem się znacząco.

- Wydaje mi się to głupkowate! - jęknął Ksantus.

Prawdziwy golibroda. Nie chwycił dowcipów.

Westchnąwszy w duchu, udzieliłem rozsądnego wyjaśnienia.

- W armii zawsze płacono srebrem. Sestercje najłatwiej transportuje się masowo, więc fiskus nigdy nie pomyśli, żeby wysłać chłopcom kilka skrzyń drobniaków. W Lugdunum jest mennica, ale obywatelska duma każe im

produkować tylko te duże błyszczące monety.

- Chciałbym, żeby ceny też cięli na pół, Falko.

- A ja chciałbym wielu różnych rzeczy!

Mówiłem spokojnie, choć byłem bliski załamania. Chciałem, żeby przestało padać. Chciałem odnaleźć Helenę. Chciałem się znaleźć bezpiecznie w swoim mieście i dostać zlecenie na pozbawioną ryzyka robotę. A już najbardziej, kiedy mój towarzysz nie przestawał paplać, chciałem, żeby mi się gdzieś zawieruszył.

Noc spędziliśmy w wiosce typowej dla tego odcinka trasy: zabudowania rozciągnięte wokół jednej głównej ulicy, a wszystko poświęcone wyłącznie zabawianiu podróżnych. Było tam mnóstwo zajazdów i kiedy już znaleźliśmy jeden wystarczająco czysty, gdzie mogliśmy rzucić swój bagaż, stwierdziliśmy, że jest tam też całe zatrzęsienie tawern, do których można wpaść, żeby na jakiś czas znaleźć się w innym otoczeniu. Wybrałem jedną taką, z portykiem, rzucającą światło na ulicę, i zeszliśmy do sutereny, gdzie podróżni siedzieli przy okrągłych stolikach, pałaszując zimne mięswo albo ser i popijając miejscowym fermentowanym piwem. W powietrzu wisiał zapach wełnianych płaszczy i przemoczonych butów, bo po całym dniu jazdy w deszczu ze wszystkich nas parowało. Wnętrze było ciepłe, suche i oświetlone trzciniowymi świecami. Panowała w nim atmosfera w stylu „jesteśmy tutaj po to, żeby was zadowolić”, która przynosiła ulgę po napięciach związanych z podróżą, nawet tym najbardziej opornym, obawiającym się, że Fortuna srogo ich za tę chwilę odprężenia później pokarze.

Piliśmy. Jedliśmy. Ksantus był ożywiony; ja milczałem. Zamówił następną kolejkę; potrząsnąłem sakiewką z posępną miną. Jak zwykle, to ja miałem płacić. Fryzjer znalazł wiele sposobów na roztrwonienie swojej wakacyjnej gotówki, ale miał dziwną umiejętność sięgania po nią jedynie wtedy, kiedy zostawiałem go samego. Nakupował pamiątek - mieliśmy całą kolekcję grzechoczących latarni, posążków muskularnych miejscowych bóstw i talizmanów w kształcie kół - ale regulowanie należności za nasze kolacje zawsze spadało na mnie.

W tej tawernie płaciło się niby od niechcienia, po posiłku. Był to dobry sposób, aby odrzeć klientów z większej ilości pieniędzy, choć kiedy wychyliłem się zza stolika, żeby sprawdzić rachunek, okazało się, że suma nie była zbyt wysoka, zważywszy na to, ile golarz pochłonał.

Wieczór był udany... dla kogoś, kto czuł się na tyle swobodnie, żeby móc się nim cieszyć.

Powiedziałem Ksantusowi, żeby już wyszedł, a ja poczekam, aż personel zbierze pomiędzy sobą monety, żeby oddać mi należną resztę. Kiedy wynurzyłem się na główną ulicę, mój utrapieniec zdążył już zniknąć. Nie spieszyłem się, by go dogonić. Noc była sucha, szalone gwiazdy wynurzały się z czerni nieba to tu, to tam, pomiędzy kilkoma szybko przesuwanymi się

wysokimi chmurami. Jutro zapewne znów będzie lało, ale tymczasem zatrzymałem się w miejscu, czerpiąc przyjemność z owiewającego mi twarz silnego, suchego wiatru. Ulica była całkiem pusta. Ogarnęła mnie typowa dla podróżnika melancholia.

Wróciłem do szynku i zamówiłem miseczkę rodzynek i coś do picia.

W sali zrobiło się znacznie luźniej. Uwolniony od swojego męczącego towarzysza przesiadłem się na inne miejsce. Mogłem sobie popatrzeć na pozostałych klientów. Mężczyźni rozmawiali zebrani w małe grupki; kilku samotnie jadło posiłek. Dwóch wpadło mi w oko, bo choć wydawało się, że są razem, w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Nie wyglądali na skłóconych, tylko jeszcze bardziej przygnębionych niż ja, zanim pozbyłem się Ksantusa.

Dziewczyna zapaliła im na stoliku świeżą świeczkę. W jej blasku rozpoznałem tę parę; mieli na sobie tuniki z wysokimi kołnierzami pod galijskimi okryciami ze spiczastymi kapturami w kolorze jeżynowym. Jeden był otyłym mężczyzną w średnim wieku; drugi miał rudawe włosy i zatręśnienie brodawek na policzkach i dłoniach. Była to ta sama dwójka, którą widziałem podczas kłótni w wytwórni ceramiki.

Gdyby wyglądali na rozmownych, może nawet podszedłbym do nich i wspomniał, jaki to zbieg okoliczności, że znów ich widzę. Obaj byli jednak pogrążeni w myślach, więc śpiący i zadowolony z chwili samotności nie ruszyłem się z miejsca. Dokończyłem rodzynki. Kiedy znów podniosłem wzrok, właśnie wychodzili. Może i lepiej. Wątpię, by zauważyli mnie wtedy w Lugdunum, zresztą na pewno nie byliby zadowoleni, że ktoś im przypomniał tamtą nieprzyjemną sytuację. Jutro wszyscy rozjedziemy się w różne strony. Było bardzo mało prawdopodobne, żebyśmy mieli jeszcze okazję się na siebie natknąć.

A jednak tak się stało. W każdym razie ja natknąłem się na nich.

Nazajutrz, pół godziny po wyruszeniu z wioski, kiedy golarz wciąż się zalił, jak to mu nagle zniknąłem poprzedniego wieczoru, a ja puszczałem to mimo uszu i z wrodzonym taktem pomijałem milczeniem, natknęliśmy się na grupę rekrutów. W samej Galii nie stacjonował żaden legion. Te żółtodzioby najwyraźniej musiały wędrować w stronę pogranicza. Teraz stali bezradnie na drodze, dwudziestu siedemnasto- lub osiemnastoletków, nieprzyzwyczajonych do ciężaru hełmów i właśnie odkrywających nieznośną nudę długiego marszu. Nawet odpowiedzialny za nich centurion, który na pewno był człowiekiem obytym, nie bardzo dawał sobie radę z tą kryzysową sytuacją. Wiedział, że reprezentuje prawo i porządek, zatem czuł, że coś musi zrobić. Na pewno wolałby iść naprzód, z oczyma utkwionymi przed siebie. Szczerze mówiąc, ja też bym wolał.

Problem polegał na tym, że rekruci zauważyli leżące w rowie melioracyjnym ciała dwóch podróżnych. Krzykiem zawiadomili o swoim odkryciu centuriona,

musiał się więc zatrzymać. Kiedy tam dotarliśmy, nie miał zbyt szczęśliwej miny. Najwyraźniej, schodząc do rowu, poślizgnął się na mokrej, śliskiej darni. Nadwreżył kręgosłup, przemoczył płaszcz i usmarował błotem nogę. Przeklinał w kółko, próbując garścią trawy pozbyć się błota. Jeszcze bardziej się zirytował, kiedy zobaczył nas tam z Ksantusem. Cokolwiek by zrobił, miał teraz dwóch świadków.

Wyruszyliśmy z Lugdunum w kierunku północnym, jadąc wzdłuż Saony, drogą konsularną wybudowaną przez wojsko jako szybka trasa do obu Germanii. Utrzymywana za pieniądze publiczne stanowiła najwyższej klasy osiągnięcie inżynieryjne: kamienny fundament na ubitej ziemi, warstwa kruszywa połączonego z zaprawą, następnie warstwa piachu i brukowana nawierzchnia z wybrzuszeniem pośrodku, z którego woda spływała jak z żółwiej skorupy. Droga biegła nieco powyżej poziomu otaczającego ją terenu. Po obu jej stronach znajdowały się rowy o stromych ścianach, by odprowadzać nadmiar wody i chronić podróżujących przed zasadzką. Spoglądając z końskiego grzbietu, miałem na to wszystko doskonały widok.

Najbardziej gorliwy z młodych ludzi zsunął się do rowu za centurionem. To było najciekawsze wydarzenie od czasu, kiedy opuścili Italię. Przewrócili ciało otyłego mężczyzny na plecy. Chyba już wiedziałem, czego się spodziewać, zanim jeszcze zobaczyłem jego twarz. Była napęczniała od moczenia się w deszczówce, jednak bez trudu rozpoznałem jednego z tamtych dwóch mężczyzn z Lugdunum. Nie musiałem oglądać twarzy leżącego na brzuchu drugiego trupa, wystarczył mi widok brodawek na jego związanych na plecach rękach.

Jakikolwiek był powód gniewu tych dwóch, los sprawił, że mogli przestać się przejmować.

14

Centurion wcisnął za pas obciążone brązem, dyndające końcówki ochraniacza krocza, potem podał hełm żołnierzowi, który ujął go ostrożnie za pasek. Deszcz chwilowo ustał, jednak czerwony płaszcz dowódcy okręcił się niezgrabnie wokół srebrzonego napierśnego pasa do miecza, wełniane fałdy obklejały mu ciało, nasiąknięte tą paskudną wilgocią, której człowiek nigdy się nie pozbędzie podczas podróży. Kiedy podniósł głowę, ujrzałem na jego twarzy wyraz znużonej rezygnacji, jako że nasze pojawienie się przekreśliło wszystkie pomysły, jakie mogły przemknąć mu przez głowę, na przykład przykrycie ciał gałęziami i wyniesienie się stamtąd jak gdyby nigdy nic.

Wychylając się znad karku wierzchowca, skinąłem lekko głową w jego stronę.

- Każ tym ludziom jechać dalej, żołnierzu! - zawołał centurion. Rekruci byli zbyt niedoświadczeni, żeby przyjąć rozkaz na zasadzie „podaj dalej” i wszyscy

jak jeden mąż ustawili się naprzeciwko nas. Nie ruszyłem się z miejsca.

- Pokaż im swój dokument podróży! - syknął głośno do mnie Ksantus, uznawszy, że znaleźliśmy się w opałach... co naturalnie stało się faktem, kiedy tylko otworzył usta. Zignorowałem go, ale centurion zeszywniał. Teraz to już na pewno zechce się upewnić, kim naprawdę jesteśmy, i jeśli był tak skrupulatny, na jakiego wyglądał, to również będzie chciał wiedzieć, dokąd się udajemy, kto nas wysłał, co robimy tutaj na tym pustkowiu i czy którakolwiek z naszych spraw może w jakiś sposób dotknąć jego samego.

To mogło wystarczyć, żebyśmy utknęli w miejscu na co najmniej kilka tygodni. Mój uporczywy bezruch zrobił wrażenie na moim towarzyszu, który oklapł z nieszczęśliwą miną. Centurion wlepił w nas groźne spojrzenie.

Było mi już wszystko jedno; niechby sobie uważali, że Ksantus i ja to dwaj rozrywkowi chłopcy na szaleńczej wyprawie. Ksantus w sposób oczywisty wyglądał na fryzjera... a ja, rzecz jasna, na człowieka zbyt ubogiego, by stać mnie było na osobistego służącego. Nasz koń i muły pochodziły z miejscowych stajni, które dostarczały wierzchowców cesarskim kurierom, jednak zwierzęta nie wyróżniały się niczym szczególnym, po czym można by to było poznać. Wyposażony w pasy i zamknięty na klamry kosz z darem Wespazjana dla XIV Legionu miał jednoznacznie wojskowy wygląd. Nawet mój własny bagaż nie wyglądał na własność podróżnego. A przecież podejrzeniu, że mogę być kimś oficjalnym, zaprzeczała wykwintna kruchość mojego współtowarzysza. Jak wszyscy inni centurion otaksował jego płaszcz w greckim stylu i fiołkową tunikę z szafranowym haftem (zapewne wyrzuconą przez Nerona, ale nie zamierzałem o to zapytać, żeby nie dać Ksantusowi okazji do snucia opowieści) i przeanalizował jaśniutką cerę, pedantycznie przystrzyżone włosy, przyjrzał się butom (tego dnia były to akurat dziurkowane koszmarki z purpurowymi frędzlami). Nie przegapił nieznośnej, kokieteryjnej miny. Potem przeniósł wzrok na mnie.

Rozczochrany odpowiedziałem mu niewzruszonym spojrzeniem. Dałem mu chwilkę na to, żeby nie udało mu się mnie rozgryźć. Potem zasugerowałem spokojnie:

- Sprawa dla straży miejskiej z następnego miasteczka posiadającego sędziego? - Zajrzałem do mapy, pozwalając mu zobaczyć, że to mapa wojskowa. - Jesteśmy trzy dni od Lugdunum. Cavillonum powinno być tuż-tuż. To spore miasto...

Ludzie nigdy nie okazują wdzięczności. Podsunąłem mu wyjście, a to tylko zwiększyło jego zainteresowanie. Odwrócił się z powrotem do zwłok. Powinienem był natychmiast ruszyć dalej, jednak przez to, że widziałem wcześniej tych ludzi, nie mogłem myśleć o nich jak o zupełnie obcych. Zsiadłem z konia i zsunąłem się do rowu.

Nawet nie bardzo mnie dziwiło, że są martwi. Kiedy żyli, robili wrażenie

ludzi zaplątanych w jakąś trudną sytuację. Teraz natomiast miałem wrażenie, że ich zachowanie zdawało się zapowiadać tragedię.

Obrażenia były ledwie widoczne; najwyraźniej najpierw ich pobito, a potem uduszono. Związane ręce świadczyły jednoznacznie, że było to zabójstwo z premedytacją.

Centurion obszukiwał ciała z obojętną miną, podczas gdy młodzi żołnierze woleli trzymać się z daleka. Zerknął na mnie.

- Nazywam się Falko - oświadczyłem, by pokazać, że nie mam nic do ukrycia.

- Osoba oficjalna?

- Nie pytaj! - rzuciłem krótko, co miało mu powiedzieć, że wystarczająco oficjalna. - Co o tym sądzisz?

Zaakceptował mnie jako równego sobie.

- Wygląda mi na rabunek. Nie ma koni. Temu postawnemu odcięto od pasa sakiewkę.

- Skoro tak, zgłoś to władzom cywilnym, kiedy będziesz przejeżdżał przez Cavillonum. Niech one się tym zajmą.

Grzbietem dłoni dotknąłem jednego z zabitych. Był zimny. Centurion widział, co robię, ale komentarz był zbyteczny. Ubranie tego odwróconego teraz na plecy nasiąkło mętną wodą z dna rowu.

- Nic, co by wskazywało, kim są czy dokąd jechali! To musi być sprawa rabusiów - odezwał się, widząc, że ciągle bacznie przyglądam się zwłokom. Spojrzał mi prosto w oczy, czekając na zaprzeczenie. Uśmiechnąłem się blado. W jego sytuacji zająłbym takie samo stanowisko. Wyprostowaliśmy się obaj. - Niech jeden z was wróci i sprawdzi ostatni kamień milowy! - zawołał w stronę drogi.

- Tak jest, Helwecjuszu.

Podbiegliśmy pod stromiznę rowu i znaleźliśmy się ponownie na drodze. Na dole rekruci dla fasonu ostatni raz szturchnęli ciała, po czym poszli w nasze ślady; większość z trudem gramoliła się pod górę.

- Przestańcie się wygłupiać! - warknął Helwecjusz, ale musiałem przyznać, że okazywał im mnóstwo cierpliwości.

- Wydaje się, że odpowiadają niejasnym współczesnym kryteriom! - uśmiechnąłem się. Gość nie znosił żółtodziobów, jak większość dowódców rekrutujących, ale nic nie powiedział. - Z którego jesteś legionu? - zapytałem.

- Pierwszy *Adiutrix* - oświadczył.

Cerialis sprowadził ich zza Alp do pomocy przy zdławieniu rebelii. Zdążyłem zapomnieć, gdzie obecnie stacjonują. Całe szczęście, że nie należał do Czternastego.

Ksantus spytał jednego z żołnierzy, do którego warownego obozu się udają; młody człowiek nie potrafił mu powiedzieć. Centurion wiedział, ale milczał, a ja nie pytałem.

Zostawiliśmy żołnierzy i pojechaliśmy dalej w stronę rozstaju dróg w Cavillonum, skąd zamierzałem skierować się na południe. Po jakimś czasie Ksantus poinformował mnie, z widoczną dumą, że zapamiętał tych dwóch zabitych z Lugdunum.

- Ja też.
- Nic nie powiedziałaś! - oświadczył z rozczarowaniem.
- Nie było potrzeby.
- Co teraz będzie?
- Centurion zawiadomi władze miasta, a oni zabiorą ciała i zorganizują grupę pościgową, żeby odnaleźć rabusiów.
- Sądzisz, że ich złapią?
- Raczej nie.
- Skąd wiesz, że to był centurion.
- Nosił miecz po lewej stronie.
- Zwyczajni żołnierze noszą je inaczej?
- Zgadza się.
- Dlaczego?
- Żeby pochwa nie przeszkadzała tarczy - tłumaczyłem cierpliwie. Dla żołnierza piechoty swoboda poruszania się mogła oznaczać życie albo śmierć, ale takie szczegóły kompletnie nie interesowały Ksantusa.
- Wiesz, że to mogliśmy być my! - zaświergotał z entuzjazmem. - Gdybyśmy ty i ja, Falko, wyruszyli dzisiaj rana wcześniej, to my mogliśmy natknąć się na tych rabusiów.

Milczałem. Uznał, że ta sugestia wytrąciła mnie z równowagi, więc jechał dalej z wyniosłą miną. To kolejna z jego paskudnych cech; potrafił dobrnąć do rozwiązania połowy problemu, po czym jego umysł raptownie się zaciął.

Nawet gdybyśmy wyjechali o świcie z jukami dzwoniącymi i opatrzonymi napisem „Częstujcie się” w trzech językach, to nie sądzę, by ci, którzy zabili tamtych dwóch, w ogóle zechcieli nas tknąć. Nie był to zwykły napad na podróżnych. I ja, i Helwecjusz dostrzegliśmy rzeczy dziwne. Przede wszystkim ci dwaj mężczyźni nie zginęli tego ranka. Ciała były zimne, a stan ich odzienia wskazywał, że przeleżeli w rowie całą noc. Kto podróżuje nocą? Nie robią tego nawet cesarscy kurierzy, chyba że cesarz umarł albo wiozą oni szczegóły bardzo skandalicznego wydarzenia dotyczącego najwyższych postawionych osób w państwie. Zresztą sam widziałem ofiary przy kolacji. Owszem, wyglądali na zgnębionych, ale nie na ludzi, którzy zamierzają bezzwłocznie ruszyć w podróż, oświetlając sobie drogę latarniami. Tego wieczoru odpoczywali w tawernie równie spokojnie jak cała reszta z nas.

Nie. Ktoś zabił tych dwóch, zapewne w wiosce, niedługo po tym, jak ich widziałem, po czym w ciemnościach przetransportował ich ciała całkiem daleko. Może gdybym się nie zasiedział przy winie, byłbym świadkiem

zabójstwa. Może bym mu nawet zapobiegł. W każdym razie po tym, jak wyszli z tawerny, ktoś musiał ich pobić i udusić, a potem upozorować całe wydarzenie jako kolejny przypadek związany z niebezpieczeństwem podróżowania, tak żeby nikt nie zadawał zbędnych pytań.

- To zwykły zbieg okoliczności, co, Falko?

- Możliwe.

Raczej nie. Nie miałem jednak czasu, by się zatrzymać i dochodzić prawdy. Jediną kwestią, nad jaką mogłem się zastanawiać, przejeżdżając przez Cavillonum, to czy ich smutny koniec był wynikiem jakichś spraw osobistych w Lugdunum... czy też miał związek z moim zadaniem?

Powiedziałem sobie, że nigdy się tego nie dowiem.

Nic mi to nie pomogło.

15

Argentoratum zapomniało, co to gościnność... jeśli w ogóle kiedykolwiek posiadało tę cechę. Znajdowała się tu ogromna baza wojskowa od czasów, kiedy Rzym zainteresował się Germanią, i ucierpiały na tym dobre maniere mieszkańców. Było to pierwotne miejsce stacjonowania mojego legionu, II *Augusta*. W czasie, kiedy wysłano mnie do Brytanii, w jego szeregach była zaledwie garstka zręczliwych weteranów pamiętających jeszcze życie nad Renem. Rzymskie panowanie w Brytanii zawsze wydawało się zagrożone, a my nigdy nie traciliśmy nadziei, że przerzucą nas do jakiegoś lepszego miejsca, i dlatego też żołnierze z mojego legionu zawsze mówili o Argentoratum tonem właścicieli.

To wcale nie oznaczało, że mogłem liczyć na dawne przywileje, kiedy mi się zechce tam pojawić.

Kiedyś, w drodze do jeszcze gorszych miejsc, przejeżdżałem przez tę niegościnną miejscowość. Ostatnim razem przynajmniej poznałem młodego Kamila Justyna. Postawił mi dobrą kolację i pokazał wszelkie atrakcje, najwyższego i najgorszego rzędu... które nie okazały się ani takiego wysokiego rzędu, jak się mieszkańcom Argentoratum wydawało, ani tak niskiego, na jaki wówczas miałem nadzieję. Byłem wtedy przygnębiony... zakochany, choć jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy. Teraz zastanawiałem się, czy Kamil wtedy dostrzegł, że jego dostojna siostra (której byłem eskortą, choć jak zwykle to ona przewodziła) zaganiała mnie do klatki jak swojego ulubionego kanarka. Czekałem na okazję, by go o to zapytać i wspólnie się z tego pośmiać. Wpierw jednak trzeba było go odnaleźć.

Duże ośrodki wojskowe mają swoje minusy. W fortecy nigdy nie spotkasz znajomego wartownika. Żaden urzędnik, którego przyjaźń zaskarbiłeś sobie podczas ostatniego pobytu, nie ostał się na stanowisku. W mieście nie dowiem się niczego. Miejscowi są zbyt zajęci zarabianiem na żołnierzach, by zawracać

sobie głowę przyjezdny. Mężczyźni są dla nich opryskliwi, a kobiety traktują ich pogardliwie. Psy szczekają, a osły gryzą.

Ostatecznie zaciągnąłem Ksantusa na czoło ustawionej przed wartownią kolejki narzekających ludzi. Mogłem się zarejestrować jako cesarski wysłannik i otrzymać kwatery wewnątrz obozu, jednak darowałem sobie wieczór uprzejmości wobec intendencji. Jeden wartownik wystarczył, żeby przekazać mi wszystkie złe wieści: nie zanotowali przybycia żadnej szlachetnej siostry żadnego szlachetnego trybuna, a znamienity Kamil Justyn i tak wyjechał z Argentoratum.

- Jego zmiennik przybył dwa tygodnie temu. Justyn zakończył służbę.

- Co... wrócił do Rzymu?

- Też coś! Tu jest Ren, nikt stąd nie umknie tak łatwo! Dostał nowy przydział.

- Gdzie teraz stacjonuje?

- Nie mam pojęcia. Jedyne, co wiem, to że dostajemy teraz hasło na nocną wartę od jakiegoś przygłupiego gołowąsa prosto po studiach filozoficznych. Jego wczorajszym klejnocikiem była ksenofobia. Dzisiaj siedzi w pudle trzech wartowników, którzy nie zapamiętali hasła, a zastępca centuriona krąży jak niedźwiedź, któremu kolec wbił się w zadek, bo musi zgłosić do raportu dyscyplinarnego swoich najlepszych ludzi.

Obecnie żaden legion w Germanii nie mógł sobie pozwolić na błędy wartowników. W prowincji nie bez powodu obowiązywał stan wyjątkowy i nie było miejsca dla durnych trybunów, którzy chcą się popisywać.

- Domyślam się, że ten mądrała dostaje teraz niezłą lekcję od legata! - powiedziałem. Siłą woli wypchnąłem z głowy niepokój dotyczący Heleny, koncentrując się na jej bracie. - Może Kamila Justyna wysłano do jednego z legionów sił ekspedycyjnych?

- Chcesz, żebym popytał? - Wartownik chciał pokazać, że chętnie by pomógł przyjacielowi trybuna, ale obaj wiedzieliśmy, że nie ruszy się ze swojego stanowiska.

- Nie rób sobie kłopotu - odparłem z uprzejmym grymasem. Czas było odejść. Zdawałem sobie sprawę z tego, że wyglądający zza mojego ramienia i otoczony obłokiem egzotycznego pachnidła fircyk robi kiepskie wrażenie na tym twardym legioniście z pierwszej linii.

Dokonałem ostatniej już próby, żeby się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Co się mówi o Czternastym *Gemina*?

- Dranie! - odpowiedział krótko wartownik.

Nie mogłem od niego oczekiwać niczego więcej poza tą niezbyt skomplikowaną wymianą zdań. Na wartowni, po zmroku, w deszczowy październikowy wieczór nie było dużych szans na lekką wyrefinowaną konwersację. Za mną czekało na zarejestrowanie dwóch wyczerpanych kurierów, Ksantus coraz bardziej rzucał się w oczy, a kompletnie pijany

dostawca dziczyzny, który koniecznie chciał przedyskutować rachunek z osobą zarządzającą jadalnią dla centurionów, tak na mnie napierał, że wyniosłem się stamtąd, nie mając ochoty na żadne awantury. Czułem się jednak sponiewierany i odarty z godności jak dziewczyna usługująca gościom podczas uczyty w Saturnalia.

Wziąłem dla nas pokój w gospodzie dla cywilów, stojącej pomiędzy obozem i rzeką, żeby o świcie móc szybko wyjechać. Poszliśmy do łaźni, ale okazało się, że jest już za późno, żeby liczyć na gorącą wodę. Zaskoczeni niezrozumiałym faktem, że w obcych miastach tak szybko zatrzaskuje się okiennice na noc, zjedliśmy w ponurym nastroju kolację, popijając ją kwaśnym białym winem, i przez większość nocy nie zmrużyliśmy oka, słuchając co chwila tupotu ciężkich buciorów. Umieściłem nas bowiem przy ulicy pełnej burdeli. Ksantusa bardzo intrygowały te odgłosy, ale powiedziałem mu, że to wojsko ma nocne ćwiczenia.

- Posłuchaj, Ksantusie. Kiedy ja udam się do Mogontiakum, ty możesz sobie tu poczekać. Przyjadę po ciebie w drodze powrotnej, kiedy już wywiążę się ze swojego obowiązku wobec cesarza.

- Ależ skąd. Jak już dotarłem tak daleko, to cię nie opuszczę!

Z jego tonu wynikało, że wyświadcza mi wielką przysługę. Zamknąłem ze znużeniem oczy i nie odezwałem się więcej.

Nazajutrz próbowałem załatwić nam darmowy przejazd, ale mi się nie udało. Wycieczka w dół Renu oferuje piękne widoki, więc właściciele barek życzyli sobie odpowiednio wysokiej zapłaty za przywilej podziwiania stu mil malowniczego krajobrazu.

Płynęliśmy statkiem z winem, w czym nie było nic dziwnego, bo większość z nich przewozi ten trunek. Dzieliliśmy przyjemność oglądania wolno przesuwającej się panoramy z jakimiś dwoma sędziwymi gośćmi i z handlarzem. Staruszkowie byli zgarbieni, mieli łyse głowy i pyszną wałówkę, którą nie zamierzali się z nikim dzielić. Przez całą podróż siedzieli naprzeciwko siebie, rozmawiając jak ludzie, którzy znają się od wieków.

Handlarz, który wszedł na pokład, kiedy zacumowaliśmy przy niewielkiej osadzie zwanej Borbetomagus, też był zgarbiony, tyle że pod ciężarem składanego kramu i okropności swojego towaru. Obaj z Ksantusem wpadliśmy mu od razu w oko i szybko rozsypał rogi tobołków i rozłożył swoje skarby. Ksantus aż podskoczył z wrażenia.

- Popatrz tylko, Falko!

Ponieważ czasami zdarzało mi się go ratować przed jego własną głupotą, zerknąłem na te śmieci, w które najwyraźniej zamierzał zainwestować. Jęknąłem. Tym razem były to militaria. Mylilibyście się, sądząc, że nasi waleczni żołnierze są wystarczająco obładowani ekwipunkiem, żeby nie wydawać żołdu na dodatkowy; w rzeczywistości ten sprytny straganiarz nieźle

zarabiał, opychając legionistom swoje żalosne pamiątki z dawnych wojen. Oglądałem to już wcześniej w Brytanii. Widziałem to w stosach rupieci, jakie mój nie znający umiaru starszy brat ściągnął do domu z egzotycznych bazarów Cezarei. Tutaj, gdzie wzdłuż Renu stacjonowało dziewięć legionów, w większości znudzonych i posiadających duże ilości cesarskiego srebra żołnierzy, przed handlarzem osobliwymi tubylczymi kłamrami, zużytą bronią i dziwnymi kawałkami żelaza, które równie dobrze mogły stanowić fragmenty jakichś narzędzi rolniczych, otwierały się ogromne perspektywy.

Mężczyzna był typowym przedstawicielem ludu Ubiów, gęba mu się nie zamykała. Szczerzył wystające zęby; gadka była techniką mającą zmiękczyć potencjalnego klienta. Ksantus był urzeczony, jak zawsze w takiej sytuacji. Pozwoliłem, żeby się ze sobą dogadywali.

Handlarz miał na imię Dubnus. Sprzedawał tubylcze hełmy ze spiczasto zakończonymi osłonami na uszy, miał kilka mis, „starych” grotów od strzał i włóczni (które zapewne zebrał parę dni wcześniej ze śmietnika w mijanym obozie wojskowym), brudny kubek, który jak przysięgał Ksantusowi, był z rogu tura, trochę kółek z „sarmackiej kolczugi”, połowę kompletu rzędu końskiego Icenów i, dziwnym trafem, zbiór bałtyckich bursztynów.

Żaden z bursztynów nie miał uwięzionego owada, ale i tak był to jedyny towar wart zainteresowania, ale Ksantus, co oczywiste, nie raczył spojrzeć na nie drugi raz. Powiedziałem, że kupiłbym parę bursztynów dla swojej dziewczyny, gdyby były dobrane i ładnie nawleczone. Nawet nie bardzo się zdziwiłem, kiedy mężczyzna natychmiast wyciągnął z zakamarków swojego nieświeżego odzienia trzy czy cztery przyzwoite naszyjniki... po nieprzyzwoicie wysokich cenach.

Spędziliśmy znośne pół godziny, targując się o sznurek z najmniejszymi koralami. Dla samego poćwiczenia gardła zbiłem cenę do jednej czwartej pierwotnej, po czy pochwyciłem jeden z tych lepszych naszyjników, tak jak zamierzałem od samego początku. Handlarz oszacował mnie przebiegłym spojrzeniem, Ksantus jednak wyglądał na zaskoczonego. Nie miał pojęcia, że spędziłem dzieciństwo, kręcąc się przy Saepa Iulia wokół kramów z używanym towarem. Myślałem sobie, że niegłupio będzie kupić prezent urodzinowy dla Heleny na wszelki wypadek, gdybym się na nią gdzieś natknął. Tęskniłem za nią. A to czyniło ze mnie łatwy łup dla każdego, kto handlował drobiazgami nie będącymi zupełną tandetą.

Stwierdziwszy, że moja sakiewka pozostanie definitywnie zamknięta, Dubnus ponownie zabrał się do czarowania Ksantusa. Był w tym prawdziwym artystą. Jako syn licytatora obserwowałem go niemal z przyjemnością. Na szczęście nie płynęliśmy do samej delty, bo mój fryzjer kupiłby cały jego towar. Dał się jednak namówić na róg tura, który Dubnus miał własnoręcznie odciąć jednej z tych galijskich dzikich bestii o legendarnym wściekłym charakterze...

- Bardzo bym chciał takiego zobaczyć, Falko!
- Bądź wdzięczny losowi, że to mało prawdopodobne!
- Widziałeś kiedyś jakiegoś podczas swoich podróży?
- Nie. Jestem człowiekiem rozsądnym, Ksantusie... nigdy się nie starałem.

Ostatecznie kupił całkiem użyteczny kubek, z którego nie wylało mu się jakoś szczególnie dużo w wycięcie tuniki, kiedy spróbował się z niego napić. Udało mu się go wypolerować do błysku. Nie powiedziałem mu, że tury nie mają kręconych rogów.

Kiedy nasz statek zbliżał się do celu, Dubnus zaczął zwijać swoje skarby. Ksantus zwrócił uwagę na hełm. Po części, żeby go ratować, nim wyda ostatniego asa (bo to by oznaczało, że ja będę musiał płacić za wszystko), odebrałem mu go.

Od razu było widać, że to hełm wojskowy, choć zauważyłem różnice. Współczesny hełm ma szerszą osłonę karku i ramion i dodatkowe klapy zakrywające policzki i uszy. Podejrzewam, że tę nowszą wersję zaprojektowano dla ochrony przed ciosami zadawanymi szerokimi celtyckimi mieczami. Wcześniejszy wzór zmodyfikowano na długo przed moim urodzeniem, ale właśnie teraz miałem przed sobą ten starszy typ hełmu.

- To musi być bardzo stary egzemplarz, Dubnusie.
- Nazywam go pamiątką po klęsce Warusa! - oznajmił przyjaźnie, jakby przyznawał się, że to podróbka; potem jego spojrzenie napotkało moje i zrobił niewyraźną minę.

Poczułem się nieswojo.

- Skąd go masz?
- Och... gdzieś z lasów. - Zamilkł powściągliwie.
- Skąd?- spytałem ponownie.
- Och... tam, z północy.
- Gdzieś z okolic Lasu Teutoburskiego?

Nie miał ochoty wyjaśniać. Przykląkłem i uważniej przyjrzałem się jego towarowi. Uznał, że może mieć ze mną kłopoty, więc nie podobało mu się to, co robię. Zignorowałem jego zdenerwowanie. To jeszcze bardziej go zmartwiło.

Teraz dostrzegłem kawałek starego brązu, który mógł pochodzić z głowicy rzymskiego miecza; sprzączki, jakie widywałem w domu dziadka; trzymadło pióropusza... kolejne porzucone rozwiązanie, teraz zastąpione stosowną ramką.

- Sporo sprzedajesz tych „pamiątek po Warusie”, co?
- Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

Był tam też jakiś szerniały przedmiot, którego nie chciałem brać do rąk, ponieważ domyślałem się, że to ludzka czaszka.

Podniosłem się.

Przybrany wnuk cesarza Oktawiana Augusta, bohaterski Germanik, znalazł

rzekomo miejsce masakry, zebrał porozrzucone szczątki legionistów i sprawił wybitej do nogi armii Warusa jakiś przyzwoity pogrzeb - kto jednak uwierzy, że w tym wrogim lesie Germanik i jego niespokojni żołnierze spędzili wiele czasu, wystawiając się na nieprzyjacielski cel? Zrobili, co mogli. Sprowadzili utracone znaki legionowe do Rzymu. Potem już wszyscy mogliśmy spać z czystym sumieniem. I lepiej było nie myśleć, że gdzieś w mrocznych kniejach nie podbitej Germanii kawałki broni i inne łupy wciąż mogą leżeć przemieszane z kośćmi nie pochowanych Rzymian.

Dzisiejsi żołnierze chętnie kupowali ten zaśnieżony sprzęt, ponieważ uwielbiali pamiątki świadczące o mężnych czynach i niebezpiecznych akcjach. Im bardziej krwawe wydarzenia, tym lepiej. Jeśli Dubnus rzeczywiście odkrył miejsce tamtej bitwy, musi czerpać ze znalezisk wielkie zyski.

Postanowiłem nie poruszać tego tematu, wypytując go o istotne dla mnie sprawy.

- Więc przeprawiasz się za rzekę, co? Na północy? - zainteresowałem się. Wzruszył ramionami. Przedsiębiorczość wymaga śmiałości. Tak czy owak, dla handlu wolna Germania nigdy nie była terenem zakazany. - Jak daleko wiodą cię twoje podróże? Czy spotkałeś kiedyś sławną wieszczkę?

- Niby którą?

Droczył się ze mną. Starłem się nie wykazywać szczególniejszego zainteresowania, na wypadek gdyby wyprzedziła mnie wieść o mojej misji.

- A czy istnieje więcej jak tylko jedna złowroga stara panna sprawująca władzę nad plemionami? Mam na myśli tę krwiożerczą kapłankę Brukterów.

- Och, Weleda! - zachichotał Dubnus.

- Widziałeś ją kiedyś?

- Jej się nie widuje.

- Niby dlaczego?

- Mieszka na szczycie wysokiej wieży w odległym zakątku puszczy. Nie przyjmuje nikogo.

- Odkąd to niby wiesz, że są tacy nieśmiali? - zdziwiłem się. Typowe Falkonowe szczęście. Jakaś dziwaczka. - Nigdy nie podejrzewałem, że ma wyłożony marmurem gabinet, sekretarza, który organizuje audiencje i częstuje gości napojem miętowym, ale chyba się jakoś z ludźmi komunikuje?

- Mężczyźni z jej rodziny są posłańcami - wyjaśnił.

Sądząc po wpływie, jaki Weleda miała dotąd na wydarzenia w skali międzyplemiennej, jej wujowie czy stryjowie i bracia musieli wydeptać w lasach szeroki trakt. A to oznaczało, że wcale nie była taka nieuchwytna.

- Czy Weleda stanowi część twojej misji? - szepnął podekscytowany fryzjer, otwierając szeroko oczy. Jego naiwne reakcje zaczęły mi coraz bardziej doskwierać.

- Z kobietami sobie radzę. Ale nie zaliczam druidek! - Była to typowa

odzywka. Dwóch z nas dobrze ją znało, ale naiwny Ksantus był pod wrażeniem.

Musiałem działać szybko. Nasza barka zbliżała się do imponującego mostu w Mogontiakum; wkrótce mieliśmy przybić do przystani. Skierowałem zamyślane spojrzenie na handlarza.

- Gdyby ktoś chciał się skontaktować z Weledą, czy udałoby mu się przesłać jakoś wiadomość do jej wieży?

- Może.

Dubnus robił wrażenie zaniepokojonego tą sugestią. Dałem mu wyraźnie do zrozumienia, że przemawiam z pozycji człowieka o pewnym autorytecie, i rozkazałem nie opuszczać miasta.

Handlarz przybrał minę człowieka, który opuści miasto, kiedy tylko zechce, na pewno mnie o tym nie uprzedzając.





CZEŚĆ III
XIV LEGION
GEMINA MARTIA VICTRIX

MOGONTIAKUM, GERMANIA GÓRNA
PAŹDZIERNIK A. D. 71

*„a przede wszystkim Czternasty, którego żołnierze okryli się chwałą,
tłumiąc powstanie w Brytanii”.*
Tacyt, Dzieje

16

Mogontiakum.

Most. Budka poboru myta. Kolumna. Przycupnięte chaty cywilów, kilka porządných domów należących do miejscowych handlarzy wełną i winem. Wszystko to w cieniu jednego z największych obozów warownych cesarstwa.

Osada leżała tuż poniżej miejsca, w którym zlewają się wody Renu i Menu. Most spinający brzegi Renu miał trójkątne filary, skierowane ostrą stroną pod prąd, by rozbić nurt, i drewnianą balustradę. Budka była prowizoryczna; miał ją wkrótce zastąpić solidny nowy urząd celny w Colonia Agrippinensium. (Wespazjan, będący synem ekwity, miał specyficzne podejście do wielu spraw). Kolumna, wzniesiona ku czci Jowisza za czasów Nerona, była wielkim przedsięwzięciem. Potężna warownia głosiła jednoznacznie, że Rzym poważnie traktuje swoją obecność tutaj, choć nie było całkiem oczywiste, czy próbujemy w ten sposób zmylić okoliczne plemiona, czy też przekonać o tym samych siebie.

Pierwsze rozczarowanie spotkało mnie niemal natychmiast. Opowiadałem Ksantusowi, jak to mógłby otworzyć sobie tutaj zakład i na pewno byłby spory popyt na jego usługi. Większość baz wojskowych obrasta gąszcz budek i kramów, powstaje całe zbiorowisko ruder na zewnątrz murów obozu, oferując żołnierzom po służbie podlegszego gatunku rozrywkę. Interes zaczyna rozkwitać, kiedy ze względu na niebezpieczeństwo pożaru łaźnie stawia się za murami i błyskawicznie otwierają się piekarnie, golarnie, burdele i sklepy jubilerskie... z licencją i bez. Wreszcie, co nieuniknione, napływają przybysze przyciągani istniejącym obozem, powstają nieformalne rodziny żołnierzy i

wkrótce ta zbieranina bud i chałup rozrasta się pod murami warowni w miasto zamieszkanie przez cywilów.

W Mogontiakum żadnych budek ani kramów nie było.

Bardzo mnie to zaskoczyło. Zobaczyliśmy bowiem ślady po ich usunięciu. Operacja musiała być szybka i precyzyjna. W pobliżu wciąż wznosiła się góra wyrwanych i potrzaskanych okiennic, i połamanych żerdzi od daszków przeciwsłonecznych. Teraz warownię otaczała goła ziemia, tworząc szeroki taras obronny, za którym wznosił się sześciometrowej wysokości mur, wieże i pomost dla żołnierzy. Pośród widocznych urządzeń obronnych doliczyłem się o jeden więcej niż zwykle rów punicki i zobaczyłem też, jak oddział roboczy przygotowuje teren, zwany przez legionistów liliowym ogródkiem, poorany w kwinkunksy, każdy z pięcioma głębokimi dołami, w których umieszczano zaostrzone pale, a potem maskowano gałęziami krzaków... paskudna przeszkoda dla napastników.

Cywilów przeniesiono daleko za ostatni rów i mimo że minął rok od rebelii Cywilisa, nie pozwalano im się przybliżyć do obozu. Wszystko to wyglądało niezwykle surowo. I o to właśnie chodziło.

W samym obozie nie dostrześliśmy zwykłej atmosfery przyjaznego ładu, typowego dla takich miejsc w czasie pokoju. Wkrótce zorientowaliśmy się, że ta armia dość lekko traktuje swoją obywatelską rolę. Gesty wykonywane przez żołnierzy w stronę miejscowych ograniczały się do sprośnych.

Golarza i mnie uznano za miejscowych, dopóki nie udowodniliśmy, że jest inaczej. Kiedy zameldowaliśmy się u pretorianów przy bramie, nawet Ksantus przestał trajkotać. Musieliśmy zostawić konie. Nie było sympatycznych rozmów ze znudzoną załogą wartowni; zatrzymano nas w prostokątnym pomieszczeniu pomiędzy dwiema bramami i było oczywiste, że jeśli zauważą najmniejszą rozbieżność między naszymi słowami a dokumentami, przyspilią nas do ściany grotami włóczni i dokładnie przeszukają.

Ta atmosfera działała na mnie przygnębiająco. Przypominała mi Brytanię po sprawie z Budiką. A to było coś, o czym zamierzałem na zawsze zapomnieć.

Wreszcie nas wpuszczono. Przesyłka od cesarza wzbudziła podejrzenia, ale swoją rolę spełniła. Obejrzano nas dokładnie, zarejestrowano, kazano udać się wprost do kwatery głównej obozu, po czym pozwolono przejść bramę wewnętrzną.

Ja sam byłem przygotowany na ten ogrom, natomiast Ksantus, mimo że wychowany w labiryncie korytarzy cesarskiego dworu w Rzymie, zupełnie nie był gotów na ten widok. Mogontiakum było stałym obozem warownym na dwa legiony. Wszystko tam zbudowano podwójnie. To nie był już obóz, tylko całe wojskowe miasto. Upchnięto tam dwanaście tysięcy ludzi oraz dość magazynów, kuźni i spichrzów, by wytrzymać wielomiesięczne oblężenie... nie żeby to cokolwiek pomogło tym nieszczęśnikom z Wetery, kiedy zaatakowali

ich buntownicy. Dowodzący legaci zajmowali stosowne pałace, mające świadczyć o pozycji i znaczeniu ich lokatorów; najlepsze wille w większości italskich miast wyglądałyby marnie w porównaniu z kwaterami dla wspomagających dowódców dwunastu młodych trybunów; nawet budynki intendenty, dokąd zmierzaliśmy z Ksantusem, na swój surowy sposób były imponujące.

Wyszliśmy z cienia rzucanego przez pomost szańca. Wieże wartowników górowały nad nami, kiedy przecinaliśmy biegnącą pod murami drogę. Szeroka na około trzydzieści metrów, miała być nie tylko miejscem bezpiecznym od pocisków, ale również umożliwiać szybki dostęp do każdego fragmentu warowni i dlatego usunięto stamtąd zawalidrogi. Zakonotowałem sobie w pamięci, że uznanie za ten nieskazitelny porządek należy się w połowie XIV Legionowi *Gemina*, choć zapewne jego żołnierze wykorzystywali swoich mniej sławnych kolegów do takich robót jak opróżnianie pojemników ze śmieciami i zamiatanie dróg. Stosy zapasowych oszczepów i ciężkich pocisków do polowych balist leżały pod ręką, nigdzie jednak nie włączyły się żadne zwierzęta i nie tkwiły, jak gdzie indziej, dziesiątki wozów. Jeśli kury ofiarne miały prawo gdzieś dreptać, to na pewno nie było to po tej stronie obozu.

Ciągnąłem golarza wzdłuż nie kończącego się szeregu koszarowych budynków; było niemal pięćdziesiąt par tych podwójnych baraków (choć, prawdę mówiąc, nie liczyłem ich), a w każdym miejscu dla stu sześćdziesięciu żołnierzy, w grupach po dziesięciu. Baraki mieściły na swoich końcach po dwie kwatery centurionów. Dość przestrzeni dla legionistów, a były tam jeszcze, choć już nie tak przestronne, kwatery dla złożonych z tubylców *auxilia*, oddziałów posiłkowych... chociaż to akurat nie dotyczyło teraz Czternastego, skoro osiem sławnych kohort Batawów przeszło na stronę rebeliantów... Wespazjan nie zamierzał ich zastępować, dopóki nie złożę mu sprawozdania.

Ksantus był oszołomiony panującą tam atmosferą; ja odczuwałem jedynie nieco przyspieszone bicie serca, jakie towarzyszy ponownemu spotkaniu z czymś dobrze znanym. Dla mnie ten na wpół opustoszały obóz wyglądał zupełnie zwyczajnie. Duża część żołnierzy była na ćwiczeniach albo miała służbę w kuchni, inni odbywali rutynowy, comiesięczny dziesięciomilowy marsz z pełnym obciążeniem. Większość z pozostałych wyruszyła na patrole i nie było to zajęcie ćwiczebne.

- Pod wrażeniem, Ksantusie? Poczekaj do wieczora, kiedy obóz się wypełni. Doświadczysz prawdziwie wyjątkowego uczucia, kiedy znajdziesz się pośród dwunastu tysięcy żołnierzy, z których każdy dokładnie zna swoją robotę! - mówiłem. Milczał. - Myślisz sobie o tym, jaki potencjał tkwi w dwunastu tysiącach nie ogolonych twarzy? - żartowałem.

- Dwanaście tysięcy cuchnących oddechów! - rzucił dziarsko. - Dwanaście tysięcy wariacji ma temat „dziewczyna, którą rznąłem w zeszły czwartek”. A

przy okazji ostrzeżenie, żeby nie zadrasnąć żadnej z dwunastu tysięcy torbieli łożowych!

Dotarliśmy do głównej ulicy.

- Ksantusie, na wypadek gdybyś się zgubił, spróbuj zapamiętać, że to jest właśnie najważniejsza ulica, Principalis.

Jest szeroka na trzydzieści metrów; nawet ty nie możesz jej przegapić. Zorientuj się teraz w położeniu. Principalis przecina obóz w poprzek, pomiędzy bramami Sinister i Dexter, a przy kwaterze głównej dochodzi do niej pod kątem prostym via Praetoria. Kwatera główna zawsze stoi przodem do wroga, więc jeśli możesz zobaczyć, z której strony nadlatują wyrzucone z proc pociski, to się zorientujesz w swoim położeniu w każdej fortecy na świecie...

- A gdzie jest ten wróg? - zapytał. Był całkiem oszołomiony.

- Za rzeką.

- A gdzie ta rzeka?

- Tam! - Zaczynałem tracić cierpliwość, że bez potrzeby strzępię sobie język.

- Tam skąd przyszliśmy - wyjaśniłem, choć i tak nic nie rozumiał.

- W takim razie dokąd idziemy?

- Przedstawić się sympatycznym gościom z Czternastego.

Spotkanie okazało się fiaskiem. Zresztą nie spodziewałem się niczego innego. Po pierwsze, wykonanie żadnego z zadań, jakiego się kiedykolwiek podjąłem, nie przyszło mi łatwo, a po drugie, ten legion nigdy nie dawał się lubić.

17

Kwatera główna obozu została zaprojektowana w taki sposób, żeby przytłoczyć ogromem każdego tubylca, który ośmieliłby się wetknąć nos poza bramę Pretoriańską. Stanowiła najważniejszy element widoku, jaki mieliśmy przed oczyma, i im bardziej się do niej zbliżaliśmy, tym większe wrażenie na nas robiła.

W fortecy znajdował się jeden zespół budynków administracyjnych. Legiony obecnie tu stacjonujące kwaterowały po dwu stronach obozu, ale dzieliły ze sobą tę masywną budowlę, mającą reprezentować trwałość warowni. Kamienna fasada z kolumnadami po obu stronach godnie wyglądających potrójnych drzwi górowała nad nami i nad via Praetoria. Przemknęliśmy pod łukiem po lewej stronie i zobaczyliśmy przed sobą solidnie wydeptany plac defilad, który zajmował większą powierzchnię niż forum w większości miast w prowincjach. Na szczęście akurat nikt tam nie defilował. Mój trwożliwy towarzysz mógłby nie przeżyć tego wstrząsu.

- Nie możemy tam iść! - zaprotestował.

- Jeśli ktokolwiek zakwestionuje naszą obecność, nie waz się otwierać ust. A w ogóle podczas naszego tutaj pobytu nie wdawaj się w dyskusję z nikim, kto

nosi miecz. I, Ksantusie, postaraj się nie wyglądać jak nierozgarnięty aktorzyzna prosto z Neronowego przedstawienia...

Trzy boki placu okalały magazyny i biura kwatermistrza. Naprzeciwko nas stała wielka hala bazyliki, gdzie odbywały się ceremonie i uroczystości dotyczące obydwu legionów. Tam właśnie mieliśmy się znaleźć, ruszyłem więc prosto przez plac defilad. W połowie drogi nawet ja poczułem się zbyt wystawiony na widok publiczny. Przejście na drugą stronę zdawało się trwać wieki i niemal czułem na karku gorący oddech centurionów spoglądających na nas z okien tych wszystkich biur. Zrozumiałem, co czuje homar, kiedy woda w garnku zaczyna się stopniowo podgrzewać.

Hala była ogromna. Rozciągała się na całą szerokość zespołu. Nie była specjalnie ozdobiona; zamierzony efekt osiągnięto samym rozmiarem. Nawa główna miała szerokość dwunastu metrów, od ponurych bocznych naw, o połowę węższych, oddzielały ją gigantyczne kolumny. Wspierały one potężny dach, nad którego ciężarem lepiej się było nie zastanawiać. W dżdżysty dzień można tam było upchać ciasno cały legion. Przez resztę czasu to onieśmielające potężne wnętrza pozostawało puste i ciche, strzegąc swoich tajemnic i świadcząc o niezwykłych umiejętnościach wojskowych inżynierów.

W głębi majaczyła trybuna dowódcy. Głównym elementem wnętrza, znajdującym się na wprost wejścia, była kapliczka legionistów.

Ruszyłem w tamtą stronę z głośnym stukotem butów. W powietrzu unosił się delikatny zapach ceremonialnego olejku, świeżego, niedawno używanego. Za osłoną z kamieni mieściła się ognioodporna sklepiona komora; strzegła ona tego drugiego świętego miejsca, podziemnego skarbcza. Tu, na górze, w części otwartej, trzymano przenośny ołtarz do przeprowadzania wróżb. Wokół niego ustawiono pionowo sztandary i znaki legionowe.

Żołnierze XIV Legionu rozpanoszyli się w najbardziej widocznym miejscu, ten drugi legion musiał wcisnąć swoje znaki w kąt. W honorowym miejscu błyszczał orzeł Czternastego i spowity w purpurę portret cesarza. W przyćmionym świetle padającym przez szereg wysoko umieszczonych w nawie głównej okien na sztandarach centurii dojrzałem więcej medali za bohaterskie czyny, niż kiedykolwiek przedtem miałem okazję zobaczyć naraz. Przeważały te przyznane przez cesarzy Klaudiusza i Nerona, co oznaczało, że żołnierze otrzymali je za wybitne czyny w służbie na terenie Brytanii. Naturalnie były tam też spiżowe posągi tytularnych patronów, Marsa i Wictorii. Sztandary tego drugiego legionu dla odmiany nie były przyozdobione żadnymi medalami.

Nie przyszłiśmy tam, by składać im hołd. Puściłem oko do orła, który strzegł kompletu nagich sztandarów. Potem skierowałem Ksantusa do pobliskich biur. Przy sanktuarium znajdował się sekretariat. Ponieważ nikt inny nie ma ochoty zajmować się problemami związanymi z zakwaterowaniem i wyżywieniem, urzędnicy kontrolują organizację wewnątrz fortecy i, co oczywiste, sobie

wyznaczają najlepszą grzędę.

Łysy urzędnik do spraw testamentów skinieniem głowy skierował nas w stronę eleganckich pomieszczeń, jakie zagarnął dla siebie Czternasty. Było tam cicho i spokojnie. To mogło oznaczać, że legion jest senną, niekompetentną gromadą albo że zadania na dzisiaj zostały już wykonane i zakończone. Być może ich legat udał się na sjęstę do swojego domu, a prefekt obozu był przeziębiony. Może wszyscy trybuni wzięli sobie dzień wolnego i ruszyli na polowanie. Powstrzymałem się od ocen. Tak długo jak spichrze mieli pełne, policzoną broń i dysponowali aktualnymi danymi dotyczącymi finansów, Wespazjan nie miałby zapewne nic przeciwko temu, żeby intendentura Czternastego pracowała sobie pomaleńku. Jego interesowały rezultaty.

W największym pokoju znaleźliśmy dwie ważne osobistości.

Jeden z mężczyzn, członek personelu cywilnego, ubrany był w czerwoną tunikę i nie nosił żadnej zbroi. Wiszący na gwoździu hełm przyozdobiony był dwoma rogami i stąd wiadomo było, że urzędnik nosił tytuł *cornicularius*: naczelnik intendentury. W mojej opinii te małe rożki to jeden z żartów legionowych, ośmieszających urzędników. Jego towarzysz należał do odmiennego gatunku ludzi. Centurion w pełnym rynsztunku, włącznie z kompletem dziewięciu *phalerae*, wiszących na piersi medali przyznanych za znakomitą służbę. Przekroczył już sześćdziesiątkę, a zastygły na jego twarzy wyraz pogardy informował mnie, że to *primipilus*, pierwszy centurion. Po trzech latach piastowania tego upragnionego przez wielu stanowiska przysługuje dodatek równoznaczny ze statusem przynależności do warstwy średniej, wraz z przepustką do lukratywnych cywilnych posad. Niektórzy z nich, a domyślałem się, że ten do nich należy, woleli pozostać na tym stanowisku, nadal naprzykrzając się wszystkim wokół. Dla tych ludzi dobre życie to takie, które się kończy śmiercią na posterunku w jakiejś zapomnianej przez bogów prowincji.

Ten konkretny *primipilus* miał krótką szyję i byczy kark; wyglądał, jakby sztuczką, którą zabawiał innych na przyjęciach, było zabijanie much uderzeniem głowy. Był szeroki w ramionach, a jego tors prawie się nie zwał w drodze do pasa, jednak brzuch nie wystawał ani trochę. Stopy miał małe. Rozmawiając z nami, prawie się nie poruszał, domyślałem się jednak, że jeśli zechce, to potrafi być żwawy. Nie podobał mi się. Co nie było istotne. On też nie był mną zachwycony, ale to akurat miało znaczenie.

Cornicularius nie wyglądał tak imponująco. Miał zadarty nos i małe, gorzko skrzywione usta. To, czego brakowało mu w wyglądzie, z nawiązką nadrabiał zjadliwością i umiejętnością wyrażania swoich myśli.

Kiedy tam weszliśmy, ci dwaj byli zajęci; nie zostawili suchej nitki na żołnierzu, który im się naraził, zadając jakieś całkiem niewinne pytanie. Mieli niezłą zabawę i gotowi byli upokarzać swoją ofiarę przez całe popołudnie,

chyba że pojawiłby się ktoś, kto zdegrustowałby ich jeszcze bardziej od tego nieszczęśnika. I ktoś taki się pojawił: Ksantus i ja.

Powiedzieli żołnierzowi, żeby się zapakował do pochwy swojego miecza czy coś w tym stylu. Z ulgą przemknął obok nas i zniknął.

Popatrzyli na nas, potem po sobie i znowu na nas, a potem z drwiącymi minami czekali na rozpoczęcie kolejnej zabawy.

- Własnym oczom nie wierzę! - oświadczył ze zdumieniem Pierwszy.

- Kto tu wpuścił te łajzy? Wartownicy przy bramie chyba upadli na głowy!

- Te rozlazłe lenie z Pierwszego!

- Dzień dobry - odezwałem się od drzwi.

- Spływaj, kędzierzawy! - warknął centurion. - I zabieraj to swoje ukwiecone dziewczę.

W moim zawodzie obelgi mieszczą się w ramach przyjętych obyczajów, więc nie zrobiły na mnie szczególnego wrażenia. Czułem, jak Ksantus trzęsie się z oburzenia, ale jeśli sądził, że w tym towarzystwie wystąpię w jego obronie, to się mylił. Wszedłem do pokoju i z rozmachem postawiłem na posadzce kosz zawierający dar cesarza.

- Nazywam się Dydiusz Falko. - Wydawało mi się rzeczą mądrą dochować formalności. Podstawiłem Rogowatemu pod nos cesarski dokument, a on ujął go kciukiem i palcem wskazującym, jakby wyciągał prosto ze ścieku. Drwiący uśmiezek zatańczył na jego małych ustach, kiedy przesuwał dokument po stole w stronę Pierwszego, żeby ten też mógł się pośmiać.

- I czym się zajmujesz, Falconie? - wycedził, a słowa wydobywały się z jego ledwo uchylonych ust niczym wypełnienie z kiepsko zszytej poduszki.

- Doręczam nieporęczne przesyłki.

- Ha! - skomentował moje słowa centurion.

- A co takiego znajduje się w tym koszu z prowiantem na wycieczkę? - kpił ten bardziej gadatliwy z koleżków.

- Pięć bochenków chleba, kiełbasa w baranim flaku... i nowy znak mający świadczyć o osobistej przychylności cesarza dla Czternastego. Chcecie obejrzeć?

Centurion był tu człowiekiem czynu, zatem kiedy Rogowaty tępy końcem ryłca manipulował przy paznokciu, zmusił się do podejścia, a ja rozpiąłem pasy przy koszyku. Żelazna Ręka ważyła tyle co kawałek ołowiowej rury z akweduktu, ale on uniósł ją za kciuk, lekko, jakby była amuletem.

- O, bardzo ładne! - orzekł. Trudno byłoby przyczepić się do tych słów. Tylko ton wypowiedzi zdradzał, co człowiek sobie myśli.

- Mam dostarczyć dar Wespazjana - mówiłem spokojnie - do rąk własnych waszego legata. Mam też dla niego zapieczętowany list, który jak sądzę, zawiera program stosownej ceremonii inwestytury. Czy jest możliwe, bym mógł bezzwłocznie zamienić słówko z Floriuszem Gracylisem?

- Nie - odparł krótko urzędas.
- Mogę poczekać.
- Możesz wziąć sobie miarę do żałobnej urny i w nią się wsypać.
- Oto słynna uczynność i urok legionu - wyjaśniłem sympatycznym tonem Ksantusowi.

- A kim jest ten obrzydliwie cuchnący kwiatuszek? - zapytał nagle centurion. Obrzuciłem obu znaczącym spojrzeniem.
- Specjalny wysłannik Tytusa Cezara - oznajmiłem z powagą i dobrze wszystkim znanym, wymownym gestem przesunąłem palcem po szyi. - Jeszcze nie odkryłem, czy jest sprytnie przebrany skrytobójcą, z robotą do wykonania, czy tylko rewidentem księgowym lubiącym fantazyjne stroje. Ale teraz, kiedy już tu jesteśmy, szybko się dowiemy. Albo wy nie doliczycie się żywych, albo zobaczycie, jak przegląda wasze codzienne rachunki...

Ksantus był tak zaskoczony, że przynajmniej tym razem trzymał gębę na kłódkę.

Dwaj mądrale wymienili znużone spojrzenia.

- Tak jak myśleliśmy! - westchnął urzędas. - Sprawy w Rzymie muszą naprawdę kiepsko wyglądać, skoro teraz już wysyłają do nas jakichś odrzuconych kandydatów na występy podczas uczt i fałszywe męty jak ten...

- Bez przesady! - Szczerzyłem zęby, próbując dostosować się do ich stylu. - Kimkolwiek jestem, nikogo nie udaję! Wróćmy do sedna sprawy. Jeśli Gracylis jest teraz zbyt zajęty, proszę mnie z nim umówić, kiedy będzie miał więcej czasu.

Przymilność czasami odnosi skutek. Jednak nie tutaj.

- Widzicie go, prawdziwy męt! - nie dawał za wygraną tamten. - Znikaj w swojej własnej dupie, kędzierzawy!

- Zdejmijcie moje otwory z porządku dnia! Posłuchaj, centurionie. Właśnie skończyłem taszczyć żelazną Rękę przez pół Europy i zamierzam ją dostarczyć komu należy. Wiem, że Czternasty to nieokrzęsana i bluźniercza banda, ale jeśli waszemu legatowi marzy się konsulat, to nie pozwoli, żeby zupak i gryziپیórek odrzucili cesarską nagrodę...

- Tylko się nie wymądrzaj - ostrzegł mnie Rogowaty. - Możesz zostawić zarówno dar, jak i zapieczętowane przesłanie. Być może - kombinował z radosną miną - to przesłanie brzmi „Stracić posłańca”...

Nie zareagowałem na te słowa.

- Chętnie zostawię żelastwo, ale poufne rozkazy wręcę samemu Gracylisowi. Czy dostanę tu kwaterę? Teraz, kiedy pozbyliście się tych lojalnych Batawian, musicie mieć sporo miejsca!

- Jak to ma być kpina z Czternastego - parsknął centurion - to się nią naciesz, bo nie będziesz miał okazji popisywać się kolejną!

Odrzekłem, że do głowy by mi nie przyszło obrażać zwycięzców spod

Bedriakum i że sam sobie znajdę lokum.

Kiedy holowałem Ksantusa korytarzem, ten wyjęczał:

- A co to takiego Bedriakum?
- Miejsce bitwy, której Czternastemu udało się nie przegrać dzięki prostej sztuczce, polegającej na twierdzeniu, że w ogóle tam nie dotarli.
- Pomyślałem sobie, że to coś w tym stylu. Zirytowałeś ich, Falkonie!
- I o to chodziło.
- Wiedzą już, że pracujesz dla cesarza...
- Nie, Ksantusie; oni myślą, że to ty dla niego pracujesz!
- I czemu to ma służyć?
- Zdają sobie sprawę, że mają zszarganą opinię. Wiedzą, że cesarz przyśle kogoś, żeby im się przyjrzał, ale uważają, że ja jestem zwykłą szumowiną. Jeśli tylko będę zachowywał się jak dureń, nigdy nie wpadną na to, że mogę być szpiegiem.

Na szczęście Ksantus nie zapytał, dlaczego zależy mi na tym, by kto inny uchodził za cesarskiego agenta. Nie zainteresowało go również, co, według mnie, legioniści z XIV Gemina mogą chcieć zrobić temu, kogo za agenta uznają.

Kiedy dotarliśmy do wyjścia, z innego biura wyszło dwóch trybunów, spierając się ze sobą w wytworny sposób.

- Nie chciałem się narzucać, Makrynusie, ale...
- Nie ma do niego dostępu, planuje jeden z tych swoich wypadów przeciwko wyimaginowanemu wichrzycielom. Przypomnij mi jutro, to wprowadzę cię do niego, kiedy tylko znajdzie się wolna chwilka.

Słuchałem, bo sądziłem, że rozmawiają o legacie Gracylisie. Krępy młody człowiek wyglądał na pewnego siebie, takiego, za jakimi nie przepadałem; był muskularny, miał kanciastą głowę i połyskujące kręcone włosy. Ten drugi, w którego głosie pobrzmiwał protest, wydał mi się znajomy.

Musiał mieć ze dwadzieścia lat, ale wyglądał młodziej.

Zwyczajna, chłopięca twarz. Wysoki i szczupły. Spokojny sposób bycia, ale szerokie usta, skore do uśmiechu.

- Kamil Justyn! - zawołałem. Na mój okrzyk drugi trybun zareagował umiejętnie. Jako potomek senatorów, odebrał dobre wykształcenie: znał łacinę, grekę, matematykę i geografię, wiedział, ile się płaci prostytutce, skąd pochodzą najlepsze ostrygi... i znał tę starą znaną na Forum sztukę umykania przed kimś, kogo chce się uniknąć.

- Przepraszam, Justynie. Nie chcę przeszkadzać.

Brat Heleny wykrzywił twarz do okrytych błyszczącą zbroją, szybko oddalających się pleców.

- Nieważne. I tak nie zamierzał mi pomóc - brat Heleny burknął za oddalającym się szybkim krokiem mężczyzną. - Falko, mam rację?

- Tak. Marek Dydiusz. Słyszałem, że cię przydzielono... mam nadzieję, że nie

do Czternastego?

- Och, nie spełniam ich wysokich wymagań! Nie, przekonano mnie, bym zgłosił się „na ochotnika”, na dodatkowy okres służby w Pierwszym *Adiutrix*... to nowa jednostka.

- Miło mi to słyszeć. Czternasty to same paskudne dranie. Właśnie przywiozłem im dar, a oni odmawiają mi kwatery - oświadczyłem bezwstydnie.

Justyn roześmiał się.

- W takim razie zamieszkaj u mnie! Chodź. Po wysiłku, jaki mnie kosztowała próba wyciągnięcia od nich czegoś rozsądnego, muszę wrócić do domu i poleżeć w ciemności. A co ty tutaj robisz, Marku Dydiuszu? - zapytał, kiedy ruszyliśmy z miejsca.

- Och, nic nadzwyczajnego. Załatwiam sprawy dla Wespazjana. W większości czysta rutyna. Jedno czy dwa dodatkowe zadania, dla rozrywki w wolnym czasie... przyciskanie buntowników, takie tam sprawy - zażartowałem. - Trzeba na przykład odnaleźć zagubionego legata.

Justyn stanął jak wryty i patrzył na mnie zdumiony.

- O co chodzi, trybunie? - zainteresowałem się.

- Czy cesarz ma dostęp do jakichś nowych rodzajów etruskich wróżb?

- Coś się nie zgadza?

- Wprawiasz mnie w osłupienie, Falko! Właśnie to przed chwilą usiłowałem wyjaśnić u mojego kolegi. Nie pojmuję - wyrzucił z siebie - skąd Wespazjan mógł wiedzieć, że coś podejrzanego dzieje się w Germanii, i zdążył cię przysłać, zanim jeszcze mój dowódca podjął decyzję, czy o tym powiadomić Rzym!

- Wyjaśnij! - rzuciłem, kiedy zabrakło mu tchu.

Kamil Justyn zerknął przez ramię, po czym zniżył głos, choć szliśmy akurat przez pusty plac defilad.

- Floriusza Gracylisa nie widziano od kilku dni. Czternasty nie potwierdza tego faktu nawet wobec mojego dowódcy, ale my w Pierwszym sądzimy, że ich legat zniknął!

18

Położyłem ostrzegawczo dłoń na ramieniu trybuna. Potem kazałem Ksantusowi ruszyć przodem i poczekać na nas przy głównej bramie. Boczył się, ale nie miał wyboru. Patrzyliśmy, jak się oddala, najpierw protestacyjnie szurając nogami w pyle, ale już wkrótce doszedł do wniosku, że szkoda niszczyć turkusową skórkę sztywnie wiązanych butów.

- A któż to taki? - zapytał ostrożnie Justyn.

- Nie jestem pewien - odparłem. Popatrzyłem na niego znacząco, by nie pomyślał sobie, że sam z własnej woli dobrałem sobie takiego towarzysza. - Jeśli masz ochotę ponudzić się przez dwie godziny, to spytaj go, dlaczego

najlepsze są nożyce hiszpańskie i na czym polega tajemnica germańskiej pomady z gęsiego tłuszczu. Jest z zawodu fryzjerem... to fakt. Narzucił mi się jako towarzysz podróży. Podejrzewam jednak, że za tą jego wyprawą kryje się coś bardziej złowrogiego.

- Może po prostu zatęsknił za podróżami.

Przypomniałem sobie, że młodszy brat Heleny posiadał wzruszającą cechę, jaką była wiara w ludzi.

- Albo i nie! Tak czy owak, wszystkim sugeruję, że jest Wespazjanowym kapusiem - powiedziałem.

Justyn, który na pewno wiedział o moich tajnych zadaniach, a przynajmniej o tych przeszłych, uśmiechnął się blado.

Kiedy czekaliśmy, by Ksantus oddalił się na bezpieczną odległość, lekki wietrzyk szarpał naszymi płaszczami. Niósł charakterystyczną woń stajni, naoliwionej skóry i przygotowywanych wielkich ilości duszonej wieprzowiny. Kurz przefruwający nad placem defilad kłuł nasze nagie łydki. Otaczał nas pomruk forticy, niczym niskie dźwięki wodnych organów, kiedy się ożywiają do gry: metaliczne dudnienie; łoskot wozów; stukot drewnianych mieczy, którymi żołnierze podczas ćwiczeń uderzają w stojący pionowo pień; i ostry krzyk wydającego rozkazy centuriona, chrapliwy jak u kruka.

- Nigdzie nie znajdziemy większej prywatności niż tutaj. Justynie, o co w tym wszystkim chodzi? Powiedz mi o Gracylisie.

- Niewiele jest do powiedzenia. Nie widziano go ostatnio.

- Jest chory czy wybrał się na urlop?

- Byłoby bardzo nieuprzejmie, gdyby nie poinformował o tym obecnego w tym samym obozie kolegi dowódcy.

- Kiepskie maniery to żadna nowość!

- Zgoda. Ale mój legion zaniepokoiło to, że małżonka Gracylisa najwyraźniej nie ma pojęcia, gdzie on się podziewa. Pytała żonę mojego legata, czy nie odbywają się przypadkiem jakieś tajne manewry.

- A odbywają się?

- Chyba żartujesz, Falkonie! Mamy dość zadań operacyjnych i nie musimy bawić się w rozgrywki planszowe czy budowanie obozów ćwiczebnych.

Milczałem chwilę, obserwując go. Mówił jak ktoś cieszący się pewnym autorytetem. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, piastował stanowisko młodszego trybuna, teraz natomiast jego tunikę zdobiły szerokie purpurowe paski starszego... był prawą ręką swojego legata. W zasadzie takie stanowiska były zarezerwowane dla potencjalnych senatorów; taki awans w trakcie służby był czymś niezwykle rzadkim. Justyn kwalifikował się ze względów społecznych - był synem senatora - ale to jego starszy brat spijał całą śmietankę. Rodzina już dawno temu postanowiła, że przeznaczeniem młodszego jest kariera urzędnika średniego szczebla. Niemniej nie byłby

pierwszym, który odkrywa, że w wojsku nie liczą się z góry przyjęte osądy i że z dala od domu potrafi on zaskoczyć sam siebie.

- No więc jak reagują na to w Czternastym? Co mówią żołnierze?

- Cóż, Gracylis to człowiek świeżo mianowany.

- Tak też słyszałem. Jest niepopularny?

- Czternasty miał pewne problemy... - przyznał taktownie Justyn, bo przecież Czternasty był problemem. - Gracylis bywa zgryźliwy. Nie jest to dobrze przyjmowane, kiedy żołnierze legionu są drażliwi.

- To senat wybrał Gracylisa - powiedziałem, opierając się na słowach Wespazjana. - No wiesz: „Pokaż, co potrafisz, najznamienitszy Floriuszu. Twój dziadek był naszym przyjacielem, teraz twoja kolej”... Jaki on jest?

- Lubi wszystkie męskie rozrywki... i dużo krzyczy - Justyn scharakteryzował go krótko. Skrzywiliśmy się obaj.

- Ujmijmy sobie jasno to, co tu sugerujesz, trybunie. Wiem już, że cesarz ma wątpliwości, jeśli chodzi o jego charakter, a teraz ty powiadasz, że gość zniknął. Czy Pierwszy *Adiutrix* jest przekonany, że żołnierze Czternastego pozbyli się swojego dowódcy?

- Na Olimp! - zawołał Justyn. - To przerażająca sugestia.

- Wygląda, jakbyś widział dla niej podstawy.

- Mój legion jest w niełatwej sytuacji, Falkonie. Nie mamy uprawnień, by się wtrącać. Wiesz, jak to jest... namiestnik wyjechał, żeby dokonać przeglądu jednostek w Windonissie, więc nawet jeśli Gracylis pozwala sobie na wagarowanie, w grę wchodzi „honorowe zachowanie w stosunkach pomiędzy dowódcami”. Poza tym mój legat nie ma ochoty wkraczać w to bezpośrednio i zażądać spotkania z dowódcą tamtego legionu, bo a nuż się mylimy.

- Rzeczywiście wyszedłby na głupka, gdyby Gracylis go powitał, wycierając sobie z brody ślady owsianki, którą właśnie jadł na śniadanie! - zgodziłem się. Zapewne pod wpływem zbyt długiego przebywania w towarzystwie golibrody podsunąłem: - A może fryzjer sknocił robotę i Gracylis tak się wstydzi, że czeka, aż mu włosy odrosną!

- Albo dostał nadzwyczaj żenującej wysypki... - dodał ze śmiechem mój towarzysz. Przypominał mi teraz Helenę i ich ojca: pod tym poważnym sposobem bycia kryło się ujmujące poczucie humoru. - Tak czy inaczej, sytuacja wcale nie jest zabawna.

- Rzeczywiście - potwierdziłem, starając się nie zwracać uwagi na bolesne ukłucie wywołane jego śmiechem, tak bardzo przypominającym brzmienie tamtego, dobrze mi znanego. - Trzeba Gracylisa odnaleźć, nieważne jaką zarazę pochwyił - zdecydowałem. Miałem nadzieję, że nie jest to nic gorszego. Bunt w legionach, w momencie kiedy wszystko wydawało się uspokajać, miałyby dla Wespazjana katastrofalne skutki. A zniknięcie kolejnego legata w Germanii oznaczałoby poważne następstwa polityczne. - Doskonale rozumiem, dlaczego

trzeba to trzymać w tajemnicy - ciągnąłem. - Wespazjan musi się zastanowić, jak całą sprawę przekazać do wiadomości publicznej... Kamilu Justynie, nie sądzisz przypadkiem, że Czternasty po prostu przedstawił fakty i teraz czeka na specjalne rozkazy z Rzymu?

- Mój legat by o tym wiedział.

- Och, to mu się tylko wydaje! Biurokracja kwitnie dzięki sekretom.

- Nie, Falkonie. Kurierzy wciąż przywożą wiadomości z napisem „Poufne”, dla Gracylisa. Wiem o tym, bo ciągle proszą mojego dowódcę, żeby poświadczał ich przyjęcie swoim podpisem. Ani Wespazjan, ani namiestnik nie przesyłaliby poufnej korespondencji, gdyby uważali, że Gracylis jest nieosiągalny.

Teraz zacząłem pojmować, dlaczego spotkało mnie takie niemiłe przyjęcie ze strony centuriona i jego koleżki. Już samo zaginięcie dowódcy wyglądało źle; jeśli natomiast pozbyto się go w pośpiesznie zatuszowanym buncie, sprawy przedstawiały się dla nich beznadziejnie.

- Ich starszy trybun - powiedziałem - bezczelnie się ciebie pozbył, mnie przyjęto bardzo podobnie. Czy to tutaj normalne?

- Tak. Zupełnie jakby wszyscy dowódcy brali udział w tuszowaniu sprawy - odparł.

Coś takiego nie mogło zdarzyć się podczas marszu, kiedy Gracylis musiał być widoczny w obozie, jednak tutaj, w forcie, sami mogli wszystkim zarządzać. Przypomniało mi to opowieść Baibila o tym, jak to dowódcy legionów spokojnie rządzą Brytanią po wypędzeniu namiestnika. Ale okres anarchii rzekomo dobiegł już końca.

- Aż do kolejnych uroczystości nie ma potrzeby pokazywać kogoś w płaszczu dowódcy - oświadczyłem z uśmiechem. - Jeśli jednak spisek istnieje, to ja właśnie popsułem im szyki! Bo przywiozłem żelazną Rękę oraz rozkazy dotyczące jej inwestytury w trakcie pełnej gali. W takiej sytuacji będą musieli pokazać legata.

- No tak! Namiestnik już się postara, żeby wrócić na tę uroczystość! - zapewnił mnie. Justyn miał w sobie nieustępliwość, która mi się podobała. Najwyraźniej bardzo mu odpowiadało, by zwodnicze działania ludzi Czternastego spełzły na niczym. - Kiedy ma się odbyć ta ceremonia?

- W dniu urodzin cesarza - powiedziałem. Zobaczyłem jego niepewną minę. Wespazjan za krótko był władcą, by ze stosowną czcią uwzględniono go w kalendarzu. Ja znałem te datę (skryba, który uważał, że detektywi to ciemniaki, zapisał mi ją w przeznaczonych dla mnie rozkazach). - Czternaście dni przed kalendami grudniowymi - powiedziałem mu. Był jeszcze październik. - Co daje tobie i mnie całą resztę bieżącego miesiąca i pierwszą połowę listopada, by rozwikłać dyskretnie tę zagadkę i dobrze się zasłużyć.

Wymieniliśmy uśmiechy i ruszyliśmy w stronę głównej bramy. Justyn miał

dość charakteru, by widzieć wszystkie możliwości. Dobrze by mu zrobiło, gdyby mógł rozwiązać tę zagadkę, zanim trzeba będzie włączyć w to Rzym.

Czułem ciężące na mnie zobowiązania. Byłem kochankiem jego siostry... prawie członkiem rodziny. Moim obowiązkiem było pomóc mu odnieść sukces. Nawet jeśli Justyn nie był zachwycony tym, co łączyło mnie i jego siostrę. I mimo że to ja będę musiał wykonać większość roboty.

Kiedy tak sobie szliśmy w milczeniu, ani na moment nie przestawałem gorączkowo myśleć. To wszystko pachniało poważnymi kłopotami. A tych mi nie brakowało. Byłem w Mogontiakum zaledwie godzinę, a już brakowało drugiego wysokiego rangą dowódcy... co było kolejnym problemem oprócz oficjalnie zaginionego legata, wichrzycielskich nastrojów wśród żołnierzy, szalonego przywódcy rebelii i zbikowanej wieszczki.

19

Zabraliśmy Ksantusa i ruszyliśmy do tej części warowni, gdzie stacjonował I Legion. Żeby podczas drogi porozmawiać o czymś neutralnym, spytałem Justyna o jego nietypowy awans.

- Pamiętam, że ostatnio stacjonowałeś w Argentoratum... i szczerze mówiąc, tam się za tobą rozglądałem. Nie byłeś wtedy jeszcze starszym trybunem?

- Nie i wcale nie spodziewałem się nim zostać. To była przynęta, która spowodowała, że przedłużyłem okres służby. Oczywiście warto odnotować sobie w życiorysie stanowisko przeznaczone dla ludzi z szerokim pasem zdobiącym przód tuniki...

- Mam nadzieję, że masz większe ambicje niż tylko treść epitafium na twoim nagrobku! Chyba wywarłeś na kims odpowiednie wrażenie?

- No cóż... - zawahał się. Wciąż wyglądał jak chłopiec, który nagle trafił do świata mężczyzn. Wielkie słowa, takie jak ambicja, wywoływały u niego niepokój. - Ojciec jest przyjacielem Wespazjana, może to dlatego.

Uważałem, że Justyn siebie nie docenia. Ktoś musiał uznać, że ma w sobie potencjał. Germania nie była prowincją, do której można wysłać wałkoni.

- Jaka jest twoja nowa jednostka? Nie znam Pierwszego.

- To legion uformowany przez Nerona... faktycznie złożony z ludzi zabranych ze stacjonującej w Missenum floty. Zarówno Pierwszy, jak i Drugi *Adiutrix* utworzono z marynarzy. To może wyjaśniać pewne istniejące tutaj napięcia. - Justyn uśmiechnął się. - Obawiam się, że prześwietny Czternasty uważa nasz legion za bezużyteczną bandę portowców i majtków.

Regularne wojsko zawsze uważało żeglarzy za pletwonogich pasożytów... którą to opinię zresztą podzielałem. Rzucenie niesprawdzonej jednostki na niestabilne rubieże cesarstwa wydawało mi się wręcz szaleństwem.

- Zatem jesteś tu po to, by wesprzeć ich swoim doświadczeniem? - zapytałem. Wzruszył skromnie ramionami. - Nie ma się co wstydić -

powiedziałem. - To wszystko ci się przyda do życiorysu, kiedy będziesz już zasiadał w radzie municypium.

Dziesięć czy dwanaście lat temu Tytus dowodził ludźmi wypełniającymi luki w legionach brytańskich po buncie Budiki. A teraz w każdym mieście na zasnutych mgłami mokradłach stawiano mu pomnik, wspominając, jak był wtedy lubiany, kiedy był jeszcze młodym trybunem.

To wywołało we mnie niepokojącą myśl, że Justyn może, podobnie jak Tytus, być pewnego dnia spowinowacony z dzierżącym władzę cesarzem - przez małżeństwo na przykład...

Chciałem zapytać, czy ma jakieś wieści o siostrze. Na szczęście dotarliśmy do jego domu, więc mogłem sobie oszczędzić zakłopotania.

20

W domu starszego trybuna nie było łaźni, niemniej jak na młodzieńca ledwo po dwudziestce, który potrzebował miejsca tylko na paradną zbroję i wypchane głowy dzikich zwierząt, które dźgał włócznią w wolnych chwilach, kwatera była imponująca. Trybuni na ogół nie zabierają z biura do domu stosów dokumentów, żeby nad nimi popracować, a harmonogram ich domowych rozrywek zawiera niewiele pozycji. Wszyscy są kawalerami i niewielu z nich zaprasza do siebie na dłuższy pobyt swoich krewnych. Mimo to przydzielanie samotnym dowódcom siedzib, które mogłyby pomieścić trzy pokolenia, to ten rodzaj rozrzutności, za którym wojsko przepada.

Justyn ożywił swoją kwaterę, sprawiając sobie pokojowego pieska. Odebrał tę małą szkaradkę swoim żołnierzom, którzy go dla zabawy maltretowali. Teraz pies tu rządził, szalał po długich korytarzach i przenosił się z jednej sofy na drugą. Justyn zupełnie nad nim nie panował, za to psiak mógł jednym szczenięciem wymusić wszystko na swoim panu.

- Twojemu szczeniakowi trafiła się szykowna buda! Teraz już wiem, dlaczego tylu trybunów pospiesznie się żeni, kiedy tylko ich służba dobiegnie końca. Po okresie takiej niezależności kto chciałby wracać do mającego swoje ograniczenia rodzicielskiego domu?

Małżeństwo było kolejnym tematem, na który Justyn nerwowo reagował. Mogłem to zrozumieć.

Bratu Heleny zdecydowanie potrzebny był jakiś kumpel, który ożywiłby jego codzienność. Pomyślałem, że chętnie przyjmę tę rolę. (Choć Helena zapewne nie aprobowałaby tego).

Ostatecznie Justyn postanowił powiadomić swojego legata o niemożności przebicia muru milczenia, jakim otoczył się Czternasty. Podczas kiedy on pobiegł złożyć raport, posłano kogoś do bramy obozu po nasz bagaż. Jeden z osobistych niewolników trybuna umieścił golarza w jakimś odpowiednim lokum, a ja uzyskałem wreszcie luksus posiadania pokoju wyłącznie dla siebie.

Już po chwili wyszedłem, żeby się rozejrzeć. Zauważyłem, że dano mi dobrą sypialnię, choć nie najlepszą. Na tej podstawie mogłem ocenić swoją pozycję: gość zaprzyjaźniony, ale nie przyjaciel rodziny.

Matka byłaby wstrząśnięta ilością kurzu na stolikach; moje osobiste wymagania były w tych sprawach dużo niższe i poczułem, że się tu zadomowię. Justyn pochodził z rodu myślicieli i mówców, z tym że oni akurat lubili mówić i myśleć, mając pod ręką misy z owocami, a pod plecami poduszki. Wysłali swoją latorośl za granice Rzymu, wyekwipowawszy syna dostatecznie, by mógł walczyć z tęsknotą za domem. Jego siedziba była wygodna. Służba leniła się wyłącznie dlatego, że nikt jej nie nadzorował. Wyraziłem to delikatnie, pisząc palcem na zakurzonej cokole wazy „Tu był Falko”.

Mogło być gorzej. Widziałem, co prawda, zatrząsienie mysich bobków i nikomu nie chciało się dolewać oliwy do lampek, ale służący byli uprzejmi, nawet dla mnie. Starali się uniknąć zmuszania swojego młodego pana do wywołujących napięcie emocjonalne pokazów dyscypliny. Wydawało mi się to całkiem sprytne. Jeśli choć trochę był podobny do swojej siostry, to na pewno potrafił spektakularnie się złościć i używać malowniczego języka.

Jeśli był podobny do Heleny, to miał dobre serce i może by nawet ubolewał nade mną, kiedy tak włóczyłem się ponuro po jego kwaterze, zastanawiając się, w jakim zakątku cesarstwa ukryła się jego kapryśna siostra. Jeśli jednak był w sprawach rodzinnych tak drażliwy jak Elian, z powodu związku z Heleną mógłbym skończyć gdzieś na środku Renu, zapakowany w worek i wystrzelony z ciężkiej katapulty. Zatem, choć zamartwiałem się o Helenę, postanowiłem zatrzymać te myśli dla siebie.

Udałem się do łaźni legionowej, która okazała się dobrze utrzymana, czysta, gorąca i darmowa.

Wróciliśmy z Justynem do domu o tej samej porze. Ktoś tymczasem rozpakował mój bagaż, zabierając brudne ubrania. Moja garderoba była taka skromna, że po wyciągnięciu trzech sztuk do prania juki były prawie puste, ale jakoś wyszperałem jeszcze tunikę, która zważywszy na przyćmione światło lampek, uszła przy kolacji. Potem wychynęliśmy do ogrodu, ale było za zimno, więc usadowiliśmy się z powrotem w domu. Byłem świadom dzielącej nas różnicy statusu, jednak Justyn wczuł się w rolę dobrego gospodarza i cieszył z okazji do pogawędki.

- Jakieś przygody w podróży? - zapytał.

- Nic szczególnego. Wydaje się, że prawo wciąż nie do końca działa w Galii i Germanii. - Opowiedziałem mu o dwóch ciałach znalezionych w rowie na terenie Galii.

- Mam coś z tym zrobić? - zaniepokoił się.

- Nie ma potrzeby, trybunie! To się zdarzyło w innej prowincji i sędzia cywilny powinien zająć się sprawą napadu rabunkowego na drodze... Zresztą

ten centurion, którego wspomniałem... Helwecjusz... musi być jednym z twoich ludzi. Powiedział, że służy w Pierwszym, choć nie skojarzyłem tego z tobą, bo myślałem wtedy, że wciąż jesteś na dawnym stanowisku.

- To imię nie brzmi znajomo. Ale nie jestem tu wystarczająco długo, by znać ich wszystkich. Odszukam go - oznajmił. Oczekiwanie, że rozpozna się każdego spośród sześćdziesięciu centurionów z legionu, wydawało mi się nieco przesadne. Byłem zdumiony, że tego młodzieńca w ogóle awansowano. Pracował z poświęceniem i starannością, które to cechy na ogół pomija się w raportach dotyczących opiniowanego.

Pomyślałem, że zabawię go tym, co słyszałem w Argentoratum o jego następcy.

- Czy ty wymyśliłbyś hasło „Ksenofobia”?

- Obawiam się, że moje są zawsze bardziej przyziemne. - „Mars Mściciel” albo „Marynowana ryba”, albo „Drugie imię medyka obozowego”.

- Bardzo mądrze.

Mieliśmy ze sobą dzban.

- Wino jest tutaj raczej średniej jakości... - Justyn był albo zbyt nieśmiały, albo zbyt niezdecydowany, by wygarnąć prawdę swojemu dostawcy wina. Smakowało jak kozie siuski (i to kozy z kamieniami w pęcherzu moczowym), ale i tak pucharek w ręku uprzyjemniał czas. - A więc, Marku Dydiuszu, dlaczego odwiedziłeś moją dawną bazę? - zainteresował się.

Musiał wiedzieć, że szukam Heleny.

- Szukałem cię.

- Och, to miło z twojej strony - udało mu się powiedzieć takim tonem, jakby rzeczywiście tak uważał.

- Pomyślałem, że może zainteresują cię wieści o twojej rodzinie. Wszyscy mają się dobrze. Twój ojciec chce kupić statek wycieczkowy, ale matka się nie zgadza... Miałaś ostatnio jakieś wiadomości od siostry?

Zadałem to pytanie, zanim zdążyłem się pohamować albo nadać swojemu głosowi neutralne brzmienie.

- Nie - rzucił natychmiast Justyn - ostatnimi czasy stała się wyjątkowo milcząca! Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

Najwyraźniej już słyszał, że wybrała suchy chleb przy moim nędznym stole. Nie byłem w stanie wyjaśnić mu zawiłości naszego związku. Powiedziałem więc krótko:

- Wyniosła się z Rzymu.

- Kiedy?

- Tuż przed moim wyjazdem.

Justyn przeciągnął się lekko na wojskowej sofie do czytania, żeby ulżyć jednemu ramieniu.

- To dość nagła decyzja! - Roześmiał się, ale w powietrzu wisiało coś

poważnego. - Czy ktoś ją zirytował?

- Pewno ja. Helena jest kobietą z zasadami, a ja nie potrafię wyzbyć się paskudnych nawyków... Miałem nadzieję, że wprosiła się z wizytą do ciebie.

- Nie - powiedział. Powód mojego zainteresowania był niezdrowo oczywisty, ale pozostał niewypowiedziany, żaden z nas nie miał odwagi poruszać tego tematu - Czy istnieje jakiś powód do zmartwienia? - spytał Justyn.

- Ona jest rozsądna - odpowiedziałem. Justyn miał jak najlepsze zdanie o siostrze i gotów był zadowolić się tym stwierdzeniem. Ja straciłem dla niej głowę, ale to moje stwierdzenie mi nie wystarczało. - Trybunie, z tego, co wiem, twoja siostra nie poczyniła żadnych ustaleń ze swoim bankierem i nie zabrała żadnej eskorty. Nie pożegnała się z waszym ojcem, kompletnie skołowała matkę... zaskoczyła moją, która bardzo ją lubi... i nie zostawiła adresu do korespondencji. I to mnie martwi - oświadczyłem.

Milczeliśmy obaj.

- Co proponujesz, Falkonie?

- Nic. Nie możemy nic zrobić - stwierdziłem. To też mnie martwiło.

Zmieniliśmy temat.

- Nadal nie wiem - zaczął Justyn - jak to możliwe, że przybyłeś tutaj szukać zaginionego legata, akurat kiedy pojawił się problem z Gracylisem.

- Zbieg okoliczności. Tak naprawdę chodziło mi o Muniusza Luperkusa.

- Na Olimp! To całkowicie złudna nadzieja.

Posłałem mu niewesoły uśmiech.

Kilku jego krewnych było blisko cesarza i nie miałem wątpliwości, że Justyn jest równie dyskretny jak oni. Opowiedziałem mu szeroko o swojej misji, choć darowałem sobie wypowiedź na temat XIV *Gemina*. Ta uprzejmość wobec legionu nie miała zapewne sensu, jednak mam swoje zasady.

- Poważne wyzwania - odezwał się, wysłuchawszy mnie.

- Tak. Już zdążyłem odkryć, że wieszczka Weleda mieszka na szczycie wieży i że można do niej dotrzeć wyłącznie za pośrednictwem mężczyzn z jej rodziny. To wszystko pewnie po to, by otoczyć ją jakąś złowrogą aurą. Wyprawa na drugą stronę Renu wystarczająco mnie niepokoi i bez takich teatralnych gestów! - poskarżyłem się. Justyn parsknął śmiechem. Dla niego to brzmiało zabawnie. On nie musiał tam jechać. - Na pewno wiesz, co w trawie piszczy, Justynie. Możesz mi coś powiedzieć o przywódcy buntu?

- Cywilis zniknął... choć krąży wiele opowieści o jego okropnych zwyczajach.

- No to mnie uciesz! - mruknąłem.

- Wieść niesie, że oddaje jeńców swojemu synkowi, żeby mógł sobie na nich poćwiczyć strzelanie z łuku.

- To prawda?

- Niewykluczone.

Cudownie. Właśnie tego rodzaju człowiek, jakiego miło jest zaprosić do

winiarni na spokojną pogawędkę.

- Może zanim spróbuję postawić kielicha temu wzorowemu tatusiowi, powinienem wiedzieć jeszcze coś mniej malowniczego?

Orientowałem się w ogólnej sytuacji. Zanim doszło do buntu, Batawów łączyły szczególne stosunki z Rzymem: ich ziemie nie były skolonizowane, w związku z czym nie płacili podatków. Dostarczali nam natomiast żołnierzy do oddziałów posiłkowych. Nie była to zła transakcja. Otrzymywali świetny żołd i warunki bytowania... ogromny postęp w stosunku do tego, co mogli wydusić z niewyszukanej celtyckiej tradycji napadania na sąsiadów, kiedy zabrakło im ziarna. My korzystaliśmy z ich żeglarskich umiejętności, takich jak pilotowanie, wiosłowanie i pływanie. Słyszeli z tego, że potrafili przepłynąć się przez rzekę w pełnym ekwipunku, płynąc u boku swoich wierzchowców.

Justyn zaczął mówić bez wahania:

- Wiesz, że Juliusz Cywilis jest członkiem batawskiego rodu królewskiego. Spędził dwadzieścia lat w rzymskich obozach wojskowych, dowodząc dla nas oddziałami posiłkowymi. Kiedy zaczęły się ostatnie niepokoje, dowódca wojsk rzymskich w Germanii Dolnej, Fontejust Kapiton, kazał zabić jego brata Paulusa jako wichrzyciela. Samego Cywilisa odesłał w okowach Neronowi.

- Czy w tym czasie oni rzeczywiście podzegli do buntu?

- Wydaje się, że oskarżenie mogło być sfingowane - stwierdził roztropnie Justyn. - Fontejust Kapiton był zresztą podejrzaną postacią. Wiesz, że podwładni postawili go przed sądem wojskowym i stracili? Mówiono, że był człowiekiem żądnym władzy, ale nie potrafię powiedzieć, czy zasłużył na taką reputację. Galba nie uznał za stosowne wdrożyć śledztwa w sprawie jego śmierci, więc może tak było - mówił. A może cesarz był po prostu nieudolnym starcem. - W każdym razie Galba oczyścił Cywilisa z zarzutu zdrady, sam jednak przetrwał tylko osiem miesięcy na tronie i po jego zamordowaniu Cywilis ponownie był narażony na szykany.

- Niby dlaczego?

- Kiedy Witeliusz przejął władzę, jego armie domagały się egzekucji niektórych dowódców, najwyraźniej za ich lojalność wobec Galby - powiedział Justyn, przypominając mi ten przykry epizod. Nie ulegało wątpliwości, że chodziło wtedy o wyrównanie dawnych rachunków. Głównym celem byli nielubiani centurionowie, wiem też jednak, że żołnierze domagali się głowy batawskiego wodza. Witeliusz zlekceważył ich żądania i potwierdził „ułaskawienie” Galby, jednak wszystko to musiało spowodować u Cywilisa ogromną gorycz i niechęć do tak zwanych rzymskich sprzymierzeńców. Również w tym czasie - ciągnął Justyn - paskudnie traktowano Batawów.

- Na przykład?

- Cóż, na przykład podczas poboru przeprowadzanego dla Witeliusza cesarscy agenci powoływali starych i chorych, żeby wymusić od nich łapówki

za zwolnienie od służby. A chłopców i dziewczęta zaciągano za namioty w wiadomych celach. Dzieci Batawów są na ogół wysokie i ładne. We wszystkich germańskich plemionach istnieje silne poczucie więzi rodzinnych, dlatego tego rodzaju zachowanie było jak wkładanie kija w mrowisko. I dlatego kolejnemu pretendentowi do cesarskiego tronu, Wespazjanowi, wydawało się, że może liczyć na pomoc Cywilisa w swoich zmaganiach z Witeliuszem. Przebywając jednak w dalekiej Judei, Wespazjan niewłaściwie odczytał sytuację. Z początku Cywilis z nim współpracował, z pomocą pewnego plemienia o nazwie Cannenefates. Wspólnie zaatakowali flotę Renu, przejmując całą broń i statki, jakich potrzebowali, i tym samym przecinając rzymskie linie aprowizacyjne. Wtedy właśnie Wespazjana ogłoszono cesarzem.

- To zmusiło Cywilisa do odkrycia swoich prawdziwych zamiarów - wyjaśnił Justyn. - Zgromadził wszystkich przywódców galijskich i germańskich plemion w świętym puszczańskim gaju, pozwolił, by wino popłynęło szerokim strumieniem, po czym rozpałił ich płomiennymi przemowami o zrzuceniu rzymskiego jarzma i ustanowieniu niezależnego imperium galijskiego.

- Nadzwyczajne!

- O i wielce dramatyczne! Sam Cywilis ufarbował sobie włosy i brodę na jaskrawoczerwony kolor, a potem poprzysiągł, że ich nie obetnie, dopóki nie pozbędzie się z tej ziemi ostatniego Rzymianina.

Ten barwny szczegół przydał mojej własnej misji malowniczości, jakiej nie znosiłem.

- Uwielbiam przechytrzać takie typki. Czy się w końcu ogolił?

- Po Weterze.

Milczeliśmy chwilę, wracając myślą do tamtego oblężenia.

- Taka warownia powinna się była utrzymać - powiedziałem w końcu.

Justyn pokręcił głową.

- Nie było mnie tam, Falkonie, ale z tego, co wiem, Wetera była zaniedbana i nie miała pełnej obsady.

Pociągnęliśmy nędznego trunku trybuna, podczas gdy ja podsumowałem sobie w myślach wszystko, co wiedziałem o Weterze.

Była to forteca na dwa legiony, choć brakowało tam ludzi po tym, jak Witeliusz ogołocił ją ze znacznej liczby żołnierzy, potrzebnych mu w jego marszu na Rzym. Resztką garnizonu robiła co mogła. Wykazali mnóstwo inicjatywy. Jednak Cywilis był wyszkolony przez Rzymian w prowadzeniu działań oblężniczych. Zmusił jeńców do budowy taranów i katapult. Nie, żeby broniącym się legionistom brakowało pomysłów: skonstruowali maszynę, która chwyciła całą grupę napastników naraz i ciskała ich do wnętrza warowni. Poddali się dopiero, kiedy zjedli już wszystkie muły i szczury i zostały im tylko korzonki i trawa wyrwana z ziemnych wałów. W sytuacji szalejącej w Italii wojny domowej musieli się czuć kompletnie odcięci. Wetera

była jednym z najbardziej na północ wysuniętych bastionów w Europie, a Rzym - zajęty innymi sprawami.

Energiczny dowódca Dylusz Wokula przedarł się ze swoim wojskiem do Mogontiakum, ale nie odważył się na ponowne podjęcie działań zbrojnych. Dał się fortelem wywabić z Mogontiakum i w drodze do Wetery został zamordowany przez wodzów galijskich, a jego zbici z tropu żołnierze wstąpili na służbę „cesarstwa Galów”.

Upadek Wetery stał się jedną z najdotkliwszych klęsk militarnych Rzymu. Żołnierze złożyli broń i kiedy wymaszerowali z obozu, buntownicy ich wybili.

- Justynie, czy po Cywilisie można było się spodziewać, że wykończy ludzi którzy się poddadzą?

- Nie sądzę - odparł Justyn powoli, nie chcąc z góry osądzać Batawa. - Według mnie zakładali, że były dowódca rzymskich oddziałów posiłkowych zachowa się honorowo. Podobno Cywilis protestował w tej sprawie u swoich sprzymierzeńców.

Znowu zapadliśmy w zadumę.

- Jaki to jest człowiek? - spytałem po chwili.

- Bardzo inteligentny. O wielkiej charyzmie. Niezwykle niebezpieczny! Był taki moment, kiedy popierała go większość Galii i kilka plemion zza Renu, a w Germanii Dolnej mógł robić, co chciał. Uważa się za drugiego Hannibala... czy raczej Hazdrubala, skoro jak tamten ma tylko jedno oko.

Jęknąłem.

- Zatem szukam wysokiego, jednookiego wodza z długimi jaskrawoczerwonymi włosami, który całym sercem nienawidzi Rzymu. Przynajmniej na forum powinien być wyraźnie widoczny... Ciekawe, czy protestował również - zastanawiałem się - kiedy w zasadzce pojmano Muniusza Luperkusa i przekazano w darze Weledzie?

- Wątpię. Cywilis umacniał autorytet wieszczki. Uważano ich za partnerów. Kiedy przechwycił flagowy okręt Petyliusza Cerialisa, to też go jej posłał.

- Już dawno miałem cię zapytać, jak doszło do tej katastrofy - powiedziałem. Słyszałem kiedyś, że jako dowódca Cerialis miał swoje wady. Był porywczy i nie dbał o dyscyplinę żołnierzy, co doprowadziło do strat, których można było uniknąć. - Więc Weleda dostała swoją osobistą reprezentacyjną barcę... jako dodatek do wysoko postawionego Rzymianina, którego związanego dostarczono do jej wieży, żeby mogła go sobie jako niewolnika wykorzystywać w orgiach czy w czym tam jeszcze! Co ona, według ciebie, zrobiła z Luperkusem?

Kamil Justyn wzdrygnął się i nawet nie próbował zgadywać.

W głowie mi się kręciło. Pomyślałem, że to odpowiedni moment, by okazać zmęczenie podróżą i udać się na spoczynek.

Dźwięki rogu oznajmiającego początek nocnej warty poruszyły mnie i śniło

mi się, że znowu jestem młodym rekrutem.

21

Nazajutrz zastanawiałem się nad łamigłówkami, których rozwiązanie zlecił mi Wespazjan, ale nie napawały mnie entuzjazmem. Przyjrzałem się więc bliżej pewnej sprawie, choć nikt mnie nie prosił, bym się wtrącał: poszedłem odwiedzić małżonkę zaginionego legata. Muszę przyznać, że kiedy znalazłem się w zajmowanej przez XIV Legion części obozu, byłem prawie przekonany, że ostatecznie znamienity Floriusz Gracylis gdzie się znajdzie.

Dom legata był taki, jakiego należało oczekiwać. Zważywszy na to, że Juliusz Cezar, nawet w trakcie kampanii na wrogim terytorium, kiedy wszystkiego brakowało, targał ze sobą całe tafle mozaiki, by ułożyć posadzkę w namiocie i zademonstrować obcym plemionom wielkość Rzymu, nie mogło być mowy o tym, by w okazałej rezydencji, we wnętrzu stałej fortecy, zabrakło jakichkolwiek wygód. Dom był przestronny i zbudowany z najlepszych materiałów. Czemu nie? Każdy kolejny lokator i jego szlachetna małżonka pełni dekoratorskich pomysłów domagali się zmian. Co trzy lata dom ogałacano z dawnego wystroju i urządzano od początku, według gustów nowych mieszkańców. Wszelkie koszty najbardziej fantazyjnych pomysłów pokrywano, co oczywiste, z państwowej szkatuły.

Rezydencja ciągnęła się wokół wewnętrznych ogrodów z podłużnymi basenami i wytwornymi fontannami, które wypełniały powietrze delikatną, rozkoszną mgiełką. Latem na pewno ogrody rozkwitały wieloma kolorami; w październiku starannie zadbane rośliny tworzyły atmosferę dostojnego odosobnienia. Zauważyłem pawie. I żółwie. Tego ranka, kiedy się tam pojawiłem z pełnym nadziei uśmiechem na twarzy, ludzie grabiący liście i przycinający gałęzie obleźli teren jak mszyce. Prawdziwe mszyce nie miały szans. Ja pewno też nie.

Wewnątrz budynku ciągnął się długi szereg sal recepcyjnych. Olśniewająco białe, pokryte stiukami sufity oszałamiały. Posadzki wyłożone mozaiką w geometryczne wzory tworzyły fascynujący trójwymiarowy efekt. Lampy były złożone (i przykręcone do ścian). Wazy ogromne (za ciężkie, by można je było porwać i uciec). Strażnicy dyskretnie snuli się między kolumnami albo stali niemal niewidoczni pośród greckich posągów. Na widok mebli mój ojciec licytator gryzłby palce i błagał o słówko w kącie z zarządcą domu.

Ten zarządca znał swój fach. Floriusz Gracylis już dawno skończył z niedbałym kawalerskim stylem, jakiemu hołdował Kamil Justyn, i ochoczo rzucił się w wir życia publicznego. O jego rezydencję dbały całe zastępy wprawnych sług, spośród których wielu było z nim ponad dwie dekady gorączkowego towarzyskiego życia, kiedy był senatorem. Ponieważ wysocy urzędnicy podróżują do prowincji całkowicie na koszt państwa, legat

przywiózł ze sobą nie tylko wezgłowia z szylkretu i złote podstawy do lampek w kształcie kupidynów, ale zapakował też własną żonę. Domyślałem się, jeszcze zanim ją zobaczyłem, że dodanie młodej małżonki do tego wytwornego ładu było raczej zbędne.

Z kwerendy jaką przeprowadziłem w Rzymie, wynikało, że Gracylis jest w normalnym jak na dowódcę legionu wieku. Miał pod czterdziestkę... nie dokuczał mu jeszcze artretyzm, ale był wystarczająco dojrzały, by godnie paradować w purpurowym płaszczu. Jego małżonka była dwadzieścia lat młodsza. W kręgach patrycjuszów mają skłonności do poślubiania uczennic. Kiedy tworzy się sojusze z jawnie politycznych powodów, jest wielkie zapotrzebowanie na nietknięte i uległe dziewczęta. Przypadkowe zauroczenia, jakie reszcie z nas wychodzą bokiem, nie są dla mężczyzn o takim statusie. Floriusz Gracylis ożenił się pierwszy raz, mając lat dwadzieścia, kiedy jego celem było wejście do senatu. Pozbył się żony przy pierwszej dogodnej okazji, następnie jakieś półtora roku temu zrezygnował z żony, tym razem z jeszcze starszego, jeszcze bardziej zamożnego rodu. Zapewne wtedy zaczął się starać o dowództwo nad legionem i chciał sprawiać wrażenie człowieka o nieposzlakowanej opinii.

Menia Priscilla przyjęła mnie w złoto-czarnej sali, wypolerowanej tak, jakby była wyłożona lustrzanymi taflami. Było tam też z pół tuzina służących, nieco kosmatych dziewczek o szerokich czołach, które wyglądały, jakby kupiono je na targu w jednym dobranym zestawie. Siedziały w dwóch grupkach z dala od swojej pani i zajmowały się monotonnym haftowaniem.

Priscilla nie zwracała na nie najmniejszej uwagi. Była niewielkiego wzrostu. Gdyby się inaczej zachowywała, mogłaby mieć wiele wdzięku. Mimo poświęconego jej czasu i pieniędzy nie wykorzeniono gburowatości. Nadawała swojej twarzy leniwy, koci wyraz, który kiedy się zapominała, zaczynał twardnieć. Była zapewne dzieckiem jakiegoś bezceremonialnego pretora, który ocknął się dopiero wtedy, kiedy jego córka weszła w wiek odpowiedni do zawierania pokazowych małżeństw. Teraz była żoną Gracylisa. Nie mogła mieć z tego wiele uciechy.

Kilka minut zabrało jej układanie migotliwych fiołkowych falban. Nosiła kolczyki z pereł, wysadzone ametystami bransolety i co najmniej trzy połączane naszyjniki, choć możliwe, że więcej ich kryło się w połyskujących fałdach spowijającego ją materiału. To był jej zestaw na czwartek rano, uzupełniony zwyczajową baterią pierścieni. Gdzieś pośród tych błyskotek znajdowała się szeroka obrączka ślubna; nie dało się jednak zauważyć jej obecności.

- Dydiusz Falko, pani.

- Och tak? - udało jej się wykrztusić. Podtrzymywanie rozmowy było zbyt nużące. Moja matka nakarmiłaby to rozlazłe stworzenie czerwonym mięsem i

zmusiła do kopania brukwi przez tydzień.

- Jestem przedstawicielem cesarza - oznajmiłem. Rozmowa z cesarskim wysłannikiem powinna ożywić jej poranek. Szczerze mówiąc, życie w najbardziej niebezpiecznej części imperium byłoby dla pewnych dziewcząt fascynujące, domyślałem się jednak, że zainteresowania Menii Pryscilli rzadko dotyczą spraw bieżących. Ptaszyna, której udało się niczego nie nauczyć. Nie znosiła sztuki. Nie wyobrażałem sobie, by mogła się zajmować dobroczynnością. W sumie, jako życiowa towarzyszka jednego z najbardziej prominentnych dyplomatów cesarstwa, nie robiła wielkiego wrażenia.

- To musi być bardzo przyjemne! - oznajmiła.

Nie dziwota, że ostatnio cesarstwo trzeszczy w szwach. Nie zareagowałem, choć było to niewłaściwe i niewybaczalne. Zachowanie dziewczyny było połączeniem uczniackiej arogancji i ignorancji, co zapewne może być źródłem kłopotów. Wiedziałem, że jeśli Gracylis nie będzie miał na nią oka, to najpóźniej za sześć miesięcy wybuchnie skandal z jakimś centurionem albo w koszarach dojdzie do incydentu, po którym pospiesznie odeśle się paru żołnierzy do domu.

- Proszę wybaczyć to najście, pani. Muszę koniecznie zobaczyć się z twoim małżonkiem, a ponieważ nie było go w biurze...

- Tutaj też go nie ma! - Tym razem odezwała się natychmiast, z ową triumfalną nutką w głosie, której ludzie używają zamiast rozumu. Zwróciła na mnie brązowe oczy i zmierzyła wzrokiem, co było słuszne, ponieważ wcześniej to ja ją oszacowałem. Tyle że ona nic nie dostrzegła; chciała być jedynie obraźliwa.

Uniosłem brew.

- Na pewno jesteś, pani, zaniepokojona. Czy Gracylis ma zwyczaj znikać?

- Zwyczajnie legata są jego sprawą.

- Niezupełnie, pani.

Irytacja wykrzywiła brzydtko jej usta. Mężczyźni w bezkształtnych brązowych tunikach i znoszonych, ocieplanych wełną butach zazwyczaj się jej nie odszczekiwali. (Wolałbym być bardziej elegancko odziany, ale mój bankier był przeciwny nadwerężaniu mojego budżetu w tym roku. Bankierzy są tacy przewidywalni. Mój budżet też).

- Szlachetna pani, wydaje się, że mamy tu problem!

Człowiek z pozycją twojego małżonka nie powinien stawać się niewidzialny. Martwi to jego podwładnych. W rzeczy samej cesarz mógłby to uznać za polityczną nieporadność... Jeśli Gracylis stara się uniknąć wierzycieli... - Naturalnie żartowałem, ona jednak roześmiała się gorzko. Przypadkiem trafiłem. - Och, więc o to chodzi?

- Być może.

- Czy mógłbym otrzymać listę jego długów?

Wzruszyła ramionami. Gracylis zapewne sprowadził ją do Germanii, by uniknąć ryzyka, że w Rzymie namówi jego licznych zarządców, by pozwolili jej trwonić pieniądze. Mężczyźni lubią, kiedy ich żony są bezpiecznie odcięte od domowego liczydła. Ponaglałem ją, ale wydawało się, że rzeczywiście nic nie wie. Nie byłem zdziwiony.

- Więc nie możesz mi, pani, powiedzieć, od czego mam zacząć poszukiwania? Nie masz żadnego pojęcia, gdzie może być twój małżonek?

- Och, to akurat wiem! - wykrzyknęła filuternie.

Powstrzymałem się od okazania irytacji.

- Pani, to ważne. Mam przesłanie od Wespazjana do Floriusza Gracylisa. Kiedy cesarz przesyła wiadomość, to oczekuje, że ją doręczę. Czy powiesz wreszcie, gdzie jest twój mąż?

- Zapewne u kochanki - oznajmiła. Nawet jej się nie chciało zobaczyć, jakie wrażenie zrobiły na mnie jej słowa.

- Posłuchaj - powiedziałem, wciąż się starając utrzymać nerwy na wodzy - wasze życie rodzinne to sprawa prywatna, niezależnie jednak od tego, jak nowoczesne są twoje poglądy na małżeństwo, spodziewam się, że przestrzegacie z Gracylisem pewnych reguł. Strategia jest oczywista - wycedziłem, a następnie wyrecytowałem jednym tchem: - On trwoni twój posag; ty wgryzasz się w to, co on odziedziczył. On może cię bić; ty możesz go szkalować. On dostarcza moralnych wskazówek i gotówki na stroje; ty, pani, zawsze chronisz jego reputację na forum publicznym. Teraz spróbuj zrozumieć jedno: jeśli nie znajdę go szybko, wybuchnie skandal. A niezależnie od wszystkiego innego, on by sobie tego nie życzył!

Zerwała się razem z tą całą niedobraną biżuterią.

- Jak śmiesz!

- Jak śmie osoba publiczna zniknąć tuż pod nosem namiestnika prowincji?

- Nic mnie to nie obchodzi! - zawołała Menia Priscilla, pierwszy raz pokazując oznaki ożywienia. - Wynoś się i nie pokazuj tu więcej!

Wymaszerowała z pokoju, a za nią popłynął nieznośny zapach jakiegoś pachnidła. Jej ruchy były tak energiczne, że szpila z kości słoniowej wystrzeliła z upiętej kunsztownie korony plecionych włosów i wylądowała u moich stóp.

Podniosłem ją, po czym spokojnie wręczyłem ten pocisk jednej ze służek. Kobiety ze zrezygnowanymi minami zabrały swoje rzeczy i ruszyły za panią.

Nie martwiłem się. Gdzieś w tej rezydencji natknę się na pomarszczonego księgowego, który bardziej realistycznie podejdzie do moich pytań niż ta nadąsana kobieta. Dobrze wie, których wierzycieli musi codziennie zbywać jakimiś wymówkami, a jeśli tylko wykażę zainteresowanie jego pracą, prawdopodobnie mi to powie.

Jeśli zaś chodzi o imię kochanki legata, to w koszarach muszą znać je wszyscy.

Podczas moich poszukiwań natknąłem się na osobistą salę ćwiczeń legata. Zrozumiałem, co Justyn miał na myśli, mówiąc, że to typ sportowca: było tam pełno sztang, hantli, woreczków z ziarnkami grochu do ćwiczenia rzutów i wszystkich tych przedmiotów, po których widać, że gość się stara nie wyjść na słabeusza... którym faktycznie jest. Po jednej stronie pomieszczenia wisiały na hakach jego oszczepy i trofea myśliwskie. Jakiś smętny Egipcjanin, który na pewno bardziej by się przydał przy mumifikowaniu królów przed spotkaniem z Ozyrysem, siedział w kucki zajęty wypychaniem niewielkiego jelonka. Nigdy nie marnuję czasu na pogawędki z Egipcjanami. Na pewno potrafił wypchać koziołka, jednakże jego opowieści o życiu jako beczasowej rzece smutku nie pomogłyby mi w odnalezieniu pana domu. Skinąłem mu głową i poszedłem dalej.

Wreszcie trafiłem do księgowego, który dostarczył mi dość długą listę rozczarowanych handlarzy winem, futrami, materiałami piśmiennymi, a także księgarzy i importerów wonnych olejków.

- Na Jowisza, ten człowiek rzeczywiście nie uznaje regulowania rachunków!
- Jest troszeczkę pozbawiony zmysłu do interesów - przyznał łagodnie skryba. Miał zapuchnięte oczy i pełen rezerwy sposób bycia. Wyglądał na zmęczonego.

- Czy jego posiadłości w Italii nie przynoszą zysku?
- Są kwitnące, ale w większości mają obciążoną hipotekę.
- Zatem ma kłopoty?
- Och, nie sądzę!

Miał rację. Gracylis był senatorem. Przede wszystkim balansowanie na krawędzi finansowej katastrofy było dla niego codziennością, więc nie miał szczególnego powodu do zmartwienia. Poślubienie Menii Pryscilli musiało znacznie zwiększyć jego zdolność kredytową. W każdym razie gość miał potężne wpływy. Dla drobnych kupców z dalekiego prowincjonalnego miasteczka był osobistością nietykalną. Kilka zręcznych finansowych posunięć i będzie po kłopotcie.

- Czy mam rozumieć, że nie masz pojęcia, dlaczego twój pan się ulotnił?
- Nie wiem nic o żadnej tajemnicy.
- Nie zostawił ci instrukcji?
- Nie jest znany ze szczególnej przezorności. Myślałem, że wyjechał na kilka dni w interesach. Jego pokojowca też nie ma.
- Skąd to wiesz?
- Słyszałem, jak skarży się jego dziewczyna.
- Pracuje tutaj?
- Usługuje w *Meduzie*, blisko bramy Principia Dexter.

Na podręcznej tabliczce wyryłem sobie imiona obydwu wierzycieli i dziewczyny niewolnika. Wosk stwardniał od nieużywania, co oznaczało, że przyszedł czas na wykonanie jakiejś pracy.

- Powiedz mi coś jeszcze: czy twój pan jest bawidamkiem?

- Nie śmiałybym wypowiadać się na ten temat.

- Och, zrób wyjątek.

- Zajmuję się wyłącznie sprawami finansowymi.

- To wszystko może być powiązane! Finansowe problemy często są rezultatem wydatków na utrzymanie kochanek...

Zmusił mnie do odwrócenia wzroku. Pozwoliłem mu na to. Obaj dobrze wiedzieliśmy, że bez trudu znajdę takich, którzy z miłą chęcią dostarczą mi paskudnych szczegółów.

Lekkim krokiem opuszczałem rezydencję. Zdobyć jakichś wskazówek zawsze dodaje mi optymizmu.

Grubo się myliłem, licząc na to, że szczęście dopisze mi również w przypadku tych arogantów z XIV *Gemina*.

Stanowisko prefekta obozu nigdy nie było szczególnie ważne w obozie z czasów republiki. Uważam, że podobnie jak w wielu innych sprawach, było to dobre rozwiązanie. Teraz ludzie na tym stanowisku dysponują nadmierną władzą. Każdy legion wyznacza jednego prefekta i powierza mu się sprawy dotyczące organizacji, szkolenia i wyposażenia. W czasie nieobecności legata i starszego trybuna prefekci przejmują dowództwo i właśnie wtedy sprawy przybierają niebezpieczny obrót. Rekrutują się spośród tych pierwszych centurionów, którzy nie chcą odejść w stan spoczynku, i są to ludzie starzy, zbyt pedantyczni i powolni. Z zasady ich nie lubię. A ta zasada wzięła się stąd, że to właśnie głupota prefekta obozowego zniszczyła reputację II Legionu *Augusta* podczas brytańskiej rewolty.

W Mogontiakum był taki tylko jeden, odpowiedzialny za całą fortecę. Ponieważ XIV był jedynym stacjonującym tu legionem z doświadczeniem, wywodził się właśnie z niego.

Prefekt obozowy zajmował biuro, którego przesadnie duże rozmiary musiały odpowiadać jego skarłałej osobowości. Tam go znalazłem. Czytał jakieś zwoje i robił pospieszne notatki. Umeblował to swoje królestwo w ostentacyjnie skromny sposób. Siedział na składanym stołku z zardzewiałą ramą, przy stoliku polowym, który wyglądał, jakby używano go pod Akcjum. Miało to sprawiać wrażenie, że gość wolałby pełnić aktywną służbę w polu. Według mnie, jeśli Rzym miał utrzymać swoją wojskową reputację, to ludzi tego pokroju należałoby trzymać w obozie... zakneblowanych, związanych i przykutych do podłogi.

- Sekstus Juwenalis? Jestem Dydiusz Falko. Wysłannik Wespazjana.

- Och, doszły mnie słuchy, że jakiś wszarz wylazł z dziury na Palatynie! -

zareagował elegancko. Pisał gęsim piórem. Należało się tego spodziewać po takich jak on.

Odłożył pióro, układając je odpowiednio na kałamarzu, by nie kapało, i dobrał się do mnie:

- Skąd się wywodzisz?

Założyłem, że nie chodzi mu o moje ciotki w Kampanii.

- Odbyłem służbę dla kraju w parszywej jak zwykle prowincji, potem przez pięć lat byłem zwiadowcą.

- Wciąż w służbie? - rzucił. Życie wojskowe było jego jedyną miarą społecznego statusu. Wyobraziłem sobie, że zanudza wszystkich opowieściami o tym, jak to liczą się tylko tradycyjne wartości, dawny sprzęt i niezrównani dowódcy z przeszłości, których imion nikt nie słyszał, bo niczym się nie wstawili.

- Pracuję teraz na własny rachunek - wyjaśniłem.

- Nie pochwalam mężczyzn, którzy odchodzą z legionu przed czasem.

- Domyślam się.

- Służba dla kraju utraciła swój blask? - ironizował.

- Zadano mi ciężką ranę włócznią - powiedziałem. Nie taką znów ciężką, ale wystarczyła, żebym mógł odejść.

- Gdzie? - wypytywał dalej. Powinien być detektywem.

- W Brytanii - wyznałem.

- Och, znamy Brytanię! - oświadczył i przyjrzał mi się bacznie.

Zebrałem siły. Nie było ucieczki. Nawet gdybym robił dalsze uniki, i tak by się domyślił.

- Więc znacie też Drugi *Augusta*.

Sekstus Juwenalis nawet nie drgnął, a przecież pogarda rozlała się po jego twarzy niczym nowy kolor u kameleona.

- No cóż! Miałeś pecha! - zadrwił.

- Cały legion miał pecha... w postaci pewnego prefekta obozowego Peniusza Postuma! - Peniusz Postum był tym kretynem, który zlekceważył rozkazy dołączenia do bitwy przeciwko Icenom. Nawet my nie wiedzieliśmy, czym się kierował. - Zdradził nasz legion, tak jak i resztę z was.

- Słyszałem, że za to zapłacił. - Juwenalis zniżył głos, powodowany grozą przemieszana z ciekawością. - Mówiono, że po wszystkim rzucił się na miecz. Sam się rzucił... czy go rzucono?

- A jak sądzisz?

- Wiesz, jak było?

- Wiem - przyznałem. Byłem przy tym. Wszyscyśmy byli. Jednak to, co wydarzyło się tamtej pełnej gniewu nocy, pozostaje tajemnicą II Legionu *Augusta*.

Juwenalis wpatrywał się we mnie, jakbym był ponurym strażnikiem przy

wrotach do Hadesu. Bardzo szybko doszedł do siebie.

- Skoro byłeś w Drugim, to musisz tu stąpać ostrożnie. Szczególnie jeśli jesteś prywatnym agentem Wespazjana! - dodał z naciskiem. Nie próbowałem się spierać. - A może jest nim ten twój dziwaczny towarzysz? - zapytał.

- Więc ludzie zauważyli Ksantusa? - Uśmiechnąłem się. - Przyznam szczerze, że nie znam jego roli. Wolę jej nie znać.

- Skąd go wzięłeś?

- Nieproszony dar od Tytusa.

- Nagroda za dawne zasługi? - drwił prefekt.

- Może za przysługę - rzuciłem. Nadszedł czas, żeby go trochę przycisnąć. - Jesteś najbardziej odpowiednią osobą, by usprawiedliwić Czternasty. Porozmawiajmy o Gracylisie.

- A o czym tu mówić? - Juwenalis spróbował lekkiego tonu. Sprawiał wrażenie, że kieruje się rozsądkiem. Nie zwiódł mnie jednak.

- Muszę się z nim zobaczyć.

- Można to załatwić.

- Kiedy?

- Wkrótce.

- Teraz?

- Nie natychmiast.

Poruszyłem się niespokojnie.

- Październik w Germanii Górnej to chyba nie jest odpowiednia pora i miejsce na nieoficjalne wakacje dla legatów.

- On mnie nie prosi o radę.

- Może powinien! - zasugerowałem. Jawne pochlebstwo też nie skutkowało. Stanowisko prefekta obozu nie należało do skromnych; gość myślał, że sobie zasłużył na moje słowa. - Może twój legat nie ma zwyczaju korzystać z rad. Słyszałem, że przestaje cieszyć się sympatią.

- Gracylis ma swoje metody. - Lojalnie bronił swojego dowódcy.

Mimo to zauważyłem pewien błysk w jego oku... irytację na kłopotliwe zachowanie legata.

- Zatem wyjechał z jakąś kobietą czy uchyla się przed spotkaniem z komornikami?

- Sprawy służbowe.

- Więc słucham. Też jestem tu służbowo.

- To tajemnica służbowa - zakpił. Wiedział, że nic nie mogę zrobić. Ludzie jego pokroju potrafią ocenić możliwości człowieka po sposobie, w jaki sznuruje buty. Widocznie niewłaściwie przeplotłem rzemyki.

- Mam swoje rozkazy, prefekcie. Jeśli nie mogę ich wykonać, będę musiał wysłać zapytanie do Rzymu.

- Twój posłaniec nie opuści obozu - odparł z krzywym uśmiechem.

Zastanawiałem się, jak wiele pamiętam z przesyłania wiadomości za pomocą ognia i dymu, kiedy czytając w moich myślach, rzucił pogardliwie: - Stwierdzisz też, że nie masz dostępu do stacji sygnałowej.

- Domyślam się, że w Mogontiakum nie trzymają gołębi pocztowych. - Ustąpiłem z godnością, której wcale nie czułem. Wolałem jednak nie znaleźć się w jakiejś maleńkiej celi przy bramie głównej, na diecie składającej się z jednej miski papki jęczmiennej dziennie. Zmieniłem taktykę. - Wysłano mnie tutaj, żebym się zorientował w sytuacji politycznej. Skoro nie mogę uzyskać informacji od Gracylisa, muszę skorzystać z twojej wiedzy. Jakie nastroje panują wśród miejscowych plemion?

- Trewerów pobił Petyliusz Cerialis - oznajmił Juwenalis tonem, który miał świadczyć o tym, że jest za starym wygą, by miał otwarcie przeszkadzać, ale jeśli zechce, bez trudu zniweczy moją misję.

- Pod Rigodulum? Legion Dwudziesty Pierwszy *Rapax* dobrze się tam spisał! - odparłem, wykpiwając przy okazji chwalebny udział Czternastego.

Juwenalis zignorował moje słowa.

- Członkowie plemion spuścili swoje wredne głowy i wrócili do pracy - oświadczył. To było dla mnie niespodziewanie pomocne. On niewątpliwie miał nadzieję, że pojawię się wśród miejscowych, obrażę kogoś i tym samym oszczędzę mu osobistego wysiłku przy pozbawianiu mnie przytomności.

- Jakie są tu podstawowe dziedziny działalności?

- Wełna, żegluga rzeczna... i ceramika - poinformował mnie Juwenalis, tym ostatnim słowem o czymś mi przypominając.

- Płaszcz, łódzie i naczynia! Czy przywódca buntu, Cywilis, nie miał przypadkiem jakiejś rodziny w tej okolicy? - zapytałem. - Powiedziano mi, że jego żona i siostra podczas rewolty pozostały w Colonia Agrippinensium.

Twarz mu stężała.

- Batawowie pochodzą z północnego wybrzeża.

- Oszczędź mi lekcji geografii, prefekcie. Wiem, jakie tereny zamieszkują. Jednak Cywilis zniknął w ogóle z tego regionu. Muszę go odnaleźć... zastanawiam się, czy nie wrócił znów na południe.

- To zabawne - odparł z niejakim sarkazmem Juwenalis - ale rzeczywiście słyszymy, że od czasu do czasu się go widuje.

- Naprawdę?

- To tylko takie plotki. Cywilisa otaczała pewna aura tajemniczości. Kiedy tacy ludzie umierają albo znikają, zawsze pozostają jakieś fałszywe wersje dotyczące ich losów.

Miał trochę racji. We wczesnym okresie cesarstwa ludzie wcielający się w tyranów byli stałym zjawiskiem: Kaligula na przykład nieustannie odradzał się wśród swoich zwolenników w egzotycznych państwach na Wschodzie.

- Więc sądzisz, że te pogłoski, jakoby tu i ówdzie go widywano, to wszystko

blaga?

- Byłby głupcem, gdyby zbliżył się do Czternastego!

Przejdźcie kohort batawskich na stronę nieprzyjaciela najwyraźniej wciąż mocno uwierało.

- Wysyłacie patrole na zwiady?

- Niczego nie znajdują.

Pomyślałem, że niekoniecznie musi to oznaczać, że nie ma nic do znalezienia.

- Jaka jest szansa, że bunt na nowo rozpali się wśród tych plemion? - zainteresowałem się. Juwenalis nie uważał, by składanie raportów o sytuacji politycznej mieściło się w ramach jego obowiązków, więc pozwoliłem sobie na głośne rozważania: - Jest taki stary dowcip. Jeśli po rozbiciu statku Grek, Rzymianin i Celt znajdą się na bezludnej wyspie, Grek założy szkołę filozoficzną, Rzymianin wywiesi harmonogram zajęć, a Celt wywoła bójkę - powiedziałem. Popatrzył na mnie podejrzliwie; nawet jak na dowcip miało to zbyt metafizyczny charakter. - No cóż, dzięki... - nie zdążyłem dokończyć, bo ktoś otworzył drzwi.

Powinienem był się tego spodziewać.

Czy to za sprawą przypadku czy, co bardziej prawdopodobne, w odpowiedzi na informację przekazaną zakonspirowaną pocztą pantoflową dołączyło do nas kilku ważniejszych żołnierzy XIV Legionu. Kiedy się obróciłem, żeby ich sobie obejrzeć, serce mi zamarło. Wszyscy mieli zacięte miny ludzi, którzy mają przed sobą cel. Rozpoznałem wśród nich Makrynusa, starszego trybuna o błyszczących lokach, który poprzedniego dnia zbył półsłówkami Justyna, mojego antagonistę centuriona, co najmniej trzech innych centurionów o posępnych twarzach i krzepkiego, milczącego mężczyznę, który jak się domyślałem, był ich *specularius*, śledczym. Sam kiedyś zajmowałem to stanowisko, kiedy pierwszy raz wykonywałem tajną misję i uczyłem się przesłuchiwania... razem ze wszystkimi okrutnymi technikami, które je przyspieszają. Wiedziałem, co w moich czasach oznaczałaby obecność tego złowrogiemu indywiduum. Może jednak zaszły w tej dziedzinie jakieś zmiany.

23

Posadzili mnie na stołku. Otoczyli kołem. Zrobiło się duszno i mroczno. Za lewym uchem słyszałem ciche pobrzękiwanie brązu na ochraniaczu krocza, zbyt bliskie, bym mógł znosić to spokojnie. Nie mogłem się odwrócić i sprawdzić, jakie ruchy wywołały ten dźwięk. Trybun i centurioni stali z dłońmi wspartymi na głowicach mieczy.

Czułem emanującą od nich siłę, jaka zawsze scala dawno uformowany legion. Wiadomości roznoszą się lotem błyskawicy. Rady wojenne prawie że same się zwołują. Wewnętrzne spiski są nie do wykrycia przez kogoś z zewnątrz, a ci mężczyźni przyszli mi pokazać, jakim są dla mnie zagrożeniem.

Ponieważ znajdowaliśmy się w jego biurze, inicjatywa wciąż należała do prefekta. Centurionowie milczeli. Makrynus z przyzwyczajenia przeczesał wolną ręką włosy, który to gest miał podkreślać naturalny złoty połysk loków, i to on, trybun, się odezwał.

- Otrzymaliśmy skargę od małżonki legata na intruza - oznajmił. Jego kulturalny i wyraźny sposób mówienia pozwalał strzelać sylabami jak pestkami. Był przystojnym, zarozumiałym byczkiem o leniwym spojrzeniu. Mogłem sobie łatwo wyobrazić, że Menia Pryscilla właśnie do niego biegnie ze swoimi kłopotami. Byli w podobnym wieku, mieli podobny status. Jeśli z nim jeszcze nie sypiała, to założę się, że miała na to ochotę.

- Nadzwyczajnie łaskawa pani - mruknąłem.

Makrynus tylko czekał, żebym nazwał małżonkę ich legata zepsutą kocicą. Wszyscy czekali. Widziałem, jak palce prefekta wyciągają się po pióro, a on marzy, by wypisać oskarżenie o okazywanie braku szacunku.

- Nędzne psy, takie jak ty, mówią do naszego trybuna „panie”! - fuknął Juwenalis.

- Przykro mi, panie! Naprawdę przeprosiłem za najście. Myślałem, że szlachetny Floriusz Gracylis został w domu z powodu przeziębienia.

- Rezydencja stanowi strefę zakazaną - pouczył mnie. Prefekci obozowi przepadają za wytyczaniem linii demarkacyjnych. - Korzystaj ze stosownych źródeł.

- Stosowne źródła okazały się niedostępne, a ja mam obowiązki względem cesarza - odrzekłem. Znów wyczułem jakiś niepokojący ruch za plecami.

- Kim jest ta wścibska łachudra? - wybuchnął z irytacją trybun.

- Utrapieniec zwany Dydiusz Falko. Były żołnierz z Drugiego *Augusta*. Tę informację powinniśmy przekazywać naszym ludziom razem z hasłem - oświadczył prefekt. Zdusiłem jęk. Już wcześniej dopilnował, żeby ani jeden żołnierz legionu ze mną nie rozmawiał... a prawdopodobnie gotował mi teraz gorszy los. Nim nadejdzie godzina policyjna, będę łatwym celem dla każdego pijanego osiłka, który zechce popisać się przed kolegami. - Teraz pracuje dla Wespazjana... jak należało się spodziewać - dodał. Ta uwaga była aluzją do faktu, że cesarz dowodził kiedyś II Legionem. Ton jego głosu był zjadliwy na tyle tylko, na ile mógł sobie pozwolić, nie okazując braku lojalności wobec wojskowej przysięgi. - Ale to nieważne - zapewnił zgromadzenie. - On tu nie przybył po to, żeby nas niepokoić. Ten idiota zamierza dać się we znaki miejscowym, szukając przywódcy ich buntu. Wydaje mu się, że oswoi Cywilisa!

Dowcip nie rozśmieszył nikogo z obecnych.

- Tak się składa - oświadczyłem z westchnieniem - że polecono mi odnaleźć zagubionego legata, ale jeśli chodzi o Muniusza Luperkusa, trop jest zimny... Chłopcy, odczytuję wasze przesłanie. Każdy z Drugiego to dla was,

szlachetnych wojowników, persona non grata. Pójdę już.

Zapadła cisza, jednak przesunięcie światła i chłodniejszy powiew powietrza za moimi plecami poinformowały mnie, że zbrojny mur z tyłu się rozstąpił. Wstałem. Wciąż stali bardzo blisko mnie, tak że odwracając się, zawadziłem o stołek. Byłem zaskoczony, że nikt się na mnie nie rzucił. Chcieli, żebym czuł się zaskoczony. Wszystkich cieszyła moja nerwowość, ale pozwolili mi odejść. Ktoś zamknął za mną drzwi kopniakiem. Spodziewałem się usłyszeć śmiech, ale jego brak był gorszym znakiem. Wyszedłem na plac defilad, gdzie w oczy uderzyły mnie nieprzyjemnie oślepiające promienie z wiszącego nisko nad horyzontem jesiennego słońca.

Nikt mnie nie tknął. Tymczasem czułem się, jakbym podczas ceremonialnego wymierzania kary został przez cały legion wychłostany powrozami z supłami.

24

Te radosne wydarzenia zabrały mi tyle czasu, że mogłem się już udać z powrotem do domu trybuna, gdzie umówiliśmy się na wspólny południowy posiłek.

- Zabieram cię na kielicha. Jest taka tawerna, zwana *Meduzą*, którą mi zarekomendowano... - zacząłem.

- Nikt, kogo znam, nie chodzi się tam napić! - oświadczył ze zgrozą Justyn.

Przyznałem, że jego przyjaciele są pewno zbyt wytworni, by tam bywać. Potem wyjaśniłem swoje powody. Justynowi podobało się, że może brać udział w śledztwie, więc przestał mieć obiekcje. Po drodze pytał mnie o postępy.

- Właśnie miałem kolejne spotkanie z chłopakami z Czternastego. Twierdzą, że ich dowódca wyjechał służbowo, co trudno obalić. Coś się jednak dzieje, o czym świadczy ich przesadna reakcja.

Poinformowałem go o źle wróżącym nastawieniu legionistów z Czternastego do mojej osoby. Justyn był za młody, by pamiętać szczegóły brytańskiej rebelii, musiałem więc opowiedzieć mu całą tę żalną historię o tym, jak II Legion *Augusta* pozbawiono chwały. Twarz mu się wydłużyła. Mało że gościł we własnym domu człowieka napiętnowanego, to zapewne - jak na większości ludzi - na nim również wkład mojego legionu w historię robił nieszczególne wrażenie.

Meduza była rzeczywiście mało atrakcyjna, ale nie tak obskurna, jak się obawiałem. Panowała tam senna atmosfera, tak jakby ożywiała się dopiero nocą. Prawdę mówiąc, żaden szynk w Mogontiakum nie był otwarty przez całą noc; ospała atmosfera panująca w *Meduzie* w porze posiłku wynikała z gnuśności właścicieli. Rozchybotane stoliki pod łuszczącymi się ścianami wyglądały jak grzyby czepiające się sędziwych drzew, a dzbany do wina miały pokracczne kształty. Siedzieli tu ordynarni żołnierze w towarzystwie podejrzanych typków. Zamówiliśmy danie dnia, zakładając, że być może jest

świeżo przygotowane... co okazało się płonną nadzieją.

Było akurat na tyle ciepło, żeby usiąść na zewnątrz, na świeżym powietrzu.

- O, klopsiki! - zawołał uprzejmie Justyn, kiedy przyniesiono potrawę. Widziałem, że szybko traci zainteresowanie nią. - Mięso wygląda na królicze... - powiedział z zadumą. W rzeczywistości wyglądało na z grubsza posiekane mięso steranego pracą muła, który zdechł z rozpaczony, udręczony świerzbem.

- Nie ma się co zamartwiać tym, czego mogli użyć w charakterze przypraw, bo wygląda na to, że nie ma tu żadnych... - zacząłem i pomyślałem sobie, że szlachetna matka mojego towarzysza, Julia Justa, która nie miała o mnie dobrego zdania w związku z tym, co uczyniłem jej pięknej córce, nie miałyby powodu, żeby zmienić swoją opinię, gdybym struł jej syna w takiej jak ta spelunie.

- Nic ci nie jest, Falko?

- Nie, wszystko w porządku.

Trybuni są tu rzadkością. Obsługiwał nas sam właściciel. Uważał pewnie, że przeprowadzamy kontrolę... którego to zadania żaden z nas nie miałby ochoty się podjąć. Po jakimś czasie przysłał dziewczynę, żeby spytała, czy czegoś nie potrzebujemy. Pytanie to nie miało żadnego związku z jedzeniem czy winem.

- Jak ci na imię? - spytałem, dając jej do zrozumienia, że pojąłem sugestię.

- Regina - odparła.

Justyn aż podskoczył, choć powód jego ekscytacji był zupełnie inny, niż sądziła. (Wiedział ode mnie, że tak właśnie ma na imię przyjaciółka zaginionego niewolnika zaginionego legata).

- Królowa! - zawołałem figlarnie do Justyna. Była zachwycona. Zamówiłem kolejne pół dzbana i powiedziałem, żeby przyniosła sobie kubek.

- Chyba nie ma nic przeciwko temu, by nas zabawiać - szepnął Justyn, kiedy poszła po wino. Nie był pewien, czy postępujemy moralnie, robiąc wrażenie, że ją do tego zachęcamy. Moje związane z *Meduzą* skrupuły były bardziej praktycznej natury. Obawiałem się jedynie, że ryzykujemy zdrowie, zmuszając się do zjedzenia tych podłych siekanych kotletów, skoro nie mamy pewności, że podążamy właściwym tropem.

- Zabawianie nas to jej zawód, co nie wyklucza całkiem skomplikowanego prywatnego życia po pracy. Porozmawiam z nią - dodałem, przechodząc na język grecki, kiedy dziewczyna wróciła. - Pozwól, młodzieńcze, że podam ci kilka życiowych rad: nigdy nie graj w gry planszowe z obcymi, nigdy nie głosuj na faworyta i nie ufaj kobiecie, która nosi bransoletkę wokół kostki...

- O tak, świetnie znasz się na kobietach! - odparł cierpko greką, którą posługiwał się lepiej ode mnie. W każdym razie na tyle sprawnie, by bez najmniejszego wysiłku wyrazić się nieuprzejmie.

- Odprawiła mnie z kwitkiem spora liczba dziewcząt usługujących w winiarniach, to pewne... - przyznałem. - Męskie rozmowy! Szlachetny pan

narzekał, że zmarnowałem życie jego siostrze - rzuciłem żartobliwie do Reginy.

Senne dziewczę zapomniało przynieść sobie kubek; rzuciło nam nic nie znaczący uśmiech i podreptało z powrotem.

Justyn miał wzrok utkwiony w miskę z klopsikami i ciągnął tą swoją wyzywająco płynną greką:

- Mówiąc szczerze, Falkonie, chciałbym wiedzieć, czy ta sprawa z moją siostrą to rzecz poważna.

- Na tyle poważna, na ile mnie tylko stać - oświadczyłem z powagą.

Podniósł wzrok.

- To nic nie mówi.

- Mylisz się, trybunie. Mówi właśnie to, co chcesz wiedzieć. Z mojej strony Heleny nigdy nie spotka żadna krzywda.

Dziewczyna wróciła do naszego stolika.

Usiadła, pozwalając nam dalej toczyć swoją rozmowę. Była przyzwyczajona do kupców, którzy kończyli swoje sprawy, zanim zaczęli pertraktować z nią. Prawdę mówiąc, wyglądała na osobę uległą w każdej sytuacji.

Obaj z Justynem porzuciliśmy poprzedni temat.

Zjadłem tyle, ile mogłem tej nie mającej żadnego smaku potrawy, po czym przepłukałem usta winem. Uśmiechnąłem się do dziewczyny. Była przysadzistą smarkulą, z płaskimi piersiami i krótkimi rudymi włosami. Przystrzyżone równiutko, poskręcane były w loczki, typowe dla dziewcząt serwujących wino razem z mniej pożytecznym towarem. Miała na sobie całkiem czystą białą tunikę, a z ozdób naszyjnik ze szklanych paciorków oraz tandetne pierścionki z serpentynitu, a także ten nieodzowny łańcuszek na kostce nogi, o którym wspominałem. W jej służalczym sposobie bycia przebijała pewna arogancja. Miałem w Rzymie gromadkę twardych, pogardliwie zachowujących się sióstr. Ta dziewczyna mi je przypominała.

- Regino, czy znasz pokojowca o imieniu Rustykus?

- Może - odpowiedziała. Należała do tego typu osób, które z zasady unikają odpowiedzi na pytania.

- Wiesz, o kim mówię?

- Pracuje w obozie.

- U jednego z legatów. Nie martw się... nic złego się nie stało! - zapewniłem ją szybko. - Słyszałem, że się przyjaźnicie.

- Może kiedyś - rzuciła. Jej przepełnione pewnością siebie niebieskie oczy nagle pociemniały. Może się bała. A może było to coś bardziej podejrzanego.

- Wiesz, gdzie on jest?

- Nie.

- Czy gdzieś wyjechał?

- A co tobie do tego? - zapytała ostro.

- Bardzo mi zależy, żeby go znaleźć.

- Po co? - fuknęła. Miałem już wyjaśnić, że szukam legata, ale ona nie czekała na odpowiedź. - Od wieków go nie widziałam. Nie mam pojęcia, gdzie jest! - wołała gniewnie. Zerwała się na równe nogi. Zaskoczony Justyn z głośnym szurnięciem cofnął się ze stołkiem. - Czego chcesz? - krzyknęła Regina. - Dlaczego mnie dręczysz?

Inni klienci, w większości żołnierze, zerkali w naszą stronę, choć bez szczególnego zaciekawienia.

- Daj jej spokój, Falko - wtrącił się Justyn. Dziewczyna jak szalona wpadła do winiarni. - Tak, dziewczki usługujące rzeczywiście wydają się twoją specjalnością! - zakpił. Popatrzył na mnie z wyrzutem, po czym ruszył za dziewczyną.

- To cała Regina - powiedział, szczerząc zęby, jeden z żołnierzy.

- Drażliwa?

- Wpada w złość z byle powodu.

Zostawiłem pieniądze na stoliku i czekałem w pobliżu na pojawienie się trybuna.

- Cieszę się, że jesteś cały! Powiedziano mi, że ona słynie z napadów złego humoru. Uwielbia wrzeszczeć i wybuchać płaczem przy niewinnych klientach. Na bis może jeszcze cisnąć człowiekowi w głowę amforą. Jak się ma pecha, to pełną... Ocierałeś jej łzy czy tylko próbowałeś robić uniki?

- Postępujesz zbyt ostro, Falkonie!

- Tego się spodziewała.

- Czyżby? - wycedził Justyn. - Cóż, dowiedziałem się tego, co trzeba, bez używania przemocy. Sprawa jest prosta. Ona i ten Rustykus posprzeczali się jak to kochankowie. Już się z nim nie spotyka.

- A co ze zniknięciem legata?

- Wie jedynie to, co usłyszała od swojego chłopaka, a mianowicie, że jego pan planował wyjazd na kilka dni. Nie wie po co ani dokąd.

- Świetnie, jeśli to prawda.

- A niby dlaczego miałyby nie być?

- To dziewczyna z szynku, ty jesteś obcy, a ja potrafię rozpoznać kłamliwą dziewczkę, która ma coś do ukrycia!

- Cóż, ja jej uwierzyłem.

- To się ciesz - powiedziałem.

Poszliśmy w stronę bramy fortecy. Justyn nadal udawał rozgniewanego, ale jego sympatyczny charakter brał górę. Pokręciłem głową i roześmiałem się cicho.

- Co cię tak bawi? - zapytał.

- Och... jest taka tradycyjna metoda wyciągania informacji, kiedy najpierw pojawia się brutal i wyprowadza podejrzanego z równowagi, następnie

miejsce okrutnika zajmuje jego partner, łagodny i przyjacielski pocieszyciel, przed którym delikwent otwiera serce.

- Wydaje się skuteczna - zauważył sztywno Justyn.
- A i owszem!
- A co w tym śmiesznego?
- Nic takiego. - Posłałem mu uśmiech. - Dowcip polega na tym, że ten drugi ma być łagodny tylko na niby!

25

- Jakaś kobieta pytała o ciebie, Marku Dydiuszu. - Tą wiadomością przywitał nas służący Justyna.

- Do takich nowin należy podchodzić ostrożnie. - Roześmiałem się. Justyn zeszywniał. Jeśli chciałem, by mnie uważano za osobę, na której Helena może polegać, nonszalancja była niewłaściwą reakcją. Za dużo gadaliśmy o dziewczętach usługujących w szynkach, a za mało o górnolotnych nudziarstwach, jakie na ogół wałkują senatorowie. Cóż, nic nie mogłem poradzić na to, że nie był do mnie przyzwyczajony. Jego siostra natomiast była i wyboru już dokonała.

- Kto to taki? - zapytałem.
- To Julia Fortunata, Marku Dydiuszu. Zobaczyłem zaskoczenie na twarzy Justyna. Uniosłem brew.
- Niech zgadnę... coś ją łączy z Gracylisem?
- Zatem coś ci się obito o uszy? - mruknął trybun. Przy swojej służbie starał się zachować dyskrecję. Ale to nie była moja służba.
- Menia Pryscilla wspomniała dziś rano, że Gracylis nie kryje się z tym, że ma kochankę. To właśnie ona? Takie jawne przybycie do obozu wydaje się dziwne... ciekawe, co to za pilna sprawa? Wiesz może, gdzie mieszka?
- Tak mi się zdaje - odparł Justyn, wciąż bardzo ostrożnie. - Powiadają, że Gracylis umieścił ją w położonej nieopodal willi...

Powiedziałem, że jeśli ma wolne popołudnie, to może dla rozrywki wybrać się tam ze mną. Zawahał się. Potem jednak kazał niewolnikowi przynieść nam płaszcze.

Wyjechaliśmy przez bramę Decumana w kierunku południowym. Kiedy już znaleźliśmy się na stoku za bramą, ogarnął nas spokój i cisza. Nie licząc wielkiego zakola rzeki, kwadratowa bryła fortecy stercząca za nami była najbardziej rzucającą się w oczy cechą krajobrazu, ponieważ nie było tu ostrych grani i wąskich skalistych przełomów, jakie występują w niższym biegu. Tutaj przeważał teren płaski, czasami poznaczony naturalnymi albo sztucznymi zatoczkami, gdzie cumowano, ale nie był ani trochę bagnisty. Rosły tam wysokie drzewa, które często zasłaniały widok na Ren i Men.

Justyn poprowadził mnie drogą, która pozwoliła mi podziwiać pomnik

Druzusa... nie pozwoliłem jednak, by ta przyjemność zbyt długo nas zatrzymała. Pomniki ku czci dawno zmarłych oficjalnych bohaterów nie robią na mnie wrażenia. Ledwie rzuciłem nań okiem.

Jakąś milę dalej stał maleńki fort chroniący niewielkie osiedle, które - jak powiedział Justyn - uważało się za oficjalne canabae Mogontiakum. Julia Fortunata wynajmowała dom po tej stronie osady. Jak na kobietę o pewnej pozycji nie mieszkała w szczególnie bezpiecznym miejscu. Ren był o rzut kamieniem. Jednakże równoległe do jego brzegu biegła w górę rzeki prowadząca do Argentoratum i Windonissy droga wojskowa i gdyby pojawiło się zagrożenie, strażnica stanowiłaby przynajmniej chwilowe zabezpieczenie.

Dom i całe obejście miało charakter rzymski, pomimo typowego dla prowincji układu budynków i znacznie mniejszych rozmiarów niż rozległe posiadłości w Italii. Ruszyliśmy trawiastą ścieżką, biegnącą pomiędzy stodołą i stawem dla kaczek, minęliśmy kilka jabłoni, okrążyliśmy pustą obórkę, uniknęliśmy zderzenia z biegającą swobodnie świnią i dotarliśmy do domu z kolumnami.

Weszliśmy do kwadratowego, typowo germańskiego pomieszczenia z paleniskiem pośrodku. W łagodniejszym śródziemnomorskim klimacie byłoby to prostokątne atrium z otworem w dachu i z basenem. Julia Fortunata wprowadziła tu jednoznacznie rzymski styl: zasłony w wyrafinowanych kolorach, sofy z podwiniętymi bokami, doskonale rozmieszczone posążki greckich biegaczy i zapaśników, stolik z niewielką kolekcją zwojów w srebrnych pojemnikach. Było tam też kilka wyraźniejszych akcentów: zaskakujące purpurowe lambrekiny i zatrzesienie lamp z brązu w kształcie liści akantu.

Było oczywiste, że zależało jej na spotkaniu ze mną, ale nie pokazała tego po sobie, podając mi dłoń spokojnym, oficjalnym gestem. Mogła być godną małżonką jakiejś wysoko postawionej osobistości, gdyby los nie spowodował, że wywodziła się z dobrej, ale nie wystarczająco dobrej rodziny. Podczas gdy Menia Priscilla mogła się poszczycić bogactwem i arogancją, Julii musiała wystarczyć kultura i dobre wychowanie. Nie przysługiwały jej towarzyskie przywileje, jakie w Rzymie nadają sławni przodkowie i zgromadzona przez dziesiątki lat fortuna. Mogła wyjść za urzędnika celnego i przez resztę życia królować w jakiejś mieścinie, która jednak uparta kobieta da się ściągnąć do poziomu nudnej szacowności?

Jeśli Gracylis był, jak sądziłem, koło czterdziestki, to Julia Fortunata musiała być o tyle starsza, że dawało się to zauważyć. Justyn powiedział, że ich związek trwa już długo: przetrwał pierwsze małżeństwo legata i wyglądało na to, że przetrwa i drugie. Julia Fortunata wszędzie towarzyszyła Gracylisowi. Gdziekolwiek się znalazł, wiadomo było, że ona też się zjawi, zamieszka w niewielkiej odległości i zapewni mu to, co zawsze. Układ ten już dawno stał się

oczywistością i przestał być uważany za skandaliczny. Zdawałoby się, że Julia Fortunata skazała się na mizerne życie, szczególnie jeśli, jak przypuszczałem, Floriusz Gracylis był postacią żalostną. Jednak wyrobione kobiety gotowe są płacić taką cenę za związek z senatorem.

Spowijała ją bladoróżowa szata. Była dość wysoka i niezbyt ładna, o kanciastej twarzy i szyi świadczącej o jej wieku. Nogi okazały się paskudnie chude, kiedy usiadła i skrzyżowała je w kostkach. Mimo to miała klasę. Delikatnymi ruchami ułożyła fałdy stoli. Ładnie trzymała głowę. Zachowywała się powściągliwie w obecności mężczyzn. Jednym słowem, była prawdziwą rzadkością, niezależną matrona... zdecydowaną, opanowaną i szykowną.

- Pani, jestem Dydiusz Falko, a to jest Kamil Justyn, starszy trybun w I Legionie *Adiutrix* - oznajmiłem. Ponieważ Justyn obracał się w takich samych kręgach towarzyskich jak ona, pozostawiłem mu inicjatywę, tymczasem on milczał i stał obok mnie niczym obserwator.

Julia Fortunata przyjrzała się nam obu: Justynowi w porządnie drapowanej białej tunice oblamowanej z przodu szerokim purpurowym pasem, spokojniejszemu i poważniejszemu od większości dowódców jego rangi; i mnie, dziesięć lat starszemu i z doświadczeniem. Wybrała mnie do rozmowy.

- Dziękuję za bezzwłoczną rewizytę - odezwała się głosem pewnym i kulturalnym. Idealnie pasował do zdecydowanego gustu widocznego w stonowanym stroju oraz niewielu ozdobach, których wygląd był uderzający.

Na rękę miała śmiałą bransoletę pochodzącą ze Wschodu, a w uszach dwa ogromne krążki z kutego złota. Nawet sandały miały ciekawy krój. Była kobietą, która sama dobierała sobie rzeczy i lubiła odrobinę czegoś niezwykłego.

- Prowadzisz jakieś dochodzenie?

Uczyniłem gest potwierdzenia, ale nie podałem żadnych szczegółów.

- Byłaś dziś w obozie, pani?

Przyznaję, że byłem zaskoczony.

- Sprawa jest pilna. Zakładam, że jeśli dochodzenie, które prowadzisz, ma związek z moim starym przyjacielem Floriuszem Gracylisem, to chętnie przyjmiesz każdą pomoc.

Spróbowałem wyprowadzić ją nieco z równowagi.

- Menia Pryscilla myśli, że może on być u ciebie.

- To Menia Pryscilla umie myśleć? - rzuciła błyskawicznie, aż obaj podskoczyliśmy. - Niestety, tutaj go nie ma.

Uśmiechnąłem się. Widziałem, co może go w niej pociągać. Tutaj człowiek wiedział dokładnie, na czym stoi.

- Długo go znasz? - zapytałem.

- Dziesięć lat - powiedziała nieco oschłym tonem, dając nam do zrozumienia, że możemy uważać to za coś więcej niż luźny kontakt.

Chciałem czegoś bardziej konkretnego.

- A jakie łączą was stosunki?

- Serdeczne - odparła stanowczym tonem.

Nie ciągnąłem tego dalej. Nie zamierzałem zachowywać się prostacko. Wszyscy i tak wiedzieliśmy, jak sprawy wyglądają.

- Julio Fortunato, jestem wysłannikiem Wespazjana. Wysłano mnie do Germanii Górnej w innej sprawie, jednakże wszelkie dziwne wydarzenia, jakie mają miejsce podczas mojego pobytu, mogą się z nią wiązać i dlatego wymagają sprawdzenia. Masz rację, każda informacja dotycząca miejsca pobytu Gracylisa będzie dla mnie cenna. Możesz mówić bez ogródek.

Milczała chwilę, przyglądając mi się otwarcie. Wytrzymałem jej badawcze spojrzenie. Kiedy już mnie oceniła, podjęła decyzję i dała znak, byśmy usiedli.

Obmyśliła sobie wcześniej, co ma powiedzieć. Mówiła zwięźle i nie trzeba było jej wiele podsuwać. Gracylis rzeczywiście rozpląnął się w powietrzu. Jego przyjaciółka Julia była ogromnie zaniepokojona. Chciała się ze mną zobaczyć, ponieważ czuła, że w „innych kręgach” zbyt lekko traktują tę sprawę albo coś wiedzą i starają się ją zatuszować. Było rzeczą absolutnie niemożliwą, by gdzieś wyjechał, nie wspomniawszy jej o tym.

- Czy sprawy wojskowe też z tobą omawia?

- Oczywiście, w stosownym zakresie.

- Oczywiście - przytaknąłem. Justyn u mojego boku z trudem powstrzymał się od wyrażenia dezaprobaty. - Powiedz mi, pani, czy miał jakieś zmartwienia? - drażyłem.

- Gracylis jest nadzwyczaj skrupulatny. Wszystkim się przejmuje - odrzekła.

Nerwus, hm? Ten człowiek niewątpliwie nękał swoich żołnierzy i irytował żonę, choć pewnie kochanka nauczyła się przez te dziesięć lat nie zwracać uwagi na jego nadpobudliwość. Być może, pomyślałem sobie, rolę Julii Fortunaty w jego życiu zawsze było go uspokajać i podnosić na duchu.

- Czym przejmował się ostatnio? Możesz mi podać przykłady?

- Odkąd przyjechaliśmy do Germanii? Ogólnie rzecz biorąc, sytuacją polityczną. Obawiał się, że Petyliusz Cerialis został być może przedwcześnie przeniesiony do Brytanii, że bunt nie jest jeszcze stłumiony do końca. Wyczuwał dalsze kłopoty. - Mówiła o polityce jak mężczyzna. Zastanawiałem się, czy sam Gracylis był tak elokwentny, czy może ona pomagała mu ubrać myśli w słowa. Teraz jednak, kiedy przedstawiała nam, jaka była jego ocena sytuacji z punktu widzenia tutejszego dowódcy, po raz pierwszy zobaczyłem w nim kogoś, kto sprawuje rzeczywistą władzę. Julia Fortunata na pewno go wspierała.

- Jakie miał stosunki wewnątrz obozu?

- Był świadom, że Czternasty Legion jest najbardziej doświadczony i w dużym stopniu ciągnie za sobą kolegów. - Wykonała drobny przeprasający

gest w stronę Justyna za lekceważącą opinię o jego legionie.

Nie spodziewaliśmy się takiej delikatności. Justyn odpowiedział jej smętnym uśmiechem.

- Coś jeszcze? Kłopoty finansowe?

- Nic szczególnego.

- Problemy z żoną?

- Och, sądzę, że z tym Gracylis potrafi sobie poradzić! - Znowu w jej głosie pobrzmiwała gorycz przemieszana z pogardą, choć uczucia te były dobrze kontrolowane. Julia Fortunata wiedziała, że jej pozycja jest mocna.

- Inne kobiety? - rzuciłem lekko. Nie uważała za stosowne odpowiedzieć, czyniąc mi niemy wyrzut z powodu tego pytania. - Zatem co go nurtowało? Może było to coś związanego z buntownikami?

- Rzeczywiście, brał pod uwagę myśl, że ten plemienny przywódca, Cywilis, nie pogodzi się z przegraną i znowu spróbuje zgromadzić zwolenników.

- Jakież dowody?

- Nic pewnego.

Uśmiechnąłem się.

- Czy postanowił w związku z tym coś zrobić?

- Chciałby dokończyć zadanie, jakie pozostawił Petyliusz Cerialis. Gracylis, co zrozumiałe, jest człowiekiem ambitnym. Rozwiązanie problemu Cywilisa wzmocniłoby jego pozycję w Rzymie i zyskało przychylną cesarza. Jednak z tego, co wiem, nie bardzo miał się na czym oprzeć.

Dla wysłannika, któremu też przydałoby się wzmocnienie pozycji i wdzięczność okazana przez cesarza, były to krzepiące wiadomości.

- Czy zainteresowanie legata dotyczy również Weledy?

- Nigdy o niej nie wspomniał - oświadczyła. To wyglądało na lojalność. Legat zapewne był tak samo zafascynowany słynną wieszczką jak każdy inny mężczyzna.

- Więc nie podjął żadnej akcji i z tego, co wiesz, nie miał takich bezpośrednich planów?

- Legat miał się na baczności przed niepokojami. Tyle tylko mogę powiedzieć. Poza tym - oświadczyła z naciskiem, jakby czuła, że dostarczyła nam dość informacji, abyśmy mogli jako profesjonaliści zacząć działać - Floriusz Gracylis bardzo interesuje się wszystkim, co dotyczy obozu warownego, od jakości dostarczanego ziarna poczynając, a na miskach, z których jedzą żołnierze, kończąc!

- Chyba liczba kontraktów na dostawy, podlegających renegotjacji po zamęcie wywołanym wojną domową, jest duża - powiedziałem po chwili namysłu.

- Owszem. Jak już powiedziałam, Floriusz Gracylis lubi osobiście dopilnowywać szczegółów - oznajmiła z dumą.

Nie wątpię!

- A jak go widzą dostawcy?

- Myślę, że to oczywiste! - odparła kwaśno Julia Fortunata. - Ci, którym się udało, chwalą jego osąd. Ci, którzy tracą kontrakty, sarkają.

Ożywiłem się. Ciekawe, czy ci, którzy uzyskali kontrakty, dali wyraz swojej wdzięczności bardziej namacalnie niż tylko pochwałami... albo czy któryś z przegranych nie oskarżył go o niesprawiedliwe potraktowanie... musiałem to jednak ująć jakoś dyskretnie.

- Czy wiesz coś o takich problemach w sprawach handlowych, które mogłyby mieć jakiś związek ze zniknięciem legata?

- Nie - odparła. Myślę, że wiedziała, o co mi chodzi. - Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Miałem uczucie, że niepokój Julii o niego jest o wiele głębszy, niż wskazywałby jej spokojny ton, była jednak zbyt dumna, również ze względu na Gracylisa, by to okazać.

Pozwoliłem, żeby to ona zdecydowała, kiedy nasza rozmowa ma dobiec końca. Obiecała się skontaktować, gdyby przyszło jej do głowy coś więcej. Była tego rodzaju kobietą, która nie spocznie, póki nie będzie wiedziała, co się stało z jej mężczyzną.

Życzyłem jej, aby jej obawy okazały się nieuzasadnione. On był prawdopodobnie godny pogardy, ale ją polubiłem.

- I co o tym sądzisz? - spytał Justyn, kiedy wracaliśmy do Mogontiakum.

- Kobieta z silnym charakterem, związana z mężczyzną, któremu go brak. Normalka, jak by powiedziała twoja sarkastyczna siostra!

Udawał, że nie usłyszał ostatniego zdania.

- Czy nam to w ogóle coś dało?

- Niewykluczone. Według mnie ma to jakiś związek z Cywilisem.

- Coś podobnego!

- Cóż, albo to, albo szlachetny pan wdał się w jakąś machlojkę z dostawami paszy dla jazdy czy też w nierozważne machinacje z dostawcami wyrobów ceramicznych. Ze względu na dumę Rzymianina, wolałbym już, żeby był zakładnikiem niebezpiecznego buntownika niż głupcem, który oberwał w głowę miską na owsiankę!

Kamil Justyn obdarzył mnie tym swoim leniwym, pełnym uznania uśmiechem.

- Chyba jednak postawię na miskę - oświadczył.

26

Zmierzchało, a Justyn miał pełnić tej nocy służbę jako dowódca warty, więc popędziliśmy konie. Kiedy byliśmy już blisko obozu, poprosiłem, żeby zabrał mojego wierzchowca, a ja pomyszkuję sobie po okolicy. Zostawił mnie w

pobliżu bramy.

Rozejrzałem się wokoło. Do ruchliwego nabrzeża miałem spory kawałek, więc na razie sobie je darowałem. Większość cywilów usadowiła się za fortem, gdzie wodę dostarczał im solidnie wyglądający akwedukt. Dalej znajdował się posterunek straży celnej oraz kolumna Jowisza, mająca wyrażać rzekome poparcie obywateli dla Palatynu. Wymyśliłem sobie własną wersję tych żalonych deklaracji: Niech nam żyje i panuje Neron, towarzysz bogów olimpijskich, wołają obywatele naszego miasta (wyrażając gorącą nadzieję, że Neron ufunduje im teatr). Musieli składać je w nieodpowiednim czasie, bo nie widziałem tam śladu teatru.

Z położonej na lekkim wzniesieniu fortecy rozciągał się rozległy widok na rzekę, na jej zakole i rozszerzone koryto za miejscem spływu z Menem. Poszedłem drogą wiodącą do mostu i ruszyłem na drugą stronę rzeki. Dopiero teraz mogłem ocenić szerokość Renu. Przy nim Tyber robił wrażenie strumyka wijącego się pośród rukwii wodnej. Na drugim brzegu postawiono strażnicę, na tyle dużą, by dać jej nazwę: Castellum Mattiacorum. Teraz przekroczyłem limes na Renie.

Z początku nie odczuwałem żadnej różnicy pomiędzy tą stroną a rzymską. Atmosfera wydawała się mniej groźna niż w dzielnicy imigrantów na rzymskim Zatybrzu. A jednak nie było to Zatybrze i miejsce to wcale nie było dla mnie bezpieczne. Rzymskie wieże strażnicze po tej stronie rzeki były wielką rzadkością. Ta, która stała na początku wielkiego szlaku handlowego, ciągnącego się wzdłuż biegu Menu w głąb terytorium Germanów, była jedynie symboliczna. Wykonałem pierwszy próbny krok poza granice cesarstwa. Za plecami miałem równe rzędy migotliwych białych świateł Mogontiakum. Przed sobą setki albo tysiące mil zdradliwego świata, zamieszkanego przez ludzi nie ukrywających pogardy dla Rzymu, a jeszcze dalej, przez jakieś inne plemiona, których my, Rzymianie, jeszcze nie poznaliśmy, na ziemiach, o których nikt z nas nie miał żadnego pojęcia. Tego dość ponurego wieczoru, przy zapadającej wcześniej nocy, świadomość ogromu Europy wywołała u mnie posępny nastrój i tęsknotę za odległym domem.

Strażnica otoczona była luźno rozrzuconymi domami ludności cywilnej. Na nabrzeżu znalazłem tawernę o mniejszej liczbie klientów i wyższym standardzie niż *Meduza*, gdzie mogłem sobie usiąść i oglądać majestatyczną rzekę i ostatnie statki zdążające na noc do przystani.

Myślałem o swoim zadaniu. Choć sprawy posuwały się powoli, poczułem się już pewniej w swojej roli... dostrzegając nowe problemy. Czułem przez skórę, że mam rywala. Jeśli Floriusz Gracylis uznał za swoją misję ponowne pozyskanie Juliusza Cywilisa - a niezależnie od przekonania Julii Fortunaty mógł również mieć ochotę na pozbycie się Weledy - to miałem nadzieję, że mu się nie powiodło. W przeciwnym bowiem razie utknąłbym w tej dziurze, tysiąc

mil od domu, a kto wie jak daleko od Heleny, obrabowany ze zlecenia od cesarza, a tym samym pozbawiony szansy na zarobienie gotówki. Wespazjan był snobem. Wolałby raczej szczerze nagrodzić senatora, niż wydusić kilka nędznych sestercji dla kogoś takiego jak ja.

Bo rzeczywiście wyglądało na to, że Gracylis wyskoczył na poszukiwanko. Być może ten jeden raz postanowił zachować coś w sekrecie przed energiczną Julią. Może nawet odczuł potrzebę, by działać w pojedynkę. Ludzie z jego legionu muszą wiedzieć o jego zamiarach. Kiedy powiedziałem im, w jakim celu przysłał mnie tutaj Wespazjan, mieli podwójny powód, by udawać, że nic nie wiedzą, a potem przeszkodzić moim planom. Nowa miotła czy nie, będą popierać swojego dowódcę. A Gracylis na pewno uważał, że ta misja jest odpowiedniejsza dla osoby o jego pozycji niż dla kogoś takiego jak ja...

Prawdziwy pech, legacie! Jeśli to miał być wyścig, to Marek Dydiusz Falko postanowił go wygrać.

Nie wiedziałem jeszcze, jak się do tego zabrać. Jednak szczegóły techniczne można opracować kiedy indziej. Bohaterowi wystarczy siła charakteru.

Zadowolony z postępów mijającego dnia cieszyłem się trunkiem. Wieczór był spokojny. Nad rzeką tego wieczoru było miło i spokojnie. Zacząłem myśleć o kobietach: szynkarkach, żonach dowódców, kochankach... a wreszcie o Helenie. Pomarzyłem sobie o niej twórczo i znowu zacząłem się o nią martwić. Przygnębiony, powlokłem się w ciemnościach do domu.

Po naszej stronie rzeki prowincjonalni kupcy zamykali kramy i pomyślałem, że za jakieś cztery czy pięć godzin sam mogę poczuć senność. Jeśli Argentorium zamykało wcześniej okiennice, to i tak przy Mogontiakum jego mieszkańcy wyglądali na zwyrodniałe sowy. Kiedy tutaj ziewnął pierwszy człowiek, wszyscy pakowali się do łóżek. O tej porze kosmopolityczny Rzymianin dopiero zaczynał odczuwać głód i szykował się do wieczornych rozrywek, natomiast w tutejszych jadłodajniach stawiano już odwrócone ławy na stołach, a z szynków wymiatano klientów, którzy zasiedzieli się przy winie. Każdy, kto się ociągał, ryzykował, że przytrzasną mu tunikę w drzwiach.

Skradałem się ulicami tego statecznego miasta z nadzieją, że nikt mnie nie widzi. Nie chciałem denerwować porządnych obywateli.

W obozie nadziałem się na przeszkodę.

- Hasło?

- Niby skąd mam je znać? Jestem tu tylko gościem - odparłem.

W Germanii rok po rebelii trzymano się ściśle przepisów. Była to zdrowa praktyka... i poważne zagrożenie dla takich swobodnych typków jak ja.

Na szczęście wartownik był z I Legionu i chciał mi pomóc. Gdyby wartę pełnili ci z XIV, spędziłbym za murami całą noc.

Na szczęście przypomniałem sobie rozmowę z Justynem.

- „Mars Mściciel” - rzuciłem.

- Spróbuj jakieś inne.
- „Marynowana ryba”.
- Wczorajsze.
- Na Hadesa... a co powiesz na „Drugie imię medyka obozowego”?
- Trafione - powiedział wartownik, ale wcale nie zamierzał odsunąć wycelowanej w moje gardło włóczni.
- Więc w czym problem, żołnierzu? - spytałem znużonym głosem.
- Jakże jest?
- Co jakże jest?
- Jakże jest - powtórzył dobitnie - drugie imię obozowego medyka?

Ci z XIV Legionu mieli rację: I *Adiutrix* to zbieranina durnych majtków ściągniętych z olinowania, o strukturze mózgu równie zwartej jak struktura korka.

Wreszcie znalazłem się za bramą. Każdy, kto podstępem dostał się do burdelu przy *via Triumphalis* podczas próby ratowania fałszywej dziewczycy z Cyrenajki - i wydostał się z niego bez utraty poczucia humoru albo czegoś istotniejszego... poradzi sobie z prostackim odźwiernym w przygranicznym obozie warownym.

Gotowałem się ze złości, ale nie pokazywałem tego po sobie, żeby uniknąć zenujących pytań zaciekawionych osób, i ruszyłem energicznie ku swojej kwaterze. Obawiałem się, że jeśli nie pojawię się przed porą kolacji, Kamil Justyn dołączy do swoich kolegów, zostawiając mnie, bym zadowolił się wczorajszym chlebem. Wydłużyłem krok, nieświadom niczego poza swoim tradycyjnym obowiązkiem gościa, by objeść do cna gospodarza.

Zasadzkę urządzono cztery kroki od drzwi domu trybuna.

27

Trzech żołnierzy włóczyło się po *via Principalis* w słodkawym obłoku wypitego niedawno jęczmiennego piwa; byli dostatecznie wstawieni, by stanowić niebezpieczeństwo, ale nie na tyle pijani, bym samodzielnie sobie z nimi poradził.

Z początku myślałem, że są po prostu niezdarni. Zatoczyli się, zagrządzając mi drogę, niczym chłopcy zbyt źle wychowani, żeby w ogóle zauważyć moją obecność. Potem rozdzielili się i przegrupowali: po jednym z każdego mojego boku, jeden z tyłu.

Dzięki bogatemu doświadczeniu odebrałem sygnał ostrzegawczy, co uratowało mi życie. Nie widziałem sztyletu, zauważyłem natomiast ruch ręki. Rzuciłem się gwałtownie w bok, wpadając na drugiego napastnika, ale przy okazji chwyciłem go i przyciągnąłem do siebie. Okręciłem się w miejscu, zasłaniając nim jak tarczą. Jego szorstki zarost drapał mi policzek i czułem obrzydliwie kwaśny oddech. Chwila bezpieczeństwa trwała krótko... z bliska

był jeszcze bardziej groźny. Rozluźnienie uścisku mogło się źle dla mnie skończyć, ale trzymanie go przed sobą było takie nieznośne, że już prawie wybrałem przewóz w jedną stronę na drugi brzeg Styksu.

Wyrwał się sam. Jakoś wyczułem, co zamierza, i wykorzystując okazję, rzuciłem się do tyłu. Tuż za sobą miałem ścianę domu, która dawała mi nieco ochrony. Instynkt podpowiadał, bym się pod nią skulił, tyle że gdyby rzucili się na mnie jednocześnie, byłoby po mnie. Udało mi się krzyknąć... jednak nie dość głośno. Potem byłem już zbyt zajęty, by krzyczeć. Wszędzie było pełno żołnierzy, ale przedstawienie zostało tak sprytnie wyreżyserowane, że nie wyglądało to na nic szczególnego. Kto się spodziewa bandyckiego napadu przed kwaterami dowódców? Prawdę mówiąc, kto się w ogóle spodziewa, że go napadną?

Ja, brzmiała odpowiedź. Zawsze i wszędzie byłem przygotowany na najgorsze. Dzięki bogom, te rzezimieszki założyły, że wracam do domu ubzdryngolony. Myśleli, że mnie zaskoczą, a tu czekała ich niespodzianka.

Starłem się jak najszybciej ocenić sytuację. Widziałem, co się dzieje, bo z odsłoniętego okna na pierwszym piętrze domu trybuna padał szeroki snop światła. Na samym początku tej przepychanki mignął cień kogoś przechodzącego przez pokój. Zerknąłem w górę w nadziei, że przyciągnę czyjąś uwagę, ale nie zauważyłem już śladu życia.

W rękę trzymałem nóż. Popełnili poważny błąd, pozwalając mi go wyciągnąć. Oddychałem ciężko, ale stałem pewnie na nogach i nic nie krępowało moich ruchów. Nie zanosilo się jednak na nic dobrego. Za każdym razem, kiedy wykonywałem fintę, przysuwałem się odrobinę do portyku domu Justyna. Szanse na dotarcie tam miałem minimalne. Za każdym razem, kiedy któryś z nich wykonywał fintę, parowałem ją, ryzykując atak pozostałych. Przynajmniej atakowali tylko sztyletami... wyciągnięte miecze wzbudziłyby znacznie większe zainteresowanie. Kiedy tak tańczyliśmy wokół siebie, oni wybuchali śmiechem i tręcali się łokciami, żeby wyglądało to na kiksa dla zabawy.

Zbliżyłem się znowu o krok do drzwi, ale jednocześnie uwiązałem pomiędzy dwoma napastnikami i murem, podczas gdy trzeci pilnował, bym się nie wymknął. Należało spróbować ich zagadać, ale miałem tak sucho w ustach, że nie mogłem się odezwać.

Prawie bez namysłu rzuciłem się na tego pojedynczego mężczyznę, po czym zmieniłem kierunek i wściekle zaatakowałem dwóch pozostałych. Ostrza zderzyły się z takim zgrzytem, że zabolaly mnie zęby; poleciały iskry. Tak zawzięcie wymachiwałem nożem, że ledwo usłyszałem kobiecy krzyk w głębi domu trybuna. Poderwałem ramię i usłyszałem, jak ostrze zsuwa się po murze za moimi plecami. Światło nad moją głową już było mocniejsze. Widziałem teraz wyraźniej twarze przed sobą. W świetle mignął kolejny cień.

Mój sztylet w czymś utkwiał. Wyszarpnąłem go, a jeden z napastników, klnąc, podskakiwał w miejscu. Szamotanina stawała się coraz bardziej widoczna; drugi z napastników był gotów zmykać. Trzeci miał więcej odwagi... albo mniej rozumu. Skoczył na mnie. Ryknąłem rozżłoszczony. I wtedy, kiedy znów byłem całkowicie pochłonięty odpieraniem ataku trzech mężczyzn jednocześnie, drzwi domu się rozwarły. Ktoś się pojawił w obramowaniu padającego z tyłu światła. Był innej budowy niż Justyn; za drobny na któregoś z jego gwardzistów. Złowieszczo smukły cień sunął ku nam.

Broniąc się przed napastnikami, którzy zażarcie starali się zakończyć zmagania, nie mogłem dostrzec szczegółów. Ktoś przemknął obok mnie, zaszedł od tyłu jednego z żołnierzy i odchylił mu głowę. Żołnierz bez jednego dźwięku złożył się w pół i osunął na ziemię w charakterystyczny sposób. Na chwilę wszystko zamarło. Dwaj pozostali napastnicy rzucili się do ucieczki z szybkością ludzi, którzy dobrze wiedzą, co właśnie zobaczyli. Ja też wiedziałem, choć trudno mi to było pojąć.

Nie było czasu na pogoń. Poza tym byłem zbyt zmęczony. Dopiero teraz wybiegła z pochodniami straż trybuna, a za nią zjawił się Justyn. Podniósł się wielki rwetes, który natychmiast przycichł, kiedy oświetlono leżącą postać.

Przerazający obraz. Wielka kałuża krwi. Głowa żołnierza została niemalże odcięta od reszty ciała czymś ostrzejszym nawet od wojskowej stali.

Odwróciłem się do człowieka, który tego dokonał. Stał bez ruchu, najzupełniej zwyczajnie trzymając broń w dłoni. Jeden z gwardzistów trybuna próbował bez przekonania mu ją odebrać, ale bez rezultatu... zawiodły go nerwy. Inny podniósł powoli pochodnię, jakby się lękał, że zobaczy coś nadprzyrodzonego.

Nie mieliśmy takiego szczęścia. Zobaczyliśmy jedynie szkliste, rozgorączkowane oczy turysty, oszołomionego własną odwagą i pomysłowością.

- Ksantus!

No tak. Teraz ktoś będzie musiał odpowiadać na trudne pytania, zanim temu nieszczęsnemu podróżnikowi zwrócą dokumenty i pozwolą wrócić do domu.

28

Wciąż widział we mnie obrońcę, więc do mnie się zwrócił, biadoląc z przejęciem. Zostawiłem mu tę brzytwę... świetnie sobie z nią radził.

- Nawet nie spytam, ile już razy to robiłeś!

- Nie, lepiej nie. - Jego głos brzmiał obojętnie, ale widziałem, że przeżył wstrząs.

- Zawsze sądziłem, że miałeś za zadanie mnie uśmiercić. Okazuje się jednak, że bardziej zagraża mi mój własny życiorys...

- Chcę wrócić do domu, Falkonie.

- Już dobrze.
- Nie jest dobrze, a ja chciałbym być w Rzymie.

Justyn wziął sprawy w swoje ręce. Zbadał znaki identyfikacyjne wydrapane na pochwie miecza zabitego.

- Jeden rozrabiaka z Czternastego... - Kazał gwardziście sprowadzić najstarszego stopniem trybuna. - Tylko dyskretnie. Najlepiej niech to będzie sam Aulus Makrynus. Nie chcę tutaj rozeźlonego całego legionu. - Podszedł, żeby pocieszyć golarza. - Nie przejmuj się, Ksantusie. Będziesz musiał stawić się na rozmowę z moim dowódcą, ale na tym rzecz powinna się skończyć.

- Wydajesz się pewny siebie! - wymamrotałem pod nosem. - A jak wyjaśnisz swoim słynącym z drażliwości kolegom, że jednego z nich spotkał taki los w tej części obozu?

- Coś wymyślę. - Doskonale się sprawdzałem w sytuacji kryzysowej. Oczywiście jarzyły mu się najwyższym ożywieniem, ale planował na chłodno. Jego spokój udzielił się wszystkim w pobliżu. - Marku, przygotuj się. Pewne sprawy przedstawiają się gorzej, niż myślisz! - Drażnił się ze mną tajemniczo, a potem łagodnym głosem dodał: - Zabierzmy stąd tego biedaka...

Ksantus zaczął się trząść. Stał jak słup soli obok trupa; pomyślałem, że trzeba delikatnie go namówić do odejścia stamtąd. Prawdę mówiąc, wszystkim nam było trudno oderwać wzrok od tego widoku.

Byliśmy wciąż na ulicy, kiedy gwardzista wrócił z Makrynusem. Jego krzywy arystokratyczny uśmiešek przygasł, kiedy zrobiliśmy mu miejsce, żeby zobaczył, co się stało.

- To jeden z naszych? Na bogów, Kamilu!
- Aulusie, posłuchaj wyjaśnienia...
- Oby brzmiało przekonująco!
- Nie groź nam! - rzucił ostro Justyn, z zadziwiającą mocą. - Tu nie ma najmniejszych wątpliwości. Mam wiarygodnego świadka. Trzech z twoich ludzi zaczęło się na Falkona...

- Pijacki wybryk.
- Nie! Rzec nie była sprowokowana i dokładnie zaplanowana. Czaili się obok mojego domu przez pół godziny... mój świadek ich zauważył. Chodzi o coś więcej niż wybryk. Ten wieczór mógł się paskudnie zakończyć...

- Z tego, co widzę, tak się właśnie zakończył!
- Alternatywą było zasztyletowanie mojego gościa.

Słyszając to, trybun XIV Legionu się wyprostował.

- Jeśli to prawda, winni zostaną odnalezieni i ukarani. Protestuję jednak przeciwko sekretnemu sposobowi załatwiania tej sprawy. Nie podoba mi się też, że sprowadziłeś mnie tu samego. Chcę, by uczestniczyli w tym obserwatorzy z mojej strony, chcę, by jeden z moich centurionów zrobił notatki na miejscu przestępstwa...

Kiedy tak zrzędził, uznałem, że powinienem się włączyć.

- Nie będzie żadnego tuszowania faktów - powiedziałem. - Nikt jednak nie życzy sobie kolejnych zamieszek w rodzaju tej awantury, jaką wasz legion wywołał w Augusta Taurinorum!

Makrynus zignorował moje słowa.

- Kto to zrobił?

- Fryzjer.

Ośłupiał. Widzieliśmy, że przypomniał sobie, jak nazywaliśmy Ksantusa cesarskim człowiekiem od mokrej roboty. Wszyscy wlepiliśmy oczy w golibrodę. Jak na płatnego zabójcę wyglądał dość potulnie.

- Niektórzy poczują się trochę nieswojo, kiedy przyjdzie pora na kolejne golenie - oświadczyłem. Krew, trysnąwszy fontanną z szyi żołnierza, splamiła nieskazitelną biel tuniki golarza. Ksantus jak zwykle był tak szykownie odziany, że z dala od dworu przedstawiał żenujący obrazek. Te plamy wyglądały bardzo niepokojąco, zupełnie jakby nie zachował ostrożności przy rutynowym goleniu.

- W mojej pracy - oświadczył spokojnie - człowiek łatwo staje się celem obelg. Musiałem nauczyć się bronić.

- To jeszcze nie powód, żeby mordować żołnierza! - warknął Makrynus. Cóż za brak subtelności.

- Tamten żołnierz - zauważyłem logicznie - nie miał powodu, żeby próbować mnie zamordować!

To go wreszcie na chwilę uciszyło. Było oczywiste, że to Justyn był upoważniony do pokierowania dochodzeniem, skoro do przestępstwa doszło na terenie objętym jurysdykcją Pierwszego. Trybun spróbował jeszcze jednej, gburowatej drwiny.

- Wspomniałeś świadka. Mam nadzieję, że to ktoś, na kim możemy polegać!

- Całkowicie - odparł Justyn przez zęby, a ja odniosłem wrażenie, że powstrzymuje śmiech.

- Muszę wiedzieć, kto to taki. - Makrynus wyczuł jakiś żart, ale był zbyt głupi, by się wycofać.

- Moja siostra - oświadczył spokojnie Justyn.

Wzdrygnąłem się. Miał rację, kiedy się ze mną drażnił.

Sprawy miały się gorzej, niż sądziłem: Helena Justyna była tutaj.

Zerknęliśmy ku oknu nad nami. Wciąż tam stała, jak zapewne i wcześniej podczas walki. Twarz miała skrytą w ciemności. Sylwetka, której z żadną inną nie mógłbym pomylić, wraz z gładko zaczesanymi i upiętymi wysoko włosami i wiszącymi przy uszach delikatnymi kolczykami, rzucała idealny wydłużony cień, który sięgał aż do zwłok, kryjąc litościwie w gęstszym mroku tę potworną ranę.

Makrynus wyprostował się, pogładził sprężyste kędziory i wykonał gest

pozdrowienia zadufanego trybuna witającego jedyną niezamężną senatorską córkę po tej stronie Alp.

Sytuacja nie sprzyjała radośniejszym pozdrowieniom. Pomachałem więc do niej, wyszczerzyłem się do jej brata i wszedłem do domu.

29

- **Z**nowu się bijesz, Falkonie? - przywitała mnie. Jak na nią łagodnie mnie potraktowała.

Miała na sobie wełnianą szatę z długimi rękawami i dość posępne gagatowe kolczyki. Ciemne, jedwabiste włosy ujęte były po obu stronach głowy grzebieniami, być może bardziej starannie niż zazwyczaj, a z odległości dwóch kroków wyczuwałem woń pachnidła. Jednakże po podróży, a może po tym, jak była świadkiem ataku na mnie, wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną.

Nie byłem w nastroju na uprzejmości.

- Domyślam się, że miałaś niezłą zabawę, widząc mnie w opałach?
- Posłałam kogoś, żeby ci pomógł.
- Posłałaś mi golibrodę!
- Wydaje się kompetentny.
- Nie mogłaś tego wiedzieć... nie sądzę, by on sam to wiedział.
- Nie spieraj się. Był pierwszą osobą, na jaką się natknęłam... Kazałeś nam czekać na siebie z kolacją! - burknęła, jakby to wszystko załatwiało.

Uniosłem głowę i skierowałem swój komentarz ku niebu:

- No cóż, i oto mamy powrót do normalności!

Zawsze tak iskrzyło między nami po dłuższej rozłące.

Szczególnie kiedy do spotkania dochodziło w obecności obcych. Jeśli o mnie chodzi, to przynajmniej odsuwało nieco ten moment, kiedy będę musiał przyznać, że za nią tęskniłem. Jak było z Heleną, nie wiem. W każdym razie, kiedy do mnie mówiła, zobaczyłem w jej oczach błysk, przeciwko któremu nic nie miałem.

Justyn nie zaprosił kolegi trybuna, żeby przedstawić go swojej szlachetnej siostrze, więc przynajmniej nie musieliśmy oglądać popisującego się przed Heleną Makrynusa. Ksantus został z nami, chwalony i hołubiony.

Przeszliśmy do jadalni. Kolacja czekała na nas najwyraźniej od dłuższego czasu. W tym momencie byłem już gotowy podporządkować się konwenansom. Podeszedłbym i pocałował Helenę w policzek, ale ona usadowiła się stanowczo na sofie brata. Nie mogłem się do niej zbliżyć bez naruszania prywatnej przestrzeni gospodarza. Irytowała mnie ta sytuacja. Nie przywitałem się z nią, a to mogło wskazywać na moją obojętność.

Przeprosiłem obecnych i poszedłem się umyć... trochę krwi, ale głównie brud. Kiedy wróciłem, okazało się, że przegapiłem zakąski (moje ulubione danie), a Helena zabawia towarzystwo niesamowitymi opowieściami z

podróży. Jadłem w milczeniu, starając się nie słuchać. Kiedy dotarła do momentu, w którym z jej powozu odpadło koło, a herszt bandy górskich rozbójników porwał ją dla okupu, ziewnąłem i udałem się do swojego pokoju.

Wyszedłem stamtąd po jakiejś godzinie. Spenetrowałem pogrążony w ciszy dom i odnalazłem Ksantusa leżącego na łóżku i piszącego w swoim dzienniku. Wiedziałem, że prowadzi bardzo nudne zapiski z naszej wspólnej wędrówki.

- Przynajmniej wpis „dzień, w którym zabiłem żołnierza”, powinien zafrapować twoje wnuczeta! Będiesz mógł wspomnieć o jeszcze jednym ekscytującym wydarzeniu, bo zaraz mnie porządnie ogolisz.

- Wychodzisz?

- Nie. Zostaję.

Podniósł się i zaczął rozpakowywać swój sprzęt, ani trochę nie podekscytowany wspaniałością chwili. Wino wypite podczas wieczery uspokoiło go tak, że cokolwiek zidiociał.

- Czyżby otarcie się o śmierć kazało ci ofiarować zarost bogom w alabastrowym cyborium, Falkonie? Nie przypuszczam, by robili wystarczająco duże wazy! - perorował. Pozwoliłem mu się posadzić i osłonić ramiona delikatną batystową chustą, zignorowałem natomiast jego dowcipy. - Czego szlachetny pan sobie życzy... może maść depilacyjną? Stosuję też przyjemny wyciąg z białej winorośli. Nigdy nie polecam moim najlepszym klientom takich dziwactw jak krew nietoperza... - plótł dalej. Miał z tego większą zabawę niż ja.

- Brzytwa wystarczy - przerwałem mu. Wolałem założyć, że użyje innego ostrza niż to, które wykorzystał parę godzin wcześniej.

- Na pewno? Mogę też zastosować zmielony pumeks albo wyrywać włosy po włosku szczypcami. Daję słowo, zaniedbałeś się ostatnio. Może najlepiej będzie wypalić to smołą! - podsumował.

Ta ostatnia propozycja była chyba żartem.

- Cokolwiek da najlepszy rezultat. I ostrzyż mnie... ale zostaw kędziory. Przytnij tylko to, co nieporządnie sterczy... - mówiłem.

Ksantus włożył mi w rękę grawerowane miedziane lustro, jakby uspokajał niemowlę grzechotką. Tłumaczyłem dalej, czego sobie życzę, choć wiedziałem, że fryzjerzy nigdy nie słuchają tego, co się do nich mówi. Prywatny detektyw musi jednak mieć nieco uporu.

- Na Jowisza, Falkonie! Na kim chcesz zrobić wrażenie?

- Pilnuj swojego nosa.

- O! - Ksantus splunął na osetkę. - Och, już rozumiem! - zawołał. Nawet on w końcu pojął. Jego normalna chęć przypodobania się ustąpiła miejsca sprośności, z jaką miewałem do czynienia, kiedy przychodziło do tego tematu.

- Tam też by trzeba przyciąć! - pokpiwał. Helenie również zdarzała się podobna odzywka, przypominałem sobie pesymistycznie. - Do tego potrzeba mojej stali z Norikum...

Chciałem tego, co najlepsze, więc nie mogłem się spierać. Byłem jednak przekonany, że to właśnie tej brzytwy użył do podcięcia gardła tamtemu napastnikowi.

Trzeba mu przyznać, że maksymalnie wykorzystał mało obiecujący materiał, jaki miał przed sobą. Nigdy nie byłem tak gładko i tak sprawnie ogolony i nawet moja fryzura niezbyt odbiegała od ideału, jakim był naturalny nieład. Ksantus bez trudu oceniał klienta, ponieważ przez lata odgadywał życzenia cesarzy, pod groźbą, że pošłą go katu, jeśli tylko przydarzy mu się ciachnąć niewłaściwy kosmyk.

Okazało się, że mógł sobie oszczędzić starań. Pociesza mnie myśl, że na pewno nie był to pierwszy raz, kiedy spędził wiele godzin, przygotowując kogoś na spotkanie, z którego nic nie wyszło.

Ze szczypiącym podbródkiem i otoczony duszącymi oparami niepokojących maści, wszedłem cichutko do pokoju, który, jak wiedziałem, był najlepszą gościnną sypialnią. Powtarzałem sobie, że wszystko będzie dobrze, kiedy tylko dopadnę Helenę samą i będę miał okazję obdarzyć pełną uwielbienia atencją. Nie mogłem się już doczekać jej widoku. Bardzo mi zależało na ponownym nawiązaniu normalnych relacji.

Nie miałem takiego szczęścia. Była tam co prawda świeca, ale pokój był duży i tonął w półmroku. Stałem chwilę, przyzwyczajając wzrok do słabego światła i usiłując wymyślić jakąś gładką mówkę, gdyby moja ukochana spoczywała na łąbędzim puchu i czytała lekką odę, z niecierpliwością mnie oczekując... Mogłem przestać marzyć: Heleny nie było. Przykrytego narzutą z falbankami, wysokiego, zdobionego szylkretem łoża ani kunsztownie rzeźbionego stołeczka nikt nie zajmował. Tylko na małej sofie ktoś pochrapywał. Zobaczyłem skuloną drobną postać... Helena musiała przywieźć ze sobą niewolnicę.

No to mi się udało! Nie miałem najmniejszej szansy na żadne czułości przy gapiącej się służce! Dobrze pamiętałem, że nigdy nie pozwalała niewolnicy zostawać na noc w swoim pokoju, kiedy byłem w pobliżu.

Cofnąłem się. Gdy zamykałem drzwi, zagotowało się we mnie. Wiedziała, że się u niej pojawię. Celowo zniknęła. Gawędzi sobie z Justynem, strasząc biedaka opowieściami o złamanych kołach i rozbójnikach. Wałkuje sprawy rodzinne. Ustawia mu karierę. Robi wszystko, żeby tylko uniknąć spotkania ze mną sam na sam, bo wie, że jestem zły na nią za to, jak zniknęła z Rzymu, a jednocześnie marzę o tym, żeby znaleźć się z nią w łóżku.

Tak wspaniale ostrzyżony i ogolony postanowiłem wybrać się do miasta i spać na umór.

Oburzenie doprowadziło mnie tylko do drzwi wejściowych. Tam przypomniałem sobie, że w Mogontiakum obowiązują małomiasteczkowe zwyczaje ludzi o małych rozumkach. Zamknięte były wszystkie miejsca

rozrywki poza tymi plugawymi, o których nawet nie wypadało myśleć. Ostatecznie zniechęciła mnie wizja konsekwencji nocy spędzonej w tawernie na idiotycznych pogaduszkach z jakimś przybłądą. Z głową ciężącą jak worek mąki będzie mi się trudno zabrać do czegokolwiek. W kiepskim nastroju usiadłem na chwilę w ogrodzie trybuna, ale Justyn nie był szczególnym miłośnikiem przyrody i miejsce nie okazało się najlepsze na uzalanie się nad sobą. Odnalazł mnie tam pies gospodarza, usadowił się obok mnie i zaczął obgryzać brzeg mojej tuniki, ale obrośnięta wilgotnym mchem ławka nie spodobała mu się, szybko zeskoczył i posapując, zniknął w ciemnościach. Ja też powlokłem się do swojego pokoju.

Stałem plecami do drzwi. Właśnie ściągnąłem tunikę (czystą; za porządną, żeby w niej spać), kiedy usłyszałem, że ktoś wchodzi.

- Nagi leśny chochlik widziany od tyłu. Co za wspaniały widok! - usłyszałem. Helena.

Ponieważ nie zapomniałem, że już mnie tego dnia zaatakowano, odwróciłem się dość gwałtownie. Pełne zadowolenia spojrzenie Heleny przesunęło się po mnie, kiedy zasłaniałem się ściśniętą w garści tuniką, podejmując próbę zachowania przyzwoitości. Jej oczy się śmiały, a to zawsze miało dla mnie nieodparty urok.

- To prywatny pokój, moja pani.

- Świetnie! - odparła. Czułem, jak się czerwienię, ale przybrałem pogardliwy wyraz twarzy, co tylko ją zachęciło. - Witaj, Marku - dodała. Milczałem. - Chyba chciałeś się ze mną zobaczyć.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Poczulałem mocny zapach czegoś po goleniu w moim pokoju. - Pociągnęła nosem.

W myślach przekląłem Ksantusa. Tak mnie wypachnił, że pies gończy mógłby pójść moim tropem z Cieśniny Galijskiej aż do Kapadocji.

Helena przechyliła głowę i przyglądała mi się. Opierała się o drzwi, jakby chciała powstrzymać mnie przed ucieczką. Zacisnąłem szczęki.

- Jak się miewa Tytus? - zapytałem.

- A skąd niby mam to wiedzieć?

- Wobec tego, co sprowadza taką elegancką damę do tej głuszy?

- Ktoś, za kim się ugamiam. - Helena posiadała tę umiejętność, że jej najbardziej nielogiczne postępowanie robiło wrażenie racjonalnej reakcji na jakąś zwariowaną zniewagę z mojej strony.

- Zostawiłaś mnie! - rzuciłem cicho, oskarżycielskim tonem.

- A jak było w Wejach? - zapytała. W jej kulturalnym głosie słyszałem sarkazm.

- Weje to dziura - oznajmiłem. Ni stąd, ni zowąd poczułem się zmęczony.

- Czy wdowy są tam atrakcyjne? - rzuciła lekko.

Jak się spodziewałem, zaczęła się walka na słowa. Już wiedziałem, dlaczego czuję się przegrany.

- Niektóre tak sądzą.

- Rozmawiałam z taką jedną - oświadczyła lakonicznie Helena. - Twierdziła, że twoja wyprawa do Wejów okazała się szalonym sukcesem.

- No to łże.

Helena spojrzała na mnie. Nie bez powodu byliśmy przyjaciółmi; znaliśmy się na tyle dobrze, by walczyć ze sobą na noże, ale też oboje wiedzieliśmy, w jaki sposób zaapelować o rozejm.

- Tak właśnie sobie mówiłam - powiedziała cicho. - Ale dlaczego skłamała, Marku?

- Była wściekła, że nie miałem na nią ochoty i wróciłem do domu, do ciebie. A co ty robiłaś w Wejach?

- Szukałam cię.

W tym miejscu, gdzieś w połowie drogi pomiędzy nami, spór wygasł.

- No to już mnie znalazłaś - oświadczyłem.

Helena Justyna przeszła przez pokój. Minę miała zdecydowaną, na co nie byłem jeszcze do końca przygotowany.

- Co ci chodzi po głowie, moja pani?

- Nic takiego, co by ci się nie spodobało... - odrzekła, wyrwijąc mi z rąk tunikę.

Żeby zachować resztki dumy, próbowałem ją zagadać.

- Ostrzegam, nie znoszę zuchwałych kobiet...

- Nieprawda. Lubisz, jak dziewczyna wygląda na taką, która wie dokładnie, co myślisz, i nie obchodzi ją...

A jednak pojawiła się jakaś niepewność. Dała krok do tyłu. Ja dałem krok do przodu.

Czułem jej ciepło, zanim jeszcze odsłonięte ramiona Heleny splotły się z moimi. Przebrała się z wełnianej szaty, w której ją wcześniej widziałem, w coś lżejszego. Gdybym odpiął dwie brosze, wiotka tkanina spłynęłaby na podłogę, odsłaniając ją całą. Wydawało mi się, że te brosze mają proste zapięcia. Położyłem ręce na jej barkach, jakbym nie był pewny, czy ją odsunąć, czy przyciągnąć do siebie. Kciuki same trafiły na zapięcia.

Helena zaczęła się cofać, co automatycznie zawiodło nas w stronę łóża.

- Nie denerwuj się, pani!

- Nie jestem taka strachliwa.

- Powinnaś...

- Och, przestań udawać twardziela! - parsknęła. Helena dobrze mnie znała, a tego, czego nie wiedziała, i tak się domyślała. - Nie jesteś oprychem, umiesz być czuły... - mówiła. Zgadza się, umiałem być czuły. Czułość tak mnie przepełniała, że nie mogłem już myśleć o niczym innym.

Wylądowaliśmy na łóżu. Pozwoliłem, by wzięła sprawy w swoje ręce. Zawsze lubiła wszystko organizować. Tej nocy podobało mi się to, co jej się podobało. Dzień przyniósł dość problemów. Teraz trzymałem w ramionach Helenę Justynę, w najbardziej przyjaznym z jej nastrojów; miałem wszystko, czego pragnąłem, i byłem gotów na wszystko.

Mościła się, poprawiała pościel, zdejmowała kolczyki, rozpuszczała włosy, gasiła lampkę...

- Odpręż się, Marku!

Odprężyłem się. Odprężyłem się zupełnie. Wszystkie niepokoje wyparowały i uspokoił się mój rozgorączkowany umysł. Przyciągnąłem do siebie Helenę i westchnąłem ciężko, podczas kiedy moje dłonie błędziły po znajomych zakamarkach jej ciała. Przytuliłem ją mocno i z ulgą zamknąłem oczy. Po czym zrobiłem tę jedyną rzecz, jakiej oczekuje się od mężczyzny w takich okolicznościach.

Zasnąłem.

30

Minęła większa część nocy. Obudziłem się zlany potem, uświadamiając sobie, co uczyniłem.

- Dobrze się spało? - zapytała. Przynajmniej ciągle tu była.

- Powiedziałaś, że mam się odprężyć... Teraz już nie śpię - oświadczyłem, starając się, żeby zabrzmiało to znacząco.

Helena tylko się roześmiała i przytuliła do mojego ramienia.

- Czasami, kiedy próbuję się z tobą zaprzyjaźnić, czuję się jak Syzyf usiłujący wepchnąć głaz na szczyt góry.

Też się roześmiałem.

- I w momencie, w którym potoczył go dalej niż kiedykolwiek wcześniej, czuje na ramieniu to swędzenie i koniecznie musi się podrapać... znam to.

- Ty byś tak nie zrobił - zaprotestowała. - Znalazłbyś jakiś sprytny sposób, żeby wcisnąć klin pod ten głaz.

Uwielbiałem tę jej dziwaczną wiarę we mnie. Obróciłem się raptownie, chwytając ją zaborczo. Po czym, kiedy zeszywniała, spodziewając się czegoś gwałtownego, pocałowałem ją najdelikatniej, jak umiałem.

- Skarbie, jesteś jedyną osobą, która nigdy nie będzie musiała się martwić tym, jak się ze mną zaprzyjaźnić.

Uśmiechnąłem się, zaglądając jej w oczy. Zamknęła je.

Czasami nie chciała, bym widział, jak głębokie są jej uczucia. Pocałowałem ją znowu, tym razem należycie.

Kiedy spojrzała na mnie ponownie, jej brązowe oczy przepelnione były miłością.

- Dlaczego uciekłeś wieczorem z jadalni, Marku? - zapytała.

- Nie znoszę opowieści, w których groźni bandyci robią sobie zakładniczki z kobiet, na których mi zależy.

- Och, ten rozbójnik był słodziutki! - delikatnie drażniła się ze mną.

- Jestem przekonany, że sobie z nim poradziłaś.

- Mam pewną praktykę z ponurakami, którzy uważają, że wiedzą wszystko o kobietach! - zakpiła, przeciągając się przede mną tak zachęcająco, że zupełnie mnie rozproszyła. Nagle znieruchomiała. - Rzeczywiście zależy ci na mnie? - rzuciła.

- Jasne.

- Tęskniłeś za mną?

- Tak, skarbie...

Kiedy przystąpiłem do miłego obowiązku pokazania jej jak bardzo, szepnęła niespokojnie:

- Zaczyna świtać, Marku. Powinnam już pójść.

- Chyba nie mogę na to pozwolić...

Widziałem, że nie ma ochoty odchodzić. Nie puszczałem jej, dając jednocześnie do zrozumienia, że decyzja należy do niej. Wreszcie zapomniała o konwenansach obowiązujących w domu brata i znowu była tylko moją Heleną.

31

Promienie słońca precyzyjnie się przez szparę w solidnej okiennicy, by dotrzeć do mojego rozkosznie rozgrzebanego łóżka. Tym razem nie pospaliśmy długo, jako że ten rodzaj bliskości nie bardzo pozwalał na sen.

- Dzięki ci, pani. Bardzo mi to było potrzebne.

- Mnie też. - Jak na skromne dziewczę potrafiła być bardzo bezpośrednia. Zawsze mnie to zaskakiwało, bo wyrosłem wśród kobiet, których bezwstydnym zachowanie rzadko pociągało za sobą szczerą bliskość w łóżku.

Pocałowałem ją.

- Co ja powiem twojemu bratu?

- Nic. Dlaczego miałbyś coś mówić? - zdziwiła się. Tego już bardziej można się było spodziewać po dziewczynie: żadnej pomocy. Uśmiechnęła się. - Kocham cię, Marku.

- Dziękuję... ale czy wybaczysz mi, że nie uczciłem twoich urodzin? - Wydawało mi się, że teraz będzie bezpiecznie poruszyć ten temat.

Nieźle wycucie chwili, Falkonie, pogratulowałem sobie. Miała ochotę się o to pokłócić, ale zwyciężyło jej poczucie sprawiedliwości.

- Nie wiedziałeś, że są moje urodziny - powiedziała. - Prawda? - dodała po krótkiej przerwie.

- Oczywiście, że nie! Mogłaś się tego domyślić... - Sięgnąłem nad nią i po krótkiej zwłoce wywołanej jej powabem i bliskością wyciągnąłem naszyjnik z bursztynów, który kupiłem na statku z winem od handlarza Dubnusa.

Co mi przypomniało... musiałem coś zrobić w sprawie Dubnusa. Dlaczego istotne myśli zawsze przychodzą nam do głowy w takich niedogodnych chwilach? Zdążyłem szczęśliwie zapomnieć tego ubijskiego ścierwojada, by już nie wspomnieć o planie wykorzystania go przy poszukiwaniach Weledy. Kiedy trzymałem Helenę w ramionach, wyprawa do barbarzyńskiego lasu była nieznośną perspektywą.

Pozwoliłem Helenie obejrzeć sznur połyskujących paciorków, po czym zapiąłem go jej na szyi.

- Pasuje ci... szczególnie jak nie masz na sobie nic poza tym.

- Powinien wywołać sensację, kiedy zaproszą mnie na najbliższą kolację! Jest śliczny... - powiedziała. Widok Heleny, nie mającej na sobie niczego poza prezentem urodzinowym, zachęcił mnie do dalszego pojednania, tym bardziej że udało mi się zachować naszą fizyczną jedność, mimo konieczności wychylenia się do nocnego stolika. - Marku, na pewno jesteś wyczerpany...

- Wyspałem się.

- Obawiasz się, że mógłbyś zapomnieć, jak to się robi? - drwiła przewrotnie, pochwalając jednocześnie moje starania. Helena wiedziała, jak okazać wdzięczność, kiedy dostała dobrze dobrany naszyjnik w zniechęcającej cenie. - Czy może po prostu zapomniałeś, jaka to przyjemność?

- Zapomniałem? Najmilsza, kiedy zostawiasz mnie usychającego z tęsknoty, problem tkwi w tym, że pamiętam aż za dobrze.

Z jakiegoś powodu ta męska pewność siebie wpłynęła tak dobrze na Helenę, że zareagowała czymś, co można by wziąć za szloch, choć dźwięk był stłumiony.

- Och, przytulaj mnie... dotykaj...

- Gdzie?

- Tam... gdziekolwiek... wszędzie.

Nieopodal, we wnętrzu domu, coś się przewróciło z głośnym łoskotem.

Coś dużego. Posąg muzealnych rozmiarów albo ogromna waza.

Nikt nie wrzasnął. Jednak po chwili usłyszeliśmy, jak ktoś czmycha z tupotem.

- To przecież kroki dziecka! - zdziwiłem się.

- Och, Junono, całkiem zapomniałam... - Helena pierwsza rzuciła się do drzwi. Dziecko tymczasem biegło długim korytarzem, pozostawiwszy za sobą walające się po podłodze ogromne skorupy potłuczonego naczynia. Pechowo dla siebie dziewczynka pędziła w naszą stronę.

Zrzuciła z cokołu gigantyczne naczynie z dwoma uchwyty i szerokim brzuścem, które udawało czarno-figurowy krater do mieszania wina z wodą ze średniego okresu hellenistycznego. Prawie mu się to udało, ale mnie szkolili eksperci i falsyfikat rozpoznawałem bez trudu, nawet jeśli był podróbką najwyższej klasy, wykonaną lepiej od oryginału (i droższą). Na tym właśnie

cokole wypisałem kiedyś palcem w kurzu *Tu był Falko*, żeby zawstydzić służbę trybuna. Naczynie było wystarczająco duże, by pomieścić oszczędności urzędnika skarbu państwa, i było najprawdopodobniej najkosztowniejszym przedmiotem, jaki posiadał Kamil Justyn. Możliwe, że stanowił pierwszy egzemplarz z zapoczątkowanego przez niego życiowego zbioru.

- Stój! Ani się rusz!

Helena Justyna, jeśli chciała, potrafiła zatrzymać mnie w pół kroku; nie miała więc problemów z ośmiolatką.

- A co ty tutaj robisz? - zapytała ją mała winowajczyni.

Ten tupet wydał mi się znajomy.

- Ucieka przed tobą! - warknąłem, bo to musiała być ta niemile widziana osóbką, którą wcześniej widziałem pochrapującą w sypialni Heleny. Podszedłem do skorup i podniosłem jeden wygięty fragment. Odyseusz z brodą sterczącą jak łopata z radością dawał się kusić jakiejś niewieście, która miała nęcąco kształtną nogę w kostce, ale reszta postaci była odłamana.

Odwróciłem się rozgniewany i przyjrzałem smarkuli. Miała zwyczajną buzię i nadąsaną minę, i pięć czy sześć warkoczyków związanych na czubku głowy cienką szmatką. Mój mózg wysiłał się, żeby odgadnąć, do kogo należy ta mała szelma i co ja mam z nią wspólnego. Bo nie ulegało wątpliwości, że była to któraś z naszych. Bogowie tylko wiedzą, w jaki sposób znalazła się w Germanii Górnej, ale członkinię rozgałęzionego klanu Dydiuszów byłem w stanie rozpoznać, zanim jeszcze zaczęła zawodzić:

- Ja tylko się bawiłam... to się samo przewróciło!

Sięgała mi do pasa, odziana była w tunikę, która mogła ujść za przyzwoitą, choć jej udało się ją zadrzeć powyżej pośladków. To ostatnie zadecydowało. Już nie miałem wątpliwości. Augustinilla. Zawile imię, ale bardzo nieskomplikowana osobowość... tępa bezczelność. Była najbardziej niemiłym dzieckiem mojej najbardziej nielubianej siostry Wiktoryny.

Wiktoryna, najstarsza z rodzeństwa, była zmorą mojego dzieciństwa, a potem nieustannym powodem do wstydu. Jako dziecko była nieznośnym nicponiem ze stale ciekącym nosem i przepaską biodrową opadającą jej aż do pokrytych strupami kolan. Wszystkie matki w okolicy zabraniały swoim dzieciom bawić się z nami, ponieważ Wiktoryna była taka nieokrzesana i zmuszała je do zabawy. Kiedy podrosła, bawiła się wyłącznie z chłopcami. Było wielu chętnych. Nigdy nie pojąłem dlaczego.

Ze wszystkich nieznośnych bachorów akurat jedno z jej dzieci musiało okazać się tym, które zepsuło mi radość ze spotkania z Heleną...

- Wujek Marek jest goły! - oświadczyła moja ulubienica. Była to prawda, ponieważ tunika, jaką w pośpiechu Helena na siebie narzuciła, należała do mnie. Nie bardzo pasowała do porządnego bursztynowego naszyjnika i wyglądało na to, że w moim pokoju musiały odbywać się istne bachanalia.

Oskarżycielskie spojrzenie małej pobiegło również w stronę Heleny, ale dziewczynka okazała nieco rozumu i powstrzymała się od komentarza. Najwyraźniej Augustynilla na własne oczy widziała, jak Helena Justyna obesła się z hersztem bandy rozbójników.

Przybrałem pozę atlety; błąd. Warto prężyć błyszczące od oliwy mięśnie na słonecznym stadionie w pobliżu wybrzeża Morza Śródziemnego, natomiast w półmroku korytarza, na drugim końcu Europy, paradowanie bez odzienia pozwala jedynie zmarznąć. W posepnym nastroju czekałem, aż Helena wyda tradycyjny rozkaz:

- To twoja siostrzenica, ty się nią zajmij.

Wydała, a ja zareagowałem tradycyjnie nieuprzejmą odpowiedzią.

Helena starała się nie pokazać dziewczynce, że jest poirytowana.

- To ty jesteś głową rodu Dydiuszów, Marku!

- Tylko formalnie.

Rola głowy naszej rodziny była tak uciążliwa, że jedyny człowiek, jakiemu ten tytuł rzeczywiście przysługiwał, czyli mój ojciec, odciął się od własnych przodków i całkowicie zmienił tożsamość, żeby wykręcić się od tego upiornego zadania. Teraz ten obowiązek spadł na mnie. To wyjaśnia, dlaczego przestałem utrzymywać stosunki ze swoim tatą, licytатorem. Może nawet wyjaśnić, dlaczego ja sam nie wzdragałem się przed pracą w zawodzie przez większość Rzymu pogardzanym. Moja rodzina od lat traktowała mnie z wyższością i lekceważeniem; już się do tego przyzwyczyliłem. Praca prywatnego detektywa daje tę wspaniałą możliwość działania pod przykryciem albo z dala od domu.

Może wszystkie rodziny są takie same. Może idea, że najbardziej liczy się ojcowska władza, została wysunięta przez garstkę pełnych optymizmu twórców prawa, którzy nie mieli siostr i córek.

- Ty ją sprowadziłaś, możesz więc sprawić sobie przyjemność i spuścić jej manto - oświadczyłem chłodno Helenie. Dobrze wiedziałem, że nigdy by nie uderzyła dziecka.

Zamaszystym krokiem wróciłem do pokoju. Poczułem narastające przygnębienie. Ponieważ nie byliśmy małżeństwem, nie miała powodu, by przejmować się moimi krewnymi; skoro jednak to robiła, nie wróżyło mi to nic dobrego.

Po kilku szybko wypowiedzianych słowach, po których nastąpiła zaskakująco potulna odpowiedź Augustynilli, Helena weszła do pokoju i zaczęła wyjaśniać:

- Twoja siostra ma kłopoty...

- A czy Wiktoryna kiedyś ich nie miała?

- Cicho, Marku. Kobiece kłopoty.

- To coś nowego. Zazwyczaj jej kłopotem są mężczyźni - zauważyłem.

Westchnąłem i dodałem, żeby darowała sobie szczegóły. Wiktoryna zawsze

stękała i narzekała na bóle brzucha. Szalony tryb życia musiał odbić się na jej zdrowiu, szczególnie po poślubieniu bezmyślnego tynkarza, który swoją umiejętnością płodzenia jednego bachora po drugim prześcignął wszystkie rzymskie szczury. Nikomu bym jednak nie życzył zabiegu chirurgicznego. A co dopiero mówić o torturowaniu kobiet jakimiś kleszczami i rozwieraczami.

- Marku, dzieci zostały porozdzielane po rodzinie, by dać twojej siostrze szansę powrotu do zdrowia, a w tej loterii przypadła ci Augustynilla... - mówiła. Też mi loteria... jak nic ustawiona. - Nikt nie wiedział, gdzie jesteś - dodała.

Ale wiedzieli, co zrobić.

- Więc poprosili ciebie! Augustynilla jest najgorsza z całej gromady. Nie mogła jej wziąć Maja? - zawołałem. Maja była jedyną z moich siostr, którą dało się trochę lubić, co działało przeciwko niej samej, kiedy ktokolwiek miał kłopoty. Jej sympatyczny charakter oznaczał, że regularnie była wykorzystywana, nawet przeze mnie.

- Maja nie miała już miejsca. I dlaczego to Maja zawsze ma pierwsza lecieć z pomocą?

- Jakbym ją słyszał! Wciąż nie pojmuję. Po jakie лихо przywlokłaś tutaj tę smarkulę?

- A co innego miałam z nią zrobić? - rzuciła ostro. Miałem kilka sugestii, ale rozsądek nakazał mi zmilczeć.

Helena się nachmurzyła. - Przecież nie mogłam oznajmić ludziom, że uganiam się za tobą po Europie - powiedziała. Wcale nie o to jej chodziło. Nie mogła się przyznać, że mnie zostawiła po gwałtownej kłótni. Wyszczерzyłem się do niej.

- Uwielbiam patrzeć, kiedy jesteś speszona!

- Och, zamknij się. Zajmę się Augustynillą - zapewniła mnie. - Ty masz dość zajęć. Justyn powiedział mi o twojej misji.

Usiadłem na łóżku i kłąłem w duchu ponuro. Perspektywa oglądania jednego z rozpuszczonych bachorów mojej siostry przepędzi mnie z tego domu. Helena, naturalnie, będzie tu przesiadywać, jak przystało na przyzwoitą rzymską matrone. Nawet szaleńcze ucieczki na wolność mojej pani w murach obozu warownego będą musiały mieć ograniczony charakter.

Helena przysiadła obok mnie, zmieniając moją tunikę na swoją. Pogłaskałem ją lekko.

- Rozmowa z tobą to jak przepytывanie wija ubiegającego się o pracę masażysty... - odezwała się, kiedy jej głowa wystrzeliła z otworu u góry tuniki. - Co z twoją misją? - zapytała, nagle sprawdzając mnie.

- Są pewne postępy - wyjaśniłem. Przyszła kolej na mnie, żeby się ubrać, a Heleny, żeby wykonać jakiś przyjazny gest, nie wykorzystwała jednak tej sposobności, choć odzyskiwałem swoją tunikę najwolniej, jak mogłem.

Najwidoczniej nie miałem już na co liczyć. Namiętność, którą Augustynilla przerwała, nie zapłonie już dzisiaj.

- Jakie postępy, Marku? Coś rozwiązałeś?

- Nie. Przybyło mi tylko kilka zadań... szukanie zaginionego dowódcy, o którego nieobecności nikt nawet nie wiedział...

- To powinno być idealne miejsce na wyśledzenie podejrzanego... mam na myśli fortecę. Masz tu zamkniętą społeczność.

- O tak! - roześmiałem się gorzko. - Zamkniętą społeczność złożoną z dwunastu tysięcy żołnierzy! Gość ma przeciwko sobie cały swój legion, żeby już nie wspomnieć niechętnej małżonki, wścibskiej kochanki, licznych wierzycieli, ludzi miejscowych...

- Jakich ludzi? - spytała.

- Próbowałem dotrzeć do buntownika, którego ja sam szukam - wyjaśniłem. Nie spytała o szczegóły dotyczące Cywilisa; najwyraźniej Justyn przekazał jej nowiny ubiegłego wieczoru. - I był też zamieszany w jakieś kombinacje z zamówieniami wojskowymi.

- Wygląda na to, że coś mogło pójść nie tak, jeśli się do tego nieudolnie zabrał. Jakie zamówienia? - spytała z zaciekawieniem.

- Nie jestem pewien. Cóż, może na ceramikę.

- Ceramikę?

- Czerwoną zastawę stołową, jak mi się wydaje.

- Dla wojska? Czy chodzi o duże ilości?

- Pomyśl tylko. W każdym legionie jest sześć tysięcy żołnierzy i wszyscy muszą mieć miski i kubki, a do tego jeszcze potrzebne są garnki i półmiski dla każdego dziesięcioosobowego namiotu. I pełne serwisy dla centurionów i dowódców, i bogowie tylko wiedzą co jeszcze dla wytwornej rezydencji namiestnika. Wygląda na to, że legiony radzą sobie niezgorzej. Wojsku należy się to, co najlepsze, czerwona ceramika o błyszczącej polewie z reliefową dekoracją. Choć te naczynia są mocne, i tak się przecież tłuką, więc zawsze będą kolejne zamówienia.

- Czy ceramikę trzeba wieźć taki kawał z Italii albo z Galii?

- Nie, terra sigillata jest też produkowana tutaj.

- Znalazłeś półmisek dla swojej matki? - spytała, zmieniając temat.

- A chciała półmisek? - zrobiłem niewinną minę.

- Nie kupiłeś!

- Zgadłś.

- Założę się, że nawet nie szukałeś!

- Właśnie że szukałem. Były za drogie. Mama nie chciałaby, żebym aż tyle wydał.

- Marku, jesteś okropny! Skoro tutaj jest taki warsztat - postanowiła - zabierzesz mnie tam. Ja będę wybierać twój prezent dla mamy, a ty w tym

czasie możesz się porozglądać i poszukać tropów.

Helena Justyna miała zwyczaj kuć żelazo póki gorące. Gdyby nie ona, zmarnowałbym pół tygodnia, pomagając jej bratu prowadzić formalne śledztwo w sprawie śmierci żołnierza. Zanim zostawiłem Justynę samego, poprosiłem go o odnalezienie i zatrzymanie tamtego handlarza z plemienia Ubiów.

- Co takiego zrobił?

- Zostaw puste miejsce w nakazie aresztowania. Muszę mieć ten papier pod ręką. Tu nie chodzi o to, co zrobił, ale co zamierza zrobić.

Helena zdążyła już się dowiedzieć, gdzie w Mogontiakum można kupić najlepszą ceramikę, i ledwo przełknąłem śniadanie, już byłem na zewnątrz, eskortując jej lektykę. Nie miałem nic przeciwko temu. Tylko nie zdążyłem wspomnieć Justynowi, że moja siostrzenica potłukła w drobny mak jego wielką amforę, i nie bardzo wiedziałem, jak mam mu to powiedzieć.

Opuściliśmy z Heleną obóz późnym rankiem. Czuło się jesień: nawet kilka godzin po świcie powietrze wciąż przejmowało chłodem, a źdźbła zwiędłej trawy przy drodze pokrywała wilgoć. Pełno było pajęczyn i mrużyłem oczy za każdym razem, kiedy mój koń przechodził pod nisko wiszącymi gałęziami. Helena wychylała się z lektyki i ze śmiechem odgarniała pajęczę nitki, które oblepiały jej rzęsy. Cóż, była to dla mnie okazja do zatrzymania się i udzielenia jej pomocy.

Dzielnica garncarzy w Mogontiakum była o wiele mniejsza od rozległego zespołu warsztatów, który z Ksantusem odwiedziliśmy w Lugdunum. Było wyraźnie widać, że rzemieślnicy w warsztatach Germanii próbują konkurować ze swoimi rywalami w Galii, ale tamci mieli większe znaczenie dzięki wsparciu zakładów ceramicznych w Arretium. Tutaj rzemieślników nie wspomagało żadne macierzyste przedsiębiorstwo. Wystawione towary były tak samo dobrej jakości, a mimo to ceramicy wydawali się zaskoczeni widokiem klientów. Największy warsztat był wręcz zabity deskami.

Znaleźliśmy obok jeden, który był otwarty. Właściciel nazywał się Juliusz Mordantyk. Wielu Celtów na prowincji przyjmuje arystokratyczne imiona, takie jak Juliusz czy Klaudiusz. Ostatecznie, skoro człowiek chce robić karierę, to nie może mieć imienia jak jakiś tandetny rzemieślnik. Natomiast w całym cesarstwie mało kto z drugiego pokolenia zromanizowanych byłych członków plemion reaguje na imię D y d i u s z , z wyjątkiem jednego czy dwóch synów niezwykle pięknych kobiet, pochodzących z miejscowości, przez które kiedyś przejeżdżał mój starszy brat Festus.

Helena szybko się uwinęła i kupiła imponujące naczynie dla mojej matki. Kiedy usłyszałem cenę, tylko trochę się wzdrygnąłem. Błyskawicznie zaprzyjaźniła się z garncarzem, wyjaśniła, że odwiedza swojego brata, trybuna, i wkrótce skierowała rozmowę na legiony w ogóle. Była wytworna i uprzejma...

i bardzo zainteresowana sytuacją bytową rzemieślnika. Mężczyzna uważał, że jest cudowna. Ja też, ale dusiłem to w sobie. Kiedy już zapłaciłem za naczynie, stałem oparty o ścianę, czując się tam całkowicie zbędny.

- Na pewno robicie mnóstwo interesów z żołnierzami - oświadczyła Helena.

- Teraz dużo mniej, niżbyśmy chcieli! - rzucił garncarz przez zęby. Był niski, miał szeroką bladą twarz. Kiedy mówił, prawie nie poruszał ustami, przez co jego twarz wyglądała jak z drewna, oczy jednakże miał inteligentne. Ta ostatnia uwaga mu się wymknęła... zazwyczaj musiał być ostrożniejszy. Zdecydowanie wolał już skończyć temat wojska.

Oderwałem się od ściany, a Helena gawędziła dalej.

- Nie miałam pojęcia, że ceramika typu terra sigillata wyrabiana jest w Germanii. Czy ta specjalność ogranicza się do Mogontiakum, czy sięga dalej, aż do Trewerów?

- Na całym terenie, od Augusta Treverorum do rzeki, wyrabia się taką ceramikę.

- Chyba się wam dobrze powodzi? - zapytała.

- Ostatnio trochę gorzej.

- Tak, widzieliśmy warsztat twojego kolegi... ten zabity deskami, należący do Juliusza Brucjusza. Czy to rezultat braku zamówień, a może ma po prostu jesienne wakacje?

- Brucjusz? Wyjechał w interesach - odparł mężczyzna, a jego twarz spochmurniała.

Miałem złe przeczucia, kiedy się wtrąciłem:

- Czy przypadkiem nie do Lugdunum?

Helena Justyna natychmiast wycofała się z rozmowy i usiadła spokojnie z boku. Garncarz też zauważył ton mojego głosu.

- W drodze do Germanii jechałem przez Lugdunum - mówiłem powoli. Zacerpnałem powietrza. - Czy Brucjusz to postawny mężczyzna koło czterdziestki, podróżujący z młodszym, rudowłosym, o skórze upstrzonej brodawkami?

- To jego bratanek. Musiałeś spotkać ich gdzieś po drodze.

Juliusz Mordantyk już był zmartwiony, ponieważ przyjaciele nie wrócili w terminie, a to mogło oznaczać tylko coś złego. Nie wiedział jeszcze jak złego. Przedstawiłem mu wszystko zwięźle. Kiedy powiedziałem o awanturze, której byłem świadkiem w Lugdunum, a potem o dwóch ciałach w rowie, wykrzyknął i zakrył twarz.

Helena przyniosła wiklinowy fotelik. Posadziliśmy go i trzymałem mu dłoń na ramieniu, podczas gdy on starał się pogodzić z usłyszanymi przed chwilą wiadomościami.

- Tiw!- wyrzucił z siebie celtyckie imię Marsa. - Brucjusz i jego bratanek zamordowani w Galii...

- Przykro mi - powiedziałem. - To cię nie pocieszy, ale centurion z fortecy udał się do Cavillonum, żeby powiadomić o znalezionych ciałach miejscowego sędziego... on ci powie, kto się tą sprawą zajmuje i co wyszło na jaw. Sędzia na pewno zlecił pochówek. Kiedy wrócimy z Heleną do obozu, odnajdę tego centuriona i przyślę do ciebie. Ma na imię Helwecjusz - dodałem. Juliusz Mordantyk skinął apatycznie głową. Gadałem nieprzerwanie, żeby mu dać czas na dojsście do siebie. Teraz, kiedy wyglądał na spokojniejszego, zapytałem ostrożnie:

- Domyślasz się, kto mógłby stać za tymi morderstwami?

- Te samolubne dranie z Lugdunum! - odpowiedział bez wahania.

Nie byłem zaskoczony; widziałem, ile Lugdunum może mieć do stracenia w dziedzinie produkcji ceramiki. Czułem się w obowiązku go ostrzec.

- Twoje oskarżenie może być trudne do udowodnienia.

- Jak tylko pokażą tu swoje gęby, nie będą nam potrzebne żadne dowody!

- Przyjmijmy, że tego nie słyszałem! Mógłbyś mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

Kiedy Mordantyk doszedł do wniosku, że jesteśmy życzliwie nastawieni, nie potrzebował więcej zachęty.

- Obecnie nie jest nam łatwo. Interes idzie kiepsko. Zamówienia mamy przede wszystkim od wojska, ale przy tych ostatnich niepokojach... - Przerwał na chwilę. Nie dopytywaliśmy się z Heleną o lokalne sympatie, ale on się domyślił, że to z grzeczności. - Och, byliśmy po stronie Rzymu, zapewniam was. Utrzymujemy z fortecą ścisłe związki. - Mówił niczym lokalny przywódca, który usprawiedliwia jakieś osobliwe święto, zgrabnie odwołując się do historii. - Obecność legionów tutaj, nad Renem, leży całkowicie w naszym interesie. Dowódca rzymski, Petyliusz Cerialis, ocenił to właściwie, kiedy tu przybył. Rzym zajął ten region na prośbę naszych dziadów, kiedy nękały ich obce plemiona, szukające dla siebie nowych terytoriów. Jeśli Rzym odejdzie, natychmiast wedrą się tutaj plemiona ze wschodniego brzegu - stwierdził.

Tym bardziej że obecnie członkowie plemion zachodniego brzegu uważani są za kolaborantów, pomyślałem sobie.

- Nie przepadacie za sobą? - podpowiedziała mu Helena.

- Nie. Cywilis i tacy jak on mogą sobie opowiadać o działaniu w imię wolności, ale my ich nic a nic nie obchodzimy, tak jak nasi ojcowie i dziadowie nie obchodzili ich przodków. Cywilis chce być królem najbogatszych ludów Europy. Jego własny lud chciałby opuścić mokradła Batawii i przenieść się na tutejsze, bujniejsze pastwiska. Jedyna germańska niezależność, w jaką wierzą,

to ich swoboda wpychania się tam, gdzie tylko zechcą.

Pomyślałem, że to dość jednostronna ocena. Przede wszystkim, jeszcze w Rzymie, z lektury raportów dotyczących rebelii dowiedziałem się, że Juliusz Tutor i Juliusz Klasykus, dwaj najbardziej po Cywilisie zapalczywi przywódcy buntu, pochodzili z Augusta Treverorum, więc emocje tutaj były znacznie gorętsze, niż zechciał to przyznać nasz przyjaciel. Nie winiłem jednak Mordantyka za przyjęcie wygodnego dla siebie punktu widzenia.

Zmieniłem temat.

- To, co widziałem w Lugdunum, pachniało mi bardziej interesami handlowymi niż polityką. Domyślam się, że ostro rywalizujecie z Galami. Czy dotyczy to tylko handlu z wojskiem?

Skinął głową, choć niechętnie.

- To wielki znak zapytania, kto uzyska kontrakt na dostawy dla nowych legionów w fortecy. Samo Lugdunum jest zagrożone przez potężną spółkę z południowej Galii. Brucjusz i ja próbowaliśmy przekonać nowego legata, żeby zawierał kontrakty na miejscu.

- Tym legatem był Floriusz Gracylis?

- Właśnie on. Ten drugi jest znacznie mniej ważny.

- Tak, jego żołnierze rekrutują się z floty i są raczej niezbyt pewni siebie. Zatem, wasi ludzie mieli te kontrakty poprzednio, kiedy w twierdzy stacjonowały legiony Czternasty i Dwudziesty Drugi?

- I nie bez powodu! Nasze wyroby dorównują jakością tym z Italii czy Galii, a oczywiście ich dystrybucja jest o wiele łatwiejsza.

Jeśli znajdowała się tutaj odpowiednia glina, to naturalnie Rzym popierałby lokalną wytwórczość, wspomagając ją oficjalnymi funduszami podczas dawnych kampanii prowadzonych przez Druzusa i Germanika. Wydawałoby się, że po rozkręceniu miejscowej produkcji i przekonaniu ludzi, by zarabiali na życie, pracując dla legionów, niemożliwe jest zwrócenie się z zamówieniami w inną stronę. Jednakże w działaniach Rzymu nigdy nie było miejsca na sentymenty.

- Czy wasze ceny są konkurencyjne? - spytałem.

Popatrzył na mnie z wyrzutem.

- W przetargach dla legionów są ustalane jak najbardziej uczciwie! Przecież odpadają koszty transportu. Nie uwierzę, by Lugdunum mogło złożyć niższą ofertę.

- Chyba że oszukują! Czy Gracylis był wam przychylny?

- Nigdy nie odpowiedział nam bezpośrednio. Miałem dziwne wrażenie, że nie zawsze nas słucha.

Zmarszczyłem brwi.

- Czy tamci znaleźli do niego doście? - zapytałem. Mordantyk wzruszył ramionami. Należał do ostrożnych ludzi, co to nigdy nie mówią źle o tych, z

którymi być może w przyszłości będą musieli prowadzić interesy. Wydawało mi się, że powinienem go sprowokować, żeby zaczął wypowiadać się ostrzej. - Powiedzmy sobie szczerze, Mordantyku. Tej wiosny Floriusz Gracylis podróżował przez Galię zapewne tą samą trasą co ja. Ma młodą żonę, która mogła zapragnąć nowej zastawy stołowej i zaciągnęła go do warsztatów w Lugdunum. Bez trudu mógł tam zostać przekupiony przez waszych konkurentów, zanim jeszcze w ogóle tutaj dotarł. Jesteś tego świadom, prawda? Ci duzi chłopcy z Lugdunum przekabacili legata.

- Tutejsi ceramicy - odezwał się garncarz - postanowili spróbować jeszcze raz rozwiązać problem. Wybraliśmy Brucjusza na naszego rzecznika i wysłaliśmy go do Lugdunum, by postarał się osiągnąć kompromis. Jest przecież rynek dla wszystkich. Te dzikusy z Lugdunum są po prostu zachłanne. Mają kwitnące interesy w Galii, wszystkie zamówienia od legionów w Brytanii i do tego Hiszpanię. Wysyłają towar z południowych portów do miast nad Zatoką Liguryjską i na Baleary. - Mówił jak człowiek, który sam dokładnie rozejrzał się w możliwościach handlowych. - Nigdy nie byli zachwyceni, że jesteście tu, na miejscu. Po stłumieniu rebelii dostrzegli szansę wdarcia się tutaj na siłę.

- Zatem bardzo możliwe - powiedziałem - że Brucjusz i jego bratanek zrobili, co się dało, ale nie uzyskali żadnej pomocy. Tamta awantura wyglądała na zapowiedź rękoczynów, ale nie widziałem żadnych śladów przemocy u twoich przyjaciół, kiedy jedli kolację tamtej nocy, której ich zabito. Musieli dać sobie spokój z tą bandą z Lugdunum i ruszyli do domu ze złymi wieściami. Wynika z tego - dodałem w zamyśleniu - że kwestia, kto ostatecznie będzie miał wyłączność na dostawy, nie została rozstrzygnięta.

- Dlaczego tak sądzisz? - zdziwiła się Helena.

- Bo po co niby mieli mordować dwóch ludzi, gdyby wiedzieli, że handel jest w ich rękach? Uważam, że ceramicy z Galii wyczuli u Brucjusza wielką siłę przekonywania. Mając legiony nadreńskie pod bokiem i legata na wyciągnięcie ręki, on i jego koledzy stwarzali poważne zagrożenie. Dlatego się go pozbyto. Ktoś poszedł za nim i jego bratankiem na tyle daleko od Lugdunum, żeby żaden sędzia niczego nie skojarzył, a potem ich zamordował, i to w takim miejscu, gdzie być może w ogóle nigdy nie udałoby się ustalić ich tożsamości.

- Ale dlaczego? - spytał garncarz. - Przecież wciąż jest nas tutaj wielu.

- Mordantyku, z najstarszego powodu na świecie! Zabicie dwóch spośród was... a jeszcze lepiej, spowodowanie ich zniknięcia... wystraszy pozostałych.

- W żadnym razie! - oświadczył mężczyzna z zaciętą miną. - Nigdy się nie poddamy i nie pozwolimy, by uszło im to na sucho!

- Jesteś człowiekiem stanowczym, ale zapewniam cię, że niektórzy wkrótce ugną się pod naciskiem. Nie zapominaj, że są wśród was garncarze, których żony nie marzą o tym, by zostać wdowami. Są żywiciela wielodzietnych rodzin,

które zostałyby bez środków do życia. Są też i tacy, którzy uważają, że życie to nie tylko ciągnąca się bez końca walka, z małą szansą na zwycięstwo.

- To przestępstwo! - zirytowała się Helena. - Rzym nie powinien nawet sprawiać wrażenia, że sankcjonuje tego rodzaju metody przy prowadzeniu interesów. Legat powinien okazać dezaprobatę, całkowicie odcinając Lugdunum od transakcji, a potem przyznając Mogontiakum wyłączność na wszelkie możliwe zamówienia!

Uśmiechnąłem się, doceniając jej pasję.

- Z tego, co usłyszałem o Floriuszu Gracylisie, w kwestiach moralnych nie bardzo można na nim polegać. Wiem, że rozpaczliwie potrzebuje gotówki - oznajmiłem.

- Chcesz powiedzieć, że bierze łapówki? - zapytała Helena. Jej rodzice wychowywali ją pod kloszem i w dużym stopniu udało im się uchronić ją przed zetknięciem z niegodziwościami świata. Jednakże od czasu, kiedy poznała mnie, dowiedziała się dość, by nic jej nie dziwiło. - Czy Gracylis jest przekupny, Falkonie? - starała się uściślić.

- To byłoby poważne oskarżenie. Ja go nie wysuwam. - Przynajmniej nie na tym etapie. Zwróciłem się do garncarza. - Juliuszu Mordantyku, pracuję dla cesarza. Twoje problemy nie powinny mnie obchodzić, ale być może łączą się częściowo z tym, po co tu przyjechałem.

- To znaczy z czym? - zapytał zaciekawiony.

- Przede wszystkim mam się porozumieć z Cywilisem - powiedziałem. Nie widziałem powodu, by ukrywać prawdę. - Nikt nie wie, gdzie się podziewa, ale sądzę, że legat udał się na poszukiwania. Możliwe też, że Gracylis wybrał się do Weledy, tej wieszczki Brukterów.

- Jeśli przekroczył rzekę, to jest głupcem! - Mordantyk patrzył na mnie, jakbym był szalony, w ogóle sugerując coś takiego.

- Nie mów tak. Może wkrótce sam będę musiał to zrobić.

- No to będziesz miał za swoje. A Gracylisa najpewniej spotka śmierć.

- Może podróżuje incognito.

- Wysoki urzędnik rzymski aż się prosi, by go zauważono. Czy ma to coś wspólnego z zamówieniami? - zapytał bez ogródek.

- Nie. Wszystko dotyczy politycznej chwały Floriusza Gracylisa. Ale też oznacza, że ty i ja mamy wspólny interes. Nie lubię składać obietnic, lecz jeśli kiedyś się na niego natknę, pogadam o waszym problemie, tak jakbym mówił w imieniu Wespazjana - oświadczyłem. Z jakiegoś powodu imię cesarza miało tu znaczną wagę. Mogłem się tego spodziewać w mieście, którego obywatele wyrażali uznanie Neronowi na kolumnie wzniesionej ku czci Jowisza. Mordantyk miał tak wdzięczną minę, jakbym to ja podpisywał z nim kontrakt. - Czy możesz mi pomóc? - zapytałem. - Wiesz, dokąd się wybrał legat albo gdzie mógłbym znaleźć samego Juliusza Cywilisa?

Garncarz pokręcił głową, ale obiecał popytać. Wciąż wyglądał na oszołomionego. Zostawiliśmy go, by mógł przekazać smutną wiadomość rodzinom zabitych. Nie zazdrościłem mu.

33

Zabrałem Helenę Justynę, żeby pokazać jej kolumnę Jowisza i przy okazji móc z nią swobodnie porozmawiać. Przynajmniej takiego pretekstu użyłem.

Obchodziliśmy ją z poważnymi minami, udając, że podziwiamy obelisk, ufundowany w imieniu miejscowej społeczności przez dwóch przypoehlebnych finansistów. Nawet nieźle wyglądał, tylko trzeba było zapomnieć, że zbudowano go ku czci Nerona. Umieszczono tam zwyczajowe tablice poświęcone bogom z Olimpu; Romulus i Remus pokazywali, że posiadanie osobiwej matki nie musi być mankamentem; Herkules, jak przystało na herosa, dokonywał bohaterkich czynów z charakterystycznym polotem; Kastor i Polluks poili swoje konie, na dwóch różnych bokach obelisku, tak jakby się pokłócili. Szczyt wieńczył ogromny brązowy posąg Jowisza Najlepszego Największego, z bujną brodą, w wielkich sandałach i dzierżącego nadzwyczaj szykowny piorun, który zrobiłby wrażenie w każdym eleganckim towarzystwie. Słup stał w miejscu zbyt publicznym, bym mógł porwać Helenę w ramiona, choć na pewno wiedziała, że o tym myślę. Wyglądała mi na rozczarowaną. Ponieważ minęły już trzy godziny od czasu, kiedy ostatni raz miałem okazję ją dotknąć, też byłem rozczarowany.

- Muszę cię zabrać na mały wypad w dół rzeki łodzią - szepnąłem.

- Na Junonę! Czy to aby bezpieczne?

- No cóż, przyznaję, że Germania nie jest w tej chwili najlepszym miejscem, jeśli ktoś lubi spokojne jesienne rejsy.

- Ale t y się wybierasz w dół rzeki, prawda?

Zapytała o to nadzwyczaj spokojnym głosem, co oznaczało głęboki niepokój.

- Na to się zanosi, moja ukochana - powiedziałem.

Była zdenerwowana. Wcale tego nie chciałem.

Stawiałem Helenę w trudnej sytuacji. Dotąd nigdy nie próbowała odwozić mnie od mojej pracy. Zależało jej na tym, żebym zarobił dość pieniędzy na wykupienie się do warstwy średniej, bo wtedy moglibyśmy się pobrać bez wywoływania skandalu. Potrzebowałem czterystu tysięcy sestercji... co jest niewyobrażalną sumą dla niepozornego młodziana z Awentynu. Tyle mogłem zarobić jedynie, zabierając się do czegoś nielegalnego (czego oczywiście nigdy nie wziąłbym pod rozwagę) albo ryzykownego.

- W każdym razie - oświadczyła pogodnie - przybyłeś tu w sprawach politycznych, a wygląda na to, że wdepnąłeś w zwykłą ceramiczną wojenkę.

- Na to wygląda.

Helena roześmiała się.

- Kiedy zgadzasz się tak potulnie, to zazwyczaj dlatego, że wcale tak nie myślisz.

- To prawda. Uważam, że z ceramiką to przypadkowy problem - przyznałem. Niemniej gdybym mógł pomóc tym garncarzom przy okazji osiągnięcia własnego celu, tobym to zrobił. - Ci ludzie mają do czynienia ze zwykłym administracyjnym bałaganem - mówiłem. - Procedura przetargu została sknocona przez jakiegoś idiotę, któremu państwo płaci wystarczająco dużo, by wiedział, co robi. To się dzieje nie tylko tutaj. Natomiast komplikacja w postaci przewijającego się tu i ówdzie Gracylisa to już mój zwykły pech.

Prawdą jednak było, że skoro już miałem się zapuścić na niebezpieczny teren, to nie chciałem, żeby jakiś senatorski bufon, niezdolny nawet załatwić rutynowej transakcji na naczynia kuchenne, podróżował tą samą trasą co ja. Zwłaszcza jeśli - co wydawało się teraz dość prawdopodobne - dotarł do celu przede mną i zdążył popełnić mnóstwo niezręczności, rozdrażniając tubylców.

- A zdarza ci się mieć szczęście?

- Zdarzyło tylko tego dnia, kiedy spotkałem ciebie.

Zignorowała moje słowa.

- Mówiłeś o Cywilisie. Jak zamierzasz go znaleźć?

- Nadarzy się jakaś okazja.

- A co z tą kapłanką?

- Weledą? - Uśmiechnąłem się. - To też ci Justyn powiedział, hę?

- Coś mi to za bardzo przypomina historię z wdową w Wejach - burknęła kąśliwie Helena.

- No to w porządku. Znaczy, że sobie z nią poradzę.

Helena Justyna nazwała mnie kobieciarzem i bałamutem; w odpowiedzi ja ją nazwałem osobą cyniczną, nie znającą, co to zaufanie i lojalność, na co ona chlasnęła mnie ciężkim krajem obszytej paciorkami stoli; wtedy ja przycisnąłem ją do podstawy kolumny i całowałem tak długo, aż ją nieco poskromiłem, a sam się bardzo rozochociłem.

- Nie śmiem pytać - powiedziała, kiedy niechętnie ją uwalniałem, zanim nasze wyrafinowane rzymskie zachowanie zdążyło wywołać publiczne zgorszenie - jak zamierzasz się dowiedzieć o los legata z Wetery. Wiem, że przepadł gdzieś po tamtej stronie rzeki.

- Przekazano go w życzliwym goście Weledzie.

Helena wzdrygnęła się.

- I dlatego właśnie musisz wyruszyć za Ren?

- Nie wyruszę, jeśli tego nie chcesz.

Jej poważna twarz jeszcze bardziej spoważniała.

- Nie mów tak... nigdy tak nie mów... chyba że mówisz to szczerze, Marku.

Zawsze trzeba było z nią uczciwie postępować.

- W porządku, obiecuję, że nie pojedę, jeśli uda mi się rozwiązać tę łamigłówkę jakoś inaczej.

- Ależ pojedziesz - odparła. - Pojedziesz i ją rozwiązesz, i to przynajmniej powinno być jakąś pociechą dla rodziny tego nieszczęśnika. I dlatego żadne moje próby odwodzenia cię od tej wyprawy nie wchodzi w rachubę.

Ani trochę nie obchodziły mnie uczucia rodziny Muniusza Luperkusa, który był przecież zamożnym senatorem na ułatwiającej dalszą karierę placówce, prawdopodobnie równie niesympatycznym jak cała reszta jemu podobnych. Ale kiedy Helena mówiła o czymś z takim przekonaniem, nie potrafiłem z nią dyskutować, więc tylko pocałowałem ją raz jeszcze i zabrałem do domu.

W fortecy zastaliśmy moją siostrzenicę Augustynillę terroryzującą wartowników przy bramie Pretoriańskiej. Byli bardzo zadowoleni, że mogą się jej pozbyć, a kiedy ją niosłem pod pachą, darła się i obrzucała nas wszystkich obelgami.

34

Reszta dnia minęła spokojnie. Justyn dowiedział się o potłuczonym kraterze i zareagował zniknięciem z domu. Był zirytowany, ale zbyt uprzejmy, by to powiedzieć.

- Ten twój braciszek całe życie będzie się dawał wykorzystywać.

- Myślałam, że jednoznacznie pokazuje, co czuje! - oznajmiła Helena. Ona postępowała tak samo - wyprowadzona z równowagi zniknęła.

Przed kolacją zmusiłem Augustynillę, żeby poszła przeprosić trybuna. Nigdy wcześniej nie musiała nikogo przeproszać i jej wystąpienie było pełne dramatyzmu. Wzruszyła Kamila tak jak kiedyś tamto szczenię, które wziął pod swoje skrzydła. Ona spoglądała na niego z uwielbieniem, a w nim rosła chęć, by ją ochraniać. To było pierwsze zetknięcie Augustynilli z zamożnym młodzieńcem w imponującym mundurze; widziałem, jak wyłazi z niej jej matka.

Abstrahując od uczuć dziewczynek w wieku szkolnym, byłem przekonany, że Kamil Justyn, ze swoją spokojną urodą i powściągliwością, potrafiłby dokonać większych spustoszeń w niewieścich sercach, niż był sobie w stanie wyobrazić. Kobiety lubią myślących poważnie, wrażliwych mężczyzn. (Powinni wyglądać na takich, co to bez protestu zapłacą wysokie rachunki). Justyn potrzebował miłej, wielkodusznej dziewczyny, która umiałaby wydobyć go ze skorupy. W Rzymie, gdybyśmy pokazali te zamyślane brązowe oczy na kilku przyjęciach, szybko znalazłby sympatyczne panny - i równie pomocne starsze kobiety - które ochoczo wydobywałyby go z jego skorupy trzy razy na tydzień.

W Mogontiakum musiał jedynie unikać ośmiolatki, która wmówiła sobie, że on wygląda jak młody Apollo. Jak dotąd, Augustynilla była pod zbyt wielkim wrażeniem jego pozycji, by zacząć wypisywać jego imię na murach. Zanim

zbierze się na odwagę, by zostawiać przepelnione uczuciem liściki przy jego miseczce śniadaniowej, atrament zamarźnie pod wpływem tutejszej zimowej temperatury i to przeżycie zostanie mu oszczędzone.

Następny dzień rozpoczął się od dwóch wiadomości: kochanka legata przekazała wiadomość, że według jej służby, Gracylis dużo ostatnio przebywał w towarzystwie garncarzy. Mordantyk natomiast doniósł, że w tej sprawie figuruje kochanka.

- To wszystko tworzy bardzo sympatyczny krąg! - mruknąłem do siebie.

Założyłem, że kobieta wspomina o ceramikach z Mogontiakum. Garncarz natomiast miał na myśli zupełnie inną kochankę... wynikało to wyraźnie z jego listu. Przesłałem Julii Fortunacie wyrazy wdzięczności, informując, że wykorzystam nowiny, kiedy tylko będę miał okazję. Z Mordantykiem postanowiłem porozmawiać osobiście.

Zanim się do niego udałem, odszukałem centuriona Helwecjusza, którego spotkałem nieopodal Cavillonum. Nie było to trudne, gdyż znużonym głosem wywrzaskiwał rozkazy, próbując wyćwiczyć bandę rozmamłanych rekrutów - jak nazywał podkomendnych - z łapami jak bochny chleba, krzywymi nogami, płaskostopiem i ptasimi mózdkami, tych samych młodzieńców, z którymi go widziałem, gdy maszerowali przez Galię. Jego zadaniem było nauczyć tych patałachów biegać, jeździć konno, pływać, skakać, walczyć wręcz, ciąć mieczem, rzucać oszczepem, kopać ziemię, budować mury, ustawiać palisady, celować z katapult, formować żółwia, kochać Rzym, cenić honor i umieć rozpoznać wroga: „Sina cera, rude włosy, kraciaste spodnie, robią mnóstwo wrzasku i celują prosto w wasze głowy!” Musiał wyłuskać młodzieńców, którzy oszukali przy sprawdzaniu wzroku, i przydzielić im funkcje sanitariuszy w lazarecie. Musiał wytropić takich, którzy nie umieli czytać, pisać, liczyć, a nawet nie rozumieli po łacinie, potem albo ich tego wszystkiego nauczyć, albo odesłać do domu. Musiał ich też utulić, kiedy płakali za swoimi dziewczętami albo za matkami, albo za swoim okrętem (I Legion *Adiutrix* wciąż brał tych odrzuconych kandydatów do floty wojennej) czy też swoją ulubioną koź (drudzy w kolejności synowie z rodzin gospodarskich zawsze stanowili trzon legionów). Musiał wreszcie utrzymywać ich w trzeźwości i powstrzymać od dezercji; musiał nauczyć ich zachowania przy stole i pomagać spisać testament. Na razie udało mu się zmusić ich do równego ustawienia w trzech szeregach.

Helwecjusz bez żalu oderwał się od swojego przygnębiającego zajęcia, żeby ze mną porozmawiać.

- Dydiusz Falko - przedstawiłem się.

- Pamiętam.

- Dzięki! Lubię świadomość, że moja osobowość robi wrażenie - rzuciłem. Trudno było nie pamiętać naszego szczególnego spotkania nad rowem

biegnącym przy drodze. Powspominaliśmy chwilę tamto wydarzenie. - Właśnie dlatego chciałem się z tobą widzieć - dodałem.

- Domyśliłem się!

Był typem człowieka niewzruszenie spokojnego. Długie lata służby nauczyły go spodziewać się najgorszego i niczym nie entuzjasmować. Miał bardzo ciemne, brązowe oczy, jakby pochodził z południa, a jego twarz przypominała zmiętą, zeszywniałą, wyświeconą szmatę służącą do wycierania koni. Mina człowieka pozbawionego złudzeń była równie zwietrzała jak rysy jego twarzy. Jednym słowem, robił wrażenie solidnego oficera, na którym całkowicie można polegać.

Powiedziałem mu, że trybun Kamil zgodził się na zwolnienie go z codziennych obowiązków, by mógł zrobić coś dobrego dla lokalnej społeczności. Helwecjusz z przyjemnością ruszył ze mną do ceramika.

Był kolejny chłodny poranek, a blade słońce próbowało się przedrzeć przez mgłę. Zmiana pór roku nadawała moim poczynaniom pewną gorączkowość. Wyjaśniłem Helwecjuszowi, że zapewne będę się musiał udać na drugi brzeg rzeki i że chciałbym zakończyć tę wyprawę przed nadejściem pełni zimy. Utknięcie na ziemiach barbarzyńców, kiedy spadną obfite śniegi, było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem.

- Kiepska sprawa o każdej porze - oświadczył ponuro.

- Byłeś tam?

- Tylko wtedy, kiedy pewnemu durnemu trybunowi zachciało się polować na dziki w bardziej ekscytującej okolicy - odpowiedział po chwili.

Na pewno nie był to Kamil Justyn. Jego nikt nie nazwałby durniem.

- Naturalnie młodzieniec z senatorskim szlakiem nie rwie się do prawdziwych emocji i zabiera ze sobą eskortę... Napotkaliście tam jakieś kłopoty?

- Nie, ale kiedy człowiek wraca stamtąd do domu bez przygód, czuje, że miał dużo szczęścia.

- Niektórzy z nas podejrzewają, że być może legat Czternastego zapuścił się w tamte strony.

- Gracylis? Po jakie licho?

- Poszukać Cywilisa... a może Weledy.

- Nie sądziłem, że to taki typ - powiedział po chwili milczenia.

- A jaki to typ według ciebie?

Helwecjusz, który był prawdziwym centurionem, zachichotał tylko w gęstwinę swojej kręconej, prawdziwie wojskowej brody.

- To legat, Falkonie. Taki sam okropny typ jak cała ich reszta.

Zanim dotarliśmy do warsztatów ceramicznych, ostrożnie wróciliśmy do sprawy dwóch zabitych. Helwecjusz zapytał, skąd wzięło się moje zainteresowanie tą akurat sprawą. Wyjaśniłem mu, że będąc świadkiem tamtej

awantury w Lugdunum, mimowolnie zostałem w to zaangażowany. Uśmiechnął się lekko.

Zastanawiało mnie, dlaczego zadał to pytanie. Twarz mu znieruchomiła i wyglądał, jakby był myślami gdzie indziej... gdzieś daleko. Myślałem już, że nic więcej nie powie, kiedy nagle się odezwał:

- Nie powiedziałem nic, kiedy natknęliśmy się na ciała, ponieważ cię nie znałem. Ale sam widziałem wcześniej tych mężczyzn, żywych.

- Gdzie?

- Tam gdzie i ty: w Lugdunum.

- Byłeś tam służbowo?

- Miałem być. W armii konieczna jest sprawność! Nasz dowódca miał lawinę pomysłów i zdecydował, że moja wyprawa może służyć dwóm... cóż, prawdę mówiąc, trzem celom. Najpierw przepustka do domu, potem rekrutacja żołnierzy, wreszcie sprawdzenie dostawców biorących udział w przetargu. Taki przynajmniej był plan.

- Więc co się zdarzyło?

- Pojawiłem się gdzie trzeba, jednak robienie notatek dotyczących dostawców okazało się stratą czasu. Szlachetny Gracylis był tam przede mną i osobiście załatwił cały interes w imieniu wszystkich legionów z obu Germanii.

- Coś podobnego! - zdumiałem się. - Niezgorsza odpowiedzialność!

- Niezgorsza okazja, żeby dać się przekupić! - stwierdził Helwecjusz, który najwyraźniej sam wyciągał wnioski.

- Ostrożnie, centurionie! A co z tymi dwoma tutejszymi ceramikami?

- Podobnie jak ty, widziałem ich tam podczas kłótni.

- Z tłumem?

- Nie, tylko z jednym takim tyczkowatym o szyderczym uśmieszku i jego dwoma gagatkami. Później znowu widziałem tego chudzielca.

- Tak...?

- Na drodze. Dzień przed tym, jak znaleźliśmy te ciała w rowie.

Bardzo mnie zainteresował ten szczegół. Pamiętałem Gała z szyderczym uśmieszkiem, ale w czasie podróży go nie zauważyłem. Sprawy się przedstawiały czarno dla Floriusza Gracylisa. Powiedziałem Helwecjuszowi, że na razie zatrzymamy te informacje dla siebie. Spojrzał na mnie z ukosa.

- Przysłano cię tutaj, żebyś zbierał dowody łapownictwa? - zapytał.

Zaczynało na to wyglądać.

Po przybyciu na miejsce poprosiłem Helwecjusza, żeby opowiedział Mordantykowi o tym, jak poinformował władze w Cavillonum o zabitych. Jak się łatwo domyślić, sędzia nie wykazał szczególnego zainteresowania sprawą. Helwecjusz był na tyle dyskretny, by to ukryć w rozmowie z przyjacielem nieżyjących, ale z jego tonu byłem w stanie wywnioskować, co się wydarzyło... i nie wydarzyło.

Zostawiłem ich samych w środku, a sam krążyłem wokół, spoglądając tęsknie na wyroby z czerwonej gliny. Po jakimś czasie pojawił się Mordantyk i zapytał, czy coś konkretnego wpadło mi w oko.

- Wszystko! Wytwarzasz tu piękne naczynia - pochwaliłem go. Nie było to zwykłe pochlebstwo; jego wyroby były dobrze wypalone, miały gustowne wzory, gładką polewę i znakomicie je wyważono. - Miałbym ochotę na porządny serwis obiadowy, jednak problemem jest brak fundatora.

- Jak to możliwe? Myślałem, że masz zamożną przyjaciółkę! - Powiedział to w taki sposób, że żart był do przyjęcia, nawet dla takiego wrażliwego łajdaka jak ja. Co więcej, podchwyciłem jego ton.

- Och, to jej ojciec jest właścicielem kwitnących włości na wzgórzach albańskich. Czy będąc na jego miejscu, pozwoliłbyś owocom ze swoich zbiorów dostać się w łapy takiego prostaka jak ja? - zakpiłem sam z siebie. W końcu mam swoją dumę.

Nie tylko nadzieja posiadania Heleny motywowała mnie do podejmowania tych szaleńczych misji dla cesarza. Marzyło mi się, że pewnego dnia przestanę klepać biedę. Zamieszkać we własnym cichym domu... z ogrodem, w którym ścieżki wiją się między żywopłotami. Dom ten będzie przestronny i zalany światłem, żeby można było czytać. Znajdzie się tam odpowiednie miejsce, gdzie wino będzie sobie dojrzewać we właściwej temperaturze. Potem, prowadząc filozoficzne dysputy, wypijemy je z moim przyjacielem Petroniuszem Longusem, przy klonowym stole nakrytym hiszpańskim obrusem... może z takich właśnie kielichów z czerwonej gliny, gdyby znudziły nam się te moje z brązu, grawerowane z myśliwskimi scenkami, i tamte z fenickiego szkła, nakrapianego złotymi drobinkami...

Skierowałem rozmowę na bardziej użyteczne tematy.

- Dzięki za wiadomość. O co chodzi z tą kobietą? Julia Fortunata poczuje się głęboko urażona, jak się dowie, że Gracylis ją oszukiwał... żeby nie wspomnieć o awanturze, jaka go czeka ze strony tej napuszonej żoneczki!

- Cóż, nie wiem nic konkretnego... - powiedział Mordantyk z zażenowaniem. Miło było słyszeć, jakim szacunkiem mieszkańcy prowincji darzyli Rzym; gość prawie wstydził się przyznać, że jeden z wysoko postawionych przedstawicieli cesarstwa nie postępuje zgodnie z rzymskim kodeksem moralnym. - Za nic nie chciałbym zniszczyć jego reputacji... - dodał niepewnie.

- Nie masz co się bać, że wylądujesz w sądzie oskarżony o zniesławienie - uspokoilem go. - Ty mi tylko powiedz, co wiesz, a ja już sam sobie wyciągnę kompromitujące go wnioski.

- No cóż, kiedyś zapytano jednego z moich kolegów, w jaki sposób Floriusz Gracylis mógłby skontaktować się z niejaką Klaudią Sakratą.

- Czy to ważne? Powinienem coś o niej wiedzieć?

- Jest z ludu Ubiów, mieszka w Colonia Agrippinensium - mówił z

zażenowaną miną. Przyglądał się uważnie kubkowi, jakby właśnie zauważył, że ma krzywo umocowane uszko. - Rzekomo łączyło ją coś z waszym wodzem, Petyliuszem Cerialisem.

Jakoś dotąd nie kojarzyłem Cerialisa z kobietami. W Brytanii dowodził IX Legionem *Hispana*. Kiedy wybuchło powstanie Budiki, rzucił się gorliwie na pomoc, ale w lesie wpadł w zasadzkę... co oznaczało, że gnał naprzód, nie wysławszy wcześniej przodem zwiadowców. Okupił to wielkimi stratami, uszedł z życiem jedynie z garstką konnych. Niedobitki IX Legionu wzięły udział w ostatecznej batalii przeciwko królowej, choć w przeciwieństwie do żołnierzy XIV i XX nie zostali potem uhonorowani przez Nerona. Jak wynika ze wszystkich przekazów, świeższe kampanie tego dowódcy, mające na celu wydarcie Germanii Cywilisowi, charakteryzowały się podobnymi nierozważnymi posunięciami. Dowódca zawsze zdążył się jakoś uratować... a potem brał udział w zwycięskich starciach i zachowywał nienaruszoną reputację.

- Kusicielka z plemienia Ubiów nie pojawiała się zbyt często w oficjalnych raportach z jego zwycięstw - oświadczyłem ze śmiertelnie poważną miną. - Może dlatego, że Petyliusz Cerialis sam je pisał.

Mordantyk zorientował się, że sobie żartuję, ale nie bardzo wiedział, jak ma zareagować.

- Pewnie to nic takiego... - wymamrotał.

- Jestem rozczarowany! Dlaczego jednak nasz Floriusz Gracylis miałby odwiedzać tę piękność? Ulżyć jej samotnej doli? Cerialis wyskoczył do Brytanii i raczej nie mógł jej zabrać ze sobą. Wiadomość o umieszczeniu ubijskiej przyjaciółeczki w pałacu namiestnika w Londinium szybko dotarłaby do Rzymu i wywołała poruszenie - ciągnąłem. Uzyskawszy swoją prowincję, Petyliusz Cerialis myśli teraz zapewne o konsulacie. Jest spowinowacony z cesarzem - przez małżeństwo - a Wespazjan znany jest przecie z surowych staromodnych poglądów. Owdowiały już, miał od wielu lat stałą kochankę, jednakże ludzie oczekujący od niego nominacji nie mogli sobie pozwolić na ryzyko takiego luksusu. - Czy Ubiowie mają bliskie powiązania z Batawami? - spytałem.

Juliusz Mordantyk wił się jak w ukropie.

- Trudno powiedzieć. Niektórzy sprzymierzeńcy Cywilisa srogo ukarali Ubiów za ich prorzymskie sympatie, ale w końcu i tak część z nich walczyła razem z nim przeciwko Rzymianom...

- Nieżyły galimatias! Czy Klaudia Sakrata znała Cywilisa?

- Możliwe. On ma krewnych w Colonia Agrippinensium.

- Dlatego Gracylis pojechał się z nią zobaczyć. Wie, że ta kobieta, znając ludzi z wysokich kręgów po obu stronach, może się orientować, jak dotrzeć do Cywilisa.

- Możliwe.

- Albo też - zacząłem bardziej żartobliwie - niezadowolony z oficjalnej kochanki, którą sprowadził z Rzymu, nasz uprzywilejowany legat, Floriusz Gracylis, szuka sobie nieoficjalnej... i Klaudia Sakrata jest odpowiednia. Może romans z Klaudią Sakrata jest tradycyjnie dodatkowym świadczeniem na rzecz odbywających służbę w Germanii mężczyzn w purpurowych płaszczach? Może jej adres dostają razem ze wstępnym raportem. I tu pojawia się jeszcze jedno pytanie: skoro jestem nikim, to skąd wezmę adres Klaudii Sakraty?

Garncarz nie miał ochoty komentować jej pozycji; powiedział mi jednak, gdzie ją znajdę.

Teraz został mi już tylko jeden problem do rozwiązania: jak mam wytłumaczyć Helenie Justynie, że wybieram się w odwiedziny do kochanki dowódcy?





CZEŚĆ IV

WYPRAWA W DÓŁ RENU

Z GERMANII GÓRNEJ DO WETERY

PAŹDZIERNIK - LISTOPAD A.D. 71

„Ich dowódca (...) ocalał dzięki pomyłce nieprzyjaciół, którzy pospiesznie odciągnęli okręt, sądząc, że Cerialis znajduje się na jego pokładzie. Tymczasem spędził on noc gdzie indziej (jak uważano wówczas, miał romans z kobietą należącą do plemienia Ubiów, niejaką Klaudią Sakratą)”.

Tacyt, Dzieje

35

Jak się okazało, problemu nie było. Helena Justyna oświadczyła bowiem, że Colonia Agrippinensium jest miejscem, które koniecznie musi zobaczyć. Zgodziłem się, z własnych powodów.

Jednakże moje nadzieje na spokojne sam na sam z Heleną spełzły na niczym. Najpierw jej brat się uparł, byśmy zabrali ze sobą Augustynillę. Najwyraźniej wolał nie zostawać sam z darzącą go uwielbieniem dziewczynką.

Potem Ksantus z wielkim zapałem dołączył do naszej wyprawy. Wciąż był przygnębiony tym, że zabił tamtego żołnierza. Oświadczył, że to doświadczenie zmusiło go do poważnego zastanowienia się nad życiem. Podobało mu się w Germanii i chciał tu osiąść... widział wielkie perspektywy dla kogoś z umiejętnościami fryzjerskimi. Mogontiakum okazało się jednak zbyt żołnierskie, chciał więc poszukać takiego miasta, które w bardziej wysublimowany sposób przyjęłoby ambitnego byłego cesarskiego niewolnika. Oznajmiłem mu bez ogródek, że zabiorę go najdalej do Colonii, a on się zgodził.

Mieliśmy też ze sobą psa Kamila Justyna. Pogryzł zbrojmistrza i trzeba było bezzwłocznie zabrać go z obozu.

I tyle pozostało z marzeń o miłym rejsie w dół rzeki sam na sam z moją dziewczyną.

Pomimo tej całej świty rejs na północ statkiem należącym do floty i tak był przyjemnością. Widzieliśmy sterczące skały i zielone pastwiska, małe porty i lokalne przystanie, omijaliśmy bystrza na skalnych progach koryta. Na zboczach zakładano winnice dające lekkie, smaczne wino, którego kosztowaliśmy w czasie tej podróży. Oddawaliśmy się na pokładzie marzeniom, przyglądając się kaczkom płynącym w dół rzeki pomiędzy

nielicznymi dryfującymi kawałkami drewna, a potem podrywającym się w powietrze, by wrócić w górę rzeki i ponownie spłynąć z jej nurtem. Barki o niskich burtach, wyładowane przeróżnymi towarami, płynęły dwójkami i trójkami, potem wracały w górę na wiosłach albo ciągnięte z brzegu. Wyglądało na to, że życie toczy się tutaj normalnie. Co więcej, handlarze na nadrzeczu wyglądali dostatnio. Mając u boku Helenę, mogłem zostać na pokładzie na zawsze, stać się rzeczonym włóczęgą i nie wracać już do domu.

- Co masz w tym wielkim tobole? - zapytała mnie Helena.

- Zwoje do czytania.

- Poezja?

- Historia.

- Jak u Tukidydesa?

- Jak w Wielkich Fuszerkach Naszych Czasów.

Helena rozejrzała się, sprawdzając, czy moje lekceważące słowa nie dotarły do uszu Augustynilli, ale mała była zajęta wymyślaniem sposobu na wypadnięcie za burtę. Wybuchnęła śmiechem.

- Skąd to zainteresowanie? - zapytała.

- Są tu informacje, które mogą być przydatne w związku z powierzonymi mi zadaniami. Archiwista w Rzymie skopiował dla mnie kilka raportów dotyczących rebelii.

Teraz, kiedy Helena wiedziała już, co targam ze sobą, mogłem wyciągnąć kosz i pogрузić się w lekturze żalonych wyczynów Rzymu w czasie, kiedy próbowano wyprzeć Cywilisa. Im więcej czytałem o tej kampanii, tym większe odczuwałem zażenowanie.

Niestety bardzo szybko minęliśmy ujście Mozeli pod Castrum ad Confluentes, następnie zgliszcza i rumowiska Bingium i Bonny, gdzie już trwała odbudowa, i dotarliśmy do celu.

Colonia Claudia Ara Agrippinensium bardzo starała się być godna swojej imponującej nazwy. Miasto założono na miejscu dawnej stolicy Ubiów zwanej przez Rzymian Oppidum Ubiorum i swoją obecną nazwę otrzymało na cześć urodzonej tam Agryppiny Młodszej, małżonki Klaudiusza, której despotyczny i niezdolny charakter niemile wspominało do dziś. Prowincjonalna stolica Germanii Dolnej mogła się pochwalić najważniejszym rzymskim posterunkiem rzeczonym oraz kwaterą główną rzymskiej floty Renu, chronionymi przez mały fort.

Miasto było dobrze rozplanowane i zamożne, z wodą doprowadzaną wybudowanym przez wojsko akweduktem. Mieszkało tam wielu weteranów, a bliskie związki z Rzymem były powodem trudnych decyzji podczas rebelii. Z początku mieszkańcy zachowali lojalność wobec Rzymu, odmawiając przyłączenia się do Cywilisa i zatrzymując jego syna... choć na wszelki wypadek jedynie w areszcie „honorowym”, gdyby sprawy miały potoczyć się

niepomyślnie. Dopiero kiedy sytuacja stała się niezwykle trudna, tamtejsi nobilem musieli, na wezwanie współplemieńców, przyznać się do swojego germańskiego dziedzictwa, ale nawet i wówczas ich sojusz z bojownikami o wolność nie był jednoznaczny. Obywatelom miasta udało się wynegocjować warunki z Cywilisem i Weledą, jako że w tym czasie trzymali już w areszcie domowym większą liczbę krewnych Batawów, a byli wystarczająco zamożni, by posyłać tej leśnej kapłance odpowiednie podarki. Ostrożne balansowanie pomogło miastu przetrwać i nie zostało ono złupione przez żadną ze stron. Potem, kiedy tylko Petyliusz Cerialis zaczął zyskiwać przewagę, zacni obywatele zwrócili się do niego o pomoc i ponownie sprzymierzyli z Rzymem. Umieeli dobrze zarządzać swoim miastem. Uważałem, że jest to bezpieczne miejsce i Helenie nic tu nie grozi.

Przybyliśmy tam dość wczesnym przedpołudniem. Zostawiłem swoje towarzystwo w zajeździe obok prefektury i powiedziałem Ksantusowi, że jest odpowiedzialny za wszystkich. Nie miałem wątpliwości, że Helena i tak przejmie pałeczkę.

Orzeźwiony podróżą po rzece udałem się na miasto, żeby popytać o Klaudię Sakratę. Obiecałem Helenie, że nie będę flirtował, ale tak się złożyło, że przypadkiem zapukałem do drzwi domu przyjaciółki dowódcy. Dla jej służącego twarz Rzymianina stanowiła wystarczającą rekomendację, więc choć prosiłem jedynie o termin spotkania, bez zwłoki wprowadził mnie na pokoje.

Był to skromny miejski dom. Prowincjonalny artysta starał się jak mógł, ale mógł namalować freski tylko o takiej tematyce, jaką znał. Jazon podczas burzy odnajdywał złote runo pod krzakiem ostrokrzewu. Mroczne sceny bitewne rozgrywały się pod fryzem, który nabierał życia tylko tam, gdzie pojawiał się ornament z kluczem nadreńskich dzikich gęsi. Mars w celtyckim filcowym płaszczu zalecał się do Wenus, odzianej w suknię z wysokim kołnierzem i kwefem, jakie noszą kobiety tutejszych Ubiów. Ona wyglądała na handlarke, a on na nieśmiałego, dość brzuchatego człeczyne.

Służący zaprowadził mnie do głównego pokoju. W oczy rzuciły mi się jaskrawe kolory i ogromne sofy z puszystymi poduszkami, na których zmęczony mężczyzna mógłby się ułożyć i zapomnieć o kłopotach. Czerwień była zbyt ostra, paski za szerokie, frędzle za grube. Wszystko to robiło prostackie, kojąco wulgarne wrażenie. Mężczyźni, którzy tu przychodzili, w sprawach gustu polegali na upartych małżonkach i zapewne nigdy nie zwracali uwagi na dekorację wnętrza. Potrzebowali schludnego i wygodnego miejsca, pachnącego pastą z pszczelego wosku i łagodnie perkoczącym rosołem, takiego miejsca, w którym można odnaleźć wspomnienia z dzieciństwa w Italii. Był to taki dom, gdzie chleb podawano w nierównych kawałkach, a smakował jak ambrozja przesycona zapachem orzechów laskowych. Muzyka na pewno

była okropna, jednakże ludziom roześmianym i zagadany wcale by to nie przeszkadzało...

Klaudia Sakrata spoczywała na sofie jakby w oczekiwaniu gości. Nie była oszałamiająco piękną uwodzicielką, ale pulchną kobietą w średnim wieku, z biustem uniesionym tak wysoko, że mógłby służyć za tacę. Miała na sobie strój rzymski w kolorze owsianki i ochry, z pedantycznie ułożonymi fałdami na ramionach. Stola z jednej strony spięta była broszą z dużym indyjskim rubinem, która aż krzyczała „prezent od mężczyzny!” Jej właścicielka przypominała poczciwą staroświecką ciotkę, którą podstępnie namówiono, by zrobiła z siebie przedstawienie na paradzie podczas świąt Floralii.

- Wejdz, mój drogi. Czym mogę służyć? - odezwała się.

Nie wiedziałem, czy pytanie jest grzecznościowe, czy też oznacza propozycję handlową.

- Nazywam się Dydiusz Falko, jestem agentem rządowym - powiedziałem otwarcie. - Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciała odpowiedzieć na kilka pytań.

- Chętnie - oznajmiła bez wahania. Oczywiście nie gwarantowało to, że będzie mówiła prawdę.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zacznę od ciebie. Nazywasz się Klaudia Sakrata i twój dom jest otwarty i gościnny. Czy mieszkasz z matką? - zapytałem.

Oboje rozumieliśmy, o co chodzi w tym eufemistycznym sformułowaniu.

- Z siostrą - oświadczyła. Równie dobry sposób na stworzenie atmosfery przyzwoitości, chociaż podczas naszej rozmowy żadna przyzwoitka się nie pojawiła.

- Jak rozumiem, szlachetny Cerialis darzył cię zaufaniem? - zapytałem prosto z mostu.

- To prawda, mój drogi - odrzekła bez namysłu. Była tego rodzaju człowiekiem, który lubi zaskakiwać ludzi, przyznając się do rzeczy niewyobrażalnych. Patrzyła na mnie bystrymi oczyma, cały czas próbując wywnioskować, o co może mi chodzić.

- Potrzebne mi są pewne delikatne informacje, a trudno mi znaleźć ludzi, którym mógłbym zaufać.

- Czy przysłał cię do mnie mój dowódca?

- Nie. To nie ma z nim nic wspólnego.

Atmosfera uległa zmianie. Zorientowała się, że prowadzę śledztwo dotyczące kogoś innego; gdyby chodziło o „jej” dowódcę, zrugaby mnie tylko. Skoro jednak stwierdziła, że jej najważniejszy klient nie jest zagrożony, przybrała ton pani domu.

- Nie mam nic przeciwko rozmowie o Cerialisie - powiedziała, gestem wskazując sofę. - Proszę się czuć jak u siebie w domu... - dodała.

Mój dom nigdy tak nie wyglądał. Zadzwoiła na służącego, żwawego

młodziana, który już na niejeden dzwonek odpowiadał.

- Rzekłabym, żeś amator gorącego wina z przyprawami! - rzuciła, przyjrzawszy mi się z fałszywą skromnością.

Nie tykam go, chyba że sam sobie wymieszam w domu.

Dla nawiązania dobrych stosunków zgodziłem się zostać człowiekiem, który pija gorące wino z przyprawami.

Było ciężkie, podane w cudownych kielichach, z nieco zbyt dużą ilością przypraw. Rozkoszne ciepło wlało mi się do żołądka, po czym przesączyło do układu nerwowego, każąc mi się czuć szczęśliwym i bezpiecznym, nawet wtedy, kiedy pani domu zagruchała:

- Opowiedz mi o tym wszystko!

To miała być moja kwestia.

- Nie, to ty mi opowiedz - oświadczyłem z uśmiechem, dając do zrozumienia, że kobiety, które wiedzą, co robią, już wcześniej próbowały mnie podejść. - Rozmawialiśmy o Petyliuszu Cerialisie.

- Bardzo sympatyczny pan.

- Mówi się o nim, że to gorąca głowa?

- Niby pod jakim względem? - spytała z kokieteryjnym uśmiechem.

- Wojskowym, na przykład.

- Skąd takie przypuszczenie?

To był bezsensowny płas. Uznałem jednak, że jeśli chcę wyciągnąć od niej potrzebną informację, to muszę najpierw pogadać o jej drogocennym Cerialisie.

- Przede wszystkim, czytałem o bitwie pod Augusta Treverorum - pochwaliłem się. Popijałem z ciężkiego kielicha tak powściągliwie, jak potrafiłem. Jeśli Cerialis zachowywał się jak typowy dowódca, to zdążył już wszystkich na śmierć zanudzić opowieściami o wielkiej bitwie.

- W tamtym czasie ludzie rzeczywiście mówili, że popełnił kilka błędów - oświadczyła po chwili rzekomego namysłu Klaudia Sakrata.

- Cóż, można to wszystko postrzegać w dwojaki sposób - przyznałem, zgrywając przyjaznego typka. Tak na prawdę oczywisty był dla mnie tylko jeden sposób. Petyliusz Cerialis postąpił głupio, pozwalając swoim przeciwnikom dokonać koncentracji, podczas gdy sam czekał na posiłki. Już samo to było niebezpieczne. Jego słynna potyczka też była farsą. Cerialis zbudował obóz po przeciwnej stronie rzeki niż ta, po której leżało miasto. Nieprzyjaciel nadciągnął bardzo wczesnym rankiem, podkraść się z kilku stron i wdarł do obozu, wywołując straszliwy zamęt.

- Jak rozumiem, tylko dzielna postawa dowódcy uratowała sytuację - mówiła Klaudia z niezachwianą lojalnością. A więc tak wyglądała jego wersja.

- Bez wątplenia - przyznałem. Moja praca wymaga umiejętności łgania bez mrugnięcia okiem. - Cerialis wyskoczył z łoża bez zbroi i odkrył, że w obozie

panuje kompletny chaos, kawaleria ucieka, a nieprzyjaciel zdobył już przyczółek mostowy. Dopadł uciekających, zawrócił ich, dzięki osobistemu męstwu odbił most i przedarłszy się do rzymskiego obozu, zebrał resztę swoich ludzi. Uratował wszystko i na koniec zniszczył kwaterę główną wroga, zamiast utracić własną.

Klaudia Sakrata pogroziła mi palcem.

- Skąd więc u ciebie ten sceptycyzm?

Bo z innych ocen wynikało, że nasze wojsko było dowodzone w sposób żałosny; nieprzyjaciel nie miał prawa podejść niepostrzeżenie tak blisko, obóz nie był dostatecznie strzeżony, wartownicy spali, a dowódca nie wiadomo gdzie się podziewał. Jedynie to, że wojownicy wrogich plemion zajęli się grabieżą, uchroniło naszego dziarskiego dowódcę przed totalną klęską.

Powstrzymałem się od gorzkiego komentarza.

- Dlaczego tamtej nocy dowódca nie spał w obozie?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie - odparła spokojnie pani domu.

- Czy znałaś go wtedy?

- Poznałam go później - odparła. Zatem jeszcze zanim zaczął się ich romans, on wolał wygody prywatnego domu.

- Czy mogę zapytać, jak doszło do waszej przyjaźni?

- Och, on odwiedził Colonia Agrippinensium.

- Romantyczna historia?

- Samo życie, mój drogi - westchnęła. Domyślałem się, że nie widzi różnicy między sprzedażą usług seksualnych a sprzedażą jajek.

- Opowiesz mi?

- Czemu nie? Dowódca przyszedł podziękować mi za mój udział w osłabieniu nieprzyjaciela.

- Cóż takiego uczyniłaś? - Wyobrażałem sobie jakąś burdelową intrygę.

- Nasze miasto szukało sposobu na odnowienie związków z Rzymem. Radcy miejscy proponowali przekazanie żony i siostry Cywilisa oraz córki jednego z innych przywódców, które trzymano tutaj jako pewnego rodzaju gwarancję. Potem spróbowaliśmy czegoś lepszego. Cywilis, wciąż pewny siebie, pokładał nadzieję w swoich najlepszych oddziałach, wojownikach z plemion Chauków i Fryzów, rozłożonych obozem niedaleko stąd. Mężczyźni z naszego miasta zaprosili ich na ucztę, nie żałując im jadła i trunków. Kiedy wojownicy najedzeni i opici leżeli pokotem, zamknięto drzwi i podpalamo budynek.

Postarałem się nie pokazywać po sobie, że jestem wstrząśnięty.

- Taki przyjazny germański zwyczaj?

- Jest dość popularny - przyznała.

Najbardziej przerażający był jej rzeczowy ton.

- Zatem kiedy Cywilis dowiedział się, że jego wyborowi wojownicy zostali żywcem spaleni, umknął na północ, a zadowolony Petyliusz Cerialis wjechał do

Colonii... Jaka jednak była w tym twoja rola, Klaudio?

- Dostarczyłam jedzenie i trunki na ucztę.

Odstawiłam kielich z winem.

- Pani, jestem daleki od wtykania nosa w nie swoje sprawy, ale czy mogłabyś mi coś powiedzieć... - zacząłem.

Ta przedziwnie spokojna i jednocześnie bezduszna kobieta wytręcała mnie z równowagi. Celowo zmieniłem więc temat.

- Jak wyglądała naprawdę utrata flagowego okrętu dowódcy?

Uśmiechnęła się w milczeniu.

Było to kolejne dziwaczne wydarzenie. Powtórzyłem jej to, co już wiedziałem z dokumentów odnalezionych w rzymskim archiwum. Po nieudanej kampanii u zbiegu Renu i Mozy, kiedy to Cywilis i jego Batawowie przeganiaли rzymskich żołnierzy po zdradzieckich mokradałach swoich ojczystych ziem i wyglądało na to, że mogą opierać się Rzymowi w nieskończoność, Petyliusz Cerialis zrobił sobie przerwę dla wypoczynku (jego ulubiona czynność) i udał się na inspekcję nowych kwater zimowych w Novaesium i Bonnie, zamierzając wrócić na północ z niezbędną mu flotą. Jednak znowu zawiodła dyscyplina; straż nie zachowała czujności. Pewnej ciemnej nocy Germanie wkradli się do obozu, przecięli linki namiotowe i siali spustoszenie, podczas gdy nasi żołnierze szamotali się pod okrywającym ich płótnem namiotów, miotali po obozie półnady i przerażeni. Nie miał ich kto skupić wokół siebie, ponieważ, oczywiście, Cerialis był nieobecny.

- Wtedy to nieprzyjaciel odholował okręt flagowy, bo Juliusz Cywilis sądził, że dowódca jest na pokładzie - zakończyłem swój wywód.

- Jego błąd! - zgodziła się Klaudia z zadowoleniem.

- Znowu spał poza obozem? - Starąłem się, żeby nie zabrzmiało to krytycznie.

- Najwyraźniej.

- Był u ciebie, jak mówią ludzie? - zapytałem. Trudno mi było to sobie wyobrazić.

- Chyba nie oczekujesz, że odpowiem na to pytanie.

- Rozumiem - powiedziałem. Oczywiście, że u niej.

- Mówiłeś, że twoje indagacje nie będą dotyczyły Petyliusza, skąd zatem te wszystkie pytania na temat minionych wydarzeń?

Najwyraźniej posunąłem się za daleko w swoich dociekaniach.

- Mam bzika na punkcie ciekawostek dotyczących tła wydarzeń - wyznałem. Miałem nadzieję, że moje zainteresowanie Petyliuszem będzie jej się wydawało dla niego niebezpieczne i chcąc odciągnąć mnie od niego, dostarczy mi informacji, na których mi naprawdę zależy. Ona była jednak twardsza, niż sądziłem. Mogła robić wrażenie głupiej, ale ta powłoka skrywała rozumek. - Co się w końcu stało z tym okrętem flagowym? - zapytałem.

- O świcie buntownicy odpłynęli rzymskimi statkami. Odholowali okręt flagowy na własne terytorium jako dar dla swojej kapłanki.
- Weledy! - Gwizdnąłem cichutko. - Więc jeśli Cerialis był tutaj tamtej nocy, to uratowałaś mu życie.
- W istocie - przyznała z dumą.
- Gdyby był na pokładzie... - zacząłem. Tak jak powinien, pomyślałem - spotkałby go straszny los. O ostatnim rzymskim dowódcy posłanym Weledzie wszelki słuch zaginął.
- To okropne! - przyznała, co miało wyrażać konwencjonalne współczucie.
- O to właśnie chodzi w mojej misji - poinformowałem ją wreszcie. - Był dowódcą legionu. Cesarz i jego rodzina muszą wiedzieć, co się z nim stało. Wątpię, byś miała okazję go poznać; stacjonował w Weterze, daleko stąd...
- Muniusz Luperkus? - zapytała zdziwiona. - Ależ jesteś w błędzie, mój drogi - oświadczyła z niezmaconym spokojem. - Muniusza znałam bardzo dobrze.

36

Westchnąłem w duchu, próbując zmienić pozycję na poduszkach, ale obejmowały mnie niepokojąco, jakby się do mnie przyssały. Kiedy Klaudia Sakrata mówiła komuś, by usiadł wygodnie, uważała, że uwolni się go dopiero za pomocą dźwigni.

Znalazłem się w domu kobiety, która zna wszystkich. Imiona padały jak krople wody wokół fontanny. Plotka była zrozumiałym dla wszystkich językiem. Siedziałem na ścierpniętych pośladkach w samym środku pajęczyny, której nitki mogły się rozciągać do każdego miejsca Europy.

- Znałaś Luperkusa? - wykrztusiłem. Nie znoszę się powtarzać, ale nie byłem w kondycji do zadawania bardziej wyrafinowanych pytań.

- Taki sympatyczny człowiek. Bardzo szczery. Niezwykle szczodry.
- Nie wątpię! Masz szeroki krąg znajomych.
- O tak. Większość chłopców z Rzymu wcześniej czy później przewija się przez ten dom. Znana jestem - oświadczyła Klaudia z samozadowoleniem - z gościnności.

Można to było i tak nazwać.

- Kobieta wpływowa! - stwierdziłem i niby od niechcienia zadałem kolejne pytanie. - Co sądzisz o legacie Legionu Czternastego *Gemina*?

Można było na nią liczyć.

- Chodzi o Pryskusa? Czy tego nowego, Gracylisa? - zaszczebiotła. Najwyraźniej obaj wieszali swoje zbroje na jej wieszaku.

- Tego nowego.
- Spotkałam go raz czy dwa.
- Sympatyczny? - rzuciłem, nim zdążyłem się ugryźć w język.
- Och, bardzo! - odparła bez wahania. Na szczęście, wzięła moje pytanie za

dobrą monetę. Jeśli w ogóle miała poczucie humoru, byłoby radosne i oczywiste, w przeciwieństwie do mojego, pokrętnego.

- Czy Gracylis odwiedził cię ostatnio?

Cokolwiek tutaj robił - a wolałem się nie domyślać co - Gracylis na pewno zadawał te same pytania co ja.

- Rozumie się - odpowiedziała z porozumiewawczym mrugnięciem, które z trudem wytrzymałem.

- Domyślam się, że miał jakiś konkretny powód, żeby się pojawić w tych okolicach?

Roześmiała się. Był to nieprzyjemny śmiech, a przy okazji zauważyłem, że brakuje jej kilku zębów.

- Mówił coś o wyprawie na polowanie... - zaczęła.

- Stara śpiewka!

- Och, na pewno mówił serio, mój drogi... prowadziła go tam grupa Galów.

Galów? Miałem już dość na głowie germańskich powiązań. Nie podobała mi się ta nowa komplikacja, szczególnie że mózg miałem nasiąknięty aromatycznym winem.

- A na co się zasadzał? - zapytałem. Oczywiście jeśli chodziło mu o coś więcej niż tylko sprzątnięcie mi sprzed nosa Cywilisa i Weledy.

- Na dziki, jak sądzę.

Spróbowałem z innej strony.

- Ludzie z Mogontiakum są zaniepokojeni zniknięciem jego służącego. Czy Rustykus też się wybrał na to galijskie polowanie, żeby cały czas dbać o swojego biegającego z oszczepem pana?

- Nikogo takiego z nim nie było.

Postanowiłem nie pytać więcej o tego utrapionego legata XIV Legionu. Okazałoby się w końcu, że staram się wytropić jakiegoś żalostnego niewolnika, który zwyczajnie wykorzystał nieobecność swojego pana i dał nogę.

Poddałem się z uśmiechem. Klaudia była tak z tego zadowolona, że raczyła dorzucić:

- Ci Galowie płacili za wszystko.

Musiałem mieć pewność.

- Nie znoszę być drobiazgowy, ale czy mam rozumieć, że to oni opłacali wizytę Floriusza Gracylisa u ciebie?

Skinęła głową.

Teraz go miałem. Skoro legatowi Legionu *Gemina* organizowano w ramach łapówki tego rodzaju rozrywki, to Wespazjan skreślił go z listy funkcjonariuszy państwowych, zanim ktokolwiek zdąży mrugnąć.

- Co to byli za jedni, ci Galowie?

- Ceramicy - powiedziała Klaudia.

Zastanawiałem się, dlaczego zdecydowała się donieść na tego akurat klienta.

Rywalizacja Germanów z Galami? Irytacja na swobodę traktowania jej usługi jako łapówki? Doszedłem do wniosku, że chodziło o kupiecką nieuczciwość. To oczywiste, że Klaudia, będąc kobietą interesu, nie znosiła oszustwa.

- Nie zamierzam drążyć głębiej i wprawiać cię w zakłopotanie, pani. Mówiliśmy o Muniuszu Luperkusie. Wojna była dawno temu i trudno mi odnaleźć tropy. Czeka mnie wyprawa na drugą stronę Renu, żeby podążyć trasą, którą wiedli go jako jeńca. Czy twoja pożyteczna sieć kontaktów sięga na drugi brzeg? Nie znasz zapewne tej wieszczki...

Mogłem zgadnąć.

- Weledy? - przerwała mi. - Oczywiście, że znam.

- Myślałem, że jest zupełnie odgradzona od świata - powiedziałem z lekką irytacją. - Słyszałem, że mieszka wysoko ponad koronami drzew i że nawet oficjalni wysłannicy, którzy pojechali do niej z Colonii, żeby negocjować warunki, musieli porozumiewać się z nią za pośrednictwem jej krewnych.

- Zgadza się, mój drogi.

Uderzyła mnie straszna myśl.

- Czy należałaś do tej grupy z Colonii?

- Owszem, należałam. To nie Rzym, Marku Dydiuszu - mruknęła Klaudia. Niewątpliwie była to prawda. Kobiety germańskie najwyraźniej lubiły znajdować się w samym środku wydarzeń. Było to niewyobrażalne dla tradycyjnie wychowanego rzymskiego chłopca. Byłem oburzony... a jednocześnie zafascynowany. - Mam znaczącą pozycję w Colonii, Marku Dydiuszu. Jestem tutaj dobrze znana.

Mogłem odgadnąć, z czego wynikała jej wysoka pozycja... czym jest ten uniwersalny znak statusu.

- Jesteś kobietą zamożną? - spytałem.

- Przyjaciele okazali mi dużą życzliwość - pochwaliła się. Mogła zebrać śmietankę z co pokazniejszych rachunków bankowych z Forum. - Pomogłam przy wyborze darów dla Weledy; niektóre z nich dostarczyłam sama. Potem zapragnęłam zobaczyć inne strony, więc wybrałam się w podróż z wysłannikami - mówiła. Była tak samo nieznośna jak Ksantus. Świat musi być pełen nieustraszonych idiotów, usiłujących złapać obcą śmiertelną odmianę jakiejś bagiennej zarazy.

- Niech zgadnę... - Uśmiechnąłem się mimo woli. - Mężczyźni zapewne musieli przestrzegać ściśle określonych reguł, żeby nie zbrukać świętości Weledy, tobie natomiast udało się doprowadzić do babskich pogaduszek. Podejrzewam, że ta otoczona czcią dziewczyna musi od czasu do czasu wyrwać się na dół ze swojej wieży, żeby, powiedzmy, opłukać twarz? - snułem domysły. To figlarne określenie zdawało się pasować do dyskrecji atmosfery przepelniającej dom Klaudii, gdzie Jowisz, opiekun przybyszów, musi ograniczać się do pomagania ludziom w znalezieniu uprzejmego zwrotu, by

zapytać o drogę do latryny.

- Zrobiłam dla niej co mogłam - mówiła ze smutkiem Klaudia Sakrata. - Możesz sobie wyobrazić żywot, jaki prowadzi ta biedaczka. Żadnych rozmów; żadnego towarzystwa. Krewni, którzy jej strzegą, są niezbyt rozumni. Mówię ci, bardzo jej była potrzebna pogawędka. I zanim coś powiesz, mój drogi, to owszem, zapytałam o Luperkusa. Nigdy nie zapominam o swoich chłopcach, jeśli tylko mogę zrobić dla nich coś dobrego.

Te słowa mnie rozgniewały.

- Śmierć człowieka na obcej ziemi to nie okazja do plotek! Czy Luperkus był jednym z tych, których ze śmiechem obgadywałyście w kniejach Bruktów? Powiedziała ci, co z nim zrobiła?

- Nie - odparła Klaudia ostro, jakbym obraził wszystkie kobiety świata.

- Bo nie nadawało się dla cywilizowanych uszu? Co zrobiła... powiesiła jego głowę w miejsce latarni, spryskała jego krwią swój prywatny ołtarz i poutykała jego jądra pośród jemioli? - naigrawałem się. Rzym, raz przynajmniej wstrząśnięty praktykami bardziej barbarzyńskimi, niż sam potrafiłby wymyślić, zakazał tych praktyk w Galii i Brytanii. Co jednak w żaden sposób nie chroniło ludzi, którzy znaleźli się poza granicami cesarstwa.

- W ogóle go nie widziała - odparła Klaudia.

- Nie dotarł do wieży?

- Coś się stało po drodze.

Coś gorszego niż to, co go czekało, gdyby dotarł? - pomyślałem.

- Co takiego?

- Weleda tego nie wiedziała.

- Na pewno kłamała.

- Nie miała żadnego powodu, by kłamać, mój drogi.

- Cóż za sympatyczne dziewczę! - skwitowałem z przekąsem.

Klaudia patrzyła na mnie z opuszczonymi kącikami ust.

- Poświęciłam ci mnóstwo czasu, Marku Dydiuszu - odezwała się z żalem.

- Doceniam to. Już kończę. Odpowiedz mi tylko na jeszcze jedno pytanie: czy kiedykolwiek utrzymywałaś kontakty z Juliuszem Cywilisem?

- W dawnych czasach spotykaliśmy się towarzysko.

- Gdzie jest teraz?

- Przykro mi, mój drogi. Zdawało mi się, że wrócił na Wyspę.

Pierwszy raz jej odpowiedź zabrzmiała nieszczerze. Doszedłem do wniosku, że coś wie. Uświadomiłem też sobie, że wyciąganie informacji z Klaudii Sakraty, kiedy już zamknie się w sobie, jest zadaniem beznadziejnym.

Wyglądała jak kula z kaczego puchu, ale jej wola była niezłomna. Poza tym stanąłem też przed murem niewzruszonej plemiennej solidarności.

Sprawa wyglądała beznadziejnie, ale brnąłem dalej.

- Cywilis zniknął z Wyspy. Mógł ruszyć na południe, w nadziei że odbuduje

tam sobie zaplecze polityczne. Słyszałem, że znowu jest pośród Ubiów i Trewerów, i czuję, że to prawda. Miał rodzinę w Colonii.

- Wtedy, kiedy był związany z rzymskimi warowniami.

- Możliwe, ale zna te tereny. Masz jakieś pomysły, gdzie mógłbym popytać?

- Przykro mi - powtórzyła. Byłem tym jedynym Rzymianinem, który najwyraźniej przestał być sympatycznym chłopcem.

Kończyliśmy rozmowę. Klaudia ponownie wykazała dobrą wolę, pytając, czy mogłaby coś dla mnie zrobić. Odpowiedziałem, że czeka na mnie moja dziewczyna, która myśli, że wyskoczyłem tylko na chwilę po koszyk bułeczek.

- Będzie się niepokoić! - wytknęła mi świętoszkowato. Zajmowała się niesieniem pociechy żonatym mężczyznom przebywającym z dala od domu, jednakże rujnowanie związków było poniżej jej godności. - Musisz natychmiast do niej wracać - stwierdziła. Sama odprowadziła mnie do drzwi, co było jej zwyczajowym, uprzejmym gestem. Niewątpliwie, kiedy wypuszczała rzymskiego dowódcę, chciała, by sąsiedzi dostrzegli purpurę. Dzisiejszy tandetny gość nie zrobiłby na nich wrażenia.

- Więc jak mam odnaleźć Weledę? - zapytałem. - Wiem jedynie, że mieszka pośród Brukterów. A to plemię zajmuje spore tereny.

- Jestem beznadziejna z geografii. Zresztą podróżowaliśmy tam rzeką. - Miała na myśli Lupię.

- I mieszkała w lesie? - upewniłem się. Już to wiedziałem, ale na myśl o tym lesie robiło mi się zimno. Weleda żyła tam, gdzie w taki straszny sposób unicestwiono nadzieje Rzymu na zapanowanie nad wschodnimi plemionami. - Teutoburskim? Wolałbym, żeby to było gdziekolwiek, byle nie tam!

- Myślisz o Warusie? - domyśliła się. Przez chwilę czekałem, czy powie, że Kwinktylisz Warus i jego trzy zmasakrowane legiony to wszystko byli jej chłopcy. To absurd, pomyślałem. Była kobietą dojrzałą, ale nie aż tak przejrzałą. - Wolni Germanie nadal chełpią się Arminiuszem - przypomniała mi. I długo jeszcze będą to robić. Arminiusz był wodzem, który pokonał Warusa, wyzwalając Germanię spod rzymskiej kontroli; i którego teraz Cywilis otwarcie naśladował. - Bądź ostrożny, Marku Dydiuszu - rzuciła na pożegnanie. Powiedziała to tak, jakby potrzebna mi była trepanacja... wyborowanie dziury w czaszce, żeby zmniejszyć ciśnienie na mózg.

37

- Długo cię nie było - utyskiwała Helena. Wyjaśniłem jej wszystko. Tak wydawało mi się najlepiej, na wypadek gdyby kiedyś ktoś z szerokiego kręgu znajomych Klaudii Sakraty w Colonii miał się wygadać. Helena i tak doszła do wniosku, że celowo się zawieruszyłem. - I piłeś - dodała oskarżycielsko.

- Musiałem wykazać się towarzyskością. Odrzuciłem natomiast przekąski, jakie ona zazwyczaj serwuje chłopcom z Rzymu.

- Cóż za umiar! Wytworne maniery nie są twoją specjalnością. Musiałeś się napracować. Opłaciło się?

- Usłyszałem bardzo nieprzyjemne plotki. Potwierdziła, że Floriusz Gracylis wyprzedza mnie o krok w poszukiwaniach przywódców rebelii. Na dodatek zawzięcie handluje swoją przychylnością, ukrywając to pod płaszczykiem myśliwskiej wyprawy. Podejrzewam, że jedyna użyteczna informacja, jaką posiada, dotyczy miejsca pobytu Cywilisa. Niestety, zatrzymała ją dla siebie.

- Co się stało z twoją umiejętnością perswazji?

- Skarbie, nie mam nic do zaoferowania kobiecie, która jest przyzwyczajona do presji ze strony mężczyzn o najwyższych dochodach z zajmowanych stanowisk publicznych.

- No to obniżasz loty! - oświadczyła ostro Helena. - A tak przy okazji, sama przyniosłam pieczywo. Domyśliłam się, że jesteś pogrążony w pracy i pewno zapomnisz - powiedziała, pocieszającym gestem wręczając mi bułkę z pełnoziarnistej mąki. Jadłem z ponurą miną. Nie złagodziła skutków mocno przyprawionego wina Klaudii Sakraty. Jeszcze nie wytrzeźwiałem, co pogłębiało moją świadomość, że jestem w niełasce. - Marku, wynajęłam kobietę z plemienia Ubiów, żeby mi pomagała, kiedy ty będziesz musiał wyjechać - powiedziała Helena. - To wdowa... same problemy, rozumiesz. Ma córkę w tym samym wieku co Augustynilla. Mam nadzieję, że koleżanka, którą wychowano w większej dyscyplinie, może mieć na nią dobry wpływ.

Nie byłem jeszcze gotów myśleć o wyjeździe.

- Świetny pomysł. Ja zapłacę.

- Stać cię na to?

- Tak - oświadczyłem. Rzuciła mi jedno z tych swoich spojrzeń. Dobrze wiedziała, że to znaczy nie.

Jakby dla potwierdzenia jej słów, zza drzwi wysunęły się dwie głowy i wpatrzyły we mnie dwie pary oczu. Dziewczynki nie były ładne, jedna miała buzię ogorzałą jak dobrze wypieczona bułeczka, z oczkami ciemnymi niczym spalone rodzyńki, druga okrągłą i jasną jak placek z praśnego ciasta. Nie wróżyły nic dobrego. Ta z lnianymi warkoczykami pytała natarczywie tę z kokiem:

- To on, to on?

Trochę sepleniała, miała germański akcent, a inteligencją przewyższała moją siostrzenicę jakieś sześć razy.

- Albo się wynoście, albo wejdźcie do środka jak należy - fuknąłem.

Weszły, stanęły tuż obok, trącały się łokciami i chichotały. Czułem się niczym hipopotam w jakiejś obskurnej menażerii... znany z tego, że lubi zniecka ruszyć z klatki i popędzić do baru.

- Czy to ty jesteś tym wujkiem, który prowadzi dochodzenia?

- Nie, jestem potworem, który pożera dzieci. A kim ty jesteś?

- Mam na imię Arminia - pochwaliła się. Nie byłem w nastroju, by znosić dzieci nazwane od imion bohaterskich wrogów Rzymu. Arminia i Augustynilla namawiały jedna drugą, żeby sprawdzić, czy da się mnie sprowokować do wyskoczenia z klatki. - A proszę powiedzieć, co chcesz wyśledzić w Colonii?

- Tajemnica państwowa - mruknąłem.

Obie zaczęły się pokładać ze śmiechu.

- Nie słuchaj go - oświadczyła Augustynilla. - Moja matka mówi, że nie umiałby znaleźć własnego pępka.

Wszyscy w Rzymie wiedzą, że wujek Marek to kompletny nieudacznik.

Z wyniosłymi minami, trzymając się za ręce, wymaszerowały z pokoju.

- Widzę, że się niezgorzej skumpłowały - zasępiłem się. - Najwyraźniej między koszmarnymi dziewczynkami nie istnieją żadne bariery etniczne. Więc teraz mamy na głowie nie jedną nieokiełznaną osóbkę, ale dwie.

- Och, Marku, nie bądźże takim pesymistą.

Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Do naszej gospody przybył brat Heleny, Justyn. Byłby mile widzianym gościem, ale przyjechał o jakiś tydzień za wcześnie. Pies powitał swojego pana z szaleńczą radością, po czym wbiegł do środka i obsusiał mi but.

Zanim zostawiliśmy Justyna w obozie, umówiliśmy się, że przyjedzie za nami do Colonii, zabierając ze sobą tego handlarza, Dubnusa, którego chciałem wykorzystać jako przewodnika wśród Brukterów. Miał się pojawić, kiedy zdoła już przekonać swojego legata, żeby pozwolił grupie żołnierzy przekroczyć ze mną rzekę. Spodziewaliśmy się, że zorganizowanie eskorty zajmie mu nieco czasu. Dlatego byłem kompletnie zaskoczony, kiedy wpadł do nas już pierwszego wieczoru.

- Co się stało? Wioślarze musieli machać wiosłami w podwójnym tempie, skoro tak szybko się tu znalazłeś! Trybunie, nie znoszę niespodzianek. Rzadko bowiem oznaczają dobre wieści.

Justyn wyglądał na zmieszanego.

- Przyszedł list do Heleny. Pomyślałem, że trzeba go jak najszybciej dostarczyć - powiedział, wyciągając rękę. Oboje z Heleną rozpoznaliśmy pałacowy pergamin i pieczęć. Justyn najwyraźniej spodziewał się, że jego siostra złamie pospiesznie wosk, tymczasem ona z posępną miną trzymała zwój na kolanie. Ja chyba miałem podobny wyraz twarzy. - Wywołał on spore poruszenie w forcie - zaprotestował jej braciszek, kiedy zobaczył, że ignoruje pismo.

- Naprawdę? - spytała Helena, nadając swojemu głosowi ten znany mi ton lodowatej pogardy. - Ja zazwyczaj trzymam swoją prywatną korespondencję dla siebie.

- To od Tytusa!

- Przecież widzę.

Odsłaniała swoje uparte oblicze.

- Helena udzielała mu pewnych rad w związku z jego sędziwą ciotką - powiedziałem, chcąc załagodzić atmosferę.

Rzuciła mi spojrzenie zdolne obedrzeć ze skóry łasicę.

- Aaa... - zawahał się Justyn, wyczuwając, że coś wisi w powietrzu. Miał dość taktu, by uwierzyć w mój gorzki dowcip. - Lepiej już sobie pójdę, Marku Dydiuszu. Muszę wziąć kąpiel. Porozmawiamy innym razem. Zatrzymałem się w forcie floty Renu.

- Udało ci się załatwić dla mnie eskortę?

- Przyznano ci centuriona i dwudziestu żołnierzy. Obawiam się, że raczej niezbyt doświadczonych, ale tyle tylko mogłem zdziałać. Powiedziałem swojemu legatowi, że jesteś w oficjalnej podróży, prawdę mówiąc, chciałem, żeby się z tobą spotkał, ale skoro ty działasz pod przykrywką, dla Pałacu, on woli trzymać się z dala i pozwolić ci robić swoje.

Sam wolałbym trzymać się z dala od swojej misji.

- Staroświecki, he?

- Obecnie nie zachęca się nikogo do wypraw na wschodni brzeg rzeki - powiedział, rozumiejąc przez to, że Rzym ma dość kłopotów na terenach, które już trzyma we władaniu, i niepotrzebne mu niepokoje wśród wschodnich plemion.

- To mi odpowiada. Nie znoszę formalności. Podziękuj mu. Jestem wdzięczny za każde poparcie. Przywiozłeś też tego handlarza?

- Tak. Ostrzegam cię jednak, gość protestuje, nie szczędząc słów.

- Nie przejmuj się. Przejechałem przez Galię w towarzystwie trajkoczącego fryzjera. Po takim doświadczeniu dam już sobie radę ze wszystkim.

Justyn cmoknął siostrę i się ulotnił.

Siedzieliśmy w milczeniu. Uważałem, że w tych okolicznościach kolej na nią, żeby się odezwać. Helena jednak w zasadzie nie zwracała uwagi na to, co ja uważam.

- Też bym cię pocałował, ale wydaje się to niestosowne, kiedy trzymasz na podołku list od syna cesarza - szepnąłem po chwili. Nie zareagowała. Chciałem, żeby zerwała się i spaliła pergamin. - Heleno, lepiej będzie, jeśli otworzysz ten dokument - oświadczyłem spokojnie. Jej odmowa tylko zwiększyłaby napięcie, wobec czego powoli przełamała pieczęć. - Mam wyjść, kiedy będziesz czytała?

- Nie.

Umiała szybko czytać. Poza tym jak na list miłosny był niedorzecznie krótki. Skończyła i z kamienną twarzą zwinęła go mocno i zacisnęła w dłoni.

- Szybko ci to poszło.

- Bo jest zwięzły jak zamówienie na nowe buty - zauważyła.

- Wiadomo, że nie jest najlepszym publicznym mówcą, ale mężczyzna na jego stanowisku powinien umieć poinstruować piszącego na zamówienie poetę, jak

ma naskrobać kilka heksametrów z pozdrowieniami dla damy... ja umiałbym.

- Ty - szepnęła Helena tak cicho, że aż podskoczyłem - napisałbyś te heksametry własnoręcznie.

- Dla ciebie tak.

Siedziała zamyślona i nieruchoma. Nic nie mogłem zrobić.

- Zajęłoby mi to kilka tysięcy wersów - szczebiotałem dalej żałośnie. - Musiałabyś czekać miesiąc albo dwa, aż bym je stosownie wygładził. Gdybym to ja prosił cię, żebyś wróciła do domu, do mnie, chciałbym powiedzieć ci wszystko... - zamilkłem.

Gdyby Tytus zaoferował jej cesarstwo, Helena Justyna musiałaby się zastanowić. Była dziewczęciem ostrożnym.

Starałem się przekonać sam siebie, że cokolwiek Tytus miał do powiedzenia, było to jak dotąd nieoficjalne. Jeśli przedstawiał poważną propozycję, to ich ojcowie muszą prowadzić ze sobą negocjacje. Nawet wśród cesarzy - szczególnie wśród cesarzy - sprawy trzeba załatwiać należycie.

- Nie przejmuj się. - Helena podniosła na mnie wzrok. Zawsze wyglądało to tak samo. Kiedy tylko miałem powód, żeby się o nią martwić, ona usiłowała to stłumić, martwiąc się o mnie. - Nic się nie wydarzy, obiecuję.

- Czy wielki człowiek zadał to pytanie?

- Marku, jak tylko odpowiem...

- Nie - powiedziałem.

- Co nie?

- Nie odpowiadaj jeszcze.

Przynajmniej gdyby mnie spotkało jakieś nieszczęście, on by się nią zaopiekował. Nigdy by jej niczego nie brakowało. A cesarstwo ogromnie by na tym zyskało. Cezar panujący wspólnie z Heleną Justyną dokonaby czynów z niczym nieporównywalnych. Tytus to wiedział. Ja też.

Powinienem dać jej wolność. Niektórzy powiedzieliby, że kiedy już wejdę na teren znany jako *Germania Libera*, moim prawdziwym obowiązkiem będzie rozplątać się w jej lasach na zawsze. W tych dziwacznych chwilach, kiedy zależało mi na dobru Rzymu, nawet sam tak uważałem.

Zachowywała się dziwnie. Zamiast zażądać, bym jej wyjaśnił, co mam na myśli, usiadła obok, biorąc mnie za rękę. Jej oczy wypełniły się łzami, a była zbyt dumna, by otwarcie płakać.

Oczywiście wiedziała. Chciałem mieć ją dla siebie.

Nawet gdybym przeprowadził się przez Styks w Hadesie, spierałbym się z przewoźnikiem i starał umknąć z łodzi, żeby wrócić do Heleny. Ale teraz pragnąłem jedynie jej dobra w przyszłości, na wypadek gdyby mnie zabrakło.

Resztę też znała. Przejście na drugą stronę rzeki było bezsensownie niebezpieczne. Miałem przeciwko sobie historię. Wolne plemiona były nieprzejednanymi wrogami wszystkiego, co rzymskie. Już w Brytanii

dowiedziałem się jak Celtowie traktują swoich nieprzyjaciół. Gdyby mnie pojмали, nie przejmowałiby się żadną moją dyplomatyczną nietykalnością. Moja czaszka zawisłaby przyszpilona włócznią we wnęce na zewnątrz świątyni. To, co by się przydarzyło reszcie mojego ciała, zanim odcieliby mi głowę, byłoby o wiele bardziej poniżające i bolesne, niż potrafiłem sobie wyobrazić. Nie spytałem, ile z tego wszystkiego może wiedzieć Helena, ale przecież była świetnie odczytana.

Kiedy zakochałem się w Helenie Justynie, przysiągłem sobie, że już nigdy nie narażę się na poważne niebezpieczeństwa. W przeszłości przeżyłem sporo groźnych przygód i o większości z nich nigdy bym jej nawet nie wspomniał. Jednak człowiek dojrzewa i stwierdza, że ważne są inne sprawy. Na pewno domyślała się, jaką okropną mam za sobą przeszłość, ale wierzyła, że jeśli ją kocham, to lata szaleństwa zostawię za sobą. Nikt nie mógł jej za to winić; przecież takie było również moje założenie.

Teraz wyglądałem na jednego z tych wariatów uzależnionych od niebezpieczeństwa. Przyszłość Heleny wyglądała równie różowo, jakby się przykuła do pijaka czy rozpustnika. Zapewne sądziła, że odmieni mój sposób życia, przekonała się jednak, że nie ma na to szans... A przecież wiedziałem, że się zmienię. Była to ta ostatnia próba uzyskania przyzwoitej nagrody od cesarza, żeby móc mieć Helenę na stałe.

Jeden ostatni rzut... podejrzewam, że wszyscy szaleńcy sobie to mówią.

- Rozchmurz się - powiedziała. Nagle odzyskała energię. - Chodź, Marku. Podarujmy Klaudii Sakracie kolejny skandal do jej kolekcji. Czy nie miałbyś ochoty przedstawić swojej ulubionej senatorskiej córki damie serca rzymskiego dowódcy?

38

Na kołku w przedpokoju wisiał szkarłatny płaszcz. Wymieniliśmy z Heleną spojrzenia, powstrzymując chichot. Wyszła do nas pani domu. Tego wieczoru miała przekrzywiony wianek na głowie i suknię w odcieniach nasion melona i skórki winogronowej. Gruba warstwa proszku antymonu na powiekach dodawała blasku spojrzeniu, co, jak sądzą kobiety, mężczyźni biorą za młodzieńczość (wielu rzeczywiście się na to nabiera). Za nią rozbrzmiewały dźwięki fletni Pana, ucięte raptownie zamknięciem drzwi przez kogoś z drugiej strony. Klaudia poprowadziła nas do innego pokoju i zostawiła na chwilę.

- Chyba zaskoczyliśmy jakiegoś wyższego dowódcę z rozpiętymi zapinkami pancerza - szepnęła Helena.

- Wykorzystuj maksymalnie sytuację. Pewnie nie zabawimy tu dłużej.

- Dokąd ona poszła? Czy chce mu dać do poczytania jakąś grecką opowieść, podczas kiedy zajmie się nami?

- Możliwe, że on wymyka się przez ogrodową furtkę z jednym tylko nagolennikiem... Czy mówiłem ci kiedyś, że za każdym razem, kiedy mój

przyjaciel Petroniusz robi nalot na burdel, w skrzyni na koce znajduje edyla, który wydaje tym przybytkom licencje? Ci wielcy zarozumialcy są niepoprawni.

- Domyślam się - oświadczyła Helena - że to napięcia związane z pełnieniem obowiązków wymagają takiej terapii.

Była kiedyś żoną edyla. Miałem nadzieję, że cały swój wolny czas spędzał w skrzyniach na koce, a nie z nią.

Wreszcie pojawiła się Klaudia Sakrata.

- Przeprowadziłem kogoś, kto marzył o tym, żeby cię poznać... - Przedstawiłem swoją arystokratyczną towarzyszkę. Niezależnie od tego, jak wysokich rangą mężczyzn podejmowała Klaudia, musiał to być pierwszy i zapewne ostatni raz, kiedy w jej domu gościła senatorska córka. Dla takiego trofeum pozwoliłaby, byśmy przeszkodzili nawet jej ulubionemu dowódcy.

Helena ubrała się starannie, świadoma, że jej biała, obszyta frędzlami szata zdobiona maleńkimi gałązkami obsypanymi pączkami kwiatów, jasna barwa policzków, kręgi kolczyków z drobnymi perełkami i bursztynowy naszyjnik, który jej podarowałem, na następne dziesięć lat staną się krzykiem mody wśród kobiet z plemienia Ubiów.

- Jaka śliczna dziewczyna, Marku Dydiuszu! - zawołała Klaudia, w myślach czyniąc notatki dotyczące mody.

Helena uśmiechnęła się wdzięcznie. Ten uśmiech też zostanie zapamiętany i pojawi się w dziesiątkach sal jadalnych Colonii.

- Cieszę się, że ją aprobujesz - powiedziałem. Tą gładką ripostą zarobiłem kopniaka obszytym paciorkami pantofelkiem siedzącej obok mnie ślicznotki. - Ma swoją bardziej szaloną stronę, ale powoli ją poskrwiam... Nie sądz rzymskich manier podług jej porywczego zachowania. Tam wszystkie dziewczęta to mamroczące pod nosem niewiniątka, które muszą prosić matki o pozwolenie w każdej sprawie.

- Masz tutaj pełne ręce roboty! - zwróciła się z wyrozumiałością Klaudia do szlachetnej pani, obrzucając mnie znaczącym spojrzeniem.

- Wszyscy popełniamy błędy - przyznała Helena.

Obie przyjrzały się obiektowi swojego szyderstwa.

Wybierając się z Heleną w odwiedziny, ja też ubrałem się starannie: tunika, pas, buty, futrówka w butach, płaszcz, zuchwały uśmieszek - to samo obskurne wyposażenie co zawsze.

Nasza gospodyni bez wątpienia zastanawiała się, jak taka elegancka kobieta jak Helena mogła tak nisko upaść. Każdy widział, jak jest wytworna (typowa kandydatka na skompromitowanie się w jakimś portyku), a zarazem wyjątkowo rozsądna (i stąd raczej gotowa posłać mnie kopniakiem pod najbliższy łuk zwycięstwa).

- Czy jesteś mężatką, Heleno? - dopytywała się Klaudia. Przez myśl jej nie

przeszło, że mogłaby być moją żoną.

- Byłam.

- Czy wolno mi zapytać...?

- Rozwiedliśmy się. To popularna rozrywka w Rzymie - oświadczyła Helena lekkim tonem. Potem rozmyśliła się i dodała szczerze: - Mój mąż nie żyje.

- Ojej. Co się stało?

- Nigdy nie poznałam wszystkich szczegółów. Marek je zna.

Byłam wściekły za to przesłuchanie. Helena zniosła je ze spokojem i dumą, w charakterystycznym dla siebie stylu prezentowanym publicznie, bo prywatnie ten temat zawsze wprowadzał ją z równowagi.

- Chodziło o skandal polityczny - powiedziałem lodowatym głosem. - Popełnił samobójstwo.

Mój ton świadczył dobitnie, że chcę, by porzucono ten temat. Oczywiście Klaudii rozbłysły fascynacją, jakby zamierzała mnie zapytać: „Miecz czy trucizna?”, ale zwróciła się do Heleny.

- W każdym razie on się tobą opiekuje - stwierdziła. Helena uniosła brwi, zarysowane w eleganckie półksiężyce i niemal na pewno podmalowane, choć bardzo delikatnie. - Bo zamierza - szepnęła Klaudia Sakrata - przyszpilić mnie do sufitu, jeśli będę dalej wypytywać.

Helena zademonstrowała, w jaki sposób dobrze wychowana kobieta ignoruje rzeczy nieprzyjemne.

- Klaudio Sakrato, rozumiem, że jesteś filarem społeczności Ubiów? Marek Dydiusz mówi, że także jedyną nadzieją na odszukanie Cywilisa.

- Niestety, moja droga, nie mogłam mu pomóc - powiedziała ze smutkiem. Teraz, w obecności Heleny, najwyraźniej tego żałowała. Chciała, by ją postrzegano jako publicznego dobroczyńcę. - Jedyną osobą, która mogłaby coś wiedzieć, był syn jego siostry, Juliusz Brygantyk. Nie znosił wuja i pozostał lojalny wobec Rzymu, niemniej ze względu na rodzinne powiązania zawsze wiedział, gdzie Cywilis się podziewa.

- Czy Falko może się z nim skontaktować?

- Zginął, podczas kampanii Cerialisa na północy.

- A reszta rodziny? - nie rezygnowała Helena.

Klaudia Sakrata najwyraźniej poczuła do niej sympatię.

Zasypała ją szczegółami, których mnie odmówiła.

- Och, Cywilis miał całą masę krewnych... żonę, kilka siostr, córkę, syna, całą gromadę siostrzeńców... - szczebiotała. Pomyślałem sobie, że ten Cywilis to całkiem miły gość. Ta batawska rodzina wydawała się tak samo okropna jak moja: za dużo kobiet i mężczyźni rzucający się sobie do gardeł. - Nie zechcą rozmawiać - ciągnęła Klaudia. To też przypominało moich krewniaków. - Większość z nich była gorliwymi zwolennikami wolnego imperium galijskiego. Prawdę mówiąc, Cywilis często trzymał w pobliżu żonę i siostry, a dowódcy

swoje rodziny tuż za linią walk... tak jak robili to wojownicy w dawnych czasach.

- Żeby szykowały przekąski? - zapytałem dla żartu.

- Żeby dodawały im ducha w walce, mój drogi.

- I pilnowały dyscypliny! - dorzuciła ostro Helena. Wyobraziłem ją sobie, jak z wozu na tyłach armii ciska gromy, które sieją popłoch wśród nieprzyjaciół i zagrzewają do boju własnych nieudolnych żołnierzy.

- Czy kiedy nie są celem dla włóczni, Klaudio, to nie mieszkają przypadkiem w tych stronach?

- Mieszkali. Cywilis i inni przywódcy spotykali się nawet w swoich domach, żeby spiskować. To było dawno, kiedy Kolonia nie chciała mieć nic wspólnego z rebelią. Teraz nikt z jego klanu tu się nie pokazuje. Zbyt wiele jest gorczy. Cywilis spowodował, że Ubiowie zostali najechani przez sąsiednie plemiona. Jego przyjaciele Trewerowie obiegli Colonie. I wiadomo, że on sam bardzo chciał zdobyć i splądrować miasto.

- Więc dokąd mógł się wybrać? - zastanawiała się Helena. - Jeśli chciałby się ukryć na tym terenie, który tak dobrze zna, ale jednocześnie unikać Ubiów, którzy natychmiast wydaliby go Rzymowi?

- Nie wiem... może wśród Lingonów, a co bardziej prawdopodobne, Trewerów. Przywódca szczepu Lingonów... - Klaudia niespodziewanie zachichotała. - To zabawna historia. Nazywa się Juliusz Sabinus i był wielkim samochwałą, choć nie miał do tego żadnych podstaw. Utrzymywał na przykład, że jego prababka była pięknoscią, która uwiodła Juliusza Cezara.

- Nie ma się czym chełpić! - mruknąłem.

- Słucham, mój drogi?

- To było łatwe.

- Och, Marku Dydiuszu! W każdym razie, Heleno, Sabinus miał mnóstwo roszczeń, ale ledwie pojawił się Cerialis, wpadł w pułapkę. Podpalił własny dom, żeby upozorować samobójstwo, a sam się cichaczem wymknął. Teraz ukrywa go jego małżonka, Eponnina. Wszyscy o tym wiedzą, ale nic nie mówimy. Jesteśmy przekonani, że wcześniej czy później wyczołga się z ukrycia z czerwoną twarzą i ze słomą w spodniach. Niemniej z tego, jak sprawy się mają, wynika, że może tam gromadzić sadło latami - mówiła. Była to niezła historyjka... i dała mi pewne pojęcie o niepokojach, jakie dręczą tę moją zwierzynę łowną, Cywilisa. - W każdym razie, moi drodzy - dodała Klaudia - Cywilis nie będzie się zadawał z takim tchórzem. Już prędzej skorzysta z gościny Klassykusa.

- A któż to taki? - zdziwiła się Helena.

- Przywódca Trewerów. Ten, który doprowadził do tego, że Kolonia przyłączyła się na krótko do buntowników. Ukarał śmiercią kilku rzymskich trybunów w Mogontiakum za odmowę podporządkowania się germańskiemu

sojuszowi.

- Młodych ludzi, których znałaś?

- Jednego czy dwóch - powiedziała obojętnym tonem, możliwe jednak, że wcale jej to nie było obojętne. Dzisiejszego wieczoru wyglądała na starszą i znużoną wesołością.

- Wybacz... przerwałem ci - powiedziałem.

- Cóż, wspomniałam Klasykusa. Kiedy Trewerowie zostali pokonani, ich przywódca wrócił do domu i zachowywał się, jak gdyby nic się nie stało. Wycofał się z życia publicznego. Rzymianie zostawili go w spokoju.

- Obiecaliśmy, że nie będzie odwetu - potwierdziłem. - Wiemy, że jest w swojej posiadłości. Jeden niewłaściwy krok i zostanie wyjęty spod prawa. Zaryzykowałyby to wszystko, ukrywając Cywilisa?

- Nie otwarcie. Mógłby jednak dostarczyć mu schronienia w sposób dyskretny. Tak - doszła do wniosku Klaudia, przekonując samą siebie. - Augusta Treverorum to dla ciebie najlepszy teren łowiecki, Marku Dydiuszu.

Może i prawda, ale teraz, kiedy nastawiłem się na dotarcie do Weledy, zupełnie dla mnie bezużyteczny. Stolica Trewerów leżała przeszło sto mil na południowy zachód - w głębi prowincji Belgika - podczas gdy mój szlak wiódł na północ i wschód. Nawet Wetera, skąd zamierzałem rozpocząć poszukiwania, leżała bliżej. Jeśli Cywilis przyczał się w Augusta Treverorum, to będzie musiał jeszcze trochę na mnie poczekać.

Wyciągnęliśmy od niej jeszcze parę drobiazgów, ale wyglądało na to, że jej zasób informacji zaczyna się wyczerpywać.

- To miło z twojej strony, że zechciałaś nas przyjąć, ale musimy się już zbierać. Doświadczenie mi mówi, że włosy mojej towarzyszki za chwilę zaczną się prostować... - zażartowałem. Ta nowa służąca ufryzowała jej włosy za pomocą rozgrzanego żelaznego pręta, tak że twarz Heleny okalał krąg loczków. Woń przypalenizny, która dochodziła do mnie podczas trwania tego zabiegu, była dość niepokojąca.

- Tak - zgodziła się potulnie Helena. - Lepiej, żeby do tego nie doszło.

- Zatem dokąd teraz, Marku Dydiuszu? - zapytała Klaudia, kiedy się podnosiliśmy.

- Nie ma rady, trzeba się wyprawić na wschodni brzeg.

- Tak, Germania... tamtejszych wojowników zawsze uważano za najbardziej zaciętych na świecie - oświadczyła Helena.

Uśmiechnąłem się łagodnie.

- Sądzę, że mają też jakieś uczucia.

- A kobiety są jeszcze gorsze - odparowała.

- Przywykłem do groźnych kobiet, skarbie. Helena zwróciła się do Klaudii.

- Czy Weleda jest młoda czy stara?

- Dość młoda.

- Piękna?

- Mężczyźni zapewne tak uważają - rzuciła przyjaciółka legatów i dowódców, jakby chciała powiedzieć, że uroda to nie wszystko.

Odprowadziła nas. Dostrzegłem błysk w jej oku, kiedy zobaczyła, że moja towarzyszka podróżuje w lektyce z cedrowego drewna. Robiła wiele szumu przy umieszczaniu w niej Heleny, artystycznym układaniu jedwabnej stoli i zapalaniu świeczką naszych latarni, żeby sąsiedzi mogli podziwiać efekt jej zabiegów. Na koniec poklepała Helenę po ramieniu.

- Nie przejmuj się Weledą. Przewyższasz ją pod każdym względem.

- Ale mnie tam nie będzie! - oświadczyła ze smutkiem Helena Justyna.

39

Kiedy zbliżaliśmy się do naszej gospody, w mroku zobaczyliśmy umykające dwie małe postaci. Dzieci musiały czekać na nasz powrót, straciły jednak odwagę i umknęły. Zawołałem za nimi ze złością, ale mnie zlekceważyły.

Justyn zdążył już wrócić. Bardzo był ciekaw treści listu od Tytusa. A Helena nie miała najmniejszego zamiaru o tym mówić. Potem jej brat oświadczył, że zgłosił się na ochotnika, by towarzyszyć mi aż do Wetery. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie szykuje się na całą tę wyprawę, ale ani on, ani ja nie poruszyliśmy tego tematu przy Helenie. Wzięła mnie na bok i przykazała mi go chronić, po czym odciągnęła brata i zażądała, by troszczył się o mnie.

Wróciły dziewczynki.

- Słuchajcie, wy dwie, chcę być dobrze zrozumiany: kobiety z mojego otoczenia nie opuszczają domu po zmroku! - zagrziałem.

Jak zwykle zareagowały wybuchem śmiechu i szybko zapomniały, co im przykazano.

Wdowa, milcząca kobieta Ubiów, wyglądała na osobę sensowną i próbowała posłać te dwie do łóżka. Augustynilla zaczęła pochlipywać. Arminia tak samo zmęczona jak ona, patrzyła ze zdumieniem na przyjaciółkę, jakby nie mogło jej się pomieścić w głowie, że można być tak niegrzeczną. Zdusiłem irytację, kiedy Helena powiedziała do mnie:

- Marku, nie masz co krzyczeć. To tylko zmęczone dziecko, wyrwane z własnego domu i rzucone między obcych. Boli ją ząb i jej lalka się rozpadła - tłumaczyła.

Moja siostrzenica miała rzeczywiście zaczerwieniony i spuchnięty policzek, a lalce, którą zawsze do siebie tuliła, brakowało ręki.

Nie chciałem wiedzieć nic więcej, bo już raczej wyrwałbym sobie ząb niż jakiemuś dziecku. Na szczęście Augustynilla odmówiła otwarcia ust i nie mogłem zajrzeć jej do buzi.

- Przynajmniej uniknę ugryzienia! No dobrze. Urządźmy lalce pogrzeb i spalmy ze wszelkimi szykanami!

- Zamknij się, Marku. Augustynillo, wujek Marek ją naprawi. Daj mu tę resztę, bo inaczej nie będzie mógł tego zrobić.

- On nie potrafi jej naprawić, on jest do niczego...

Jęknąłem cicho. Nie jestem kompletnie bez serca.

Współczułem przynajmniej tej lalce. Zdążyłem już jednak dostrzec, że jej kończyny z terakoty zwisają smętnie na takich przegubach, które się bardzo ciężko naprawia.

- Spróbuję... ale nie nazywajcie mnie mordercą, jeśli rozleci się na kawałki. A jeśli ktoś powie „Masz złote serce, Marku”, natychmiast się stąd wyniosę.

- Myślałam, że tak czy owak się wynosisz! - mruknęła ze złością Helena.

- Nie, moje dziewczę. Jeszcze nie podpisano pozwolenia.

Naprawa lalki zajęła półtorej godziny. Nie przesadzam.

Justyn porzucił już wszelkie nadzieje na kulturalną konwersację, nie mówiąc o kolacji. Odszedł, mrużąc pod nosem. Dzieci siedziały owinięte kocami i nie spuszczały ze mnie wzroku. Helena i pokojówka razem coś przekąsiły i zachowywały milczenie, zupełnie jakbym był pracownikiem, który bez najmniejszego powodu może wybuchnąć złością i cisnąć robotę w kąt. Widziałem, jak jadły kiełbasę, ale musiałem obejść się smakiem, żeby nie potłuścić sobie rąk. Jak to bywa, główka przegubu nagle wskoczyła w panewkę, wszyscy wymienili spojrzenia, jakby się zastanawiali, po co było to całe gderanie i marnowanie czasu. Moja droga siostrzenica rzuciła mi wrogie spojrzenie, porwała lalkę, przytuliła do zaczerwienionego policzka i zasnęła bez słowa podziękowania. Byłem zdenerwowany.

- Wyjdźmy - burknąłem do Heleny.

- Myślałam, że twoje kobiety mają zakaz opuszczania domu po zmroku.

- Muszę pobyć z dala od innych.

- To po co ci ja?

Musnąłem palcami jej kark.

- Ciebie potrzebuję. - Zdjąłem lampę i wyszedłem z domu, podczas gdy Helena chwyciła nasze wierzchnie okrycia i ruszyła za mną.

- Dziękuję, że to zrobiłeś - powiedziała, kiedy wzięłem ją za rękę. - Masz dość na głowie...

Odchrząknąłem.

- Nie miałyby sensu nadstawiać karku, chyba że dla świata, w którym dzieci wierzą, że magicy zawsze naprawią ich zepsute zabawki - wyrecytowałem. Zabrzmiało to banalnie i... pocieszająco. Bo nie ma sensu być bohaterem, jeśli nie można wygłaszać banałów.

- Z jej zębem jest naprawdę niedobrze, Marku. Pozwolisz, że zabiorę ją do sanktuarium uzdrowicielskiego?

Pozwoliłem, pod warunkiem że przy okazji podjęte zostaną wszelkie próby, by utopić Augustynillę w świętym źródle.

Poszliśmy nad rzekę. Udało mi się znaleźć tam ogród. Była prawie połowa października, ale czuliśmy zapach róż, choć nie widzieliśmy ich.

- Muszą tu mieć jakieś wielokrotnie zakwitające krzewy jak te róże stulistne z Paestum... - Odrzuciłem do tyłu głowę, oddychając głęboko, dopóki się nie uspokoilem. - Myślę o innym ogrodzie, Heleno. O ogrodzie nad Tybrem, gdzie kiedyś uświadomiłem sobie, że jestem beznadziejnie zakochany...

- Za dużo gadasz, Falko. - Drżała pod narzuconą cienką pallą. Przygarnąłem ją do siebie, żebyśmy oboje zmieścili się pod moim płaszczem. - Co my tu w ogóle robimy? - zapytała zrzędlawie.

- Chcesz ze mną porozmawiać.

- Owszem, chcę - zgodziła się. - Próbowałam przez cały wieczór, ale czy ty w ogóle kiedyś słuchasz?

- Przecież przyszedłem tutaj, żeby słuchać. Sama przyznaj.

Westchnęła pokonana.

- Dziękuję. - Uwolniła rękę i wyciągnęła ją w stronę wody. Rzeka była tu węższa niż pod Mogontiakum, ale wciąż na tyle szeroka, że w ciemności z trudem dawało się dostrzec drugi brzeg. Jeśli nawet były tam jakieś światła, nie widzieliśmy ich. - Popatrz, Marku. To prawie inny kontynent. Antyteza wszystkiego, co rzymskie. Ludy wędrownie. Bezimienne bóstwa w głuszy. Żadnych dróg. Fortec. Miast. Nie ma Forum, nie ma łaźni publicznych, sądów. Nie istnieje żadne zorganizowane życie i nie ma władzy, do której można by się odwołać.

- I nie ma ciebie - dodałem.

Byłem niemal pewien, że poprosi, bym został. Może ona sama miała taki zamiar. Ale nie poprosiła, za to odnalazła krzew róży i zerwała nam kwiat. W przypadku róż wymaga to trochę siły. Ale ona ją miała.

Wdychaliśmy intensywną woń kwiatu.

- Jestem tutaj, moja pani. Wciąż słucham.

Ssała bok palca, gdzie wbił jej się cień.

- Klaudia miała rację. Czuwasz nade mną. Odkąd się poznaliśmy, zawsze byłeś obecny... czy tego chciałam, czy nie. Wtedy wydawało się nawet, że mnie nie lubisz, ale ty już dokonywałeś we mnie przemiany. Zawsze byłam tą pierworodną, starszą siostrą, starszą kuzynką, pewną siebie, apodyktyczną, tą rozsądną. Wszyscy zawsze mówili: „Helena Justyna potrafi o siebie zadbać...”

Wydawało mi się, że wiem, do czego zmierza.

- Ludzie cię uwielbiają, skarbie. Rodzina, przyjaciele, moja rodzina... wszyscy troszczą się o ciebie tak samo jak ja - powiedziałem.

- Jesteś jedyną osobą, od której to chętnie przyjmuję.

- To mi chciałaś powiedzieć?

- Czasami boję się pokazywać ci, jak bardzo cię potrzebuję. Wydaje mi się, że nie mogę żądać więcej, skoro dałeś mi już tak dużo.

- Żądaj, czego tylko chcesz. - Wciąż czekałem, że mnie poprosi, bym zrezygnował z wyprawy. Mogłem czekać, ale się nie doczekałem.

- Tylko na pewno wróc - powiedziała Helena bez żadnej teatralności.

Nie było potrzeby jej odpowiadać. Z przyjemnością kazałbym cesarzowi zabrać sobie tę jego misję i przejechać się po niej triumfalnym rydwanem. Jednak Helena by tego nie zniosła.

Powiedziałem jej, że jest piękna. Powiedziałem, że ją kocham. Ponieważ miała poczucie sprawiedliwości i była dobrze wychowana, odpowiedziała mi stosownymi uwagami dotyczącymi mnie. Potem osłoniłem lampę, żeby Colonia Claudia Ara Agrippinensium (dawniej Oppidum Ubiorum) nie wiedziała, co nędzny plebejusz o statusie wodnego szczura wyprawia na jej zadbanym nabrzeżu z córką senatora.

40

Wyruszyliśmy nazajutrz. Udało mi się pozbyć Ksantusa, natomiast Justyn, który jednak powinien mieć więcej rozumu, przesznuł swojego okropnego psa na pokład. Po raz kolejny dokument podróżny od cesarza umożliwił mi transport oficjalnym statkiem floty. Odkryłem, jak bardzo starannie Justyn przygotowuje ekspedycje. Sprowadził konie, trzy skórzane namioty, broń, prowiant i skrzynię z gotówką. Tylko jakoś sił zbrojnych rozczarowywała, choć przyzwyczajony do misji w pojedynkę, nie narzekałem. Poczulem przyływ otuchy, kiedy okazało się, że centurionem nadzorującym załadunek naszego statku jest Helwecjusz.

- Jak to? - spytałem z uśmiechem. - To ty dowodzisz moją eskortą? Myślałem, że jesteś zbyt rozsądny na taką szaloną wyprawę.

Nie pierwszy raz dostrzegłem u niego krótki moment wahania, zanim pozwolił sobie na żartobliwą odpowiedź.

- Masz pecha. Bo to oznacza, że twoją eskortę stanowi dwudziestu moich koślawych żółtodziobów - powiedział.

Rzeczywiście była to zła wiadomość, a ponieważ kilku z nich kręciło się w pobliżu, musieliśmy powściągnąć języki.

- Staralem się wybrać dla ciebie najlepszych - pocieszył mnie, ale jasne było, że dostarczył mi koszyk spadów, i to z lekka spleśniałych.

- Mamy sto mil do przepłynięcia. I dużo wolnego miejsca na pokładzie. Mogę pomóc przy ćwiczeniach z bronią - zaproponowałem. Mnie samemu poprawiłoby to kondycję. - Zanim zejdziemy na ląd w Weterze, powinno nam się udać ich jako tako wyćwiczyć.

- Więc zaczynasz od Weteru? - zapytał z tym typowym u niego wahaniem.

Pomyślałem, że podejrzewa mnie o chęć zwiedzenia fortecy.

- Nie ma w tym żadnej niezdrowej ciekawości. Wyruszam po prostu z tego samego miejsca, z którego wyruszył Luperkus.

- Mądrze.

Ten lakoniczny komentarz dał mi do zrozumienia, że dotknąłem jakiejś osobistej tragedii.

Wyłynęliśmy na szerokie wody dolnego Renu. Prawy brzeg aż do dopływu Lupii należał do potężnego plemienia Tenkterów, jednego z niewielu w Europie, nie licząc Galów, które w znacznym stopniu wykorzystywało konie. Podczas rebelii ci ludzie stali twardo przy Cywilisie, zawsze gotowi przekroczyć rzekę i napastować naszych stronników... szczególnie Kolonję. Teraz znajdowali się ponownie po swojej stronie wody. Mimo to zawsze, kiedy pozwalał na to nurt rzeki, trzymaliśmy się naszego, lewego brzegu.

Za Tenkterami żyli Brukterowie. Nie wiedziałem o nich nic poza tym, że ich nienawiść do Rzymu jest legendarna.

Ponieważ zabraliśmy ze sobą handlarza Dubnusa, czasami zadawaliśmy mu pytania na temat wschodniego brzegu. Udzielał wymijających odpowiedzi, czym tylko potwierdzał nasze obawy. Dubnus kiepsko reagował na przynętę, jaką była przygoda; uważał się za zakładnika, a nie wybrańca losu, który ma być naszym zwiadowcą i tłumaczem. Wciąż narzekał. My też nie byliśmy zachwyceni, głównie nim, ale uparłem się, że trzeba go hołubić. Musiał wierzyć w naszą życzliwość, skoro mieliśmy mu zaufać jako przewodnikowi.

Całe dni spędzaliśmy na ćwiczeniach. Udawaliśmy, że robimy to dla zabicia czasu, bo tak było łatwiej. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że przygotowujemy ciała i umysły na przygodę, która może się dla nas źle skończyć.

Kamil Justyn przyznał mi się wreszcie, że ma pozwolenie dowódcy na udział w całym tym przedsięwzięciu. Nie skomentowałem tej informacji. Jego legat uważał zapewne, że młody człowiek dużo się ostatnio napracował; prawdopodobnie obaj postrzegali tę wyprawę jako nagrodę za pracowitość.

- A ja się zastanawiałem, czemu zawdzięczamy takie bajeczne zaopatrzenie! Więc to dzięki obecności twojej szacownej osoby... zakładam, że nic nie powiedziałaś Helenie?

- Nie powiedziałem. Sądysz, że się domyśliła?
- W każdym razie lepiej będzie, jak do niej napiszesz z Wetery.
- Napiszę. Bo by mi nie wybaczyła.
- Bardziej prawdopodobne, Justynie, że nie wybaczy mnie.
- Pomyśli, że mnie do tego namówiłeś?
- Na pewno. I nie będzie zachwycona, że obaj jednocześnie narażamy się na ryzyko.

- Wyglądało na to, że bardzo się o ciebie niepokoi - zauważył. - To znaczy, chodzi o odwiedzinę u tej wiedźmy w lasach. Czy ma do tego jakieś podstawy?

- Twoja siostra dobrze wie, że nie ma takiej możliwości, bym uległ Weledzie!
- zawołałem. Wydawał się zaskoczony moim wybuchem. - Znasz chyba tradycyjną metodę postępowania z niebezpieczną piękną kobietą nieprzyjaciół
- powiedziałem po chwili z westchnieniem.

- To najwyraźniej ta część wykładów ze strategii, którą musiałem przegapić - odparł Justyn, dość chłodnym tonem.

- No cóż, bierzesz ją do łóżka i dajesz taką noc, jakiej jeszcze nigdy nie przeżyła. Rano, pod wrażeniem twojego imponującego wyposażenia i niezwykłych technik, z łkaniem wszystko ci wyśpiewa.

- Twoja siostrzenica ma rację. Zmyślasz, Falkonie.

- To tylko mit.

- Zrobiłeś tak kiedyś? Oczywiście w twoim dawnym życiu - dodał, z szacunku dla Heleny.

- Ba! Większość kobiet, które znam, zawołałaby: „Spływaj, koleś, i zabierz ze sobą to nędzne wyposażenie!” - zabezpieczałem się skromnie.

- To czym się tak zamartwia moja siostra?

- Ten mit - oświadczyłem - jest bardzo głęboko zakorzeniony. Pomyśl o Kleopatrze, Sofonibe...

- Jakiej Sofonibe?

- Była córką wodza kartagińskiego Hazdrubala i ze względów politycznych została małżonką władcy Numidii zachodniej Syfaksa. Słyszę z urody - wyjaśniłem cierpliwie i znów westchnąłem. Tym razem było to westchnienie starego człowieka. - Niczego się nie nauczyłeś w szkole? Wojny punickie, synku. Słyszałeś o Scypionie?

- Na pewno nie słyszałem, żeby potężny Scypion chodził do łóżka z kartagińskimi księżniczkami!

- Rzeczywiście. Scypion był mądrym wodzem - przyznałem. I zapewne prawdziwym rzymskim świętoszkiem, dodałem w myślach.

- Więc?

- Na wszelki wypadek wolał jej nie widzieć. Wysłał do niej swojego dowódcę, Masynisę.

- Szczęściarz Masynissa!

- Był już kiedyś z nią zaręczony i teraz ją poślubił.

- A jej mąż?

- To drobny szczegół. Syfaks tkwił w niewoli rzymskiej, a Masynissa był zakochany.

Justyn roześmiał się.

- Czy zatem księżniczka została przeciągnięta na naszą stronę?

- Nie. Scypion uważał, że wrogo nastawiona do Rzymu kobieta może przeciągnąć Masynisę na tamtą stronę, więc sobie z nim porozmawiał. Masynissa zalał się łzami i posłał ukochanej żonie kielich z trucizną. Jego przesłanie brzmiało, że choć chciałby spełniać obowiązki męża, jego rzymscy przyjaciele są temu przeciwni, a on przynajmniej w ten sposób może zadbać, by jej, jako branki, nie wleczono do Rzymu.

- Rozumiem, że na szczęście dla historii przełknęła truciznę, a Masynissa

odkupił winy...

Była to reakcja chłopca.

Helena przeczytała mi kiedyś ciętą odpowiedź Sofonibe skierowaną do dopiero co poślubionego męża: „Przyjmuję Twój ślubny dar. Jest mile widziany od mężczyzny, który nic lepszego ofiarować nie może. Umierałabym jednak bardziej zadowolona, gdybym nie została poślubiona tuż przed śmiercią...”

Nazbyt subtelne, pomyślałem sobie, jak dla trybuna. Nawet takiego, który, wedle mojej okropnej siostrzenicy, ma wrażliwe spojrzenie. Jeszcze się nauczy.

Nie muszę dodawać, że Helena Justyna miała jak najlepsze mniemanie o Sofonibe.

Znaleźliśmy się na ziemiach, które były mi całkiem obce. Moja znajomość Germanii kończyła się na Colonia Agrippinensium, skąd wspaniała via Claudia Augusta biegła na zachód przez Galię do miejsca, z którego przeprawiano się do Brytanii. Dotąd ogromne fortece w Novaesium i Weterze były dla mnie tylko pustymi nazwami. Czytałem pewnie o niewielkich placówkach, takich jak Gelduba czy Asciburgium, ale trudno pamiętać wszystko. Nie licząc Brytanii, to właśnie te warownie znaczyły krańce imperium. Na północy nasze panowanie nigdy nie było pewne i Rzym sprawował tam kontrolę, negocjując szczególne warunki z zamieszkującymi mokradła Batawami. Ponowne ustanowienie placówek wojskowych i odzyskanie sojuszu z tym plemieniem, by stworzyć zaporę dla dzikich wschodnich ludów, wymagałoby nadzwyczaj sprawnej dyplomacji.

Teraz, już po idach październikowych, kiedy posuwaliśmy się na północ, pogoda raptem się odmieniła. Noce zapadały wcześniej i były wyraźnie ciemniejsze. Nawet podczas dnia to złociste światło, które zalewało krajobraz w Mogontiakum, nabrało jakiegoś ponurego kolorytu. Raz jeszcze poczułem przerażenie na myśl o odległości, jaką mieliśmy przed sobą.

Krajobraz też się powoli zmieniał. Zniknęły malownicze skały i wysepki o kojącym wyglądzie. Czasami teren był atrakcyjnie pofałdowany i być może tam zabrano legata XIV Legionu na wyprawę myśliwską... jeśli w ogóle udał się na polowanie. Wysoko nad naszymi głowami przelatywały wielkie stada migrujących gęsi i innych ptaków, nie poprawiając nam nastroju swoim pośpiechem i tęsknym krzykiem. Im bardziej podekscytowani byli rekruci, tym bardziej milczący stawał się ich centurion. Handlarz obnosił się z gniewną, nachmurzoną miną. Justyn wpadł w melancholijną zadumę, ja zaś odczuwałem zwyczajne przygnębienie.

Coraz bardziej czuliśmy bliskość innych potężnych rzek, które cięły deltę; Mozy płynącej z Galii, Waal, będącej głównym odgałęzieniem Renu, oraz tych wszystkich dopływów, z których każdy był potężniejszy od znanych nam z Italii rzek. Niebo przybrało zgaszony, szary koloryt, jaki pamiętałem znad odległych rozszalałych wód Oceanus Britannicus. Czasami widzieliśmy ptaki

morskie. Na brzegach, pośród dębów, olszyn i wierzb, pojawiła się turzyca i kwiaty bagienne. W tym czasie wzdłuż tej północnej rubieży nie biegła żadna droga wojskowa. Po naszej stronie rzeki tereny stawały się coraz bardziej opustoszałe, naznaczone śladami wojny domowej, celtyckie osady były rzadkością, a większości z nich strzegły posępne rzymskie wieże strażnicze. Po drugiej stronie rzeki nie było nic widać.

Zatrzymaliśmy się na noc w świeżo odbudowanym mieście warownym, Novaesium. Panował tam duży ruch. Następnego dnia popłynęliśmy dalej, pozostawiając ujście Lupii po prawej ręce, i wreszcie dobiliśmy do położonej na lewym brzegu Wetery.

Szczerze mówiąc, sam niechętnie schodziłem na ląd. Ale nasz centurion Helwecjusz zdecydowanie odmówił opuszczenia statku.

41

Kapitan bardzo się starał dopłynąć do Wetery przed zmrokiem, nie chciał bowiem przybić do lądu w miejscu przypadkowym, na terenie uznanym za niebezpieczny. Zdążyło się jednak ściemnić, zanim przybiliśmy do brzegu... a to nie jest dobra pora, nawet kiedy przybywa się do stałej i pewnej fortecy. Mogliśmy wszyscy pozostać na pokładzie, ale było tam ciasno i chłopcy chcieli koniecznie znaleźć się wewnątrz murów tej sławnej twierdzy.

Nie było rady. Żeby zorganizować kwatery, ktoś musiał się ruszyć ze statku. Justyn zwrócił się do centuriona, żeby posłać go na brzeg.

- Daj spokój! - rzuciłem krótko.

- Na Jowisza...

- Zostaw go, Kamilu.

Helwecjusz stał na baczność przy drugiej burcie statku i z zaciętą miną spoglądał na przeciwległy brzeg.

- Ale dlaczego on... - dziwił się trybun.

- Jestem pewien, że Helwecjusz ma swoje powody - powiedziałem. Domyślałem się ich.

Wyprowadziliśmy rekrutów, zgłosiliśmy się do budynku recepcyjnego, gdzie przydzielono nam kwatery. Wiedzieliśmy, że forteca leży w pewnej odległości od rzeki, i zdziwiliśmy się, że ulokowano nas tak blisko miejsca, gdzie przycumowaliśmy. Naszą kwaterą okazała się drewniana chata, stojąca praktycznie na samym nabrzeżu. Rekruci, którzy spodziewali się wygód typowych dla dużej bazy wojskowej, mamrotali pod nosem o tym dziwacznym rozwiązaniu i nawet Justyn miał buntowniczą minę. Kiedy złożyliśmy sprzęt, zebrałem wszystkich wokół siebie. Przyćmione i migotliwe światło świecy powodowało, że po naszych twarzach tańczyły ponure cienie; wszyscy mówiliśmy przyciszonymi głosami, jakby nawet w tej rzymskiej enklawie mógł nas podsłuchiwać nieprzyjaciel.

- Cóż, to kiepski początek... Chłopcy, wiem, że się zastanawiacie, dlaczego nie pozwolono nam pomaszerować prosto do warowni. Najwyraźniej batawscy buntownicy dokonali w niej takich spustoszeń, że trzeba ją było opuścić, żołnierze mieszkają więc w namiotach i tymczasowych barakach, szukając odpowiedniego miejsca na nowy obóz.

- Dlaczego nie możemy schronić się wewnątrz starych obwarowań?

- Rano zobaczycie, jak wygląda sytuacja. Do tego czasu użyjcie wyobraźni. Żołnierze przebywają poza fortecą, ponieważ wielka liczba Rzymian cierpiała w niej i ginęła. Weźcie przykład z tutejszych żołnierzy i traktujcie to miejsce z szacunkiem.

- Myślałem, że legiony z Weterzy dogadały się z wrogiem - odezwał się jeden.

Ci chłopcy nie wiedzą, co to szacunek. Jutrzejszy dzień to wyleczy.

- Nie, żołnierzu. - Tym razem odezwał się Justyn. Pojął błyskawicznie, co oznaczają moje słowa, i teraz wykazywał cierpliwość i skłonność do wyjaśnień.

- Legiony w Weterze broniły się w rozpaczliwej sytuacji. Część idących z odsieczą sił Wokuli rzeczywiście w pewnym momencie sprzedała swoje usługi „cesarstwu Galów”, jednak musimy pamiętać, że stąd wyglądało to tak, jakby cały świat rozdarty był na kawałki i Rzym, któremu składali przysięgę, przestał istnieć. Żołnierze byli zbici z tropu i dezorientowani.

Z początku rekruci zareagowali pogardą. Większość nie wiedziała nic o niedawnej historii, poza lokalnymi epizodami, jak taki na przykład, że żołnierze Witeliusza zabili krowę we wsi odległej stąd o trzy mile. Kiedy jednak Justyn zaczął do nich przemawiać, uspokoili się niczym słuchacze jakiejś opowieści o duchach wygłaszanej podczas Saturnaliów. Trybun był skrupulatnym wykładowcą.

- Tutaj, na północy - ciągnął - Piątemu i Piętnastemu trafiło się wszystko to, co najgorsze. Wokulę zamordowano, zanim dotarł z Mogontiakum do Weterzy. Obrońcy Weterzy poddali się jednak dopiero wówczas, kiedy Cywilis zagłodził ich prawie na śmierć. Część zabito, kiedy nieuzbrojeni opuszczali warownię. Niektórzy zawrócili i tam zginęli, kiedy rozwścieczony Cywilis puścił wszystko z dymem. Cokolwiek ci ludzie zrobili, ciężko za to zapłacili. Cesarz postanowił im to zapomnieć, więc niby kim my jesteśmy, by się z nim nie zgodzić? Posłuchajcie Dydiusza Falkona. Żaden z nas nie może osądzać tych legionów, które tutaj były, chyba że jesteśmy absolutnie pewni tego, co sami byśmy na ich miejscu zrobili.

Rekruci nie byli zbyt rozgarnięci, ale lubili, kiedy traktowano ich poważnie. Uspokoili się, choć wciąż nie byli zafascynowani sytuacją.

- Trybunie, dlaczego Helwecjusz nie chciał zejść na brzeg? - spytał jeden z nich.

Justyn zerknął na mnie, oczekując pomocy.

- Będziecie musieli zapytać jego - powiedziałem spokojnie.

Domyślałem się, że centurion był już kiedyś w Weterze. Doszedłem do wniosku, że służył w jednym z czterech okrytych hańbą germańskich legionów, które Wespazjan przeniósł gdzie indziej. Jeśli się nie myliłem, musi być jednym z tych nielicznych z obu legionów, którym udało się ujść z życiem.

Gdybym o tym wcześniej wiedział, zakwestionowałbym jego motyw dołączenia do mojej ekspedycji. Mieliśmy ze sobą człowieka, którego psychiczne blizny mogą okazać się niebezpieczne. Była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałem. Mając jednakże eskortę złożoną jedynie z dwudziestu żołnierzy i Kamila Justyna pod opieką, nie mogłem nic zdziałać. Gdybym pozbył się kogokolwiek z naszej grupy, nie miałbym go kim zastąpić. A może nam się przydać każda para rąk.

Zatrzymałem więc centuriona. W końcu byłem z tego zadowolony. Zgłosił się na ochotnika. I nawet gdyby wiedział, co się wydarzy, wierzę, że i tak by się ze mną wybrał.

42

Następnego dnia wyładowaliśmy konie i pojechaliśmy, by obowiązkowo rzucić okiem na Weterę. Ogromny, podwójny obóz warowny ział pustką, potwierdzając wszystkie najgorsze raporty. Patrzyliśmy na maszyny oblężnicze, do których zbudowania Cywilis zmusił jeńców. Ich przewrócone platformy roztrzaskali obrońcy, ciskając kamieniami. Wielki chwytak do porywania i zrzucania nieprzyjaciół z pomostów został wymyślony przez kogoś z obrońców. Widzieliśmy ściany wałów wydrążone od wewnętrznej strony w poszukiwaniu nadających się do zjedzenia korzonków. Spustoszenia dokonane przez ogień. Sterczące pociski. Zawalone wieże.

Warownię niszczone atakami przez długi czas, aż wreszcie podpalono. Odbudowana przez Cywilisa, została ponownie zburzona przez Petyliusza Cerialisa. Od roku na tym terenie nie było już żadnych ciał, a mimo to unosił się tu wilgotny odór tragedii.

Postawiliśmy niewielki ołtarz. Justyn uniósł ręce i modlił się głośno za tych, którzy tu zginęli. Przypuszczam, że niejeden dodał też kilka słów od siebie w intencji naszej grupy.

Wracając, oczyszczeni, natknęliśmy się na Helwecjusza, który zszedł tymczasem na brzeg, choć zauważyłem, że odwracał wzrok od drogi prowadzącej w głąb lądu. Rozmawiał z jednym ze stacjonujących tutaj żołnierzy. Wbrew pogłoskom powtarzanym na południu tutaj wszyscy uważali, że Cywilis przebywa na swoim terenie, gdzieś na Wyspie.

Omówiliśmy ten problem: Justyn, Helwecjusz i ja.

- To może być stara śpiewka pod tytułem „On jest na naszym podwórku” - oświadczyłem. - No wiecie, przekonywanie samych siebie, że złoczyńca ukrywa się w okolicy, bo chcą przypisać sobie zasługę za jego schwytanie. Mam przyjaciela, który jest dowódcą patrolu straży w Rzymie. On mówi, że w

chwili, kiedy usłyszy „Zauważono poszukiwanego kawałek dalej przy tej ulicy”, rusza na poszukiwanie w drugi koniec miasta - powiedziałem. Często myślałem o Petroniuszu Longusie. Brakowało mi starego łotra. Rzymu też.

- Kłopot w tym, że jeśli wyruszymy na wschód pomiędzy Brukterów, porzucając ten ślad, to nie zechcemy już potem ruszyć na północ - zauważył Justyn. - Wiecie, co będzie, jeśli rzeczywiście uda nam się doprowadzić do spotkania z Weledą? Jeśli przeżyjemy, odczujemy ulgę i popłyniemy z powrotem Lupią, myśląc wyłącznie o tym, by wrócić jak najszybciej do domu.

Ja już chcę wracać do domu, pomyślałem.

- Co o tym sądzisz, Helwecjuszu? - zapytałem.

- Nie znoszę Wyspy, ale zgadzam się z trybunem... albo teraz, albo nigdy. Teraz możemy to jeszcze jakoś wpleść w naszą trasę. Później byłaby to długa droga okrężna.

- Skąd tak dobrze znasz teren? - spytałem obojętnym tonem.

- Przecież wiesz.

Justyn i ja unikaliśmy swojego wzroku.

- Piąty?

- Piętnasty - odpowiedział. Jego twarz pozostała bez wyrazu. V Legionowi udało się częściowo ocalić reputację, natomiast żołnierze XV bezsprzecznie złamali przysięgę.

Justyn zadał pytanie, jak zwykle, spokojnie i uprzejmie:

- Zatem co ci się przydarzyło?

- Zostałem ranny. Wywieziono mnie w czasie tego krótkiego okresu spokoju, jaki nastąpił po wyruszeniu Wokuli z odsieczą. Przebywałem w lazarecie w Novaesium do czasu, kiedy i tę warownię zaatakowano. Skończyłem na noszach, w prowizorycznym lazarecie, na pokładzie barki w Geldubie. Byłem tam w czasie ostatniego ataku Cywilisa na Weterę... i potem - skończył. Rezultat był oczywisty i zrozumiały. Ocalały czuł się winny, że większość jego towarzyszy nie żyje. Czuł się nawet częściowo winny, że nie złożył przysięgi wierności „cesarstwu Galów” i nie pogrzebał honoru razem z innymi. - Czy jestem zawieszony? - zapytał po chwili.

- Nie - oświadczył Justyn. - Jesteś teraz w Pierwszym *Adiutrix*.

- Potrzebujemy cię - dodałem. - Szczególnie że znasz te tereny.

- Nawet więcej.

- To znaczy?

- Byłem tam, na wschodzie.

To mnie zaskoczyło.

- Opowiedz nam o tym, centurionie.

- Stacjonowałem w tej dziurze przez cztery lata, Falkonie. Każdemu potrzebne było jakieś zajęcie, zawsze była to tylko beznadziejna placówka na pustkowiu. Nigdy nie pasjonowałem się hazardem ani udziałem w rozrywkach

rozpustników. Zainteresowałem się natomiast dawną tajemnicą związaną z Warusem. Przeczytałem, co było do przeczytania. Zacząłem wykorzystywać urlopy, żeby przemknąć na drugą stronę... oczywiście nielegalnie, ale wtedy było tam wszędzie spokojniej. Byłem zafascynowany polem bitwy, fascynowała mnie możliwość odnalezienia tego miejsca.

Więc o to chodziło w jego historyjce o zabieraniu trybunów na wyprawy myśliwskie. Żołnierze lubią zapominać o własnych kłopotach, ożywiając inne minione wojny. Zawsze chcą wiedzieć, co przydarzyło się ich poprzednikom. Czy to była przebiegłość nieprzyjaciela, czy kolejny przykład głupoty dowódców?

- Znalazłeś to miejsce? - spytałem.

- Byłem pewien, że jestem już blisko. Bardzo pewien.

Nigdy nie przepadałem za gośćmi z obsesjami.

- Dubnus wie, gdzie to jest - powiedziałem niegodziwie. Helwecjusz aż gwizdnął ze złości. - Nieważne - dodałem z uśmiechem. - Tę tajemnicę możemy pozostawić przesławnemu Germanikowi. Niech sobie tam spoczywają, człowieku. To była katastrofa dla naszych dziadów. Wespazjan dał nam dość do roboty i jak na razie nie planuję wizyty w Lesie Teutoburskim - oznajmiłem.

Teraz, kiedy już sobie pogadaliśmy, nie wyglądał tak nieszczęśliwie.

Potem dałem się przekonać do przeszukania Wyspy. Ledwo wyruszyliśmy, wiedziałem, że to strata czasu.

Wiedziałem też, że skoro już wybraliśmy się na północ, to okryty ponurą sławą Las Teutoburski okaże się rozsądną trasą prowadzącą w ostępy Brukterów.

Podróżowaliśmy konno. Okazało się to wstrząsającym przeżyciem dla rekrutów. Jeden Jowisz wie, do czego według nich potrzebowaliśmy tych trzydziestu wierzchowców. Normalnie legionieści maszerują, jednakże odległości, jakie mieliśmy do pokonania, były zbyt duże na pieszą wędrówkę. Poza tym nasi chłopcy nie mieli jeszcze doświadczenia w całodziennych marszach. Prawdę mówiąc, byli w tak kiepskiej formie, że w Weterze większość tam stacjonujących żołnierzy wyległa, żeby sobie popatrzeć na gromadkę głupków, którą zabieram ze sobą w tę głuszę.

Rekruci byli typową zgrają niedorostków; nieporządnymi, leniwymi, marudnymi i zadzierzystymi. Całymi dniami rozprawiali o gladiatorach albo o przygodach łózkowych, popisując się zadziwiającą mieszanką kłamstwa i ignorancji. Teraz zaczęli zyskiwać pewną tożsamość. Lentul stanowi prawdziwy kłopot. Nie radził sobie z niczym. Helwecjusz wziął go ze sobą jedynie dlatego, że ten dzieciuch tak bardzo tego chciał i wyraz jego twarzy był tak wzruszający. Sekstus miał jeszcze bardziej obolałe nogi niż cała reszta, co oznaczało, że mu praktyczniegniły w butach. Probus wyglądał na takiego, który nigdy nie nauczy się maszerować, wyciągając na przemian nogi.

Askaniusz, miejski chłopak z Patawium, miał świetne poczucie humoru, tyle że robił sobie żarty w zupełnie nieodpowiednich momentach. Był też taki, którego wiejskiego akcentu nikt nie chwycił; inny, który śmierdział; jeden ogólnie nie lubiany; chłopak z wielkim nosem; jeszcze jeden z dużym przyrodzeniem; a na dokładkę taki zupełnie nijaki. Moja matka powiedziała by, że żadnemu z nich nie można by powierzyć przypilnowania garnka ze strawą na ogniu.

Tak zresztą mówiła o mnie.

Kiedy opuszczaliśmy Weterę, wyglądaliśmy niczym podejrzana karawana kupiecka wynurzająca się z pustyni nabatejskiej po piętnastu dniach burzy piaskowej. Z dwudziestu rekrutów - dziewiętnastu nigdy wcześniej nie przejechało konno więcej niż trzy mile; a ten jeden, Lentul, nawet nie siedział na żadnym czworonogim stworzeniu. Wszyscy mieli nieco rozbiegane oczy, odstające uszy, wyłaniające się zza osłon policzkowych niczym wiosła sterczące z burty statku, a ich miecze wydawały się dla nich za duże. Galijskie konie powinny być dobrej krwi, tymczasem wyglądały jeszcze mniej atrakcyjnie od naszej uroczej gromadki.

Jechaliśmy z Justynem na czele, starając się wyglądać dostojnie. Nie pomagał nam w tym ten psiak trybuna, kręcący się z ujadaniem wokół końskich kopyt. W środku grupy trzymaliśmy Dubnusa, jadącego na swoim krzywonogim koniku, z uzdą przystrojoną brzęczącymi owczymi dzwoneczkami. Kazaliśmy mu je czymś wygłuszyć, ale już po pierwszej mili kłębki wełny wypadły. Helwecjusz jechał na końcu, pilnując, by kawalkada zanadto się nie rozciągnęła. Przez dźwięk dzwoneczków przebijały się jego nieustanne przekleństwa.

Obok Dubnusa jechał niewolnik przysługujący centurionowi. Helwecjusz bardzo sobie cenił ten przywilej. Żałosny chudeusz dbał o jego wierzchowca i ekwipunek, a reszta z nas próbowała bezprawnie skorzystać z jego usług. Marudził, że chce, by go bezzwłocznie przeniesiono do Mezji (Mezja to obrzydliwa prowincja w najbardziej ponurym kącie nad Morzem Czarnym). Justyn nie zabrał ani jednego niewolnika, choć jego ranga uprawniała go do sporej świty. Twierdził, że byłoby to nieuczciwe, zważywszy na niebezpieczeństwa związane z naszą wyprawą. Dziwak z niego. Przecież jeśli chodzi o warunki pracy niewolników u senatorów, uczciwość nie miała tu nic do rzeczy. Pomimo że w domu go rozpieszczano, Justynowi udawało się teraz bez trudu zadbać nie tylko o siebie, ale też o psa.

Wszyscy nosiliśmy zbroje. Nawet ja. Znalazłem takiego kwatermistrza, który wybrał dla mnie pasujący niezgorzej pancerz.

- Przyznam, że mamy ich tutaj aż nadto! - oznajmił.

Łysy mężczyzna z jakimś galijskim akcentem i cierpkim poczuciem humoru należał do typowych wojskowych specjalistów. Było oczywiste, skąd wzięły się

całe rzędy wyposażenia; nie które sztuki wciąż nosiły imiona poległych. - Jesteś pewien, że chcesz się tak wyróżniać? A czemu miałbyś nie wziąć ekwipunku myśliwskiego i wtopić się w las?

Poruszyłem barkami, przypominając sobie dobrze mi znany ciężar. Czułem przez tunikę chłód tylnych zawiasów, podczas gdy spinałem razem płyty na piersi i wtykałem pod szyję czerwoną chustę. Dawno nie nosiłem zbroi. Wierciłem się w niej jak krab w skorupie homara.

- Żadne przebieranki nic nie pomogą - zniecierpliwiłem się. - Tamtejsi mężczyźni są wyżsi i masywniejsi, mają jasną skórę i takie wielkie wąsy, że mógłbyś nimi zamiatać podłogę. W dwudziestu niezbyt rosnących, śniadych, ciemnookich mężczyznach bez zarostu tamci na wiele mil rozpoznają Rzymian. Problemy czekają, jak tylko przekroczymy granice. Przynajmniej pancerz i ochraniacz krocza daje miłe poczucie bezpieczeństwa. Ale to złudne poczucie.

- A co będzie, jak wpadniecie w kłopoty?

- Mam pewien plan.

Nie skomentował moich słów.

- Miecz? - zaproponował.

- Zawsze używam własnego.

- Oszczepy?

- Cały ich ładunek przypłynął z nami na statku - wyjaśniłem.

Załatwił to Justyn.

- Może nagolenniki?

- Daj spokój. Nie jestem jakimś próżnym oficerkiem.

- Gar na czaszkę? - pytał dalej. Zgodziłem się na hełm. - I weź to - dodał i wcisnął mi coś w rękę. Był to kawałek pumeksu z wyrytym w nim wizerunkiem ludzkiego oka, przebitego różnymi mistycznymi symbolami. - Broń nie na wiele ci się przyda. A poza nią mam w magazynie jedynie magię.

Szczodry gość. Dał mi własny amulet.

Spędziłem więcej dni, niż chciałem, kręcąc się po grzędawiskach. Wyspa musiała być odrażającym miejscem, zanim jeszcze zaczęły się tamte niepokoje. Była to prawdziwa kraina delty, podmokłe niziny pokryte mułem i solą. Łądy były tak pocięte ciekami wodnymi, że wydawał się przedłużeniem morza. Nieprzyjemna zima podczas kampanii Cerialisa przyniosła więcej niż zazwyczaj powodzi. Nie uprawiana od tamtej pory ziemia bardzo niemrawo dochodziła do poprzedniego stanu. Dawne uprawne tereny przesiąkły wodą. Poza tym Cywilis celowo zniszczył tamę Germanika, przerywając osłaniającą ją falochron, żeby podczas końcowych potyczek zalać wodą jak największy obszar. Myśleliśmy o Petyliuszu Cerialisie i o jego żołnierzach, którzy musieli dbać, żeby końskie kopyta nie były cały czas mokre, uchylać się przed strzałami z łuków i osłaniać przed nawałnicą. Szukali płycizn, nieustannie nękani przez Batawów, próbujących zwabić ich w bagna, na pewną zgubę.

Stolica Batawów, Batawodurum, została obrócona w perzynę. Teraz pod srogą nazwą Nowiomagus miała zostać odbudowana i obsadzona garnizonem. Wespazjan wspomniał mi o tym, ale jego słowa zrobiły na mnie wrażenie dopiero teraz, kiedy staliśmy pośród smętnych resztek domów, patrząc, jak ludzie mieszkający pod rozciągniętymi płachtami, razem z trzodą i kurami, bez entuzjazmu usiłują zorganizować jakoś życie. Sprawy muszą jednak iść ku lepszemu, skoro spotkaliśmy tam dokonujących pomiarów rzymskich inżynierów wojskowych. Byli tutaj służbowo, omawiali z miejscową starszyzną sposób sprowadzenia materiałów i wykwalifikowanej siły roboczej.

Podczas ostatniej fazy rebelii, kiedy Cywilis wycofał się na rodzinne tereny, obleżono go w Batawodurum, a potem zapędzono w głąb Wyspy. Spalił za sobą wszystko, co się dało. Ocalałe gospodarstwa nasze wojska zrównały z ziemią... z wyjątkiem tych, które należały do samego Cywilisa. Była to stara podstępna strategia polegająca na oszczędzaniu majątku przywódcy, tak żeby rozzłościć i obrócić przeciwko niemu jego nie mających już nic do stracenia zwolenników. Podążaliśmy jego tropem ścieżką w głąb lądu. Selektywna polityka spalonej ziemi oznaczała, że powinniśmy zauważyć miejsce, w którym moglibyśmy go znaleźć. On jednak machnął ręką na podmokłe pola i niskie chaty. Nie mieszkał tu już nikt z jego licznej rodziny i po nim samym nie było najmniejszego śladu.

Być może rzymska strategia odniosła skutek. Batawowie byli ludem zdruzgotanym - przynajmniej chwilowo - i ich stosunek do człowieka, który ten los na nich sprowadził, wydawał się niejednoznaczny. Pierwszy raz zacząłem wątpić, czy Cywilis wciąż jeszcze spiskuje. Zastanawiałem się, czy po prostu nie uciekł z obawy przed sztyletem skrytobójcy.

Podczas pobytu na Wyspie nie odczuwaliśmy żadnego zagrożenia. Atmosfera była ponura, ale ludność zaakceptowała pokój i dawny sojusz. Znowu byli to wolni ludzie w ramach cesarstwa rzymskiego, zwolnieni od podatków, w zamian za dostarczenie kontyngentów pomocniczych... choć wszyscy wiedzieliśmy, że batawskie oddziały już nigdy nie będą stacjonować na terenie Germanii. Kręciliśmy się między ludźmi i nie zauważyliśmy żadnych przejawów wrogości, a kiedy opuszczaliśmy tamte tereny, nie starali się demonstracyjnie okazywać ulgi.

Nadeszły listopadowe kalendy i miałem już dość poszukiwań, dość pokonywania rzek na niepewnych pontonach i dość jazdy po chwiejnych drewnianych kładkach nad zalanymi wodą drogami. Ogłosiłem, że przyszedł czas poszukać sobie suchszych miejsc, na pewniejszym gruncie.

Wyruszyliśmy więc w dalszą drogę przez terytorium Fryzów.





CZEŚĆ V

KNIEJE I MOKRADŁA

GERMANIA LIBERA

LISTOPAD A.D. 71

„Dowódcę legionu, Muniusza Luperkusa, posłano razem z innymi podarkami Weledzie, niezamężnej kobiecie, mającej rozległe wpływy w plemieniu Brukerów”
Tacyt, Dzieje

43

Trudno było uwierzyć, że kiedyś oręż rzymski dotarł niemal do Łaby, próbując oprzeć na rzece granice cesarstwa. Druzus, jego brat Tyberiusz i adoptowany syn Tyberiusza, Germanik mozolili się wiele lat, by podbić całą wielką Germanię. Zastosowali manewr podwójnych kleszczy, dokonując inwazji z Mogontiakum na południu i poprzez północne równiny delty. Kres tym staraniom położył Warus i jego nieudolność. Wciąż widziało się pozostałości z czasów, kiedy Rzym sobie wmawiał, że kontroluje te dzikie mokradła. Zamiast zawrócić do Batawodurum, popłynęliśmy od ujścia Renu do jeziora Flevo, po części dlatego że mogliśmy już nigdy nie mieć okazji obejrzeć tego cuda, jakim był stary kanał Druzusa.

Kiedy znaleźliśmy się znów na lądzie, zobaczyliśmy, że na południe od jeziora nie ma już prawie śladu rzymskiej obecności sprzed sześćdziesięciu lat. Lentul, jak zawsze niecierpliwy, zapytał, kiedy dotrzemy do pierwszego miasta. Wyjaśniłem mu krótko, że nie ma tam żadnych miast. Zaczęło padać. Jeden z koni się potknął i naciągnął ścięgno stawu skokowego. Musieliśmy go rozjuczyć i zostawić, będąc jeszcze w niewielkiej odległości od jeziora.

- Cóż więc wiemy o Fryzach, Marku Dydiuszu? - zażartował sobie Justyn, kiedy cichaczem rozbijaliśmy nasz pierwszy obóz.

- Powiedzmy sobie, że są spokojnym, hodującym bydło, uprawiającym zboże ludem, z ciągotami do morza... i miejmy nadzieję, że ich bydło jest groźniejsze od nich samych. Fryzowie zostali podbici... nie, może to złe określenie... żyją sobie na warunkach ustalonych przez nich samych i naszego znamienitego Domicjusza Korbulona. To zresztą całkiem świeża historia - wspomniałem. Korbulon był wybitnym wodzem; takim, przy którym Petyliusz Cerialis wypadał mizernie, jak odrzucony kandydat do rzymskiej straży pożarnej.

Zazdrosny o jego sukcesy Neron posłał mu wyrok śmierci i Korbulon popełnił samobójstwo.

- Zatem po której stronie byli podczas rebelii?
- Och, naturalnie byli gorliwymi zwolennikami Cywilisa!

Nie dotarliśmy jeszcze do lasów i wokół nas rozciągała się płaska nadmorska kraina. Nam ten krajobraz wydawał się ponury, monotony i emanujący chłodem. Ale może kiedy człowiek urodzi się w tutejszej obórcie, Batawia i Fryzja stanowią jakieś wyzwanie, z tą nieustanną koniecznością obrony przed napierającymi wodami rzeki, jezior i mórz i niezmienną szarością otwartego nieba.

Duża część tego regionu wydawała się opuszczona. Niewiele było kwitnących osad, takich jak na terenie Galii. Nawet Brytania, poza swoimi najdzikszyimi partiami, była w porównaniu z tym terenem ludna i całkiem sympatyczna. Germania jednakże chciała być inna. Widzieliśmy tylko kilka stojących samotnie domów albo niewielkie skupiska prymitywnych chat i obór.

Tutejsi ludzie zgodnie ze swoją reputacją prowadzili samotnicze życie. Jeśli ktoś widział dym sąsiada, robił się nerwowy. Miał ochotę do niego pojechać, nie na posiłek bądź grę w kości, ale by go zabić, wziąć w niewolę jego rodzinę i splądrować dobytek. Obecność Rzymian tuż po drugiej stronie rzeki mogła tylko pogorszyć sytuację. Teraz te plemiona miały dodatkowy pretekst, by wzajemnie się najeżdzać i brać jeńców. Handel kwitł, ponieważ popyt na niewolników u Rzymian był stały.

- Czy to znaczy, że nas też spróbują pochwytać? - zaniepokoił się Lentul.
- Oni wiedzą, że nie mogą odprzedać Rzymowi obywateli rzymskich jako niewolników.
- A co mogą zrobić?
- Pozabijać nas.
- Czy to prawda, że wszyscy barbarzyńcy to łowcy głów? - błaznował Askaniusz.
- Jeśli tak, to na pewno zauważą twoją wielką mózgowicę.

Zaczęło mnie niepokoić zachowanie handlarza. Dubnus był niezrozumiale zdenerwowany. Powiedziałem mu przedtem, że będzie mógł pohandlować z tubylcami, ale nie przejawiał na to najmniejszej ochoty. Kiedy człowiek rezygnuje z okazji zarobku, zawsze dochodzę do wniosku, że liczy na jakiś łup... a łupy z natury są czymś podejrzanym.

W jednym z takich momentów, kiedy chciałem okazać życzliwość, zapytałem go o handel. Wiedziałem, że wielkie szlaki handlowe prowadzące w głąb północnej Europy ciągną się wzdłuż Menu od Mogontiakum aż do Lippe i wokół bursztynowego wybrzeża Bałtyku. Kupcy znad Menu i Lippe, razem z naddunajskimi, mieli zwyczaj koncentrować się na rynkach Brukterów, dokąd i

my się udawaliśmy.

- Przemierzyłem wszystkie szlaki - oświadczył handlarz - z wyjątkiem morskich. Nie żegluję. Jestem samotnikiem. Czasami wolę wędrować zupełnie sam - przyznał.

Czyżby dlatego tak źle się czuł w grupie?

- Czy z tymi plemionami dobrze się handluje, Dubnusi? Czy oni kupują czy sprzedają?

- Przeważnie sprzedają. Pozbywają się łupów.

- Czyli czego?

Nie był zbyt rozmowny.

- Wszystkiego, co im się udało zrabować - powiedział wreszcie.

- No dobrze. A co rabują?

- Skóry i futra. Rogi używane do picia. Bursztyn. Wyroby żelazne - wymamrotał niechętnie. Musiał być wściekły, że wzięto go pod straż i powleczono na tę wyprawę. Uśmiechnął się złośliwie. - W tej okolicy mają na pewno niezły zapas rzymskiej broni i rzymskiego złota!

Chciał mnie zirytować. Wiedziałem, co ma na myśli. Dwadzieścia tysięcy żołnierzy zginęło z Warusem... a na miejscu masakry zostało kompletne wyposażenie połowe armii, osobisty skarbiec dowódcy i skrzynie z żołdem dla legionistów. Wszyscy tubylcy od Ems do Wezery zapewnili sobie dostatek na dziesięciolecie, korzystając z tego, co zostało po tamtym wydarzeniu. Za każdym razem, kiedy stracili ciełą, wystarczyło, że zebrali się na odwagę, żeby pogrzebać w stosach bielejących kości, i zabrać stamtąd pancerz, który wymieniali na nowe zwierzę.

- A co lubią kupować? - spytałem cierpliwie. - Słyszałem, że zapotrzebowanie na rzymskie wyroby z brązu i szkła jest stałe.

- Żaden szanujący się plemienny wódz nie jest pogrzebany bez srebrnej tacy przy głowie i pełnego rzymskiego kompletu do wina.

- Przypuszczam, że zawsze można znaleźć chętnych na brosze i szpile?

- Błyskotki. Lubią srebro. Uwielbiają monety, choć tylko te stare, z rowkowanymi brzegami - powiedział. Neron zdewaluował pieniądz na rok przed wielkim pożarem Rzymu. Ja też wolałem te stare monety... czuło się, że są masywniejsze. W Rzymie, dzięki gwarancji państwa, te nowe, gorszej jakości sestercje zastępowały stare, ale tutaj liczyła się waga metalu.

- Czy plemiona germańskie używają pieniędzy?

- Tylko kiedy handlują z kupcami.

- Monety mają świadczyć o statusie czy stanowią ozdobę? I czy to prawda, że zakazują importu wina?

Dubnus przechylił głowę.

- Niezupełnie. Ale to nie Galia, gdzie oddaliby własną matkę w zamian za kielich wina. Walka to poważna sprawa.

- Myślałem, że kochają uczty. Co wtedy piją?
 - Miód. Sfermentowane mieszanki jęczmienia i owoców z przydrożnych drzew.
 - Ależ odporni ludzie! Więc te germańskie plemiona tolerują nasze wyszukane dobra, a poza tym Rzym nie ma im nic do zaoferowania. Nienawidzą tego, co my uważamy za sztuki cywilizowane: konwersacja w łaźni, zgodny sposób bycia... zabawa przy falernie.
 - Po prostu nienawidzą Rzymu - oświadczył Dubnus.
- Zerknąłem na niego z ukosa.
- Pochodzisz z Ubiów. Twoje plemię przyszło kiedyś z drugiej strony Renu, masz zatem germańskie korzenie. Co więc ty sam myślisz?
 - Człowiek musi zarobić na życie - rzucił, a w jego głosie pobrzmiwała nutka pogardy.
- Nasz rozmowa skończyła się w tym miejscu, bo właśnie natknęliśmy się na pierwszą grupę Fryzów. Stanęliśmy nieruchomo, jak przystało na uprzejmych gości. Zbliżyli się do nas ostrożnie.
- Mieli gołe głowy, rude włosy i niebieskie oczy. Odziani byli w tuniki i płaszcze z burej wełny, innymi słowy, wyglądali dokładnie tak, jak mieli wyglądać. A my zawsze sobie mówiliśmy, że kronikarze we wszystkim przesadzają. Może przynajmniej przesadzali z tym wściekłym germańskim usposobieniem.
- No, wysił się, Falkonie! - popędział mnie wesoło Justyn. - Czas na twój sławny plan.
- Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Wyciągnąłem Dubnusa na czoło.
- Powiedz, proszę, tym panom, że udajemy się złożyć wyrazy szacunku Weledzie - poleciłem mu.
- Skrzywił się, a potem coś powiedział. Udało mi się wychwycić imię wieszczki.
- Naszym najlepszym sojusznikiem okazał się piesek trybuna. Biegał od jednego Fryza do drugiego, czekał, wymachiwał radośnie ogonem i skakał, chcąc koniecznie każdego z nich polizać po twarzy. Zrozumieli, że nikt, kto sprowadził ze sobą takiego beznadziejnego psa myśliwskiego, nie mógł mieć wrogich zamiarów i że zdjęcie nam skalpów byłoby obrazą dla ich męskości. Na szczęście tego dnia psiak zapomniał, że można również kogoś ugryźć.
- Fryzowie gapili się na nas i ponieważ nie zanosilo się na nic więcej, obdarzyliśmy ich uśmiechami, pozdrowiliśmy i ruszyliśmy dalej. Z początku podążali za nami, jak zaciekawione stadko bydła, potem odstali.
- Wzmianka o Weledzie zrobiła wrażenie.
 - Chcesz chyba powiedzieć, że wyglądali tak, jakby w życiu o niej nie słyszeli!
 - zakpił Helwecjusz.
 - Och, możemy założyć, że słyszeli - skarcił go trybun poważnym głosem. -

Stąd te współczujące spojrzenia, jakie za nami posłali!

Justyn jechał, głaszcząc pieska, który bardzo z siebie zadowolony wyglądał spomiędzy fałdów jego płaszcza. Mały kundelek miał gładką białą sierść w czarne plamy, był żarłoczny, nieposłuszny i bardzo lubił grzebać w łajnie. Jego pan dał mu na imię Tygrys. Zupełnie niestosownie. Tak samo przypominał tygrysa jak mój lewy but.

Następnego dnia zaczęliśmy napotykać coraz większe kępy drzew, a pod wieczór dotarliśmy na skraj prawdziwego lasu. Od tej chwili przydawały się wszystkie nasze umiejętności, żeby odnajdywać ścieżki i podążać we właściwym kierunku. Od tego miejsca puszcza nieprzerwanie porastała resztę Europy. Szczerze mówiąc, jako chłopak z miasta, zawsze miałem uczucie, że to kontynentalne arboretum to jednak pewna przesada. Lubię liście... ale najbardziej lubię, kiedy zieleń prowadzi do pergoli nad kamienną ławką, gdzie w pobliżu kręci się akurat handlarz winami, a ja mam za chwilę, tam właśnie, umówione spotkanie z moją ukochaną dziewczyną...

Pierwsza noc na wilgotnym, kłującym podłożu i świadomość, że nie wyjdziemy z tego lasu przez następne kilka tygodni, spowodowały, że nasze nastroje mocno się pogorszyły.

Rekruci zdążyli już przejść przez te wszystkie normalne etapy, których doświadczają niezahartowani chłopcy zabrani na biwak w dzikie miejsce w celu wzmocnienia ich charakterów. Najpierw tylko wzdychali i jęczeli, potem zaczęli wykradać sobie wzajemnie różne osobiste skarby, przypalać jedzenie, gubić sprzęt, moczyć się w nocy i brać do rękoczynów. Było oczywiste, że ciężkie gromadne życie źle się na nich odbija, ale odpowiedzialność spoczywała na nas trzech i to my staraliśmy się utrzymywać wszystko w ryzach. Wykończeni i zmaltretowani tworzyliśmy silną, nastawioną obronnie drużynę.

Pewnego wieczoru, po szczególnie przykrym dniu i po bójce, kiedy to przyłapaliśmy naszych młodzików z wyciągniętymi sztyletami, Helwecjusz z taką złością wywijał swoim kijem, aż go połamał, a Kamil Justyn ustawił ich sobie w rzędzie, żeby jak przystało na trybuna porządnie zrugać.

- Słuchajcie, dranie!

- Nieźle podejście! - szepnął do mnie przewrotnie Helwecjusz.

- Jestem zmęczony. Jestem brudny. Mam dość sucharów i dość sikania pod dębami w padającym deszczu! - oznajmił im Kamil. Ten dość nietypowy dla niego początek sprawił, że zaskoczona grupka zamilkła. - Nie cierpię tej krainy tak samo jak wy - ciągnął. - Kiedy się zachowujecie w ten sposób, was też nie cierpię. Chcę powiedzieć, że następny, który wywoła awanturę, zostanie natychmiast odesłany do domu. Na nieszczęście dla nas wszystkich, nie mamy odpowiedniego wozu, który mógłby ruszyć do kwatery głównej, bo sam pierwszy bym na niego wsiadł. Pogódźcie się z rzeczywistością. Musimy zrobić

wszystko, co w naszej mocy, bo inaczej żaden z nas nie wróci do domu. - Przerwał i pozwolił, by to do nich dotarło. - Zdecydujcie się. Musimy zmobilizować siły...

- Nawet Lentul? - zawołał Probus.

Justyn wykrzywił twarz.

- Z wyjątkiem Lentula. Reszta z nas zmobilizuje siły... i się nim zaopiekuje.

Wybuchnęli śmiechem. Wiedziałem, że czeka nas spokojna noc, a nazajutrz wszyscy będą zachowywać się nienagannie.

- Nadaje się - doszedł do wniosku Helwecjusz.

- Ma do nich niezwykłą cierpliwość - zgodziłem się.

- Widziałem to już wcześniej... najpierw uważają człowieka za bezwartościowego bufona, a potem giną za niego.

- Kamil by tego nie chciał - powiedziałem. - Będzie się zadręczał, jeśli choć jeden z nich nie wróci do domu.

- Nawet jeśli będzie to Lentul?

Jęknąłem.

- Szczególnie taki Lentul! Więc trybun jest w porządku, co?

- Prawdopodobnie uchroni nas przed kłopotami.

- Dzięki. A ja?

- Na Mitrę, nie rozśmieszaj mnie, Falkonie. Ty nas w nie wpędzisz!

Rano wszystko było wspaniale przez... pół godziny. A potem Lentul grzecznie zapytał:

- Panie, panie... a gdzie się podział Dubnus?

44

Wzięłem głęboko wdech.

- O co chodzi, Lentulu? - spytałem.

- Nie ma go tutaj. I jego konia też nie ma.

Justyn zerwał się na nogi.

- Czy ktoś wie, kiedy zniknął? - spytał.

Nikt nie wiedział.

Ja też już byłem gotów do działania.

- Pierwszy namiot, idziecie ze mną! Helwecjusz, zostajesz z drugim namiotem, pakujecie sprzęt, potem ruszacie za nami...

Helwecjusz deptał mi po piętach, kiedy pędziłem do swojego wierzchowca.

- Po co ta panika? Znam ten teren. Mogę ci z grubsza powiedzieć, gdzie jesteście... - mówił.

- Użyj głowy! Jak mamy się dogadać z Weledą? Dubnus jest naszym tłumaczem!

- Poradzimy sobie.

- Chodzi o coś więcej - wysapałem, zakładając w ogromnym pośpiechu

koniowi uzdę. - Dotąd nie przyciągnęliśmy niczyjej uwagi. Nie wypatrzyła nas żadna nieprzyjazna grupa. Dubnus natomiast był w smętnym nastroju. Coś knuł. Jestem tego pewien. Lepiej, żeby nie sprowadził nam na głowy wojowniczo nastawionej bandy.

- Falko, a może on po prostu chce sobie pohandlować.

- Pozwoliłem mu na to... - Teraz jednak obawiałem się, że handlarz miał nadzieję nieźle zarobić na czymś nowym: sprzedaży zakładników. - Nie możemy ryzykować, że pohandluje sobie nami!

Długo szliśmy jego śladem na północ. Był to kierunek, który nam odpowiadał; możliwe, że on wykorzystywał tę wiedzę, licząc na to, że zrezygnujemy, ale nie zamierzałem tak łatwo się poddać. Miałem nadzieję, że straci czujność. Najlepiej, jakby założył, że skoncentrowani na naszej misji w ogóle nie będziemy go ścigać.

Moja grupa była tą wolniejszą z naszych dwóch grup pościgowych. My musieliśmy w leśnym poszyciu odnajdywać ślady kopyt jednego konia, podczas gdy Helwecjusz szedł szeroko wygniecionym przez nas pasem. Wkrótce nas doścignął i odtąd szliśmy już razem, z początku skręcając na wschód, a potem ponownie na południe.

- Co on kombinuje?

- Na Mitrę, nie mam pojęcia.

- Chyba nie bardzo mnie to obchodzi.

Dubnus musiał wymknąć się wcześniej i jechać całą noc. Miał za dużą przewagę. Postanowiłem jechać za nim aż do wieczora, a potem dać spokój. Po południu zgubiliśmy trop.

Wysokie drzewa rosły gęsto, otaczała nas głęboka cisza pradawnej kniei.

Rozejrzawszy się, ustaliliśmy jedno, a mianowicie, że w ogóle nie powinno nas tu być. Na pociechę mogliśmy sobie powiedzieć, że żaden wróg też nie powinien się domyślić naszej tu obecności. Również nasi przyjaciele się nie domyślą, gdzie nas szukać, co zresztą nie miało znaczenia, ponieważ Justyn i ja pozostawiliśmy instrukcje, że jeśli nie wrócimy, nie mają wybierać się z pomocą.

W drodze z Wyspy przewędrowaliśmy większą część południowego terenu zamieszkanego przez Fryzów, ale teraz powinniśmy się już znajdować na terytorium Brukterów. Podejście od tej strony było całkiem niekonwencjonalne, ale mniej niebezpieczne. Znajdowaliśmy się daleko od szlaków handlowych. A także daleko od tych rzymskich konstrukcji, jakie przetrwały na terenie delty, i od starych fortów, które z tego, co wiedziałem, postawiono kiedyś wzdłuż Lippe. Zbliżaliśmy się do znanych z wrogości Brukterów nie od tej strony, od której zawsze spodziewają się nadejścia obcych - wzdłuż ich ojczystej rzeki - ale, niespodziewanie, od północy.

Przez dużą część wyprawy przemierzaliśmy leśną głuszę jakieś sto mil

powyżej biegu rzeki. Zapewniało nam to względne bezpieczeństwo, w końcu jednak musieliśmy skrócić na południe. Miejscem, w którym należało zmienić nasz obecny wschodni kurs, byłoby pasmo teutoburskich wzgórz. Wiedzieliśmy, że te wzniesienia zakręcają w dół do źródeł rzeki. Musieliśmy tylko znaleźć ich północny kraj, a potem już iść ich grzbietem. Helwecjusz wspomniał o jakimś starodawnym szlaku, ale nikt nie miał ochoty się nim wybierać. Kiedy już byśmy się tam znaleźli, pozostałoby nam czterdzieści mil, zanim wzgórze zeszyłyby ku rzece. Teraz dotarliśmy już dostatecznie daleko, by nastawiać wzrok na poszukiwanie wyniosłości, kiedy tylko las trochę rzedł.

Zaczęliśmy skręcać na południe.

Ta okrężna trasa, jaką musieliśmy przebyć, goniąc za handlarzem, nieco nas dezorientowała. W tej krainie łatwo się było zgubić. Nie ma tam żadnych dróg, a leśne szlaki często prowadzą donikąd. Czasami ten, który wybraliśmy, po prostu zniknął, tak że musieliśmy się przedzierać przez krzaki, nieraz przez wiele godzin, by dotrzeć do kolejnej ścieżki. Drzewa rosły tak gęsto, że choć dosłownie o kilka kroków dalej mógł przebiegać jakiś lepszy szlak, nie mieliśmy szansy go dostrzec. Helwecjusz, który w związku ze swoimi historycznymi poszukiwaniami był kiedyś niedaleko stąd, sądził, że jeszcze mamy spory kawałek drogi do końca teutoburskiego pasma, choć gdybyśmy nie byli w gęstym lesie, to zapewne widzielibyśmy te wzgórza z daleka. Przedzieraliśmy się więc przez te ponure knieje, wierząc mu, bo nie mieliśmy innego wyjścia. Tak czy owak, kierunek południowy nie mógł być tak zupełnie niewłaściwy. Ostatecznie musieliśmy kiedyś dotrzeć do rzeki.

O zmroku się zatrzymaliśmy. Kiedy stawiano namioty, niektórzy członkowie wyprawy zniknęli, by oddać się rutynowym czynnościom pod pniami dębów. Było zimno, ale jeszcze nie całkiem ciemno. Zaczęliśmy podgrzewać jedzenie. Helwecjusz wyznaczył wartowników, podczas gdy jego służący oporządzał mu konia. Justyn rozmawiał z Sekstusem i z jakimś drugim żołnierzem. Uczyli go różnych słów w dialekcie z wybrzeża Adriatyku, bo trybun interesował się językami. Ja jak zwykle zamartwiałem się i czułem zgnębiony.

Zobaczyłem, jak Lentul wraca z lasu, dokąd oddalił się na stronę. Minę miał niewyraźną jak zwykle. Wyglądał też na przestraszonego.

Nie odezwał się do nikogo. Miałem ochotę machnąć na to ręką, ale nie wytrzymałem i podszedłem do chłopaka.

- Wszystko w porządku?

- Tak jest.

- Masz mi coś do powiedzenia?

- Nie, panie.

- No to mi ulżyło.

- No więc, panie... - zaczął. A jednak, pomyślałem. - Chyba coś zobaczyłem!

Lentul trzy dni by się zastanawiał, czy powinien wspomnieć, że widział, jak

duża armia wojowników w rydwanach z wikliny, wojennymi rogami i szerokimi mieczami kieruje się w naszą stronę. Nigdy nie wiedział, co jest ważne. Raczej pozwoliłby, by nas zabito, niż powiedział coś, co zmartwiłoby dowództwo.

- Coś żywego?

- Nie, panie.

- Kogoś martwego?

Chłopak zamilkł i nie odezwał się więcej. Wszystkie włoski na karku i ramionach powoli stawały mi na baczność.

- Chodź, Lentulu. Zabierzemy psiaka naszego trybuna na spacer.

Prawie dziesięć minut przedzieraliśmy się przez las. Lentul był niezwykle wstydlivy. Dwa razy już go zgubiliśmy, kiedy - żeby sobie ulżyć - oddalił się tak od obozu, że nie mógł odnaleźć drogi powrotnej. Teraz zatrzymał się, by pomyśleć. Milczałem, żeby jeszcze bardziej nie zamieszać mu w głowie. Obawiałem się, że spędzimy tam całą noc, podczas gdy Lentul będzie po raz drugi szukał swojego skarbu.

Nienawidzę lasów. Łatwo się przerazić, kiedy wszystko tkwi w kompletnym bezruchu. Pomiędzy tymi drzewami wędrowały niedźwiedzie, wilki, łosie i dziki. Zimne powietrze pachniało złowieszczą jesienną chorobliwą wilgocią. Wśród wybujałych roślin nie zauważyłem żadnych znanych ziół. Na starych drzewach sterczały grzyby przypominające pomarszczone twarze. Gałęzie i zarośla czepiały się ubrania i ciała, szarpały za tuniki i mściwie drapały ramiona. Zbroję miałem spryskaną wydzieliną jakiegoś owada. Odnosiłem wrażenie, że jesteśmy tu jedynymi oddychającymi istotami, nie licząc jakichś niesamowitych obserwatorów ze świata celtyckich duchów. Wyczuwaliśmy ich obecność, jednocześnie daleką i bliską.

Trzasnęły gałązki, za blisko jak na mój gust, tak jak się to przydarza leśnym gałązkom. Nawet Tygrys był przygaszony. Trzymał się blisko nas, zamiast pędzić w poszukiwaniu nornic i paskudnych zapachów.

- Nie podoba mi się tutaj - oświadczył Lentul.

- Pokaż mi, co znalazłeś, i będziemy mogli sobie wracać.

Poprowadził mnie przez kolejne chaszczce, ponad ogromnym zwalonym pniem, obok martwego lisa, rozerwanego przez coś znacznie większego... coś, co zapewne planowało akurat teraz wrócić po resztę. Tygrys warknął niespokojnie. Obłok muszek unosił się wokół mojej głowy.

- Tutaj stałem - powiedział Lentul. - Myślałem, że wygląda to jak ścieżka - wyjaśnił. Możliwe. Albo przypadkowa wolna przestrzeń pomiędzy gęsto rosnącymi drzewami. - Poszedłem nią, żeby zobaczyć... - mówił dalej. Chłopak miał wrodzoną ciekawość. I tępotę. Podniósłby skorpioną, żeby sprawdzić, czy naprawdę żądli.

Wciąż nie miałem pojęcia, co to było, ale musiało wywrzeć duże wrażenie na

młodym rekrucie.

- No to chodźmy.

Ruszyliśmy tą rzekomą ścieżką. Może chodziły nią jelenie. Powietrze miało bardziej nieprzyjazną woń, coraz szybciej robiło się ciemno. Buty napęczniały od rosy, wlekliśmy niezgrabnie za sobą nogi. Liście skrzypiały pod stopami głośniej, niżbym chciał. Chyba słyhać nas było na mile.

Potem drzewa nagle się skończyły.

Byłem zmęczony. Było mi zimno i odczuwałem niepokój. Najpierw nie wierzyłem własnym oczom. Potem zrozumiałem, dlaczego ten rekrut był przerażony swoim odkryciem.

Nad cichą polaną, na którą wyszliśmy, wisiała cienka mgiełka. Była to duża polana, czy raczej kiedyś nią była. Przed nami rozciągało się dziwne morze jeżyn. Bliżej nas te jeżyny i inne krzaki rosły niżej, dużo dalej wznosiły się wyżej, tworząc taras dla rosnącego tam lasu. To przypominające fosę zagłębienie ciągnęło się w obie strony. Rośliny się zapadły, jakby ziemia pod ich splątana masą została usunięta. Bo tak właśnie było. Wiedzieliśmy o tym, bez sprawdzania... co zresztą byłoby śmiertelnie niebezpieczne. Niemalże u naszych stóp ziemia musiała opadać stromo, głębiej niż na wzrost człowieka. A tam, bez najmniejszej wątpliwości, tkwiły, niewidoczne pośród krzewów, morderczo zaostrzone pale. Na dnie rowu znajdował się na pewno porządny kanał, szeroki na łopatę, do odprowadzania wody, a za nim druga ściana wznosząca się ukośnie ku brzegowi, by sięgnąć wreszcie równego gruntu. Dalej już był ten porośnięty lasem taras. Drzewa były młode w porównaniu z tamtymi, które mijaliśmy przez cały dzień i które pewnie pamiętały legendarne czasy, kiedy Herkules odwiedzał Germanię.

Odnaleźliśmy tutaj całkowicie inną legendę.

Za lasem znajdował się wał obronny. Mogliśmy dostrzec jedynie jego górną część. Musiały tam być jednak pomosty dla patroli, a przed nimi drewniana palisada z dobrze znanymi kwadratowymi wieżami strażniczymi co kawałek. Jeszcze dalej, w słabnącym świetle zmierzchu, wypatrzyliśmy masyw najprawdziwszej bramy fortecznej. Panowała niczym nie zmacona cisza. Nie było widać żadnych wartowników, żadnych świateł. A przecież tutaj, sto mil od rzymskich prowincji, stał rzymski obóz.

45

- **P**anie, czy ktoś tam jest?

- Na bogów, mam nadzieję, że nie! - powiedziałem.

Nie byłem w nastroju, żeby gadać z martwymi ludźmi albo ich duchami.

Poruszyłem się.

- Idziemy tam?

- Nie. Wracamy - oznajmiłem. Odwróciłem go w stronę, z której przyszliśmy.

- Moglibyśmy tam rozbić obóz...
- Będziemy obozować tam, gdzie jesteście.

Niewielu z nas wyspało się tej nocy. Leżeliśmy z otwartymi oczyma, nasłuchując odgłosu trąb z Hadesu, po czym zdrzemnęliśmy się tuż przed świtem. Obudziłem się wcześniej, kiedy było jeszcze ciemno, zeszywniały i otumaniony. Reszta towarzystwa też już wstała. Po wypiciu czegoś zimnego i zjedzeniu kilku sucharów spakowaliśmy rzeczy, przyprowadziliśmy konie i wyruszyliśmy, jadąc ścisłą grupą blisko siebie, z poranną wizytą do obozu naszych kolegów. O świcie tamto miejsce wyglądało na jeszcze bardziej osamotnione.

Nie przypominało to Weteru. Bo był to obóz polowy, tyle że duży. Choć miała to być budowla tymczasowa, stała tam samotnie i uparcie. Nie zauważyliśmy śladów działań oblężniczych. Wszędzie natomiast widoczny był rozkład. Gruba warstwa zarośli pokrywała elementy konstrukcji od zewnątrz, wieże stały przechylone, palisady się przewracały. Zobaczyliśmy, że zawalił się również parapet.

Podjechaliśmy do drewnianych wrót. Jedna ich połowa spadła z zawiasów i leżała na ziemi. Wsunęliśmy się kawałek do środka. Pająk wielkości kaczego jaja obserwował nasze posunięcia.

Wszystko było pogruchotane i zarośnięte zielskiem.

- Centurionie, czy tu toczono bitwę?
- Nawet jeśli, to nie pozostały po niej żadne ciała - powiedział Helwecjusz, zsiadł z konia i poszedł kawałek dalej. Jednak nawet on nie miał ochoty zapuszczać się zbyt daleko. Zatrzymał się i podniósł mały przedmiot. - Nie sądzę, by porzucono to miejsce - wyszeptał zaintrygowanym głosem.

Ruszył dalej, a my poszliśmy jego śladem. Musiały tu stać kiedyś namioty, więc pozostało dużo pustej przestrzeni po długich rzędach skórzanych „motyli”. Jednakże niezależnie od tego, czy legiony stacjonują gdzieś dłużej czy krócej, magazyny i siedziba sztabu budowane są z materiałów trwałych. Powinny zostać po nich widoczne ślady w typowych miejscach, w postaci prostokątów osłoniętych jedynie mizernymi chwastami, a to z powodu ich solidnych podłóg, tymczasem miejsca te pokrywały stosy gnijącego drewna.

- I co sądzisz, centurionie? - spytał Justyn. Miał bladą twarz z powodu niewyspania i niepokoju.
- Obóz opustoszał... ale nie rozebrano go jak należy.
- Odeszli tylko na zimę - powiedziałem.

Sanktuarium i skarbiec, wybudowane z kamienia, wciąż stały. Naturalnie nie było tam sztandarów ani orłów. Widziałem te złote orły, które kiedyś tu przybyły. Widziałem je w świątyni Marsa w Rzymie.

Helwecjusz spojrzał na mnie. On też wiedział, na co patrzymy.

- To prawda. Wszystkie budynki pozostawiono. Zły to obyczaj, ale oni byli

pewni, że wróca.

Był bardzo przejęty. Odwróciłem się do pozostałych, żeby wyjaśnić, o co chodzi.

- Wszyscy znacie zasady, jakich należy przestrzegać, kiedy opuszcza się obóz polowy - zacząłem. Rekruci nastavili uszu, najwyraźniej pierwszy raz w życiu o tym słyszeli. - Ładuje się wszystko, czego można ponownie użyć, na tabory. Bierze się na przykład wszystkie pale z palisady, by użyć ich na kolejnym postoju. Każdy żołnierz dźwiga po dwa.

Odwróciliśmy się. Nad pomostami dla wartowników zwisały całe fragmenty drewnianych umocnień, wciąż połączonych ze sobą, niczym ogrodzenie jakiejś posiadłości uszkodzone potężną wichurą. Inne części zapewne przegniły; podobnie jak schody. Czas tego dokonał, nie żadna obca siła.

- Resztę się pali - mówił za mnie dalej Helwecjusz. - Nie zostawia niczego, co nieprzyjaciel mógłby wykorzystać... jak się wie, że gdzieś jest nieprzyjaciel. - Obracał resztki starych drzwi magazynu. - To był opuszczony obóz! - wykrzyknął, jakby protestował przeciwko takiemu złamaniu zasad. - Domyślam się, że został dokładnie rozdeptany przez rabusiów. Zbudowali go Rzymianie, ci, którzy niefrasobliwie uznali ten teren za tak bezpieczny, że można wychodzić jak gospodarze, zostawiając klucz pod wycieraczką... - Centurion był coraz bardziej rozgniewany. - Nieszczęśnicy nie mieli najmniejszego pojęcia, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajdują!

Ciągle trzymał coś w zaciśniętej pięści.

- Kim oni byli, centurionie? - dopytywali się rekruci.

- To te trzy legiony zmasakrowane w lesie przez Arminiusza! - zawołał Helwecjusz. - I była bitwa... na bogów, była bitwa... ale ciał nie ma, bo potem przybył Germanik i je pochował.

Pokazał nam, co znalazł. Była to srebrna moneta. Nosiła specjalny znak mennicy, który Kwinktyliusz Publiusz Warus kazał wybijać na pieniądzach przeznaczonych na żołd dla swoich żołnierzy.

Niewiele takich monet krąży po Rzymie.

46

Gdzieś w tej okolicy musiał stać kurhan grobowy. Ten, którego pierwszą warstwę darni własnymi rękoma ułożył Germanik... mógł to zrobić, ponieważ w tamtym czasie piastował również funkcję kapłana. W tym miejscu był jednak przede wszystkim żołnierzem. Rozumieliśmy to, stojąc tutaj. Nami także owładnęły emocje.

Nie szukaliśmy kopca. Nawet nie wznieśliśmy ołtarza, tak jak zrobiliśmy to wcześniej w Weterze. Czciliśmy ich pamięć w milczeniu. Wszystkich: poległych i tych, którzy swoim zadaniem uczynili ich odnalezienie. Myśląc o przeszłości, zastanawialiśmy się, czy ktokolwiek miałby szansę się dowiedzieć o naszym

losie, gdybyśmy to teraz my polegli w tym lesie.

W spowijającej nas mgle opuściliśmy obóz przez bramę Pretoriańską i ruszyliśmy starą utwardzoną drogą. Łatwiej było tędy jechać niż jakimkolwiek innym leśnym szlakiem, a zależało nam na tym, żeby posuwać się szybko i dotrzeć daleko. Po jakimś czasie jednak droga naszych przodków okazała się zupełnie zarośnięta. Ponarzekaliśmy zwyczajowo na nieudolnych saperów, choć przecież po sześćdziesięciu latach bez żadnych napraw dziury i chwasty były czymś naturalnym.

Podobnie jak armia Warusa kierowaliśmy się na południe. Podobnie jak tamci ludzie dążyliśmy ku swojemu przeznaczeniu. Różnica była taka, że my wiedzieliśmy.

W kółko wracaliśmy do historii. Nawet Justyn włączył się do rozmowy.

- Wiemy, że Warus podążał na kwatery zimowe - powiedział - albo do fortów, które wybudowano wcześniej na brzegach Lippe, albo być może gdzieś dalej, na brzegu Renu. Musiał opuścić obóz z mylnym przekonaniem, że terytorium jest bezpieczne i będzie mógł tu wrócić wiosną.

- Dlaczego nie mogli zostać tam na zimę, trybunie?

- Za daleko od linii dostaw, żeby tam przetrwać. Poza tym żołnierze Warusa na pewno suszyli mu głowę, że chcieliby spędzić jakiś czas w bardziej cywilizowanym miejscu - powiedział Justyn, a jego żołnierze zastanawiali się przez chwilę nad tą pełną powagi uwagą, po czym ich twarze rozpromieniły uśmiechy.

- I szli właśnie tędy - oznajmił Helwecjusz. Naprawdę wczuł się w sytuację. Lubił teatralne gesty; lubił stawiać hipotezy. - Wszyscy uważają, że dotarli do pasma wzgórz, kiedy to się wydarzyło, ale niby czemu nie miało to być tutaj, bardziej na północ? Na pewno wiemy jedynie tyle, że Germanik odnalazł ich gdzieś na wschód od rzeki Ems.

- Trybunie... - Teraz, kiedy już oddalili się od opuszczonego obozu, rekruci poczuli się odważniejsi i byli bardziej podekscytowani. - Czy znajdziemy to sławne pole bitwy?

- Ja uważam - odparł z powagą Helwecjusz, jakby właśnie dopracował się jakiejś teorii - że pole bitwy znajduje się wszędzie wokół nas. To dlatego Germanik miał tyle kłopotu z jego odnalezieniem. Ostatecznie nie wybije się dwudziestu tysięcy żołnierzy... weteranów wielu kampanii... na terenie wielkości podwórza.

Zgodziłem się z nim.

- Myślmy, że przebiegło to szybko - powiedziałem - jednak ta bitwa mogła trwać jakiś czas. Musiała. To oczywiste, że Arminiusz ich zaatakował i wyrządził wiele szkody. Jednakże po pierwszym zaskoczeniu doświadczeni żołnierze zorganizowaliby obronę.

- Masz rację, Falko. Nie mieli wyboru. Zresztą wiemy, że tak właśnie było.

Germanik znalazł całe stosy kości w miejscach, gdzie walczyli większymi grupami. Natknął się nawet na szczątki żołnierzy, którzy przedarli się z powrotem do obozu i tam zostali zabici.

- Tego obozu, któryśmy znaleźli?

- Kto to wie? Po takim czasie, i po uprzątnięciu śladów przez Germanika, trzeba by wielu dni, by odkryć jakieś wskazówki.

- Zatem po pierwszym ataku - powiedziałem - mieli przed sobą perspektywę trwającej długo agonii. Byli nawet tacy, którzy przeżyli. Arminiusz wziął jeńców: niektórych powieszono na gałęziach, by zjednać sobie celtyckich bogów, innych wrzucono do makabrycznych nor... - przerwałem. Na szczęście nie natknęliśmy się na żadnych. - Niektórzy ostatecznie dotarli do Rzymu. Garstka tych biedaków wróciła tu nawet z Germanikiem. - Pomyślałem, że każda wojna stwarza jakichś masochistów. - Jednak zgoda, możliwość poddania się nie wchodzi w rachubę w wojnie z tymi plemionami. To była celtycka bitwa... zabijać i obcinać głowy. Polowano w lesie na każdego legionistę, który próbował ucieczki. Tak jak to było w Brytanii, kiedy powstały plemiona Budiki. - Usłyszałem, że zaczynam chrypieć pod wpływem bólu, jaki zawsze sprawiało mi mówienie o tym dawnym wydarzeniu. - Łowy to część tej strasznej gry. Krwiożerczy wojownicy gonią z krzykiem swoje ofiary, które wiedzą, że są skazane na śmierć...

- możliwe, że Arminiusz celowo przedłużał tę zabawę - poinformował słuchaczy Helwecjusz. - Rezultatem byłyby ciała zabitych porzucane stąd aż do...

- Do najbliższej rzeki w każdą stronę, centurionie.

- Jak to, Falkonie?

- Wojownicy zatrzymują wszystkich pozostałych przy życiu na skraju wody. Ich głowy i zbroje ofiarowane są bogom w nurtach rzek.

Jechaliśmy dalej w milczeniu. Mimo pięknej pogody i sprzyjających okoliczności dotarcie do wzgórz teutoburskich zabrało nam dwa dni.

Zauważyłem, że na każdym wieczornym postoju niektórzy rekruci znikają i buszują w leśnym poszyciu. Wiem, że znajdowali tam różne przedmioty. To byli tylko chłopcy. Szanowali swoich dawnych kolegów, ale nie potrafili się oprzeć polowaniu na pamiątki.

Ogólnie nastrój nie był najlepszy. Lentul siadał obok Justyna i mnie przy ognisku i nie brał udziału w poszukiwaniu pamiątek. Był przygnębiony, jakby uważał, że to wszystko jego wina.

- Tkwimy tutaj, w samym środku tej głuszy - odezwałem się pewnego razu ze śmiechem - z bagażem kłopotów i przypominamy tych strategów, którzy za pomocą jabłek na stole w tawernie odtwarzają Maraton i Salaminę.

- Tylko nie wspominaj tawern, Falkonie - mruknął rozspanym głosem z głębi swojego posłania Kamil Justyn. - Niektórym z nas bardzo przydałby się

kubek czegoś mocniejszego!

Ponieważ mieszkałem w jego domu i piłem tamto okropne wino stołowe, wiedziałem, jak bardzo zdesperowany musi być nasz szacowny trybun.

Nazajutrz weszliśmy na teutoburskie wzgórza.

Przemierzyliśmy ich długie pasmo bez najmniejszego incydentu. Wydawało się to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. I było zbyt piękne.

Zeszliśmy w dół, ku głównemu nurtowi rzeki Lupii. O zmierzchu rozbiliśmy dyskretnie obóz, nie paląc ognisk. Zauważyłem, że Probus w towarzystwie drugiego rekruta odeszli na bok i trochę za długo nie wracali. Bez wątpienia znowu penetrowali teren, szukając dawnych pochow i ćwieków. Na początku jak zwykle nie komentowaliśmy ich nieobecności, ale w końcu już dawno rozdzieliliśmy prowiant, a ich wciąż nie było. To była rzecz niesłychana. Helwecjusz został w obozie, podczas gdy Justyn i ja wybraliśmy się na poszukiwanie naszych zgubionych jagniąt. Każdy z nas wziął ze sobą jednego rekruta. On wybrał chłopca o imieniu Orozjusz. Mnie się dostał Lentul. Na wypadek gdybym potrzebował większego towarzystwa, dołączył do nas zadowolony z siebie Tygrys.

Jak należało się spodziewać, to właśnie Tygrys, Lentul i ja natknęliśmy się na święty gaj.

W pierwszej chwili myśleliśmy, że to taka polana jak każda inna. Musiała istnieć przez wiele pokoleń. Maszerowaliśmy pomiędzy drzewami o wykręconych konarach, myśląc, że przerzedziły się w sposób naturalny. Zerwał się ostry wiatr, szeleścił niestrudzenie ciemnymi, suchymi listopadowymi liśćmi. Tygrys, który wysforował się do przodu, przybiegł z powrotem w szalonym pośpiechu, niosąc w pysku patyk i prosząc, by mu go rzucić. Schyliłem się i po hałaśliwej udawanej walce wyrwałem mu go z pyska.

- Dziwnie jakoś wygląda - oświadczył Lentul.

Bo to była ludzka kość strzałkowa.

Pies czekał niecierpliwie, czekając na dalszy ciąg zabawy, ja i Lentul rozejrzeliśmy się powoli wokół i wreszcie uderzyła nas jakaś szczególna atmosfera tego miejsca. Pachniało mchem i nieszczęściem. Słowa uwięzły nam w gardłach. Ogarnęła nas panika. Dopiero po kilku chwilach dotarło do nas, że ze wszystkich stron obserwują nas puste oczodoły.

- Stój, Lentulu. Ani drgnij!

Nie wiem, czemu to powiedziałem. Nikogo poza nami tam nie było.. a przecież wszędzie wyczuwało się jakąś obecność.

- Przepraszam - jęknął chłopak. - O matko kochana! Znowu to zrobiłem, co?

Starałem się, żeby mój głos zabrzmiał wesoło, kiedy odpowiedziałem mu szeptem:

- Tak. Wygląda to na kolejne z twoich przerażających znalezisk...

Przed sobą mieliśmy groteskową rzeźbę z butwiejącego, z grubsza ciosanego

drewna; jakiegoś boga wody, lasu albo nieba... a może wszystkiego razem. Majaczył wysoko nad nami niczym ogromny poskręcany pień dębu, pokryty jaskrawopomarańczową pleśnią i wyrastający z próchna. Stworzono go kiedyś kilkoma uderzeniami prymitywnego topora. Jego kończyny były ledwie zaznaczone. Miał trzy prymitywne twarze i tylko czworo wytrzeszczonych celtyckich oczu w kształcie migdałów. Na jego głowie tkwiło szerokie poroże jakiegoś potężnego łośa, rozpostarte szeroko, jakby łopatami próbowało objąć niebo.

Przed posągami boga stał prosty ziemny ołtarz, na którym kapłani Brukterów składali ofiary. Leżał tam łeb wołu, w stanie daleko posuniętego rozkładu. Podobnie jak my, oni też przepowiadali przyszłość ze zwierzęcych wnętrzności. Natomiast inaczej niż my, mieli zwyczaj rąbać na kawałki konie i inne pochwycone zwierzęta, które należały do ich zabitych wrogów. Składali też ofiary odrażającej natury. Nie mieliśmy wątpliwości, bo wszędzie wokół, przybite do sędziwych drzew, tkwiły ludzkie czaszki.

47

Lentul, który zazwyczaj nic o niczym nie wiedział, o tym akurat miał pojęcie.

- Wejście do gaju druidów to śmierć, prawda?

- Jeśli tu postoiemy, to może przyjdzie jakiś druid i ci odpowie... - Chwyciłem go za ramię i powoli wycofaliśmy się tyłem tą samą drogą, którą tam przyszliśmy.

Zobaczyliśmy jeszcze coś po naszej prawej stronie: stos trofeów. Pośród drzew złożono niezliczoną liczbę sztuk przeróżnych rodzajów broni. Były tam długie, nieznane germańskie miecze, wojenne topory, okrągłe tarcze ze sterczącymi guzami i inne przedmioty używane w walce, które z przykrością rozpozналиśmy jako rzymskie.

Lentul pisnął, potknął się o korzeń i przewrócił. Dopiero co, tej wiosny, udało mi się dopaść część *Wojny galijskiej* Cezara, po obniżonej cenie, ponieważ Rzym miał uwagę zajęta nowymi paskudnymi wojnami. Według Juliusza miejscem kultu Swebów - przynajmniej w tamtym czasie - był gaj, w którym odprawiali swoje obrzędy, ale jeśli zdarzyło im się tam przewrócić, to musieli stamtąd się wytaczać w pozycji horyzontalnej. Bez wątpienia Cezar podawał tam inne przydatne fakty, które mogłyby pomóc nam wydostać się z tego koszmarne miejsce, ale nie miałem wtedy dość pieniędzy, by kupić kolejny zwój z dalszym ciągiem.

W tym miejscu ziemia była pokryta szczególnie paskudnymi roślinami, a także odchodami jeleni i mlecznobiałymi rozmiękłymi grzybami. Obrzuciłem gniewnym spojrzeniem tę wrogą drewnianą rzeźbę i bezczelnie wykluczyłem możliwość wykonania rytuału opisanego przez Cezara. Kurs dla rekrutów nie obejmował toczenia się jak kłoda w celu prześlągania miejscowych bóstw, a

zresztą ten, który był ze mną, i tak by tej umiejętności nie opanował. Pociągnąłem go za rękę i postawiłem na nogi. Potem odwróciliśmy się i rozpoczęliśmy konwencjonalny odwrót.

Pożałowaliśmy tej decyzji.

Musieliśmy znowu przejść obok czegoś, co bardzo nam się nie podobało.

Konstrukcja przy wyjściu z gaju miała kształt prostopadłościanu i przypominała jeszcze jeden, znacznie większy ołtarz. Otaczała potężny słup, a składało się na nią wiele wąskich, szarych, podłużnych przedmiotów, o końcach nieregularnych albo zaokrąglonych. Budowano ją zapewne przez wiele pokoleń, bo teraz była szeroka na dwa długie kroki w każdą stronę i sięgała nam mniej więcej do pasa. Jej elementy ułożono rzędami, bardzo porządnie, najpierw w jedną stronę, potem poprzecznie, niczym gałązki w dobrze przygotowanym ognisku. Tyle że to nie były gałązki.

Był to ogromny stos kości. Kości ludzkich rąk i nóg. Musiano rozczłonkować setki ludzi, by utworzyć ten zbiór... najpierw wieszając na drzewach jako ofiary, potem tnąc z nonszalancją dzikusów na części, niczym porcje mięsa ze zwierząt rzeźnych. Z tego, co wiedziałem o celtyckich rytuałach, większość tych ofiar była młoda, tak jak my.

Zanim zdążyliśmy go powstrzymać, pies trybuna podszedł obwąchać ten fantastyczny zbiór kości. Odwróciliśmy wzrok w geście szacunku dla zmarłych, podczas gdy Tygrys pozdrowił każdy z rogów stosu owym szczególnym znakiem psiej rewerencji.

Oddaliliśmy się stamtąd w wielkim pośpiechu.

48

Potem zaczął się kolejny koszmar i znowu było to po ciemku, w lesie, z Lentulem. Tym razem to nie cisza wyprowadzała nas z równowagi. Nagle ze wszystkich stron otoczył nas hałas... coś albo ktoś przedzierał się pośpiesznie przez las. Skamieniliśmy. Potem usłyszeliśmy krzyk. Obce głosy wypełniły nocne powietrze. Od początku robiło to wrażenie pościgu i domyślaliśmy się, kto jest zwierzyną łowną. Zmusiłem Lentula do zmiany kierunku, w nadziei że dam w ten sposób pozostałym ludziom z naszej grupy jakąś szansę.

- Jestem przy tobie, panie! - zapewniał mnie mój towarzysz.

- To wielka dla mnie pociecha...

Zgubiliśmy ścieżkę i błędziliśmy, a połamane gałęzie i zwodnicze kępy mchu tylko czekały, byśmy się potknęli i poskręcali sobie nogi. Biegając przez krzaki, usiłowałem coś wymyślić. Byłem niemal pewien, że nikt nie widział, jak opuściliśmy tamten gaj. Może w ogóle nikt nas nie widział. Ktoś po prostu czegoś szukał, a może byli to myśliwi starający się upolować coś, co można wsadzić do kotła.

Zatrzymaliśmy się. Przykucnęliśmy w krzakach, spoceni i z ciekącymi

nosami.

Byle nie do kotła. Kimkolwiek byli, robili za dużo hałasu jak na mężczyzn, którzy chcą zwabić zwierzęta do sieci. Uderzali w krzaki, żeby wypłoszyć zbiegów. Chrapliwe śmiechy były bardzo niepokojące. Potem usłyszeliśmy psy. Rozległ się głos rogu. Teraz to całe hałaśliwe towarzystwo szło prosto na nas.

Byli tak blisko, że wyskoczyliśmy spod osłony krzaków. I tak by nas tam znaleźli. Ktoś nas zauważył. Znowu rozległy się okrzyki.

Ruszyliśmy biegiem, najszybciej jak umieliśmy, niezdolni nawet się obejrzeć, by sprawdzić, kim są nasi prześladowcy. Zgubiłem Lentula. Zatrzymał się, żeby przywołać psa trybuna. Ja pobiegłem dalej. Może go przegapią; może przegapią mnie; może nawet uda nam się umknąć.

Nie było mi dane. Powiększałem wprawdzie odległość pomiędzy sobą a ścigającymi, ale odgłosy, jakie usłyszałem, mogły świadczyć tylko o jednym: schwytali Lentula. Nie miałem wyboru. Jęknąłem i zawróciłem.

Musiała to być horda Brukterów. Stali wokół głębokiego dołu i śmiali się. Lentul wpadł do niego razem z Tygrysem. Może była to pułapka na zwierzęta, a może jeden z tych dołów służących za spiżarnie, które ich bohater Arminiusz kazał wykopać, żeby utrzymywać jeńców w świeżości. Rekrut najwyraźniej nie ucierpiał, słyszałem bowiem, jak wrzeszczy pełen animuszu, co napawało mnie dumą, jednak wojownicy drażnili go, potrząsając drewnianymi włóczniami. Musiał się potłuc, słyszałem też strach w jego głosie. Jeden z Brukterów podniósł włócznię. Było oczywiste, co zamierza. Zacząłem wrzeszczeć. Zbiegałem w dół, w dolinę, kiedy jakiś masywny tubylec o bardzo twardym barku, wyskoczył zza drzewa i przygniótł mnie do ziemi.

Lentul nie mógł mnie widzieć, ale najwyraźniej usłyszał mój upadek. Z jakiegoś powodu moja obecność zdawała się dodawać mu otuchy.

- Jak możemy porozmawiać z tymi ludźmi, skoro nie mamy tłumacza? - zawołał do mnie.

Ten chłopak był kompletnym idiotą...

Świat przestał wirować. Pomyślałem, że dla Lentula może to być ostatnia okazja, by usłyszeć życzliwe słowa, i nie miałem serca, by go zrugać.

- Mów powoli i się uśmiechaj... - poradziłem mu.

Mógł mieć problemy, żeby to odszyfrować. Trudno było mi mówić wyraźnie i ze zwykłą pewnością siebie, kiedy tak leżałem twarzą do dołu na leśnej ściółce, z nosem wciśniętym w liście, podczas gdy ogromny wojownik z nagim torsem, który nie mógł przecież zrozumieć mojego dowcipu, trzymał stopę na moim krzyżu i śmiał się do rozpuku.

49

O bogowie, jak ja nie znoszę tych prostackich, jowialnych typków. Człowiek nigdy nie wie, czy będą z niego po prostu kpić, czy też będą szydzić z tym radosnym chichotem, a potem odetną mu głowę toporem...

Mój prześladowca ustawił mnie sobie mniej więcej w pozycji stojącej, obrął z miecza i sztyletu, które obdarzył szyderczym spojrzeniem, ale zatrzymał, po czym popchnął mnie dalej w stronę swoich towarzyszy, którzy poszturchując Lentula włóczniami, zachęcili go do wydrapania się z zagłębienia. Chłopak wyciągnął psa, który bezzwłocznie okazał mu lojalność, zmykając stamtąd.

Uradowana hałastrą ustawiła nas obok siebie i dokonywała oceny zbioru niczym przyrodnicy oglądający kolekcję rzadkich żuków. Ci młodzieńcy nie wyglądali na szczególnie wyrafinowanych. Prawdopodobnie liczyli stworzeniom kończyny i czułki, odrywając je po kolei. Zacząłem odczuwać nerwowe swędzenie, nawet w tych członkach, których w ogóle nie miałem.

Wszyscy górowali nad nami wzrostem. Tak samo jak i reszta ich grupy, która pohukując triumfalnie, przyprowadziła naszych kolegów z obozu. Byli wśród nich zaginieni poszukiwacze skarbów, Probus i jego towarzysz. Tę dwójkę musieli znaleźć najpierw.

Z niepokojem szukałem u nich śladów obrażeń. Helwecjusz prezentował podbite oko i ostrą przypadłość objawiającą się niezwykle ordynarnym językiem, a niektórzy z jego rekrutów byli niecopotarmoszeni. Wyglądało na to, że najbardziej poszkodowany był niewolnik centuriona, choć niekoniecznie wskazywało to na niezwykle okrucieństwo Brukterów; był on postacią tak żalną, że aż się prosił o baty. Chłopcy powiedzieli mi później, że dali się pojmać całkiem spokojnie. Ostatecznie nasza wyprawa miała mieć pokojowy charakter. Wojownicy pojawili się obok namiotów zupełnie niespodziewanie. Helwecjusz, jak należy, starał się postąpić zgodnie z przyjętymi regułami, to znaczy - rozmawiać. Dopiero kiedy naszych ludzi zaczęto poszturchiwać, rozkazał im sięgnąć po broń, jednak wtedy było już na to za późno. Nigdy zresztą nie było najmniejszej nadziei, byśmy mogli cokolwiek osiągnąć, walcząc, szczególnie że było nas tak niewiele i znajdowaliśmy się bardzo daleko od domu.

Potem wojownicy zaczęli przeczesywać las w poszukiwaniu zbiegów. Mając mnie i Lentula, byli przekonani, że schwytali już wszystkich.

- Panie, a co z... - zaczął chłopak.

- Kogokolwiek zamierzasz tu wspomnieć... nie rób tego! - rzuciłem. Justyna i Orozjusza nie było tutaj. Pozostali naszą jedyną nadzieją, choć nawet nie ośmieliłem się zastanawiać na co. - Nie mów o nich... nawet o nich nie myśl, na wypadek gdyby twoje myśli miały ci się uwidocznic na twarzy.

Może już zresztą nie żyli, którego to losu sami się spodziewaliśmy.

Ku mojej wielkiej uldze nie zabrali nas do świętego gaju. Przynajmniej na razie.

Było już całkiem ciemno. Pognali nas w stronę rzeki, choć do samego brzegu nie dotarliśmy. To był kolejny powód, by odczuć ulgę. Gdyby wrzucili mnie z pomostu do wody jako kąsek dla jakiegoś rzecznoego bożka, musiałbym

natychmiast złożyć duszę w jego pletwiaste dłonie. Nie udało mi się wykręcić pływaniem. Dla rekrutów też nie było wiele nadziei; najpewniej przeszli ten sam wojskowy kurs wodnych umiejętności co ja.

Szliśmy, potykając się, otoczeni ze wszystkich stron przez wojowników. Cieszyli się, że mają z kogo szydzić. Nie czynili nam poza tym żadnej krzywdy, choć nie ryzykowaliśmy pytań, na przykład, kto jest ich wodzem albo kiedy się zatrzymamy, żeby coś przekąsić.

Po kilku godzinach dotarliśmy do osady, którą tworzyły domy z drewna i gliny, ze stromymi dachami schodzącymi niemalże do samej ziemi. W świetle dymiących pochodni zobaczyliśmy kilka zwróconych w naszą stronę bladych twarzy. Usłyszeliśmy ryk wołu.

Nasi prześladowcy wpędzili nas przez wejście umieszczone w końcu ściany do długiej obory, przylegającej pod kątem prostym do największego domu. Jeszcze całkiem niedawno mieszkało tam bydło; domyśliliśmy się tego po zapachu. Wsypaliśmy się więc do pomieszczenia, które miało przejście pośrodku i oddzielone od siebie słupami boksy ze żłobami. Z drugiego końca nie było boksów, tylko goła polepa. Usłyszeliśmy, jak potężna sztaba opada na drzwi od zewnątrz. Zbadanie tych pokoi gościnnych nie zajęło nam dużo czasu. Potem usiedliśmy w kucki i rozglądaliśmy się wokół.

- I co teraz, Falkonie? - ktoś spytał. Dotarliśmy do tego punktu katastrofy, kiedy ludzie nie mają już innego wyjścia i muszą się zwrócić do mnie. W tym momencie najprawdopodobniej wszyscy zamierzali mi przypomnieć, że wycieczka nad rzekę była moim pomysłem.

- Musimy poczekać i się przekonać - odparłem głosem, w którym brzmiała umiarkowana pewność siebie. - Nie możemy jednakże oczekiwać, że spytają nas, którego z elokwentnych adwokatów spośród ich uczonych prawników chcielibyśmy wynająć.

- Skąd im przyszło do głowy, żeby nas szukać?

- Domyślam się, że to sprawka Dubnusa.

Przygotowaliśmy się na długie oczekiwanie i nie mieliśmy wielkich nadziei na szczęśliwy finał.

- Może jakaś piękna dziewczyna przyniesie nam kubeł z kolacją, zakocha się we mnie i pomoże nam uciec - marzył sobie Askaniusz. Był najchudszy i najbardziej niechlujny spośród wszystkich rekrutów.

- Nie liczyłbym na kolację, Askaniuszu.

Mniej więcej w połowie długiego budynku znajdował się otwór zakryty okiennicą. Uchyliły ją dzieci o płowych włosach i z wielką ciekawością nam się przyglądały. Znudziło to wreszcie Helwecjusza, który wstał i ją zatrzęsął. Powiedział nam, że przy okazji wyjrzał i zobaczył tych postawnych wojowników stojących w grupach i rozmawiających. Schował się szybko, żeby widok szpakowatej rzymskiej głowy nie sprowokował ich do jakichś

morderczych akcji.

Najwyraźniej na kogoś czekali i ten ktoś pojawił się mniej więcej po godzinie. Gwar rozmów przybrał na sile. Wszyscy trajkotali w sposób, który przypominał mi moich krewnych bezsensownie spierających się o to, czy urodziny ciotecznej babki Acji przypadają w maju czy w czerwcu. Temu ważnemu mężowi musiało się w końcu to znudzić, bo otworzył drzwi i wszedł do środka, żeby się nam przyjrzeć.

Miał około pięćdziesiątki. Rdzawe włosy przerzedziły mu się i wyblakły, więc żeby to zrekompensować, pozwolił im rosnąć. Splątane kosmyki zwisały mu na plecach. Ksantus byłby wstrząśnięty. Nosił też długie wąsy, którym bardzo przydałaby się wzmacniająca pomada, a nad nimi, między wodnistymi bladoszarymi oczami, tkwił bulwiasty czerwony nochal. Był duży pod każdym względem: szerokie ramiona, grube kości, wielka głowa, wielkie dłonie. Miał na sobie brązowe wełniane spodnie, tunikę z długimi rękawami i zielony płaszcz, z okrągłą złotą broszą, która służyła nie tylko do spinania, ale podnosząc się i opadając w teatralny sposób, pokazywała, jak przy każdym wdechu zwiększa się objętość jego klatki piersiowej. Inni mogli sobie wyglądać na niedożywionych, ale ten gość był w doskonałej kondycji fizycznej.

Za nim weszła do środka jego obstawa. Młodszy ludzie, a każdy mógłby posłużyć za przystojnego modela do posążku Szlachetnego Członka Plemienia, gdyby tylko go trochę podtuczyć i nauczyć rzucać melancholijne celtyckie spojrzenie. Kiedy nie zwracano na nich uwagi, ich spojrzenia stawały się tak samo puste jak spojrzenia wszystkich innych młodych wieśniaków na świecie. Większość z nich obchodziła się bez tuniki, żeby pokazać, jacy są twardzi (albo ubodzy). Sплюwali często, dla zasady, i spoglądali na nas groźnie, kiedy tylko przypomnieli sobie, że ich zadaniem jest zachowywać się nieprzyjemnie wobec pojmanych. Wszyscy nosili długie germańskie miecze, najwyraźniej żeby mieć coś wspianego, na czym mogliby wspierać dłonie, kiedy ich wódz jest zajęty. Ten zaś wyglądał na kogoś, kto ciągle gdzieś się oddala, co chwilę interesuje czymś innym. Robił wrażenie dziwaka, a nawet w Rzymie owa niejasna aura lekkiego szaleństwa bardzo się czasami przydaje kandydatom w wyborach.

Byliśmy przygnębieni i wściekli na siebie, więc kiedy nie uczynił najmniejszej próby, żeby się z nami porozumieć, nie ruszyliśmy się z miejsca i dalej siedzieliśmy w dwóch rzędach po obu stronach przejścia. On się przechadzał w tę i z powrotem, a my milczeliśmy. Byliśmy głodni i zmęczeni i staraliśmy się, żeby było to widać, ale w żadnym razie nie zamierzaliśmy pokazać, że jesteśmy zniechęceni. Człowiek czerpiący siłę z dumnego rzymskiego dziedzictwa może wyglądać zadzierzyście nawet wtedy, kiedy siedzi w kucki na grubej warstwie zbitego gnoju. Cóż, Helwecjuszowi to się udało, choć on akurat miał tę przewagę, że był centurionem; a to napawająca

dumą ranga.

Wódz poruszał się powoli, stąpał tak, jakby chciał ubić ziemię na skałę. Wrócił do punktu startowego, po czym znowu odwrócił się w naszą stronę. Świsnął ordynarnie przez zęby, jakby wypluwał pestkę. Wyglądało na to, że jest to jego ocena naszej grupy i jednocześnie wyraz głębokiej pogardy. Byłem zdumiony, że znalazł dwa zęby, żeby tego dokonać, bo miał poważne braki w uzębieniu.

- Ktoś mu powinien powiedzieć, żeby był ostrożniejszy - oświadczył drwiąco Askaniusz. - Prawdopodobnie w ten sposób stracił tę resztę.

Spojrzenie wodza spoczęło na Askaniuszu. Wszyscy zdaliśmy sobie sprawę z tego, że zrozumiał te słowa.

Wstałem, jakbym był rzecznikiem grupy.

- Przybywamy jako przyjaciele - oznajmiłem. Marek Dydiusz Falko, zawsze pełen nadziei naiwniak. - Podróżujemy, by zobaczyć się z Weledą, waszą sławną wieszczką - dodałem. Imię Weiedy wywarło na nim takie wrażenie jak liść sałaty na padlinożernym ptaszysku.

- Przybywacie jako przyjaciele? - Wódz uniósł wyżej podbródek. Skrzyżował ramiona na piersi. Poza była nieco banalna, ale w tych okolicznościach miał do niej prawo. - Jesteście Rzymianami w Wolnej Germanii - oznajmił. Jego wymowa był okropna, ale łacina wystarczająco dobra, by mógł pouczać grupę cuchnących renegatów. - Nie macie wyboru. Jesteśmy Brukterami - poinformował nas wyniośle. - My go mamy!

Powtórnie prychnął z pogardą i wyszedł.

- No to już wszystko jasne - zawołał niepoprawny Askaniusz. - Odwołał spotkanie z dziewczicą. Żadnej kolacji, chłopcy!

Nie mylił się.

50

Piękna dziewczica musiała być zajęta następnego ranka, bo przysłała nam swoją siostrę. Ta miała figurę jak słupek od namiotu, twarz jak spodnia strona głazu i żadnej osobowości. To może by jeszcze nas nie przygnębiło, ale do tego wszystkiego nie miała pojęcia o gotowaniu.

- Dziękuję, moja droga - odezwałem się do niej uprzejmie, podczas gdy inni robili kwaśne miny. - Jesteśmy zachwyceni, że mogliśmy cię poznać, a także twój wytworny garnek z owsianką. - Przyniosła nam cztery miski na dwudziestu dwu chłopca i metalowy kocioł jakiejś letniej kleistej brei.

Nie zwróciła na mnie najmniejszej uwagi i głośno tupiąc, wyszła. Udałem, że wolę kobiety o mniej nachalnej urodzie.

Członkowie miejscowej grupy Brukterów wstawali późno. Znajdowaliśmy się w uśpionej wiosce, która byłaby idealnym miejscem na odpoczynek, gdyby tylko jej mieszkańcy zechcieli nas polubić. Dopiero późnym przedpołudniem usłyszeliśmy pierwsze oznaki życia.

- Uwaga, coś się dzieje... - zauważyłem.

Wyrzeliśmy przez okiennicę i zobaczyliśmy, że ludzie wrócili po splądrowaniu naszego obozu.

Helwecjusz i ja odepchnęliśmy pozostałych i przeliczyliśmy nasz bagaż i konie.

- Wychodzi mi, że brakuje sześciu zwierząt i jednego namiotu...

- I jeszcze kaset z gotówką, oszczepów...

- Prawdopodobnie części prowiantu i osobistego ekwipunku trybuna...

- Och, już on się dobrze sprawi! - szepnął z dumą Helwecjusz. - Na Mitrę, to porządny chłopiec!

Kamil Justyn będzie mógł przynajmniej napisać w sprawozdaniu do Rzymu, że dostaliśmy się w ręce Brukterów. Miał zapasy, wierzchowce i Orozjusza za towarzysza. Teraz, kiedy nas już mieli, nie będą tak czujni. Powinno mu się udać stąd umknąć. To była nasza największa nadzieja. Czegóż innego można oczekiwać po dobrze wychowanym młodym dowódcy, wspomaganym przez raczej dość ograniczonego umysłowo rekruta.

Na ogół czegoś niemądrego (według Helwecjusza).

Przybycie koni oznaczało zmianę miejsca pobytu. Dobrze było pożegnać się z cuchnącą oborą. Niestety, było parę przykrych aspektów. Zostawiali na miejscu nasz cały bagaż, biedny Askaniusz stracił okazję do kochania się z tą dziewczyną od owsianki, a co najgorsze, Brukterowie wybierali się w podróż konno... na naszych koniach. Nas pogonili obok, na piechotę. A nie lubili jeździć wolno. I jak się okazało, miejsce, do którego nas zabierali, było odległe o kilka dni drogi.

- Popatrzcie na tę jaśniejszą stronę. Przynajmniej kierujemy się na zachód. Mogli popędzić nas w głąb germańskiego terytorium... Każda mila, którą przedrepczemy, to mila bliżej domu.

- To jak stąd daleko do Rzymu, Falkonie?

- Na Jowisza, nie pytaj!

Kiedy Brukterowie znudzili się zaganianiem nas jak gęsi za pomocą irytujących gwizdów i patyków z ostrymi kolcami, uformowaliśmy regularną kolumnę i pokazaliśmy im, jak maszerują budowniczo imperium. Nawet rekruci znaleźli w sobie inspirację, by wyglądać porządniej. Martwiłem się, czy niewolnik centuriona sobie poradzi, tymczasem okazało się, że po dwudziestu latach w wojsku nabrał takiej wprawy, że potrafił nie tylko dobrze maszerować, ale i jednocześnie narzekać.

Nawet śpiewaliśmy. Wymyśliliśmy sobie przyśpiewkę do marszu, która zaczynała się słowami: *Och, jak ja lubię swoją miseczkę, z własnym imieniem wybitym młoteczką...* a potem wymieniała listę przedmiotów wchodzących w skład wyposażenia legionisty (a jest w czym wybierać), dochodziła do jego dziewczyny, od którego to miejsca forma pozostawała ta sama,

wprowadzaliśmy natomiast sprośny kontrapunkt. Rekruci byli zachwyceni. Nigdy wcześniej nie ułożyli własnej piosenki.

- To naprawdę świetna przygoda, centurionie!

Bez wątpienia. Bagna, lasy, duchy, pełne czaszek polany, a my brudni, przerażeni i wygłodzeni kończymy jako niewolnicy...

- Centurionie, uważam, że ci ludzie, których nigdy nie wspominamy, nas uratują. Co o tym sądzisz?

Helwecjusz wyraził swoją opinię jednym słowem. Grubiańskim.

Ja natomiast powiedziałem, że jeśli, tak jak przypuszczam, ludzie, których nigdy nie wspominamy, zachowali się rozsądnie i ruszyli do domu tak szybko, jak mogły ponieść ich konie, gotów jestem przyjmować pomysły na próbę uratowania się. Nikt żadnych nie zgłosił.

Odśpiewaliśmy kolejne trzynaście zwrotek tej piosenki o miseczce, by pokazać rudowłosym Brukterom, że nas, Rzymian, nigdy nie pognębią.

I tak, z odciskami na stopach i głęboko skrywanym niepokojem, dotarliśmy do dużej poręby nad brzegiem rzeki, gdzie jeszcze więcej Brukterów zebrało się w pobliżu podejrzanie wysokiej wieży. U jej podnóża, w kilku porządnych lepiankach, mieszkała grupa chudych tubylców, którzy zdołali wyposażyć się w imponujące ilości złotych bransolet i wysadzanych klejnotami zapinek do płaszczy. Ci podejrzani osobnicy przypominali mi koniokradów, którzy mieszkają na Bagnach Pomptyjskich i zarabiają na życie wyklepywaniem krzywych garnków. Mieli takie same rozbiegane oczy, ale każdy posiadał szykowny naszyjnik celtycki, pas z porządnymi emaliowanymi ozdobami oraz różne pochwy ze srebra albo brązu. W przeciwieństwie do pozostałych nosili po kilka warstw odzienia i za duże buty. Trzymali dla zabawy bardzo piękne psy myśliwskie, a przed ich miejscem zamieszkania tkwił ostentacyjnie najnowszy model wiklinowego rydwanu.

Wszyscy ci mężczyźni mieli tyczkowate postury, wydłużone podbródki i ta ich moc przyciągania bogatych darów musiała pochodzić od kogoś innego. Kiedy domagali się darów, nikt nie śmiał oponować. Wśród Brukterów nie było nawet takich, którzy by tego chcieli. Ci mężczyźni bowiem, bez najmniejszej wątpliwości, byli krewnymi Weledy.

Byliśmy ze sobą powiązani, ale wolno nam było się przemieszczać.

Ruszyliśmy prosto w kierunku miejsca, gdzie na pewno mieszkała wieszczka. Mogłem się dawno domyślić. Bo niby odkąd to plemiona celtyckie budowały wysokie wieże? Weleda usadowiła się w dawnej rzymskiej placówce sygnalizacyjnej.

Poczyniono pewne adaptacje w tej teraz absurdalnie wykorzystywanej budowli. Na szczycie wciąż znajdowała się platforma do obserwacji i rozpalania ognia, ale zabudowano ją ścianami z plecionki i położono na nich przytulny drewniany daszek. Niedawną próbę rozbicia cesarstwa na pewno

nadzorowano z jednej z naszych własnych budowli. Zdegustowani zmieniliśmy kierunek.

W tym miejscu rzeka była już tak szeroka, że mogły po niej pływać statki. Przy brzegu kołysały się przeróżne stateczki tubylców, wśród nich łodzie o wysokich burtach i skórzanych żaglach, lekkie płytkie łódki i łodzie z wiklinowym szkieletem obciągniętym skórą. I stał też jeden większy, wyższej klasy statek, który wydawał się tutaj dziwnie nie na miejscu. Rekruci byli nim zafascynowani i nieustannie zawracali, żeby mu się przyjrzeć, nie zważając na pokrzykiwania naszych strażników. Kompletnie zapomniałem, że wielu spośród nich pochodzi z wybrzeża Adriatyku.

- To liburn!

Liburny to lekkie, szybkie i zwrotne dwurzędowe galery, wywodzące się ze śródziemnomorskich okrętów pirackich i często wykorzystywane przez rzymską flotę. Ten konkretny miał na dziobie mocno zdobną podobiznę Neptuna i bardzo szykowną kabinę na rufie. Utrzymywał się na wodzie, choć obrabowano go z połowy wiosł, a olinowanie było kompletnie splątane. Nic nie świadczyło o tym, by kapłanka wypływała nim w wycieczkowe rejsy. Musiał tu tkwić zaniedbany od wielu miesięcy.

- To jest najpewniej okręt flagowy - oświadczyłem - który skradziono spod nosa Petyliuszowi Cerialisowi.

- Ojej, ależ on jest śliczny. Jak mógł na to pozwolić?

- Był w łóżku ze swoją kobietką.

- Coś podobnego!

- Mniejsza o nieostrożność dowódcy. Tak jak tę wspaniałą galerę, nas też na pewno przyprowadzono tutaj jako dar dla wieszczki. Więc się przymknijcie, trzymajcie razem i miejcie oczy otwarte, żeby dostrzec zapowiedź kłopotów. Ostatniego daru dla tej pani, w postaci żywego Rzymianina, już nigdy więcej nie widziano. I można spokojnie założyć, że biedak już nie żyje.

Mimo tych słów miałem ciągle nadzieję, że spotkamy zaginionego legata Luperkusa i odkryjemy, że został tubylcem i żyje sobie z Weledą jak książę. Tylko się łudziłem. Doskonale znałem inne, bardziej prawdopodobne możliwości. I wiedziałem, że dotyczą one także nas.

- Czy wieszczka jest teraz tam, na szczycie wieży? - chciał wiedzieć Lentul.

- Nie wiem.

- Poprosisz, żeby cię przyjęła?

- Wątpię, by na to pozwolili. Zanim się jednak do nich odezwę, muszę się zorientować w sytuacji.

- O, lepiej nie wchodź do tamtej wieży, panie. Bo możesz z niej nigdy nie wyjść - ostrzegął mnie z powagą.

- Będę o tym pamiętał.

Ten zjazd Brukterów wyglądał na wcześniej zaplanowany.

Dostawcy prowiantu musieli mieć mnóstwo roboty. Celtowie znani są z tego, że ich umówione spotkania charakteryzują się trzydniowym marginesem, w obie strony. Tutaj właśnie trwała uczta przy z grubsza obrobionych stołach na kobyłkach. Wyglądało na to, że trwa nieprzerwanie. Zapewne dla zabicia czasu, dopóki nie zbierze się coś na kształt przyzwoitego kworum. Zastanawiałem się, kto wystosował zaproszenia dla tej zbieraniny. A potem starałem się nie myśleć, jaki wpływ na nasz los może mieć to zgromadzenie.

Nasza grupa, ze swoim interesującym sznurem więźniów, wzbudziła wielkie poruszenie. Członkowie świty innych wodzów czuli się w obowiązku zaczepiać i próbować wyprowadzić z równowagi mającą na swoim koncie taki sukces drużynę naszego wodza. Zabrali się do wygrażania nam, jeńcom, i do obrzucania nas obelgami, co ignorowaliśmy, ponieważ było widać wyraźnie, że ci, którzy nas pojмали, nie pozwolą innym nad nami się pastwić, uważając to za własny przywilej. Wyczuwaliśmy u nich właścicielski stosunek do nas, więc podjudzaliśmy ich i udało nam się wywołać niezłą bójkę. Żaden nie wydawał się nam wdzięczny za te zachęty, a ostatecznie wszyscy się znudzili i zasiedli do ucztowania.

Nas też nakarmiono, skromnie. Wojownicy pałaszowali proste, ale solidne żarcie: chleb, owoce, gorącą pieczoną dziczyznę i chyba jakieś ryby. Dla nas kucharka zadała sobie trud upichcenia kolejnej odmiany miejscowego specjału, owsianki; przypominało to jedzenie gorącego okładu z papki na ranę. Był też napój (rodzaj sfermentowanego soku żurawinowego). Ale ostrzegłem chłopców, żeby nie przesadzali z piciem, bo mogą nam się później przydać trzeźwe głowy. Po naszym krótkim spotkaniu z siostrą dziewczicy kobiety tutaj okazały się znacznie ciekawsze; dziewczę, które przyniosło dzban z sokiem, zdecydowanie warte było grzechu. Kazałem się im jednak trzymać od niej z daleka, stając się tym samym jednoznacznie najmniej lubianym członkiem naszej grupy.

Czas mijał. Oparłem plecy o pień drzewa, rozmyślając. Czas nie miał dla tych ludzi większego znaczenia. Czegóż jednak można oczekiwać po nieudolnych plemionach, którym nie udało się wynaleźć zegara słonecznego, a co dopiero mówić o zaimportowaniu z Italii zegara wodnego, który rządziłyby surowo ich wolnymi godzinami? Na bogów, te dzikusy uważały, że życie polega na robieniu, co się chce, i czerpaniu z tego radości. Jeśli kiedyś ascetyczne zasady greckiej filozofii przesączą się do tych sennych ostępów, tutejszych ludzi czeka niezły wstrząs. A ponieważ byli tacy niezorganizowani, to nie dziwota, że synom i przybranemu wnukowi nadzwyczaj metodycznego Oktawiana Augusta nigdy nie udało się zebrać ich tylu naraz, żeby można było zrobić porządny pokaz poddania się Rzymowi. Rzym miał swój konsekwentny sposób wychowywania ludów plemiennych... wpierw jednak trzeba tych ludzi zebrać, posadzić i wyjaśnić wszystkie korzyści, jakie ich czekają.

Tutaj to Brukterowie zmusili nas, żebyśmy siedzieli i czekali. Traktowaliśmy wyniośle takie złamanie dyplomatycznej etykiety.

Nic się nie działo. Nie wyczuwało się, by ktokolwiek inny czekał, że coś się wydarzy. Prawdę mówiąc, dla nas ta cała impreza nie miała żadnego sensu. Siedzieliśmy na uboczu, związani tym cienkim powrozem, i rozsadzała nas niecierpliwość, by nastąpiło wreszcie jakieś wydarzenie o charakterze formalnym, nawet jeśli miałyby to oznaczać formalność dotyczącą decyzji o naszym losie.

Askaniusz puścił oko do dziewczyny z dzbanem soku. Zignorowała go, więc spróbował pochwycić kraj jej wełnianej spódnicy. A na to ona, z miną osoby, która już nieraz to robiła, wylała mu resztę soku na głowę.

Niektóre rzeczy wszędzie wyglądają tak samo.

Kiedy okręcała się w miejscu, ze ślicznym noskiem uniesionym wysoko do góry, posłałem jej znużony uśmiech, na co zareagowała naprawdę uroczym uśmiechem. Moje notowania ponownie wzrosły.

Obserwowanie innych ludzi, kiedy sobie uczują, jest beznadziejnie nudnym zajęciem.

Minęło jeszcze więcej czasu. Zbliżał się wieczór. Niezależnie od tego, co Dubnus mi powiedział o podejściu Germanów do picia, wino z żurawiny było bez wątpienia jednym z trunków tej krainy o zdecydowanie podstępny działaniu. Moja cioteczna babka, Febe, robiła podobny syrop na kaszel z jagód mirtu, co regularnie przyczyniało się do zamieszek w Saturnalia. To by im tutaj smakowało. Wkrótce szum rozmów przybrał na sile i przemienił się w krzyki ostrej dyskusji. Tak jak to zdarza się wszędzie, większość kobiet doszła do wniosku, że jeśli zbiera się na awanturę, to one wolą się stąd zabrać i pójść sobie pogwarzyć gdzieś indziej. Pozostało kilka twardszych sztuk... najwyraźniej te gorzej potraktowane przez życie. Wyglądały na jeszcze bardziej podpite od mężczyzn. Mężczyźni, na których dotąd ten mocny czerwony trunek nie robił wrażenia, teraz świecili gniewnymi spoconymi twarzami. Wyrażano opinie, co zawsze zwiastuje niebezpieczeństwo. W odpowiedzi wyrażano mocniejsze przekonania powolnymi niewyraźnymi głosami, wkrótce podkreślane waleniem w stół. Potem nasz wódz podniósł się chwiejnie i z wdziękiem pijanego wygłosił żarliwą przemowę. Najwyraźniej przekonywał do głosowania.

Cóż, bylibyśmy zadowoleni, że nasz człowiek okazał się takim gorącym dyskutantem; każdy więzień lubi pomyśleć, że został pojmany przez godnego nieprzyjaciela. Niestety, ze spojrzeń rzucanych w naszą stronę wynikało, że waży się nasz los. Otrzymaliśmy też zdecydowaną wskazówkę, że nasz wódz postanowił wzmocnić swój status, proponując złożenie jeńców w gaju jako kolejną ludzką ofiarę.

Przemowa była długa; gość lubił sobie porozprawiać. Powoli hałas ulegał

zmianie, kiedy wojownicy zaczęli uderzać włóczniami o tarcze.

Wiedziałem, co to oznacza.

Uderzanie o tarcze było coraz głośniejsze i szybsze. Instyktownie zbiliśmy się ciasno. Ciśnięta celnie włócznia drgała, stercząc z trawy u naszych stóp.

Hałas przycichł. Było niezwykle cicho jak na taką dużą gromadę ludzi zmęczonych ucztowaniem i kłótniami. Powoli wszyscy skupili na czymś swoją uwagę.

Naszym oczom ukazała się kobieta na białym koniu. Jechała na oklep i nie używała uzdy.

51

Helwecjusz chwycił mnie za ramię.

- Załóżę się, że to ta wieszczka - powiedział.

- Nie masz się z kim założyć, stary - odparłem.

Dwóch chudzielców, którzy trudnili się przekazywaniem przybyszom wiadomości, szło po bokach konia. Gdyby nie niósł na grzbiecie jeźdźca, rzekłbym, że nie jest ujeżdżony. Był stosunkowo niewielki, kudłaty i miał szalone oczy. Każdy z chudzielców trzymał rękę na grzywie, by sterować tym stworzeniem, obaj wyglądali na zaleknionych i nerwowych i nie ulegało wątpliwości, kto kontroluje ich oraz tego dzikiego konia.

Weleda zsiadła z wierzchowca pośród swojego ludu. Klaudia Sakrata powiedziała, że mężczyźni uznaliby ją za piękną. Miała rację. W naszej grupie było dwudziestu dwóch mężczyzn; wszyscyśmy tak uważali.

Była wysoka, spokojna i stanowcza. Miała bladą cerę. Mężczyźni o takiej skórze wyglądają na słabych i lalusiowatych, natomiast kobiety tajemniczo. Długa fala jasno-złotych włosów spływała jej do bioder. Były idealnie wypielęgnowane. Helena powiedziałyby, że kobieta, która tkwi samotnie na wieży, może poświęcić mnóstwo czasu na czesanie. Miała na sobie purpurową szatę bez rękawów i była wystarczająco kształtna, by głębokie wycięcia pod szyją i pod pachami przyciągały wzrok. Jej niebieskie oczy wyrażały przeświadczenie o posiadanej władzy.

Próbowałem wymyślić, w jaki sposób zdobyła taką wysoką pozycję. Robiła wrażenie powściągliwej, ale pewnej siebie. Wyglądała na taką, która nie tylko potrafi podjąć decyzję, ale też przekonać innych, że to, co postanowiła, jest dla nich najlepsze. Dla nas oznaczała zgubę. Wieszczka Brukterów miała za dużo lat, by uznać ją za młódkę, a też nie dałoby się jej nazwać starą. Dla Rzymu była w kompletnie niestosownym wieku. Wiedziała za dużo, by nam wybaczyć, a za mało, by zdążyła się zmęczyć zwalczaniem nas. Zorientowałem się natychmiast, że nie mamy jej nic do zaoferowania.

Helwecjusz też to wiedział.

- Powodzenia, Falkonie. Miejmy tylko nadzieję, że nie trafiliśmy na jej próg w nieodpowiednim dniu miesiąca - powiedział.

Miałem pięć sióstr i przyjaciółkę, które potrafiły się rozedrzyć, kiedy im to pasowało; nauczyłem się robić uniki. Zacząłem jednak myśleć, że ta pani może uważać każdy dzień za niewłaściwy, by mieć do czynienia z Rzymianami. Poczulem niepokój w żołądku, wywołany paskudnym jedzeniem i niewyspaniem.

Weleda poruszała się pośród uczujących mężczyzn, jakby ich witała. Jako gospodyni ani nie okazywała chłodu, ani nie roztaczała natarczywego uroku. Jej sposób bycia był otwarty, choć pełen rezerwy. Nie widzieliśmy, by cokolwiek jadła (część jej aury - obywała się bez pożywienia), choć raz podniosła kielich, pozdrawiając całe zgromadzenie, na co odpowiedziano oklaskami i radosnymi okrzykami. Kiedy obchodziła stoły, ludzie rozmawiali z nią jak równy z równym, ale bardzo uważnie słuchali tego, co ona mówi. Tylko raz zobaczyliśmy, jak się śmieje, razem z wojownikiem, który najprawdopodobniej pierwszy raz przyprowadził na to zgromadzenie swojego nieletniego syna. Rozmawiała kilka chwil z chłopcem, który był tak przejęty, że prawie się nie odzywał.

Ludzie wręczali jej dary. Wojownik, który mnie pochwycił, dał jej mój sztylet. Nasz wódz wskazał nas ręką. Najpewniej właśnie podziękowała mu za podarunek. Spojrzała raz w naszą stronę, a my odnieśliśmy wrażenie, jakby bez żadnej informacji wiedziała o nas wszystko.

Ruszyła dalej.

Chwyciłem oburącz i rozerwałem ten cienki powróż, który łączył mnie z pozostałymi. Podszedłem do niej... choć nie tak blisko, by zarobić włócznię w gardło. Była wyższa ode mnie. Miała na sobie piękny pleciony naszyjnik celtycki ze stopu złota, nie taki ciężki jak inne, ale bardziej misterny; pochodził chyba z Hibernii. Kolczyki były greckie - złote półksiężycy o powierzchni pokrytej warstwą drobnutkich kuleczek w wyniku techniki granulacji. Wyglądały zachwycająco, tak jak jej piękna, gładka skóra. Przez chwilę miałem uczucie, że zbliżam się po prostu do atrakcyjnej dziewczyny, której dopisało szczęście przy podziale pamiątek rodzinnych. Zaraz jednak odczułem pełną moc jej osobowości. Z bliska ta w pełni wykorzystywana błyskotliwa inteligencja stawała się natychmiast zauważalna. Te błękitne oczy zdawały się oczekiwać starcia ze mną. Były zupełnie nieruchome. Nigdy wcześniej nie byłem świadom spotkania z kimś tak wyraźnie odmiennym.

Najbardziej niebezpieczna była jej rzetelność. Cyrk zgromadzonych wokół niej włóczędów mógł się składać z samych szarlatanów. Natomiast Weleda odstawała od reszty i jaśniała nieskażona ich tandetnością.

Zwróciłem się do wodza.

- Powiedz waszej wieszczce, że przebyłem tę długą drogę z Rzymu po to, by z nią porozmawiać - oświadczyłem. Byłem zaskoczony, że nikt nie sięgnął po broń, ale wyglądało na to, że czekają na jej znak. Nie dała go. Wódz też nie

zareagował na moją prośbę. - Powiedz Weledzie - powiedziałem z naciskiem - że chcę z nią mówić w imieniu cezara!

Drgnęła zniecierpliwiona, zapewne na dźwięk tego znienawidzonego i wywołującego lęk słowa. Wódz powiedział coś w ich języku. Weleda milczała.

Dyplomacja jest trudną sztuką nawet wtedy, kiedy ludzie doceniają twoje wysiłki. Straciłem cierpliwość.

- Moja pani, nie miej takiej srogiej miny... psuje to obraz ślicznej twarzyczki! - Kiedy zirytowany zacząłem mówić, nie przejmując się, czy zrozumie, byłoby słabością teraz zamilknąć. - Przybyłem w pokoju. Zobaczysz, jeśli zechcesz im się przyjrzeć, że członkowie mojej eskorty są młodzi i niedoświadczeni. Nie stanowimy żadnego zagrożenia dla potężnych Brukterów - oświadczyłem. Szczerze mówiąc, te ostatnie doświadczenia, a możliwe że przebywanie z takimi twardzielami jak Helwecjusz i ja, zahartowały rekrutów.

Moja przemowa spowodowała, że na twarzy Weledy pojawiła się wzgarda, więc nie zwlekając, ciągnąłem dalej:

- Już samo przybycie z misją pokojową, o którą nikt nie prosił, jest rzeczą trudną. Miałem nadzieję doświadczyć waszej legendarnej germańskiej gościnności. Jestem rozczarowany, pani, naszym obecnym położeniem... - Ponownie wykonałem gest w stronę naszych ludzi; skupili się teraz bliżej mnie. Tym razem jakiś wojownik, zapewne pijany, źle to zrozumiał i szarpnął się agresywnie do przodu.

Weleda nie zareagowała, jednak ktoś inny go powstrzymał. Westchnąłem.

- Chciałbym móc powiedzieć, że porozumiewanie się nie wygląda na mocną stronę twoich współplemieńców... jednakże ich zamiary wobec nas są boleśnie oczywiste. Jeśli odmawiasz wysłuchania mojego przesłania, proszę cię po prostu, pozwól mi wrócić wraz z towarzyszami do naszego cesarza i powiedzieć mu, że ponieśliśmy porażkę.

Wieszczka w dalszym ciągu przyglądała mi się bez ruchu. W moim życiu pełnym trudnych rozmów było to coś zupełnie nowego. Spróbowałem lżejszego tonu.

- Jeśli rzeczywiście chcesz uczynić nas wszystkich niewolnikami, ostrzegam, że moi żołnierze to wychowani na wybrzeżu rybacy; nie wiedzą absolutnie nic o bydle i żaden z nich nie potrafi orać. Jeśli zaś chodzi o mnie, to daję sobie radę z lekką uprawą warzyw i owoców przeznaczonych na rynek, jednak moja matka powiedziałaby ci, że w domu jestem kompletnie bezużyteczny...

Dopiąłem swego.

- Milczeć! - rozkazała Weleda.

Osiągnąłem więcej, niż miałem nadzieję osiągnąć.

- W porządku. Jestem grzecznym rzymskim chłopcem, księżniczko. Kiedy kobiety wydają mi polecenie po łacinie, robię, co każą.

Teraz do czegoś zmierzaliśmy. Jak zwykle, nie tam, gdzie bym chciał.

Wieszczka uśmiechnęła się gorzko.

- Tak, mówię waszym językiem. Okazało się to niezbędne. Bo czy kiedykolwiek jakiś Rzymianin zechciał nauczyć się naszego? - Miała silny, fascynujący głos, którego można by słuchać z przyjemnością. Nic mnie już nie dziwiło. Wszystko, co robiła czy mówiła, wydawało się uzasadnione. To oczywiste, że kiedy przybywali kupcy, chciała usłyszeć nowiny i jeszcze mieć pewność, że jej nigdy nie oszukają podczas transakcji. To samo dotyczyło wszelkich wysłanników, którzy wynurzali się z lasów.

Znałem trochę celtycki z czasów pobytu w Brytanii, jednak plemiona mieszkaly tak daleko od siebie, że dialekty znacznie się różniły i tamten był tutaj bezużyteczny.

Oparłem się zatem na zwyczajnych, upokarzających rytuałach dyplomacji.

- Twoja uprzejmość jest dla nas naganą - zacząłem. Zabrzmiało to jak kwestia z komedii jakiegoś nędznego wierszoklety z Tuskulum. - Mogę wychwalać Weledę za jej urodę, sądzę jednak, że woli, bym podziwiał jej umiejętności i intelekt...

Pani Weleda odezwała się cicho we własnym języku. To, co powiedziała, było krótkie i rozśmieszyło jej ludzi. Wyrażenie było zapewne o wiele ostrzejsze, natomiast jego sens był oczywisty: Ten człowiek mnie nuży.

I tyle mamy pożytku z dyplomacji.

Weleda uniosła podbródek do góry. Doskonale wiedziała, jakie wrażenie robi jej uroda, ale nie zwykła tego wykorzystywać.

- Co zatem - zapytała powoli i wyraźnie - przyjechałeś tutaj powiedzieć?

Pytanie było proste. Nie było jednak sposobu, bym mógł na nie w sposób prosty odpowiedzieć słowami: Gdzie jest Muniusz i czy będziesz uprzejma kazać swoim wojownikom, by zaprzestali napadów na Rzym?

- Znalazłem się w trudnej sytuacji! - powiedziałem ze szczerym uśmiechem.

Jakiś oszust musiał się już kiedyś wyszczerzyć do niej w ten sposób.

- Masz to, na co zasługujesz - rzuciła. Przypominała mi inną arogancką młodą kobietę, z którą się często kłóciłem.

- Weledo, to, z czym przysłał mnie tutaj Wespazjan, ma żywotne znaczenie dla nas wszystkich. Nie można tym rzucać jak obelgami w pijackim sporze. Ty przemawiasz w imieniu swojego ludu...

- Nie - przerwała mi.

- Jesteś otoczoną głęboką czcią kapłanką Brukterów...

Uśmiechnęła się lekko. Ten uśmiech miał całkowicie osobisty charakter, nie dzieliła go z nikim. Miało ją to czynić nietykalną.

- Jestem niezamężną kobietą - powiedziała - która mieszka w lesie ze swoimi myślami. Bogowie dali mi wiedzę...

- Twoje czyny też nie będą zapomniane - oświadczyłem.

- Nie dokonałam niczego. Wyrażam jedynie swoją opinię, kiedy ludzie o nią

proszą.

- W takim razie samymi tylko opiniami zyskałaś ogromną władzę! Zaprzeczaj swoim ambicjom, jeśli takie jest twoje życzenie, jednak ty i Cywilis prawie zawładnęliście Europą - perorowałem. I prawie ją zrujnowaliście, dodałem w duchu. - Pani, twoje opinie oświetlają cały świat jak błyskawice. Może miałaś rację, ale teraz światu potrzebny jest odpoczynek. Walka dobiegła końca.

- Walka się nigdy nie skończy.

Prosty sposób, w jaki Weleda wypowiedziała te słowa, napełnił mnie niepokojem. Gdyby była typową, dążącą do władzy osobą, ci hałaśliwi i żywiołowi wojownicy spoglądaliby na nią z szyderczym uśmieszkiem, a Cywilis uznałby ją za rywala, a nie partnera. Mogłaby poderwać motłoch raz czy dwa gwałtowną retoryką, ale prawdopodobnie sami Brukterowie by się jej pozbyli. Nawet tego bohatera, Arminiusza, w końcu pokonał jego własny lud. Przywódca, który nie pragnie tej całej otoczki i oznak związanych z przywództwem, byłby w Rzymie czymś niepojętym. Tutaj to, że odrzucała ambicję, jedynie wzmacniało jej autorytet.

- Skończyła się - mówiłem z uporem. - Rzym znowu jest sobą. Teraz z nim walczyć, to jak walić w skałę. Nie można pokonać Rzymu.

- Pokonaliśmy. Pokonamy.

- To było kiedyś, Weledo.

- Nasz czas znowu przyjdzie.

Nieważne z jak wielką pewnością siebie mówiłem, Weleda zdawała się nie mieć wątpliwości. Powiedziała, co miała do powiedzenia, i odchodziła. Nie mogłem pozwolić, żeby kobieta mnie uciszyła, odwracając się do mnie tyłem. Przez całe moje dorosłe życie kobiety traktowały mnie jak jednego z tych niewolników w łaźni do skrobania pleców, który nie zasłużył sobie na napiwek.

Nie mając nic do stracenia, spróbowałem przejść na płaszczyznę osobistą.

- Jeśli to ma być owo okrzyczane galijskie imperium, Weledo, to nie jestem pod wrażeniem. Cywilis się zwinął, a to, co widzę tutaj na polanie, jest tylko jakimś przedstawieniem, jakie towarzyszy każdemu targowi końskiemu. Jeszcze jedno dziewczę tęskniące do występów, starające się wyrobić sobie imię... i co więcej, odkrywające, że sukces przyciąga tych wszystkich nieudanych krewniaków, liczących na to, że znajdą sobie miejsce w jej świecie... Współczuję ci. Twój wyglądają nawet gorzej od moich - ironizowałem. Sądząc po pozbawionych wyrazu twarzach, krewni tej pani byli albo głupszy, niż sądziłem, albo nie korzystali z usług jej nauczyciela łaciny. Ona sama patrzyła wprost na mnie. Powiedziałbym, że chodziło o rodzinne uczucia. - Wybacz kpinę. Moi krewni może są nieciekawi, ale odczuwam ich brak - dodałem spokojnie.

Chyba nie dopuściła do swojej świadomości, że Rzymianie też są istotami ludzkimi. Niemniej zyskałem jej uwagę, być może.

- Weledo, twoja siła bierze się z udanej przepowiedni - ciągnąłem - że rzymskie legiony zostaną rozbite. Nietrudna sztuka. Każdy, kto obserwował zmagania o cesarską purpurę, widział, że pozycja Rzymu w Europie jest zagrożona. Mając do wyboru dwie słomki, szczęśliwie wybrałaś tę właściwą. Teraz to się nie uda. Rzym odzyskał pełną kontrolę. Kiedy tylko Rzym ożył, Petyliusz Cerialis poprowadził swoich żołnierzy wzdłuż zachodniego brzegu Renu, od Alp do Oceanu Brytyjskiego, a wszędzie po drodze nieprzyjaciele Rzymu ustępowali przed nim. Gdzie jest teraz twój triumfujący Cywilis? Prawdopodobnie w morskich głębinach.

Oficjalna wersja bojowej sprawności naszego dowódcy mogłaby zapewne zadowolić jego dobrze wychowaną kochankę w Kolonii, nie mogła jednak zrobić wrażenia na bystrej i przenikliwej, pełnej pogardy kobiecie, która miała okręt flagowy Cerialisa zacumowany w swojej prywatnej przystani. A przecież Weleda wiedziała także, że nawet jeśli rzymski wódz był źle zorganizowany, to jednak wygrał.

- Podobno - powiedziała wieszczka, jakby miała nadzieję cieszyć się moją konsternacją - nasz rodak Cywilis znowu ufarbował sobie włosy na czerwono.

Cóż, to była premia, na jaką nawet nie liczyłem. Nie miałem żadnej nadziei, że się czegoś dowiem. I dodatkowo odniosłem wrażenie, że ten buntownik nie ukrywa się tutaj.

- Nie ma go u was? - spytałem.

- Cywilis czuje się u siebie wyłącznie po zachodniej stronie rzeki.

- Nawet nie na Wyspie?

- Obecnie nawet tam nie.

- Już Rzym ostrzyże Cywilisa. Rzecz w tym, zaradna prorokini, czy będziesz miała teraz odwagę, by przyznać, że legionów jednak n i e pokonano, i pomoc w odbudowie tego świata, którego o mało co nie utraciliśmy?

Zabrakło mi pomysłów na dalsze apele. Wieszczka wciąż była tak spokojna, że czułem się, jakbym miał piasek w zębach.

- Decyzję - oświadczyła mi - podejmą Brukterowie.

- To dlatego się tutaj zgromadziliście? Weledo, porzuć życie pełne fanatycznego przeciwstawiania się Rzymowi. Brukterowie i inne ludy cię posłuchają.

- Moje życie nie ma tu znaczenia. Brukterowie nigdy nie zrezygnują z przeciwstawiania się Rzymowi!

Rozglądając się po obecnych tu Brukterach, dziwiłem się, że w ogóle kiedykolwiek kogoś słuchali.

Weleda zachowywała się wyniośle niczym grecka wyrocznia czy sybilla. Jej wieża była takim samym oszustwem jak tamte przerażające rytuały w Delfach

albo w Kume. Jednakże greccy i rzymscy prorocy mówią zagadkami; Weleda mówiła otwarcie. Jej najlepszą sztuczką, pomyślałem, jest to, że niczym orator, który głośno daje wyraz sekretnym ludzkim myślom, ona wykorzystuje emocje, które już narosły. Pozwala ludziom wierzyć, że sami dokonują wyboru. Widzieliśmy to również tutaj: pełniła rolę gospodyni w taki sposób, jakby nie zamierzała brać udziału w nadchodzących sporach. A mimo to byłem przekonany, że osiągnie rezultat, jaki zamierza. Dla Rzymu będzie to zły wynik. A pewność Weledy wydawała się niezachwiana.

Tym razem moja interwencja dobiegła końca. Bo do końca zbliżało się jedno z rzadkich publicznych wystąpień Weledy. Widać było, że zamierza odejść, a jej świta przegrupowała się, żeby nie pozwolić, by cokolwiek ją zatrzymało.

Jeszcze raz stanęła przodem do mnie. Zupełnie jakby czytała mi w myślach: że jeśli na tym zgromadzeniu miały być podjęte ważne decyzje, to pojawiliśmy się tutaj we właściwym momencie. Z przyjemnością dała mi do zrozumienia, że nie będę miał najmniejszej szansy wpłynięcia na bieg wypadków.

- Ty i twoi towarzysze zostaliście przekazani mi w darze. Poproszono mnie, bym przypieczętowała wasz los, którego zapewne możecie się domyślić. - Pierwszy raz wykazała ciekawość. - Czy boicie się śmierci?

- Nie - rzuciłem. Byliśmy tylko wściekli.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji - oświadczyła szczerze. Zmusiłem się, by ostatni raz spróbować walki.

- Weledo, poniżasz siebie i szkodzisz swojej szacownej reputacji, mordując starego żołnierza, jego sługę i grupkę niewinnych chłopców!

Obraziłem wszystkich. Wódz, który nas tutaj przyprowadził, potężnym uderzeniem zwałił mnie z nóg.

Weleda dotarła do swojej wieży. Jej krewni zebrali się u jej podnóża, twarzami zwróceni ku nam. Kiedy szczupła kobieta posuwistym krokiem zniknęła w swojej samotni, na jej złociste włosy padł cień wielkich rzymskich drzwi. Wieża sygnałowa raptownie ją połknęła. Robiło to złowrogie wrażenie.

Wzbudzało też wielki niepokój w człowieku, który leżał na trawie ze zranioną dumą i bólem głowy, przepełnionej myślami o makabrycznej śmierci w świętym gaju Brukterów.

52

Helwecjusz spróbował pomóc mi się podnieść.

- Nie poszło ci najlepiej! - zauważył.

Strząsnąłem jego rękę.

- Każdy, kto uważa, że potrafi przekonywać lepiej ode mnie, może iść i popróbować szczęścia w tej wieży! - zachnąłem się.

Zabrakło nam kąśliwych uwag.

Dwóch krewnych Weledy oddelegowano, by zaprowadzili nas do podłużnego ogrodzenia z plecionych gałęzi, które wyglądały, jakby jeszcze

wciąż rosły. Musiało to być miejsce, gdzie trzymała żywe podarki przed ich rytualnym zarżnięciem. Wprowadzili nas do wnętrza i zamknęli. Znaleźliśmy tam już jednego lokatora. Tkwił zwinięty w kącie i nie wyglądał na zdolnego przebłagać tego wiekowego, omszałego bożka, którego z Lentulem widzieliśmy w tamtym gaju.

- O, popatrzcie, Dubnus się znalazł!

Nasz zaginiony handlarz zdrowo oberwał. Najwyraźniej najpierw wstępnie go poobijano, a potem ktoś zajął się nim ponownie, starając się wypełnić wszystkie luki, jakie pozostały między sińcami.

- Za co ten łomot?

- Za to, że jestem z plemienia Ubiów.

- Nie łżyj! Przyszedłeś tu, żeby sprzedać Brukterom informację o nas. Informację wykorzystali, a potem okazali ci swoją pogardę!

Najwyraźniej się spodziewał, że teraz oberwie od nas, ale wytłumaczyliśmy mu jasno i wyraźnie, że nie atakujemy ludzi, których plemiona zostały oficjalnie uznane za zromanizowane.

- Nawet tych, którzy nas zdradzają, Dubnusi.

- Nawet zbiegłych tłumaczy, którzy znikają akurat wtedy, kiedy są najbardziej potrzebni.

- Nawet tych ubijskich drani, którzy sprzedają nas w niewolę.

- Nawet ciebie, Dubnusi.

Powiedział coś w swoim języku i nie potrzebowaliśmy tłumacza, żeby zrozumieć.

To, co wydarzyło się potem, było dla nas całkowitym zaskoczeniem. Chudzielcy zamknęli powrozami wejście i zostawili nas z naszymi myślami, a już po chwili byli z powrotem, by usunąć tę wątlą zaporę.

- Na Mitrę! Wiedźma się rozmyśliła. Dostaniemy nowiutkie płaszcze i będziemy honorowymi gośćmi na uczcie.

- Oszczędzaj dech, centurionie, żebyś miał czym dmuchać na owsiankę. Ta kobieta nie należy do takich, które zmieniają decyzje.

Mężczyźni wyciągnęli nas na zewnątrz. Wyglądało na to, że widok Dubnusa przypomniał im, jak to przyjemnie poczuć się ważnym. On był już zanadto poobijany, żeby warto było się nad nim pastwić, więc zaczęli poszturchiwać Helwecjusza i mnie. Kiedy ze złością ich odepchnęliśmy, wzięli się do sługi centuriona. Tym razem Helwecjusz doszedł do wniosku, że tego nie znieśie, i stanął w obronie swojego człowieka. Gotowaliśmy się na kłopoty... i kłopoty się pojawiły. Jednak nie takie, jakich się spodziewaliśmy.

Najpierw ze swojej kamiennej kryjówki wyłoniła się Weleda. Potem usłyszeliśmy trąbienie.

- Na Jowisza Najlepszego Największego... to ktoś z naszych!

Przeciągnięte dźwięki były czyste, choć przytłumione, i szybko wybrzmiały.

Charakterystycznie rzewny ton sygnału był niewątpliwie rzymski, coś jednak mi nie pasowało. Dźwięk dochodził z lasu, z bliska. Musiał się wydobywać ze spiralnie skręconego, brązowego rogu, jakich używają wartownicy, a jego brzmienie zapowiadało drugą nocną zmianę. Tyle że było na nią ze cztery godziny za wcześnie.

Na polanę wyskoczył Tygrys, podbiegł do Weledy i ułożył się z nosem pomiędzy łapami.

Ledwie miałem czas uświadomić sobie, że wieszczka musiała dostrzec tego wysłannika ze swojej wieży, kiedy pojawił się ktoś jeszcze. Młodszy brat Heleny. Od dawna już podejrzewałem, że kryją się w nim nieujawnione dotąd cechy charakteru, jednak pierwszy raz ten młodzieniec ukazał nam w pełni swój talent do improwizacji.

Wjechał na polanę z Orozjuszem jako eskortą. Żaden z nich nie miał rogu, co subtelnie miało dać do zrozumienia, że ktoś jeszcze jest w lesie (pewnie zostawili instrument oparty o pień drzewa). Wyglądali świetnie; jeden albo też i obaj spędzili całe popołudnie, czesząc pióropusze i polerując brąz. Braciszek Heleny stawiał czoło Brukterom, jakby zostawił na drodze za sobą piętnastotysięczną armię. Nie było tam żadnej drogi, tymczasem Kamil Justyn sprawiał wrażenie kogoś, kto mógł kazać sobie taką wybudować. Armii też nie było; wiedzieliśmy o tym dobrze.

Jak na człowieka, który spędził ostatni miesiąc pod namiotem w kompletnej głuszy, miał nienaganny ekwipunek. Wytwarzał też idealnie dopasowaną do sytuacji aurę powściąganego brawury. Dosiadał najlepszego spośród naszych galijskich wierzchowców. Musiał też dobrać się do naszych zapasów oliwy, bo tak go nią namaścił, że nawet kopyta zwierzęcia lśniły zupełnie niezwykłym blaskiem. Jeździec był nie mniej zadbany. Jakimś cudem, w tych leśnych ostępach, on i Orozjusz zdołali się ogolić. Wyglądaliśmy przy nich jak nędzne, zapchłone, mówiące dziwacznym akcentem indywidua. Takie, co to nie dostaną się na wyścigi, nawet wtedy, kiedy stróż przy bramie pójdzie na południowy posiłek i zostawi w charakterze wykidajły swojego dziesięcioletniego brata.

Justyn miał na sobie wszelkie oznaki przysługujące randze trybuna, plus kilka drobiazgów, które sobie sam wymyślił: białą tunikę z purpurowym brzegiem; szykowne nagolenniki zdobione złoceniami; pióropusz z końskiego włosa na hełmie, który miał taki połysk, że przy każdym ruchu głowy rozświetlał drzewa. Pancierz osadzony na suto zdobionym frędzlami skórzanym kaftanie błyszczał trzy razy mocniej niż zazwyczaj. Ciężki szkarłatny płaszcz spływał wytwornie z wymodelowanego torsu naszego młodzieńca. W zgięciu ramienia trzymał - nadzwyczaj swobodnie - coś w rodzaju ceremonialnej buławy. Był to nowatorski pomysł, najwyraźniej ściągnięty z posągów Augusta. W wyrazie twarzy miał ten szlachetny cesarski

spokój, a jeśli ten szlachetny spokój skrywał lęk, to nawet jego przyjaciele nie potrafili go dostrzec.

Bardzo powoli przejechał połowę polany, by wieszczka miała czas dokładnie mu się przyjrzeć. Zsiadł z konia. Milczący Orozjusz z szacunkiem odebrał od niego wodze... i buławę. Justyn sprężystym krokiem zbliżył się do Weledy, po czym zamasyście zdjął hełm, by okazać jej poważanie. Kamile są wysocy, szczególnie w wojskowych butach o podeszwie potrójnej grubości; wieszczka przynajmniej raz spoglądała Rzymianinowi prosto w oczy. A były to oczy duże, brązowe, skromne i jednocześnie szczere.

Justyn zastygł na chwilę. Lekko się zarumienił: sympatyczny efekt. Gdy zdjął z głowy pozłacany garnek, pani mogła w pełni zobaczyć i docenić szczery chłopięcy podziw oraz powściągliwość. Te wrażliwe oczy musiały roztoczyć swoją magię, a jego opanowanie dorównywało głębokiemu spokojowi wieszczki.

Potem się odezwał. Wyglądało na to, że zwraca się poufnie do Weledy, jednakże jego głos docierał wszędzie.

Znaliśmy go. Znaliśmy ten głos. A tymczasem żaden z nas nie miał najmniejszego pojęcia, co takiego powiedział do wieszczki.

Bo Kamil Justyn przemówił w jej własnym języku.

Uczył to z ową śpiewną melodyjną płynnością, którą zapamiętałem z jego greki. Dojście do siebie zajęło Weledzie odrobinę więcej czasu, niżby chciała; potem skłoniła lekko głowę. Justyn odezwał się ponownie, a ona zerknęła w naszą stronę. Musiał ją o coś spytać. Zastanowiła się chwilę, po czym szybko mu odpowiedziała.

- Dziękuję - rzekł trybun bardzo uprzejmie, tym razem po łacinie, komplementując ją założeniem, że ona zna ten język. - Wobec tego najpierw przywitam się z przyjaciółmi... - Nie prosił jej o pozwolenie. Oświadczał, co zamierza zrobić. Po czym ponownie zwrócił się do niej i dając wyraz swojemu dobremu wychowaniu, powiedział przepaszającym tonem: - A przy okazji, nazywam się Kamil Justyn.

Szedł ku nam z obojętną miną. Dostosowaliśmy się do sugestii. Uścisnął dłoń każdemu po kolei, w sposób wyważony i poważny. Mając na sobie oczy wszystkich zgromadzonych tutaj Brukterów, Justyn wymawiał jedynie nasze imiona, podczas gdy my przekazywaliśmy mu szeptem tyle informacji, ile tylko zdołaliśmy.

- Marku Dydiuszu.

- Twierdzi, że jest kobietą, która mieszka sobie na wieży ze swoimi myślami.

- Helwecjusz.

- Ktoś powinien jej dać jakiś inny temat do rozmyślań! - Helwecjusz nie potrafił się powstrzymać od typowej dlań dowcipnej uwagi.

- Askaniuszu.

- Wszystkich nas czeka paskudna śmierć, trybunie.
- Probusie.
- Trybunie, co jej powiedziałaś?
- Sekstusie. Zamierzamy spokojnie omówić sprawy; pozwólcie, że zobaczę, co się da zrobić. Lentulu!

Kiedy przywitał się ze wszystkimi, jego jasne spojrzenie zetknęło się bezpośrednio z moim.

- No cóż, zostawiłeś całą robotę dla mnie! Nawet w ten cholerny róg musiałem dmuchać sam.

Używał żartu, by ukryć niepokój; za błyskiem rozbawienia dostrzegłem smutek. Podszedłem do niego, wyciągnąłem amulet, który dostałem w Weterze; zobaczył, co to takiego, i pochylił głowę, żebym mu go włożył na szyję.

- Jeśli by miało ci to pomóc, ktoś mi powiedział, że Weleda może tęsknić za miłą rozmową... To ze względu na Helenę. Bądź ostrożny.

- Marku! - Objął mnie jak brata, a ja wziąłem od niego hełm. Odwrócił się i odszedł.

Był człowiekiem nieśmiałym, który nauczył się samotnie stawiać czoło wyzwaniom. Weleda czekała nań z miną kobiety, która wie, że czegoś będzie żałować.

Odwróciłem się błyskawicznie do handlarza, jedyne go wśród nas, którego trybun ostentacyjnie pominął przy powitaniu.

- Co on jej powiedział, Dubnusi? - spytałem.

Dubnus zaklął pod nosem, ale przetłumaczył.

- Powiedział: „Ty musisz być Weleda. Przynoszę ci pozdrowienia od mojego cesarza i przesłanie pokoju...”

- Nie mówisz mi wszystkiego! Coś jej zaproponował... to było oczywiste.

Nie zwracając sobie głowy tym, co mogę mieć na myśli, nasz Helwecjusz, na którym zawsze można było polegać, podszedł do handlarza od tyłu i celem łagodnej perswazji zapaśniczym chwytem unieruchomił mu ramiona. Dubnus jęknął.

- Powiedział: „Widzę, że moi towarzysze są twoimi zakładnikami. W zamian za nich ofiaruję ci siebie”.

Wiedziałem. Justyn pędził w niebezpieczeństwo z taką samą bezceremonialną odwagą, jaką wykazywała jego siostra, kiedy zniecierpliwiona dochodziła do wniosku, że trzeba się zachowywać rzeczowo.

- Co na to Weleda?

- „Wejdz do mojej wieży!”

Handlarz powiedział prawdę. W chwili, w której Justyn znalazł się przy niej, Weleda ruszyła w stronę budowli. I patrzyliśmy wszyscy bezradnie, jak nasz niewinny trybun samotnie wchodzi za nią do wieży.

Podszedłem do podnóża wieży. Wyglądający na złodziei kóz strażnicy mieli lekko ogłupiałe miny, ale kiedy się pojawiłem, zwarli szeregi. Stałem przed wejściem z głową odchyloną do tyłu, przyglądając się dawnej rzymskiej robocie w kamieniu, wzmocnionej rzędami czerwonych cegieł. Nic tu po mnie, pomyślałem i wróciłem do naszych chłopców. Pies trybuna został przy wejściu i wpatrywał się w nie z napięciem, czekając na powrót pana.

Rekruci, na wpół przerażeni, na wpół zazdrośni, zakładali się o jego szanse.

- Połknie go żywcem! - powtarzali.

Chciałem się skoncentrować na innych sprawach.

- Może go wypluje... - rzuciłem.

Jak miałem powiedzieć o tym jego siostrze? Wiedziałem, że mnie obarczy winą.

- Dlaczego on tam wszedł? - zapytał mnie Lentul.

- Słyszałeś, co powiedział; chce spokojnie porozmawiać o sprawach.

- Jakich sprawach? - dopytywał się.

- Pewnie niezbyt istotnych.

O losie. Historii świata. Życiu przyjaciół. Śmierci trybuna...

- Panie...

- Zamknij się, Lentulu.

Wróciłem do wiklinowego ogrodzenia. Przykucnąłem, starając się nie dotykać ziemi. Była to zła pora roku, żeby siadać na trawie; w nocy będzie rosa. Wydawało się, że to zła pora roku na wszystko.

Pozostali najpierw zarzucili pytaniami Orozjusza, potem zaczęli po kolei dołączać do mnie. Orozjusz miał niewiele do powiedzenia poza tym, że trybun jest w porządku. Szarpnąłem go za ucho i oświadczyłem, że tyle to sami wiemy.

Powinienem był się domyślić. Kamil Justyn miał wielki apetyt na informację. Nie mógł spędzić przecież trzech lat, strzegąc rubieży prowincji, i nie nauczyć się komunikować z żyjącym tam ludem. Teraz natomiast musiał polegać na sobie w sprawach znacznie ważniejszych niż tylko język.

Młody człowiek był wstrząsająco skrupulatny. Miał młodzieńczą ochotę, by poznać każdego żołnierza pod swoją komendą, ten wyjątkowy trybun namówił nawet kiedyś jakiegoś trębacza, żeby go nauczył całkiem znośnie zagrać sygnał na rogu. Miesiąc w lasach wpłynął nań przygnębiająco, ale nie pozbawił pomysłowości. Skoro sam się zgłosił do udziału w tej przygodzie, nie zamierzał się poddawać. Ale miał dopiero dwadzieścia lat. Nigdy nie był narażony na takie niebezpieczeństwo. Nie miał najmniejszej szansy, żeby z tego wybrnąć. Nigdy nie zadawał się z kobietami, chociaż może akurat z tej strony nic mu nie groziło.

- Czy obce kapłanki są dziewicami? - dopytywał się niezmordowany Lentul.

- Nie jest to chyba wymagane - odparłem. Jedynie Rzym utożsamiał czystość

ze świętością; a przecież nawet w Rzymie, w świątyni Westy, pełniło służbę sześć kapłanek jednocześnie, tak na wszelki wypadek.

- Czy trybun zamierza... - nie rezygnował Lentul.

- Zamierza rozmawiać o polityce - uciałem. Nawet jeśli rzeczywiście tak było, to nieznanne połączenie losu ludów z najbardziej atrakcyjną kobietą, z jaką kiedykolwiek w życiu rozmawiał, może okazać się uderzającą do głowy mieszanką.

- Wiedźma może mieć inne pomysły! - rzucił któryś. Teraz zaczęli być odważniejsi. - Może trybun nie wie, co ma robić...

- Trybun wygląda mi na młodzieńca, który potrafi improwizować.

Miałem jednakże nadzieję, że nigdy nie będę musiał powiedzieć jego siostrze, że pozwoliłem jakiejś wieszczce o szalonym spojrzeniu zrobić mężczyznę z jej młodszego braciszka na szczycie wieży sygnalizacyjnej.

Kiedy przygasły pochodnie i uczta dobiegła końca, kazałem chłopcom udać się na spoczynek. Pozostawiwszy na straży Helwecjusza, przemykając pomiędzy śpiącymi Brukterami, podkradłem się do wieży. Na schodkach przed wejściem, wsparty na włócznie kołysał się jeden wartownik. Mogłem wyrwać mu broń i drzewcem zmiażdżyć tchawicę, ale dałem sobie spokój. Inni siedzieli wewnątrz wieży, więc dostanie się tam i tak nie było możliwe.

Obszedłem ją wokół. Światło księżyca powlekło mur olśniewającą bielą. Gdzieś wysoko widziałem słabiutką poświatę od lampki. Dobiegały mnie ciche głosy, ale trudno było się zorientować, w jakim języku prowadzono rozmowę. Sądząc z tonu, była to dyskusja, a nie spór. Jakby omawiali koncert albo zalety fresku, a nie przyszłość cesarstwa. W pewnym momencie trybun powiedział coś, co rozbawiło wieszczkę; odpowiedziała mu, po czym oboje wybuchnęli śmiechem.

Nie wiedziałem, czy mam jęknąć, czy się uśmiechnąć. Wróciłem do swoich ludzi.

- Wszystko w porządku? - spytał Helwecjusz, waląc mnie w ramię.

- Rozmawiają - odparłem.

- To mi brzmi groźnie! - zauważył.

- Będzie bardziej groźnie, jeśli przestaną, centurionie - oznajmiłem. Ni stąd, ni zowąd zachciało mi się zwierzeń. - Chcę poślubić jego siostrę.

- Powiedział mi.

- Nie sądziłem, że bierze mnie poważnie.

- Martwi się - oświadczył Helwecjusz - czy ty wiesz, że to właśnie chodzi po głowie jego siostrze.

- Och, to bardzo szczerą kobietą! Raczej sądziłem, że on uważa mnie za nędznego awanturnika, który się z nią zabawia.

- Nie, on uważa, że się bardzo nadajesz. - Helwecjusz poklepał mnie po plecach. - No to świetnie... teraz wszyscy wiemy, na czym stoimy!

- Rzeczywiście. Człowiek, którego chcę mieć za ulubionego wuja dla moich dzieci, pewnie...

- Pewnie wróci do nas na sztywnych nogach i z dziwnym spojrzeniem! Nie możesz decydować za niego. Nie jest małym dzieckiem.

- Nie, ma dwadzieścia lat i nigdy się nie całował... - oznajmiłem. Cóż, prawdopodobnie. Gdyby chodziło o kogoś innego, być może zastanawiałbym się, czy nie nabył tak świetnej znajomości miejscowej mowy od jakiejś dziewczyny. - I nigdy też w świętym gaju nie podcinano mu sierpem gardła, centurionie! - dokończyłem.

- Odpocznij trochę, Falkonie. Wiesz, jaki on jest, kiedy rozmowa staje się interesująca. Jeśli ta pani okaże się równie rozmowna, to noc będzie długa.

Była to najdłuższa noc z tych, które spędziłem w Germanii. Kiedy wrócił, wszyscy inni już spali. Ja czuwałem, czekając na niego.

Było ciemno. Księżyc schował się za szerokim pasem chmur, ale nasze oczy przywykły do mroku. Zobaczył, że wstaje. Uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem rozmawialiśmy szeptem.

- Mam ci mnóstwo do opowiadania - mówił Justyn lekkim, podekscytowanym tonem.

- Co się dzieje? Wypuściła cię pod słowem honoru? - spytałem.

- Ona potrzebuje trochę czasu w samotności. Muszę wrócić, kiedy księżyc znów się pojawi, a ona mi wtedy powie, czy mamy wojnę, czy pokój. Mam nadzieję, że można polegać na jej księżycowych prognozach...

Popatrzyłem w niebo. Chmury były ciężkie, ale widziałem, że się przesuną.

- Nie myli się... i jak zawsze w magii, rzecz opiera się na obserwacji, a nie darze jasnowidzenia - oświadczyłem.

Przykucnęliśmy pod drzewem. Coś mi podał.

- Sztylet?

- Twój. Trzyma swoje prezenty rozłożone na skrzyni; rozpoznałem go. Powiedziałem, że należy do mojego szwagra.

- Dzięki... także za komplement. To mój najlepszy nóż, ale skoro ona jest tak gościnna, że rozdaje prezenty, to mógłbym zasugerować kilka bardziej użytecznych rzeczy.

- Sądzę, że dała mi go, by pokazać, jak bardzo jest bezstronna i że podarki nie mają na nią wpływu.

- Albo wyrachowana!

- Cynik z ciebie! O co miałbym ją poprosić?

Rzuciłem niemądrą sugestię, a on się roześmiał. Jednak jego zadanie było zbyt przytłaczające, by można było sobie żartować.

- Marku, nie mam nic do zaofiarowania. Trzeba było przywieźć ze sobą dary.

- Przywieźliśmy szkatułę z gotówką.

- To na żołd dla rekrutów! - oburzył się.

Był dziwnie prostolinijny.

- Woleliby raczej przeżyć, niż dostać zapłatę i umrzeć.

- No tak!

- Przyniosę pieniądze z miejsca, w którym je ukryłeś. Orozjusz mi je pokaże. A teraz powiedz mi, o czym rozmawiałeś z Weledą.

- Och, to było nadzwyczajne przeżycie! - oświadczył. Zabrzmiało mi to złowieszczo. - Obgadaliśmy wszystko, co się dało. Zrobiłem ile mogłem dla powodzenia tej cesarskiej misji. Powiedziałem jej, że skoro ludzie na zachodnim brzegu Renu dokonali wyboru i chcą być zromanizowani, wszyscy powinniśmy się z tym pogodzić i jeśli tylko nie zaistnieje zagrożenie dla ich bezpieczeństwa, cesarz nie ma ambicji przeprowadzania się na wschodni brzeg. - Justyn ściszył głos. - Marku, nie jestem przekonany, że tak będzie zawsze.

- To polityka. Sprawy mogą ulec zmianie nad Dunajem, jednak nie komplikuj sytuacji tym, co może się nigdy nie wydarzyć. Jest wystarczająco bystra, by mogła sama wyciągać wnioski.

- Nie mam w tych sprawach żadnego doświadczenia. Bardzo mi tego brakuje!
- poskarżył się.

Miałem nadzieję, że Weleda zaufa mu, widząc jego oczywistą prawość.

- Miej wiarę. Przynajmniej słucha. Zanim zrobiłeś ten numer prosto z placu defilad, rozmawiałem z nią sam...

- Trochę z tego usłyszałem. Kryliśmy się z Orozjuszem wśród drzew. Nie mogliśmy podejść bliżej, żeby uchwycić wszystko, ale starałem się zorientować w tym, co mówiłeś, że legiony znów sprawują władzę.

- Musi być przekonana, że jeśli plemiona rzucą się przeciwko zdyscyplinowanej potędze Rzymu, będzie to dla nich samobójstwo.

- Marku, ona to wie. - Mówił spokojnie, jakby chciał być wobec niej lojalny.

- Nie mówiła tego.

- Bo to było przy jej ludziach...

- I na dodatek spierała się z krętaczem...

- Nie, właśnie sędzę, że twoje słowa do niej trafiły. Niepokoi się. Myślę, że zastanawiała się głęboko nad przyszłością jeszcze przed naszym przybyciem. Być może dlatego zwołała to plemienne zgromadzenie. Kiedy zachęcałem ją, by powiedziała im prawdę o tym, co dla nich przewiduje, z jej twarzy wyczytałem, że taka odpowiedzialność jest dla niej zatrważająca.

- Wykorzystaj to.

- Nie muszę. Ona już i tak cierpi.

- O bogowie, zupełnie jakbym rozmawiał z tobą o dziewczynie usługującej w *Meduzie*.

To miał być żart, tymczasem Justyn zwiesił głowę.

- Muszę ci coś powiedzieć. Należą ci się ode mnie przeprosiny.

- Za co? - zdziwiłem się. Siekane kotleciki w *Meduzie* wydawały się odległe o

tysiąc lat.

- Po twoim wyjeździe do Colonii w tawernie doszło do zajścia. Ktoś poczuł dziwny zapach i tym razem nie było to danie dnia. Znaleźli ciało służącego legata schowane pod podłogą. Regina przyznała się do winy. Podczas kłótni straciła panowanie nad sobą i za mocno uderzyła go amforą.

Powiedziałem, że to przynajmniej jakaś odmiana od tych maltretowanych dziewcząt z szynków.

- Ty wiedziałeś, że ta dziewczyna oznacza kłopoty. Powiedz mi więc, Marku, o tej tutaj!

- Wykaż się inicjatywą... wygląda na to, że ci jej nie brakuje. Ja trzymam się z dala od prorokiń. Moja matka mówi, że grzeczni chłopcy nie zadają się z otaczanymi czcią kobietami.

Wciąż chichotaliśmy, kiedy ponownie pojawił się księżyc.

- Marku.

- Justynie.

- Jestem Kwintus - oświadczył cierpkim głosem, niczym ktoś, kto przedstawia się z dużym opóźnieniem komuś, z kim już dawno poszedł do łóżka.

- Jestem zaszczycony. Pomyśleć, że nie znałem twojego imienia.

- Niewielu ludziom je podaję - powiedział spokojnie. - No dobra, to co ja mam do zrobienia? Wymieniam podarki, kończę batalię...

- To pewne! I zachowujesz ostrożność. Żeby nie skończyć jak Luperkus.

- Aha! I jeszcze zapytam o Luperkusa - dodał. Pomyślałem, że może lepiej nie przypominać Weledzie Luperkusa, by przypadkiem nie podsuwać jej kolejnych krwiożerczych pomysłów. - Pierwsze, do czego ją trzeba przekonać, to zwolnienie was... mam nadzieję, że wrócicie do domu - powiedział z ledwo dosłyszalnym drżeniem w głosie.

- Mam nadzieję, że wszyscy wrócimy! Posłuchaj, jak znowu wejdiesz na wieżę i zastaniesz Weledę w jej najlepszej szacie, z włosami zaplecionymi w jakiś szczególny sposób, radzę ci zapomnieć o cesarstwie i bezzwłocznie ruszyć z powrotem na dół.

- Nie bądź niemądry! - odparł z rzadką u niego irytacją.

Przynajmniej tym razem podczas jego nieobecności znalazłem sobie zajęcie. Obudziłem Orozjusza i poczołgaliśmy się do lasu, żeby odnaleźć miejsce, w którym Justyn zostawił namiot i zapasy. Zapakowaliśmy wszystko i przenieśliśmy bliżej wieży. Potem przyprowadziliśmy konia ze szkatułą, a ja zagwizdałem, żeby dać znać trybunowi.

Przepchnąwszy się przez tłumek krewnych, w drzwiach pojawiła się wieszczka; Justyna z nią nie było. Twarz miała jeszcze bardziej pobladłą i otulała się szczelnie płaszczem. Rzuciliśmy skrzynkę na ziemię, a ja ją otworzyłem, żeby pokazać jej srebro. Weleda z powściągliwością przyglądała

się monetom.

- Wiem, Brukterów nie można kupić... Nie taki jest zamiar, pani. To jest znak cesarskiej przyjaźni - mówiłem, starając się, by głos mój brzmiał tak wiarygodnie jak Justyna.

- Wasz negocjator jasno mi to wyłożył.

- A gdzie on się podział? - spytałem bez ogródek.

- Jest całkiem bezpieczny - zakpiła sobie z mojego niepokoju. - Ty jesteś Falko? Chcę z tobą porozmawiać.

Zaprowadziła mnie do niższej części wieży. Było tam puste ośmiokątne pomieszczenie i prowadzące kilka pięter w górę kręcone schody przy wyłożonej porządnie rzymską cegłą ścianie. Każde kolejne piętro miało nieco mniejszą średnicę, by dać wieży stabilność; jedynie na szczycie była podłoga, ponieważ w tej budowlu używany miał być wyłącznie dach. Tam właśnie, po wprowadzeniu pewnych udogodnień, zamieszkała wieszczka. Nie zaprosiła mnie na górę.

Zmarszczyła brwi. Próbowałem nadać swojemu głosowi współczujące brzmienie, kiedy ją zapytałem:

- Czy prawidłowo wnioskuję, że księżyc przedwcześnie wyjrzał zza chmur?

Miałem rację. Weleda jeszcze nie zdecydowała, co ma zrobić. Wiła się w tej niepewności jak ryba w sieci.

- Mam do powiedzenia dwie rzeczy. - Mówiła pospiesznie, jakby coś ją do tego przymuszało. - Zgodziłam się na wasze odejście. Ruszajcie jeszcze tej nocy. Nikt was nie zatrzyma.

- Dzięki. A to drugie?

- Śmierć Muniusza Luperkusa.

- Więc jednak wiesz? Pewna kobieta z Ubiów powiedziała mi co innego.

- Teraz wiem - oznajmiła zimno. Najwyraźniej miały ze sobą mniej wspólnego, niż Klaudia Sakrata sobie wmówiła. Weleda podała mi zwinięty kawałek szkarłatnej tkaniny. W środku znajdowały się dwa kolejne drobiazgi z jej gabinetu osobliwości - miniaturowe srebrne włócznie, takie, jakie legat otrzymuje od cesarza w nagrodę za dobrą służbę. Luperkus dostałby swoją trzecią po zakończeniu okresu służby w Weterze, gdyby nie skończył tak fatalnie.

- Więc jednak tutaj przybył?

- Nigdy go tu nie było. - Mówiła ze swoją zwykłą pewnością siebie. Możliwe, że odczuwała ulgę, dystansując się od tej ponurej historii. - Przyniesiono mi je później. Cieszę się, że możesz je oddać matce albo małżonce tego człowieka.

Podziękowałem, a ona mi powiedziała, co zaszło. Nawet Weleda wyglądała na przygaszoną, kiedy skończyła. Nie przepadałem za legatami, to jednak zrobiło na mnie wrażenie.

- Czy przekazałaś tę informację trybunowi Kamilowi? - spytałem.

- Nie.

Wiedziałem dlaczego. Zawarła z Justynem pakt przyjaźni; to mogło go zburzyć.

Cywilis wysłał Muniusza Luperkusa w drogę do tej krainy w towarzystwie grupy, jak nazwała to Weleda, stanowiącej mieszankę członków przeróżnych plemion. Nie domagałem się szczegółów; miała rację, że nie chciała dostarczać powodów do wzajemnych oskarżeń. Legat został ranny; stracił fortecę i widział, jak wyrzynają jego legion; myślał, że rozpada się całe imperium. Nie wiadomo, czy błagał o uwolnienie, czy o śmierć, czy też po prostu jego strażnicy stracili cierpliwość i chcieli wrócić do walki Cywilisa, dość, że niespodziewanie oskarżyli go o tchórzostwo. Potem potraktowali go tak, jak mieli w zwyczaju traktować tchórzy: rozebrali do naga, związali, poddusili powrozem i na koniec wrzucili do bagna i przytrzymali żerdziami, aż utonął.

By oddać Weledzie sprawiedliwość, trzeba przyznać, że opowiadanie tych zdarzeń było dla niej równie nieznośne jak dla mnie ich wysłuchanie.

- Pozbawili mnie przeznaczonego dla mnie podarunku i dlatego prawda tak powoli wychodziła na jaw.

- Lepiej byłoby, gdyby ta prawda pozostała w bagnie razem z nim - oświadczyłem, ukrywając twarz w dłoniach.

- Gdybym była jego matką czy żoną - powiedziała Weleda - chciałabym wiedzieć.

- Tak jak moja matka, czy moja przyszła żona, ale podobnie jak ty, one są wyjątkowe...

Zmieniła temat.

- Tyle ci tylko mogę powiedzieć. Ty i twoi ludzie musicie się oddalić dyskretnie. Nie chcę obrażać wodza, który was tutaj przyprowadził, zbyt otwarcie wymieniając jego dar na inny.

- Gdzie jest Kamil? - spytałem podejrzliwie.

- Na górze. Nie skończyliśmy rozmowy. - Zamilkła, jakby czytała w moich myślach. - Oczywiście - powiedziała łagodnie - twój przyjaciel się z tobą pożegna.

Byłem zrozpaczony.

- Czy to musi być wymiana? - spytałem.

- To właśnie mi zaoferowano - oświadczyła wieszczka z uśmiechem.

W tym momencie na schodach nad nami pojawił się Justyn i ze stukotem butów zszedł na dół.

- Więc co się stało z Luperkusem? - zwrócił się do mnie.

- Legata - zacząłem ostrożnie, usilnie myśląc, jakie dobrać słowa - stracono w drodze do tego miejsca. Minęło zbyt wiele czasu, by można było poznać szczegóły.

Weleda zacisnęła usta, ale nie zaprzeczała. Potem przeszła obok Justyna,

zostawiając nas samych. Kiedy wchodziła po schodach, płaszcz zsunął się jej z ramion. Nie widziałem szaty, jaką na sobie miała, ale włosy były zaplecione bardzo porządnie w warkocz grubości mojego nadgarstka. Unikaliśmy z Justynem wzajemnie swojego wzroku.

- Ojej! - parsknąłem z irytacją. - Miałem ją spytać o konie...

- Poprosiłem ją o to, co chciałeś - powiedział Justyn, śmiejąc się.

Okazało się, że wyraziła zgodę na mój niemądry plan.

- Kwintusie, ty złotousty łobuzie! Mam nadzieję, że nigdy nie przyjdiesz do mnie, żeby prosić o pożyczkę... No dobrze, rozumiem, że ona potrzebuje jeszcze trochę więcej tej twojej wymowności. Nie odgryź sobie tylko języka przy gadaniu! Ona chce, żebyśmy wynieśli się stąd jak najszybciej, jednak będziemy musieli poczekać do brzasku...

- Muszę zrobić to, co trzeba, Marku - oświadczył. Wyglądał na zmęczonego.

- Zbyt wielu porządnych ludzi powiedziało te słowa, a potem odrzuciło obiecujące kariery, nie doczekawszy się podziękowania. Nie bądź głupcem... czy martwym bohaterem. Powiedz jej, że nie będzie zamiany. Spodziewam się zobaczyć cię, zanim ruszymy, trybunie. Spakujemy się i będziemy czekać na ciebie - oznajmiłem mu. Obaj byliśmy odpowiedzialni za życie Helwecjusza i rekrutów. Obaj wiedzieliśmy, co musi się zdarzyć.

- Ruszajcie o świcie - rzucił krótko Justyn. Chwycił stary słupek poręczy i zaczął się wspinać.

Zostawiłem go, nie będąc pewny, czy zamierza z nami wracać. Miałem nieprzyjemne uczucie, że on sam jeszcze tego nie wie.

Byłem natomiast całkowicie pewien, że Weleda wie, co mu szykuje.

Cicho pobudziłem wszystkich. Skupili się wokół mnie, a ja szeptem wytłumaczyłem im, co się dzieje.

- Wiedźma pozwala nam się wymknąć, jednakże jej koledzy mogą mieć na to inny pogląd, więc cicho sza. Dzięki naszemu nieustraszonemu negocjatorowi dostajemy nowy środek transportu. - Zamilkłem na chwilę. - Pytanie zatem brzmi, ilu z was, nabrzeżnych włóczęgów, czuje się na liburnie jak w domu?

Tak jak myślałem, przynajmniej raz nie mieliśmy z czymś problemu. Ostatecznie I Legion *Adiutrix* uformowano z majtków floty miseńskiej. Byli to najlepsi żołnierze, jakich mógłbym sobie wyobrazić, by odprowadzić do domu okręt flagowy naczelnego dowódcy.





CZEŚĆ VI
POWRÓT DO DOMU
(BYĆ MOŻE)

GERMANIA LIBERA, BELGIKA I GERMANIA GÓRNA
LISTOPAD A.D. 71

*„Po pierwszych zbrojnych akcjach wymierzonych w Rzymian
Cywilis przysiągł, jak przystało na dzikusa, że ufarbuje włosy
na czerwono i nie obetnie ich, dopóki nie unicestwi legionów...”*

Tacyt, Dzieje

54

Udało nam się wejść na pokład bez zaalarmowania Brukterów. Z początku odmówiłem zabrania handlarza, potem jednak ustąpiłem, by mieć całkowitą pewność, że nie doniesie na nas ponownie. Te dwa wierzchowce, na których przyjechał Justyn i Orozjusz, zostały natychmiast przywłaszczzone przez naszych gospodarzy, jednak pozostałą czwórkę koni udało się bez trudu i po cichu wprowadzić po trapie na pokład.

Staraliśmy się w milczeniu i po omacku rozplatać liny i ruszyć zaklinowane wiosła. Sprawny liburn, z doświadczoną załogą, potrafiłby prześcignąć wszystko, co pływało na tych wodach, jednak ten był w złym stanie, brakowało nam obsady i żaden z nas nie znał tego konkretnego statku, nie mówiąc już o rzece, po której mieliśmy żeglować. Kilku rekrutów ruszyło wzdłuż brzegu, dziurawiąc napotkane łodzie, które mogły za nami pogonić, jednak powodowany tym hałas martwił Helwecjusza, więc ostatecznie ich odwołaliśmy.

Młodzieńcy byli w swoim żywiole. Wszyscy umieli żeglować i wiosłować. No... wszyscy z wyjątkiem Lentula. Ten niezmiennie pozostawał chłopcem, który niczego nie potrafi.

Niebo zaczynało przybierać już nieco jaśniejszy odcień i czułem coraz większy niepokój.

- Helwecjuszu, jeśli Kamil nie pojawi się wkrótce, zabierasz chłopców i wynosisz się stąd - oznajmiłem stanowczo.

- Chyba nie zamierzasz zejść na ląd? - spytał.

- Nie zostawię go - odparłem.
- Daruj sobie brawurę. Oto i on!

Przyznaję, byłem szczerze zdumiony.

Wysunęliśmy się z miejsca cumowania i rzuciliśmy powtórnie kotwicę kawałek dalej, na głębszej wodzie. Probus czekał przy nabrzeżu z łódką aprowizacyjną, żeby zabrać trybuna. Kiedy wciągaliśmy ich na pokład, kotwicę mieliśmy już podniesioną.

- Wojna? - zapytałem.
- Nie, pokój.

Było zbyt ciemno, bym mógł zobaczyć jego twarz.

Justyn bez dalszych słów przeszedł na rufę. Popatrzyłem na jego napięte plecy i dałem znak pozostałym, by zostawili go w spokoju. Usadowił się w ciemnym kącie, oparł o kabinę dowódcy i patrzył w kierunku brzegu. Piesek leżał u jego stóp, skomląc, bo wyczuwał, że pan nie jest szczęśliwy. Mnie też było ciężko patrzeć na wyraźnie przygnębionego trybuna.

Mieliśmy mnóstwo roboty. Z początku, by zachować ciszę, pozwoliliśmy, by statek spływał sam z nurtem. Kiedy wzeszło słońce, odsłoniły się przed nami skutki całorocznego zaniedbania. Wkrótce połowa załogi w pośpiechu wybierała wodę, podczas gdy Helwecjusz, klnąc, próbował uruchomić wyschniętą pompę zęzową. Kiedyś była to wysokiej klasy maszyna. Niestety, nieużywana zaczęła niszczyć.

Płynęliśmy z prądem i nie widzieliśmy śladu pościgu. Askaniusz i Sekstus odnaleźli żagle. Skóra była tak sztywna, że prawie nie dawało się z nią nic zrobić, rozdeptaliśmy ją jednak najlepiej, jak potrafiliśmy. Mniejszy, trójkątny kliwer został wciągnięty dość szybko, natomiast przygotowanie tego dużego, prostokątnego, zajęło znacznie więcej czasu. Potem zauważyliśmy, że statek płynie zbyt blisko brzegu. Liburn to duża jednostka, niełatwo manewrować nią grupce nowicjuszy, z których niektórzy są na dodatek idiotami, niemniej ciągle kręciłem przecząco głową za każdym razem, kiedy spojrzenia załogi biegingły ku rufie.

- Ciężar trybuna by się tu przydał! - odezwał się któryś.
- Trybun już dość zrobił - odparłem zdecydowanie.
- Panie...
- Ma ochotę posiedzieć w ponurym nastroju. Pozwólcie mu!

Udało nam się wreszcie wciągnąć wiosła po zagrożonej stronie, na chwilę przed ich roztrzaskaniem, a potem wstrzymywaliśmy oddech, kiedy galera podskakiwała i tarła dnem o piasek na płycznach. Jakimś cudem wyprowadziliśmy ją na głęboką żeglowną wodę. Posuwała się z wolna w szarej poświacie zimnego listopadowego ranka, podczas gdy my spędzaliśmy kolejną godzinę pracy nad żaglem. Wreszcie, powitany znużonym okrzykiem radości, znalazł się na swoim miejscu. Potem ruszyliśmy znowu do wylewania wody i

zrobiliśmy ogólny bilans.

Nie mieliśmy żadnej broni poza oszczepami i bardzo mało jedzenia. Tylko dwaj z nas mieli broje. Uratowaliśmy cztery konie... które być może skończą w postaci pieczeni. Nie mieliśmy już gotówki na ewentualną wymianę. Na północnym brzegu tkwili Brukterowie, a na południowym Tenkterowie; jedni i drudzy mieli pogardliwy stosunek do Rzymian w opałach. Zejście na ląd przed dotarciem do Renu, a ten był odległy o przeszło tydzień żeglowania, skończyłoby się dla nas fatalnie. Wlokący się w przechyle okręt, zapowiadał tydzień ciężkiej harówki.

Jednak żyliśmy i byliśmy wolni. To się okazało tak miłą niespodzianką, że bezzwłocznie posadziliśmy połowę rekrutów do wiosł, podczas gdy reszta wyrzucała za burtę zbędne drewno, by ulżyć wiosłującym, pilnowała żagli... i śpiewała.

Helwecjuszowi udało się wycisnąć co nieco z pompy.

A potem pozwoliłem wreszcie Askaniuszowi przejąć ster i poszedłem na rufę, żeby wybadać, co takiego Weleda zrobiła naszemu chłopcu.

55

- **A**hoj, Masynisso! - zawołałem. Justyn był zbyt uprzejmy, by kazać mi zmyć sobie z twarzy radosny uśmiech. - Cieszę się, że amulet zadziałał.

- Jeszcze jak! - powiedział dziwnym głosem.

Przyjąłem swoją dawną postawę ponurego wujka.

- Wyglądasz na zmęczonego - oświadczyłem.

- To nic poważnego - odpowiedział.

- Świetnie. Bałem się, że może to być rezultat złamanego serca.

- Na szczęście obaj wiemy, że to nieprawda - odparł, zdecydowanie zbyt spokojnie.

- Jest dla ciebie za stara, nic was nie łączy, a twoja matka ma już i tak dość, w związku z Heleną i ze mną.

- Oczywiście - zgodził się.

Mógł przynajmniej zaprzeczyć temu punktowi dotyczącemu Heleny i mnie.

- No cóż, Kwintusie Kamilu, cieszę się, że potrafisz mieć filozoficzne nastawienie. Jesteś przyzwoitym młodzieńcem i należy ci się trochę rozrywki, zanim się ustatkujesz, prowadząc nudny żywot senatora, jednakże obaj wiemy, że to, co się tam wydarzyło, było istotnym doświadczeniem... w rodzaju tych, które potrafią osłabić morale myślącego człowieka.

- Senat dla mnie wykluczono.

- Mylisz się. Tyś to zmienił. Wierzę, że są w nim pewne zalety, jeśli posiadasz umiejętność tolerowania nudziarzy i hipokrytów. Wystarczy, że raz w miesiącu posiedzisz w Kurii, a już w teatrze dostajesz miejsca w pierwszym rzędzie.

- Proszę, nie staraj się mnie podbudowywać.

- W porządku. Tak z ciekawości, czy uciekłeś, czy pani cię wyrzuciła?
- Poważnie traktowałem swoją propozycję zamiany. Powiedziałem, że muszę zostać.
- No tak. Niektóre kobiety nie znoszą napuszonych gości, którzy twardo trzymają się zasad.

Justyn milczał.

- Chcesz porozmawiać o tym, co się wydarzyło? - spytałem.

- Nie - odparł krótko.

Patrzyliśmy na umykającą za rufą wodę. Jak na mój gust, ze względu na nasze bezpieczeństwo posuwaliśmy się zbyt wolno, ale dla młodego trybuna było to i tak za szybko. Coś go dogłębnie poruszyło i wyrwał się, nim zdążył przystosować. Teraz nękały go różne uczucia.

- Bądź gotów - radziłem mu. - Inni ludzie, nie ja, będą cię przepytawali... ludzie na wysokich stanowiskach. Młodszy dowódca, który rozmawiał z wrogiem, ma obowiązek rzecz wyjaśnić. - Odwróciłem się, by odejść.

- Co się stało z Masynissą? - zapytał nagle cierpkim tonem.

Zatrzymałem się.

- Kiedy skończył ze swoją księżniczką? Żył wiele lat jak człowiek honoru, poświęcając się obowiązkom panującego i takim tam.

- A tak, oczywiście! - rzucił. Czekałem. Widziałem, że zmusza się, by dokończyć tę część dotyczącą spraw oficjalnych. - Kiedy poszedłem na górę, ona już zdążyła podjąć decyzję. Powie swojemu ludowi, że nigdy nie da się utworzyć wolnego cesarstwa galijskiego. Że za naszego życia Rzym nie straci zachodniego brzegu Renu. Że wolność na ich własnym terytorium jest warta więcej niż bezcelowa wojna... Czy potrafi ich zmusić, by jej posłuchali? - mówił z rozpaczą.

- Ona nigdy nie stosuje przymusu - powiedziałem. - Pozostawienie ludziom wolności wyboru czasami powoduje, że wybierają tę trudniejszą drogę.

- O tak! - przyznał z przekonaniem.

- Czy była zmartwiona? - Przez głowę przebiegła mi myśl, że może ją pocieszał.

Nie odpowiedział na moje pytanie, natomiast zadał własne:

- Co się z nią stanie?

- Albo zamieni się w szaloną zjawę, albo poślubi jakiegoś krępego, rudowłosego brutala i w dziesięć lat urodzi mu dziewięcioro dzieci.

- Przepowiedziała - oświadczył Justyn po chwili milczenia - że jeśli wschodnie plemiona powrócą do swojego koczowniczego trybu życia i będą nawzajem najeżdżać swoje terytoria, to Brukterowie zostaną starci z powierzchni ziemi.

- To możliwe.

Przez długą chwilę żaden z nas się nie odezwał.

Usłyszeliśmy, jak Askaniusz woła, by ktoś go zmienił. Wcześniej kazałem Helwecjuszowi odpocząć, żeby mógł przejąć późniejszą wachtę; musiałem więc iść.

- Jedno mnie zastanawia, Kwintusie. Skoro Weleda już wtedy podjęła decyzję, to czemu czekała do świtu, żeby cię wyrzucić?

Zwlekał z odpowiedzią tak krótko, że było to niemal niezauważalne.

- Bardzo jej zależało na miłej rozmowie, jak sam wcześniej powiedziałeś - oświadczył. - Mnie zresztą też - dodał.

Roześmiałem się, po czym powiedziałem, że potrafi być bardzo subtelny, kiedy chce być nieuprzejmy, i że aluzję pojąłem.

Wróciłem, by nadzorować Askaniusza. I kiedy chłopak zadał w imieniu wszystkich pytanie: Zrobił to czy nie?, z przekonaniem odpowiedziałem, że nie.

Justyn nigdy mi nie zwrócił amuletu kwatermistrza. Byłem dość zaskoczony, że go sobie zatrzymał. Prawdę mówiąc, czasami, zwłaszcza gdy na jego twarzy widziałem ten bolesny wyraz, z jakim pojawił się na okręcie, myślałem sobie, że wygląda na mężczyznę, który go podarował pewnej dziewczynie jako znak miłości.

Los go ochronił. Nie był zakochany; powiedział mi to. Kwintus Kamil Justyn, starszy trybun I Legionu *Adiutrix*, okazał się jednym z urodzonych dyplomatów cesarstwa. Dyplomacja wymaga pewnej dozy kłamstwa... nie wierzę jednak, by brat Heleny ukrywał prawdę przede mną.

56

Wkrótce nie mieliśmy już czasu na rozmyślania.

Okręt flagowy Petyliusza Cerialisa był tak samo nieprzewidywalny i kłopotliwy jak dowódca. Wyglądał żałośnie z powodu zaniedbania, ale co gorsza, rebelianci musieli uszkodzić mu ster podczas holowania. Poddawał się sterowaniu jak uparty wielbłąd, a żeglował zupełnie tak, jakby nie istniało coś takiego jak wiatr czy prąd rzeki. Nie wiadomo dlaczego, przechylał się na jedną stronę, i problem ten stale narastał. Wymknęliśmy się statkiem z charakterem... zachowywał się tak buntowniczo jak mój starszy brat, Festus, kiedy po nocy, z której nic nie pamiętał, wracał z tawerny. Podróż w dół rzeki przypominała jazdę na koniu, który koniecznie chciał się cofać. I nabierał wody z gracją nasiąkniętej kłody drewna.

Większość kłopotów wynikała z niedostatku załogi. We właściwych rękach byłby cudowny. Powinien mieć jednak wszystkie te brakujące wiosła, pełną obsadę wiosłarzy, żeglarzy odpowiedzialnych za takielunek, kapitana, jego zastępcę i oddział żołnierzy... by już nie wspomnieć o dowódcy, który w nagłej potrzebie też by przyłożył rękę do wiosła. Dwudziestu pięciu ludzi to po prostu za mało, a wliczałem w to Dubnusa, który okazał się bezużyteczny, i sługę centuriona, który jasno dał nam do zrozumienia, że nie ma co brać go

pod uwagę (znów zaczęły się żalosne błagania o wysłanie do Mezji). Potem, kiedy dni mijały, a rzeka zrobiła się szersza i głębsza, nasze zapasy jedzenia zdążyły się skurczyć. Osłabiliśmy, a właśnie wtedy najbardziej potrzebowaliśmy sił.

Nie zauważyliśmy, że dotarliśmy do miejsca, w którym nasza rzeka wpadała do Renu. Statek nabierał wody. Wciągnęliśmy żagle i wielu z nas przebywało pod pokładem, gdzie rozpaczliwie staraliśmy się zatkać szczeliny. Kiedy więc Probus zawołał, nikt go nie usłyszał. Dopiero kiedy ryknął z całych sił, popędziliśmy na pokład. Rozległy się okrzyki radości, zanim dotarło do nas, w jak poważnych znajdujemy się tarapatach. Prąd przydenny przybrał na sile. Okręt flagowy, wciąż przechylony na prawą burtę, był teraz głęboko zanurzony i niemal zupełnie stracił sterowność. Nie mieliśmy jak radzić sobie na wzburzonej wodzie.

Krzyknąłem, by rzucić kotwicę, ale nie chwyciła.

Akurat wtedy, kiedy bezpieczeństwo wydawało się tak bliskie, sytuacja stała się beznadziejna. Pod szarym niebem wszystko wyglądało jeszcze bardziej złowieszczo. Przejmujący północny wiatr przyniósł zapach morza, w okrutny sposób przypominając nam, że chcieliśmy odwrócić się do niego tyłem. Mieliśmy nadzieję wpłynąć do głównej rzeki; od początku wiedzieliśmy, że bez wyszkolonych wioślarzy będziemy musieli się posuwać z nurtem. Powinniśmy znaleźć się po drugiej, tej rzymskiej stronie Renu i wzdłuż brzegu dopłynąć spokojnie do Wetery. Podróż pod prąd była niemożliwa. Dla amatorów, walczących o utrzymanie stabilności ogromnej i przeciekającej galery, rejs z prądem był wystarczająco trudny. Przynajmniej gdyby udało nam się wpłynąć bezpiecznie na Ren, moglibyśmy przywołać jakiś okręt floty, żeby nas odholował... a nawet zabrał wszystkich z pokładu, bo za cenę szybkiego powrotu do domu bardzo chętnie zrezygnowalibyśmy z prestiżu należnego tym, którzy odzyskali liburna.

Los był wystarczająco długo łaskawy i teraz odwrócił się do nas swoimi pięknymi plecami. Pod wpływem coraz silniejszego nurtu i ciężaru zalanej żęzy okręt zaczął się powoli obracać. Nawet dla nas stało się jasne, że postanowił zatonać. Sytuacja była rozpaczliwa. W listopadzie rzeka miała najniższy poziom, wciąż jednak rwała z nieposkromioną siłą, a my nie mieliśmy błon pławnych przy palcach nóg, tak jak łyski.

- Musimy dobić do brzegu - krzyknął Helwecjusz - zanim Ren go zabierze!

Miał rację. Byliśmy po niewłaściwej stronie rzeki - wciąż na niewłaściwej rzece - jednak gdyby zatonał pośrodku nurtu, stracilibyśmy wszystko, a ludzie by potonęli. Rekruci może i wyrastali w pobliżu portu, ale jedynie sławni Batawowie przepływali wpław Ren, by móc się tym potem chełpić. Nic nie powiedziałem, lecz przynajmniej jeden członek naszej grupy (ja) nigdy nie nauczył się pływać.

Na szczęście, choć galera opierała się spokojnemu żeglowaniu ku bezpieczeństwu, z łatwością wylądowała na wrogim brzegu.

Dobiliśmy, to znaczy okręt raczył dotelepać się do najbardziej błotnistej miejsca w okolicy i zatrzymać ze zgrzytem, którym poinformował nas, że teraz jest już gotów zgnić do końca. On był unieruchomiony, ale załoga musiała brodzić w grzęzawisku, by dotrzeć do tego, co dla człowieka jest stałym lądem. Wybrał sobie brzeg Tankterów. Może przynajmniej nie wiedzieli o tym, że wymknęliśmy się z wieży Weledy w okolicznościach, które mogłyby bardzo zaciekawiać ich koleżków Brukterów.

Krajobraz u zbiegu dwóch wielkich rzek był niezbyt zachęcający, a powietrze lodowate. Podmokła ziemia nie nadawała się do uprawy i okolica robiła wrażenie ponurej i wymarłej. Stado ciężkich gęsi przeleciało nad naszymi głowami i niedorzecznie nas przestraszyło szumem skrzydeł. Mieliśmy nerwy napięte jak postronki, a w takiej sytuacji nietrudno o błąd.

Ren mieliśmy w polu widzenia, wobec czego wysłaliśmy na brzeg niewielką grupkę chłopców, żeby rozglądali się za jakimś rzymskim statkiem. Oczywiście akurat żaden się nie pojawił. Znudzeni obserwatorzy wrócili, wbrew rozkazom, utrzymując bez przekonania, że było zbyt bagniście, żeby dało się przejść, ale nawet nie chciało nam się ich porządnie zrugać. Helwecjusz, centurion jak by nie było, próbował nas pobudzić do działania.

- Co teraz, Falconie? - spytał.

- Zamierzam osuszyć buty, a potem spędzić co najmniej trzy godziny, siedząc na tym pagórku, obwiniając innych za to, co poszło nie tak... Są inne propozycje?

- Trybunie?

- Jestem zbyt głodny na błyskotliwe pomysły - oznajmił Justyn.

Wszyscy byliśmy głodni. Wobec czego Helwecjusz zaproponował, że skoro jesteśmy tu uwięzieni, a okolica zdaje się roić od błotnych ptaków i innej zwierzyny, to może by rozpakować nie używane dotąd oszczepy i zapolować na coś jadalnego. Pamiętałem, co powiedział kiedyś o głupich oficerach, polujących na dziki w niebezpiecznych miejscach, ale rekruci tak już sposepniali z głodu, że pozwoliliśmy mu poprowadzić grupkę aprowizacyjną. Nie chcąc, by Lentul plątał nam się pod nogami, wysłałem go z kubłem na poszukiwanie skorupiaków. Reszta rozładowywała galerę i juczyla uratowane chwilowo od garnka konie. Potem ruszyliśmy wyżej, ku suchszej ziemi, gdzie dałoby się rozłożyć obóz.

Miałem przemoczone buty i perspektywa dzielenia jednego ośmioosobowego namiotu z dwudziestoma czterema mężczyznami wprowadziła mnie w stan jeszcze cięższego przygnębienia. Krzemienie w pudełeczku były tak starte, że nikomu nie udawało się skrzesać ognia. Helwecjusz to umiał... był kompetentny we wszystkim i dlatego zawsze niezbędny. Wtedy właśnie

Orozjusz z kolegami przywlekli się do obozu z upolowanymi ptakami, ale bez centuriona, który, jak twierdzili, musiał zgubić drogę.

Było to do niego niepodobne i od razu wiedziałem, że musiało wydarzyć się coś złego.

Justyn został na służbie w obozie. Zabrałem Orozjusza, konia i polową apteczkę.

- Gdzie widzieliście go ostatni raz? - spytałem.
- Nikt nie był tego pewien. Dlatego wszyscy wróciliśmy.
- Na Jowisza! - wybuchnąłem. Bardzo mi się to nie podobało.
- O co chodzi, Falkonie?
- Musiał odnieść jakieś obrażenia. Albo jeszcze gorzej.

Jak należało oczekiwać, młody człowiek nie pamiętał, w którą stronę grupka zboczyła. Kiedy przeszukiwaliśmy mokradła, zdawało nam się, że ktoś nas śledzi. Mogła to być nasza wyobraźnia, bo dźwięki nie były ciągłe, ale nie mieliśmy czasu, żeby to sprawdzić. Doszliśmy do miejsca, gdzie w bocznych odnogach woda tkwiła nieruchomo pośród ogromnych trzcin. Tam, na krawędzi twardego łądu, znaleźliśmy centuriona.

Żył. Nie był w stanie jednak zawołać o pomoc, bo rzymska włócznia przebiła mu gardło, podczas gdy druga sterczała w pachwinie.

- O bogowie! Orozjuszu, jeden z was, nieostrożnych młodych drani, odpowie za to...
- To nie są nasze...
- Nie kłam! Spójrz na nie... patrz!

To były rzymskie oszczepy. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Miały długie groty, mocowane za pomocą tulei, z miękkiego żelaza, która wyginała się przy uderzeniu. Celowo. Oszczep wbity w nieprzyjacielską tarczę zwisa przekrzywiony i utrudnia ruchy, nie da się też wyciągnąć i odrzucić. Kiedy ofiary naszego ataku szarpia się bezsilnie, my ruszamy na nie z mieczami.

Ciemnobrązowe żywe oczy centuriona błagały... czy, co było bardziej prawdopodobne, rozkazywały mi. Omijałem wzrokiem jego spojrzenie.

Nieopodal poderwał się z krzykiem ptak.

- Stań na straży, Orozjuszu...

Widok krwi nigdy nie powinien wywoływać u człowieka paniki, powiedział mi kiedyś pewien medyk. Mógł sobie pozwolić na filozofowanie; z krwi potrafił wyciągnąć sporo pieniędzy. W tej chwili, gdyby ten medyk wyszedł z wierzby, ozłociłbym go. Helwecjusz jęknął cicho, starając się nie robić hałasu. W obliczu tak straszliwie cierpiącego człowieka trudno było nie czuć przerażenia. Nie śmiałem go poruszyć. Nawet gdybym był w stanie przenieść go do obozu, nie byłoby w tym żadnej korzyści; to, co trzeba było zrobić, należało zrobić na miejscu. A potem dopiero pomyśleć, jak go przetransportować.

Zwinąłem płaszcz i podłożyłem pod niżej wbity włócznię, Helwecjusz, wciąż

przytomny, trzymał ręce zaciśnięte na tej drugiej. Odłamaniem drzewców zmniejszyłoby ciężar, jednakże z żelazem wbitym w taki sposób nie odważałem się ich tknąć...

Usłyszeliśmy głosy. Orozjusz, zadowolony, że ma wymówkę, by odejść, poszedł sprawdzić.

Mamrotałem coś przez cały czas, częściowo by dodać otuchy Helwecjuszowi, ale jeszcze bardziej, by uspokoić samego siebie.

- Nie patrz tak na mnie, stary. Masz tu tylko leżeć i odgrywać bohatera. Reszta to mój problem... - mówiłem. Próbował coś powiedzieć. - Dobrze, dobrze, zrobię wszystko, co będę mógł... listę skarg możesz mi podać później.

Wiedziałem, że muszę działać szybko, ale byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym miał choć odrobinę pewności siebie. Większość krwi wypływała z rany na szyi. Jeden zadziór nie wbił się w ciało, co mogło znaczyć, że być może grot da się jednak wyjąć. Starąłem się nie myśleć, że ten drugi oszczep mógł spowodować krwawienie wewnętrzne.

Szkatuła z medykamentami była jedynym przedmiotem, jaki Justyn zdołał uratować przed Brukterami. Zawierała głównie maści i bandaże, ale znalazłem w niej też cienkie haczyki z brązu, które mogłyby pomóc rozsunąć skórę podczas wyciągania zadzióra. Było tam nawet narzędzie do usuwania grotów, ale widziałem kiedyś jedno z nich w użyciu: trzeba je było wcisnąć, okręcić wokół osi i bardzo zręcznie wyciągnąć. Tej zręczności mi brakowało. Wolałem spróbować obejść się bez niego.

W wodzie po mojej lewej ręce coś usłyszałem. Nie tyle plusk, ile psyknięcie. Było tak ciche, że nachylając się nad Helwecjuszem, niemal go nie usłyszałem; nie miałem głowy na słuchanie kryjących się w sitowiu wydr czy żab.

- Tur... - Nasz twardziel miał halucynacje jak dziecko w gorączce.

- Nic nie mów - poprosiłem.

A potem wśród wierzb zaczął się jakiś ruch, rozległ się okrzyk i nagle wyskoczyła stamtąd grupka mężczyzn. Mieli włócznie gotowe do rzutu, ale kiedy nas zobaczyli, roztropnie zacisnęli tylko mocniej dłonie na drzewcach.

57

Miałem przed sobą grupę myśliwych, na której czele stał jakiś wysoko urodzony drań, odziany w szatę z wybornej brązowej wełny. Miał hiszpańskiego wierzchowca, kilku odnoszących się do niego z szacunkiem towarzyszy, dwóch tragarzy z zapasowymi włóczniami i kipiał wściekłością. Rozejrzał się wokół, zauważył mnie i doskonałą łaciną wrzasnął:

- Na Kastora i Polluksa... co ludzie tutaj robią?

Podniosłem się.

- Są... jak i ty!

Zamurowało go, kiedy usłyszał moją odpowiedź po łacinie.

Zeskoczył z konia, puścił wodze i podszedł bliżej... ale niezbyt blisko.

- Myślałem, że jesteście Tenkterami. Słyszeliśmy ich w okolicy - oznajmił. Tego mi tylko było potrzeba. - Zgubiłem zwierzę, na które polowałem. Coś wielkiego...

Szarpał się za włosy, czarne i ułożone tak, by podkreślić zgrabny kształt głowy; zgrzytał zębami - równymi i białymi. Pas miał misternie zdobiony srebrem; buty z miękkiej skóry, z frędzlami mocowanymi ćwiekami z brązu; pierścień ze szmaragdem. Jego wściekłość była taka, jaką codziennie widuje się na Forum Romanum, kiedy nieuważny poganiacz osłów znajdzie się na drodze ważnego obywatela opuszczającego Basilica Iulia.

Byłem bardzo zmęczony. Całe ciało miałem obolałe. Rzadko kiedy było mi tak ciężko na sercu jak teraz.

- Twoja zwierzyna jest tutaj - powiedziałem spokojnie. - Jeszcze nie całkiem dobita.

Odsunąłem się na bok, żeby mężczyzna z senatorską artykulacją samogłosek mógł mieć lepszy widok na naszego centuriona, leżącego u moich stóp.

- To jest Appiusz Helwecjusz Rufus, centurion Pierwszego Legionu *Adiutrix*. Nie przejmuj się - powiedziałem uprzejmie. - Helwecjusz to realista. Zawsze wiedział, że znacznie mniej mu grozi ze strony nieprzyjaciół niż rażąco niekompetentnych wyższych dowódców...

- Jestem rzymskim oficerem - poinformował mnie z wyższością przywódca myśliwych, unosząc zadbane brwi pod porządnie przyciętą czarną grzywką.

- Wiem, kim jesteś - oznajmiłem. Coś w moim drwiącym spojrzeniu kazało mu mieć się na baczności. - Dużo o tobie wiem. Twoje finanse opierają się na skomplikowanej konstrukcji z długów, twoje życie rodzinne jest zdezorganizowane. Twoja żona jest zniecierpliwiona, a twoja kochanka zasługuje na więcej. I obie byłyby bardzo niezadowolone, gdyby się dowiedziały, kogo odwiedzasz w Colonii...

- Grozisz mi? - zapytał z osłupiałą miną.

- Może.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Dydiusz Falko.

- Nic mi to nie mówi - warknął.

- Musi wystarczyć. Przedstawiłbym się sześć tygodni temu, gdybyś był wtedy osiągalny. Uniknąłbyś w ten sposób stosu listów w swoim biurze, pozostawionych bez odpowiedzi, w tym najistotniejszego, listu Wespazjana dotyczącego przyszłości twojego legionu - mówiłem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć. - Cesarz ma także wątpliwości względem twojej przyszłości - ciągnąłem dalej równie spokojnie i powoli. - Nazywasz się Floriusz Gracylis. Twój legion to Czternasty *Gemina* i lepiej proś bogów, by wykazał dość doświadczenia, aby przetrwać legata, którego stosunek do obowiązków

dowódcy jest niewiarygodnie nonszalancki.

- Posłuchaj...

- Nie, to ty posłuchaj, legacie! - Wymówiłem ten tytuł jak obelgę. - Właśnie odkryłem, że używasz włóczni wojskowych w celach prywatnych, po niewłaściwej stronie Renu, w towarzystwie, które cesarz na pewno uzna za niegodne...

Jeden z towarzyszy Gracylisa wykonał nagle sprośny gest. Rozpoznałem i ten szybki ruch, i ten dołek w brodzie, i ten jawnie szyderczy uśmiezek.

Spojrzałem mężczyźnie prosto w oczy.

- Jesteś bardzo daleko od Lugdunum! - oświadczyłem.

58

Gal, którego ostatni raz widziałem, jak kłócił się z dwoma germańskimi ceramikami, przyjął agresywną postawę. Od czasu kiedy przejeżdżałem przez jego prowincję w drodze do Germanii Górnej, przebywałem w całkiem innym świecie, jednak teraz tamta kłótnia w Lugdunum i ciała zabitych mężczyzn stały mi wyraźnie przed oczyma. Wielki Gal z szyderczym uśmiechem milczał. I dobrze. To może poczekać. W tych okolicznościach, w niepewnej sytuacji i okolicy, nie miałem ochoty się nim zajmować.

Raczej wyczułem, niż zobaczyłem słabe poruszenie Helwecjusza. Wiedziałem, że mnie ostrzega. Nagle pojąłem, dlaczego centurion tu leży z dwiema włóczniami w ciele. Przypomniała mi się nasza rozmowa, zanim opuściliśmy Mogontiakum. On też widział tego galijskiego ceramika podczas kłótni z Brucjuszem i jego bratankiem w Lugdunum; widział nawet, jak później Gal jechał za nimi. Mógł zobaczyć Helwecjusza. W sądzie słowo centuriona wystarczyłoby, by skazać mieszkańca prowincji. Natknięcie się na Helwecjusza samego, tutaj, na tym odludziu, musiało wydawać się darem od bogów dla człowieka, który już wcześniej dwukrotnie zabił.

Zastanawiałem się, czy Floriusz Gracylis wie, jaki to „wypadek” przydarzył się leżącemu, jednak sądząc z wyrazu jego twarzy, kiedy ujrzał Helwecjusza, nie miał pojęcia.

Zaangażowanie w działania korupcyjne to jedna rzecz; morderstwo byłoby zbyt wielką głupotą.

Nie znając całej tej historii, Gracylis zdecydował się na pokaz zuchowatości. Niewątpliwie był przekonany, że zatarł za sobą ślady oszustwa z przetargiem i że kiedy wróci do domu, jakoś zatuszuje sprawę.

- Taka tragedia - wymamrotał. - Powiedz mi, czy mogę pomóc... Bardzo niefortunne. Wypadki się zdarzają. Od pierwszego dnia cała ta wyprawa była nieudana. Miałem się spotkać z pewnym handlarzem, który obiecał pokazać mi pole bitwy Warusa. Beznadziejny szachraj. Wziął ode mnie pieniądze, żeby kupić sobie ekwipunek, a więcej się nie pojawił - powiedział.

Domyśliłem się, o kim mówi.

- Jeśli jest z plemienia Ubiów, ma obwisłą wargę i lubi sobie ponarzekać, to ja go porwałem - oświadczyłem. Moja pozycja delikatnie się wzmocniła. Dubnus był także świadkiem wykorzystywania pieniędzy podatników przez legata, a teraz to ja miałem Dubnusa... zobaczyłem, jak oczy Gracylisa się zwięzają; zrozumiał. Żeby podkreślić swoje słowa, dodałem: - Ten handlarz nas zdradził i wydał Brukterom, i można spokojnie założyć, że to samo chciał zrobić z tobą.

- Och, wątpię! - rzucił.

Nawet po wielu latach oglądania senatorów arogancja tego człowieka mnie zdumiała.

Musieliśmy jakoś wrócić do domu. Byłem przygotowany na targi. Stałem mocno na nogach i bez osłonek oświadczyłem legatowi:

- Jeśli ten Gal jest twoim przyjacielem, powinieneś być bardziej ostrożny. W Cavillonum jest dwóch martwych mężczyzn i to on będzie się tłumaczył w tej sprawie. - Wskazałem mu drogę wyjścia z trudnej sytuacji. - Ofiary pochodzą z miejsca, gdzie sprawujesz dowództwo. Społeczność Mogontiakum będzie oczekiwała, że się tym zajmiesz.

Nie pomyliłem się w jego ocenie.

- Wygląda na to, że muszę przeprowadzić w tej sprawie śledztwo! - Legat zdystansował się odrobinę od mężczyzny z dołkiem w brodzie. Nieuczciwość ma tę uroczą cechę, że ostatecznie działa w obie strony. - Nie mam pojęcia, co ty tutaj robisz - rzucił wyzywająco. Był to ten spokojny, gładki patrycjuszowski głos człowieka, który liczy na to, że wszystko ujdzie mu płazem dzięki jego spokojnym, gładkim patrycjuszowskim przodkom. - Ja sam właśnie dokonuję politycznego rekonesansu - oznajmił. Był to jeden ze sposobów nazywania opłacanych przez innych rozrywek.

- Ach, tak? - rzuciłem. Lekkość, z jaką się wypowiadał, wprawiała mnie w irytację. - U Cywilisa, co? Na Wyspie? W Batawodurum? Dużo czasu spędziłeś w Weterze? - dociekałem zgrzytliwym ze złości głosem.

- Miałem ochotę poniuchać tu i tam... - wyznał.

A to ci turysta.

Helwecjusz poruszył się niespokojnie. Zaczynałem tracić cierpliwość.

- Chciałeś obejrzeć sobie szkody, powąchać, jak pachnie klęska, wziąć kamień z obwarowań i zabrać do domu jako pamiątkę? A potem kilka dni urlopu na prawdziwe polowanie i pech dla każdego solidnego rzymskiego weterana, który napotka wypuszczone przez was włócznie... a ja myślałem, że może przeprawiłeś się na tę stronę, by poprowadzić negocjacje z wieszczką.

- Weledą? - Gracylis wyglądał na wstrząśniętego. Wespazjan nie życzyłby sobie, by ktokolwiek zadawał się z tą wiedźmą!

Postanowiłem nie wyprowadzać go z błędu.

- I odnalazłeś Cywilisa? - zapytałem.

- Nie - odparł. No cóż, był senatorem. Pewnie przyznano by mu wieniec laurowy za samo podjęcie takiej próby.

Po tych wszystkich naszych ciężkich przejściach najwyraźniej straciłem nad sobą kontrolę. Wiedziałem, że nie ma nadziei, by Wespazjan zdegradował tego przyjemniaczka, chyba że przedstawię mu jakiś większy skandal niż łapówki za ustawienie przetargu czy udział w polowaniu na terytorium barbarzyńców. Miał na koncie rozwiązłość i śmierć, i pieniądze. Jeśli chodzi o rozwiązłość, to nie była na tyle rażąca, by wywołać w Rzymie święte oburzenie. Nie wziął aż tak wielkich łapówek, by warto było w rewanżu wynajmować prawników. Przypadków śmierci było zdecydowanie za mało.

- Przekroczyłeś granice, legacie - wycedziłem. Przekroczył je w każdym znaczeniu tego słowa. Ale przecież z każdą chwilą Helwecjusz słabł u moich stóp. - Mam ze sobą grupę wycieńczonych i wygłodzonych ludzi, a centurion jest ciężko ranny. Pełniliśmy tu misję w imieniu cesarza, o której nie mogę publicznie mówić, i utknęliśmy bez środków transportu, broni czy zapasów. Czy nie miałbyś ochoty ratować swojej nadszarpniętej reputacji, pomagając nam wrócić do bazy?

Niewłaściwie oceniłem sytuację. Gal coś mu wymamrotał. Legat XIV Legionu cynicznie oszacował nasze beznadziejne położenie i posiadane przez nas dowody, które mogły poważnie zaszkodzić jego imieniu.

- Prędzej ujrzę was w Hadesie! - wrzasnął.

Jednak on sam też popełnił błąd i jak się okazało, gorszy od mojego.

Kilka rzeczy nastąpiło błyskawicznie jedna po drugiej. Helwecjusz wydał bolesny jęk, więc klęknąłem przy nim, a Gal podniósł oszczep, ale zastygł, ponieważ w pobliżu rozległy się jakieś ochocze głosy. Z gęstych zarośli wyszedł Orozjusz z Lentulem, który niósł kubeł ze skorupiakami, oraz służący centuriona. Ścisnąłem nadgarstek Helwecjusza, by wiedział, że ma leżeć spokojnie, podczas gdy ja będę zajmował się kłopotami.

Wtedy on wykonał gwałtowny ruch, odrzucając mnie w bok.

O to mu chodziło... to miało być ostrzeżenie. Leżałem na plecach, a okrzyk protestu uwiązał mi w wyschniętym gardle. Trzy kroki ode mnie, parskając na legata, stał największy byk, jakiego w życiu widziałem.

59

Zerwałem się, po czym przycisnąłem ramiona do boków i błagalnym tonem wymamrotałem „Hu- ha!” Tur rzucił tylko pogardliwie łbem.

Żadna obora nie utrzymałaby tego bydłęcia. Zwierzę miało ubarwienie brunatnoczarne, grzbiet prosty, łeb wielki, nogi krótkie, a pierś tak masywną, że z łatwością staranowałoby mur. Zwiślał na nią gęsty kołnierz z ciężkiego rudego jak u lisa futra. Jego wygięte ku górze rogi były wystarczająco duże i szerokie, by można było przywiązać do nich niewiastę... jakąś współczesną

Dirke, której udałooby się obrazić kogoś z pomysłami na wymyślne kary. Przy oddychaniu chrypiał jak cyklop w ostatnim stadium zapalenia płuc.

Są to zwierzęta nieoswajalne. Należą do czasów o całe wieki wcześniejszych, nim człowiek wymyślił udomowienie bydła. Ten okaz był ogromny, a przecież potrafił poruszać się bardzo delikatnie, zręcznie, a także nagle rozwijać ogromne prędkości. Gniewne oko mówiło, że włócznie tkwiące w jego skórze niczym długie kolce już zdołały go rozjuszyć, a teraz, podstępnie i ukradkiem wyśledziwszy winnych, spowoduje poważne obrażenia u każdego, kto się tylko poruszy. Żeby to zamierzenie podkreślić, wydał długi, wysilony ryk furii i bólu. Spoglądał z rozważą na legata, jakby się zastanawiał, w którym miejscu najbardziej go zaboli. Potem grzebnął kopytem. Zamarliśmy wszyscy.

Obecnie z przykrością wspominam to, co spotkało Floriusza Gracylisa. Najgorsze, że widział, co nadchodzi. Zagulgotał i rzucił się do ucieczki. Ogromne zwierzę z rykiem pognało za nim i było oczywiste, że legat nie ma najmniejszej szansy. Został wielokrotnie przebity rogami, wyrzucony w powietrze, podeptany, a wreszcie zmiażdżony kopytami na śmierć. Niektórzy z jego towarzyszy próbowali użyć włócznie, ale kiedy Gracylis leżał już na ziemi, śmiertelne przerażenie ogarnęło wszystkich. Uciekli.

Ja i moi towarzysze zostaliśmy na miejscu.

Turowi najwyraźniej spodobała się moja twarz; czułem, że zaraz dobierze się do mnie.

Musiałem chronić Helwecjusza. Zacząłem się powoli przesuwać w lewo. Był to jedyny otwarty kierunek, ale i tak musiałem wkrótce się zatrzymać, bo znalazłem się nad strumieniem. Brzeg opadał o jakieś pół metra, a jeszcze niżej zwisała z niego złowieszczo długa, brudna trawa. Nie miałem najmniejszej ochoty znaleźć się w wodzie o niepewnej głębokości i brodzić w niej bezradnie, podczas gdy to masywne stworzenie rozpocznie szarżę.

Tur, sapiąc wściekle, jednym rogiem z pogardą podrzucił po raz ostatni zakrwawione, martwe ciało legata. Zaczekał, aż się zatrzymam, i ruszył.

Reszta przebiegła szybko, w kompletnym chaosie i bez bohaterskich czynów.

Za zadem tura moi trzej zaskoczeni towarzysze nagle ożyli. Orozjusz, pokrzykując, sięgnął po upuszczony oszczep. Służący Helwecjusza ruszył pędem ku swemu panu. Lentul cisnął kubłem z krewetkami, trafiając tura w nos. Zwierzę potrząsnęło łbem, ale nie zamierzało się zatrzymać. Miałem wrażenie, że gna na mnie rozpędzony dom.

Uderzenie kubłem było prztyczkiem dla tura, nic by go nie powstrzymało. Ale kiedy mrugnął, miałem czas uskoczyć. Złapany w pułapkę przez strumień, miałem tylko jeden kierunek; rzuciłem się w bok. Bestia minęła mnie o włos. Tur miał nisko opuszczoną głowę. Gdybym uciekał przed siebie, przebiłby mnie, nim zdążyłbym dać dwa kroki, jednakże tym razem coś go powstrzymało: Lentul. Podbiegł i uwiesił się jego ogona. Twarz miał

wykrzywioną z wysiłku. Zwierzę odwróciło się ze złością ode mnie. Wstrząsnęło gwałtownie grzbietem i odrzuciło tego młodego durnia. Szarpnięcie zadem cisnęło naszego chłopca daleko w strugę. Ale wtedy już kolejny cymbał wyczyniał coś niemądrego. Marek Dydiusz Falko, który widział kiedyś kreteński fresk, wybrał ten wilgotny germański brzeg na arenę, gdzie zamierzał ożywić zaginioną sztukę tańca z bykiem. Podczas gdy tur wciąż jeszcze ryczał na Lentula, rzuciłem się w jego stronę i wskoczyłem mu na grzbiet, jak na wierzchowca.

Sierść miał szorstką niczym lina żeglarska i pachniał dzikością. Umazany odchodami ogon smagał mnie po krzyżu. Jedyłą bronią, jaką miałem, był mój nóż w bucie. Jakoś udało mi się go wydostać. Drugie ramię zacisnąłem wokół rogu. Nie było czasu na zastanawianie się: śmierć sięgała po jednego z nas. Zacisnąłem kolana. Ze wszystkich sił pociągnąłem do siebie potężny róg zwierzęcia, unosząc jego łeb, wychyliłem się ponad strzyżącym wściekle uchem i dziko spoglądającym okiem i zacząłem rżnąć naprężone gardło.

Nie była to ani czysta, ani szybka robota. Zabrała więcej czasu i o wiele więcej energii, niż mógłby sobie pomyśleć ktokolwiek z tych, którzy w olśniewająco białych togach obserwowali, jak na Wzgórzu Kapitolińskim wytworni kapłani Jowisza dokonują rytualnej ofiary z byka.

60

- Na Mitrę! - ktoś zawołał. Myślałem, że ten okrzyk padł z ust Helwecjusza, ale musiał to być jego służący.

Moja lewa ręka, którą z całych sił przyciągałem róg, nie dawała się rozgiąć. Miałem wrażenie, że woń zwierzęcia wsiąkła w moje ubranie i skórę. Trzęsąc się, opadłem na ziemię. Podbiegł Orozjusz i odciągnął mnie od tura. Lentul, zataczając się, wyszedł ze strumienia i padł zemdlony.

- To na pewno z powodu wstrząsu - mruknął Orozjusz i odwrócił się, żeby mu pomóc. - Odkrył, że potrafi coś zrobić...

Czułem się zde gustowany... sobą samym, zwierzęciem, którego gniew zmusił mnie, bym coś takiego zrobił, i tą gorącą krwią, którą byłem zbryzgany. Opuściłem czoło na rękę, po czym ją wytarłem, bo poczułem na dłoni jeszcze więcej krwi. Udało mi się dokuśtykać do Helwecjusza. Jego służący, który miał na imię Dama, podniósł na mnie wzrok.

- Wiedziałem, że trzeba było jechać do Mezji - powiedział z goryczą. A potem wybuchnął płaczem.

Helwecjusz nie żył.

Nie zdążyłem jeszcze się uspokoić, kiedy niektórzy z myśliwych, towarzyszy legata, postanowili znowu się zjawić. Prowadził ich ten Gal z pogardliwą miną, który knuł coś, żeby uratować skórę.

Konfrontacja trwała krótko. Klęczałem jeszcze przy Helwecjuszu, ściskając

jego rękę.

- Nie chcę już nigdy nigdzie oglądać twojej gęby - powiedziałem do Gala. - Zabiłeś, żeby chronić wasz interes i żeby chronić siebie samego. W tym miejscu ma się to zakończyć.

- Jakież dowody? - spytał drwiąco, gestem wskazując na centuriona.

Nagle i niespodziewanie odezwał się Dama. Zwrócił się do mnie, jakby nie ufał sobie na tyle, by mówić do zabójcy swojego pana.

- Helwecjusz Rufus był człowiekiem dyskretnym, ale rozmawiał ze mną, kiedy wkładałem mu zbroję. Opowiedział mi, co widział w Galii.

- Zeznałbyś to w sądzie? - zapytałem. Potwierdził.

Gał uniósł włócznię. Jego zamiar był oczywisty. Ale nie byliśmy już bezbronni. Orozjusz i Lentul też unieśli gotowe do rzutu włócznie.

Wstałem, cały zboczony krwią. Musiałem wyglądać strasznie.

- Jedno niewłaściwe słowo albo gest, który mi się nie spodoba, a chętnie ci pokażę, jak czuje się martwy tur!

Uczestnicy polowania wycofali się powoli. Gniewnym gestem kazałem im odejść. Zniknęli, zabierając ze sobą Gala z Lugdunum. Nie wiem, co się z nimi stało, nie dbam o to. Jako Celtowie mniej od nas ryzykowali, przebywając w Germania Libera.

Wieczorem jedliśmy steki z tura, ale smakowały nam gorzko. Wystawiliśmy podwójne warty. Nikt nie spał dobrze. Rano wcześniej zwinęliśmy obóz i ruszyliśmy na południe, mając nadzieję, że gdzieś przy brzegu odnajdziemy okręt nieżyjącego legata.

Wracaliśmy do domu. Mieliśmy ze sobą dwa martwe ciała i niejednemu z nas było ciężko na sercu. Wkrótce wszystkim zrobiło się nieprzyjemnie, a to dlatego, że kiedy wmaszerowaliśmy w żałobnym nastroju do lasu, odkryliśmy, iż ma on już swoich lokatorów. Było ich pięć razy więcej od nas. Grupa nienawidzących Rzymian Tenkterów wybrała się konno na wyprawę.

61

Otoczyli nas w mgnieniu oka, ale nie zaatakowali. Być może byli tak samo jak my zaskoczeni widokiem innych ludzi w tym lesie.

Kazaliśmy rekrutom ustawić się w czworobok. Spisali się nieźle, zważywszy na to, że manewry znali jedynie z teorii. Helwecjusz ich jednak czegoś nauczył. Szyk wyglądał znośnie. Wszyscy jednak wiedzieliśmy, że czegoś nam brakuje. Sensem czworoboku jest utworzenie muru z ciasno ustawionych obok siebie tarcz. My nie mieliśmy tarcz.

Justyn był zbyt zmęczony i zaniepokojony, by wygłosić pełną ekspresji mowę, powiedział jedynie chłopcom, żeby się postarali. Ci wymieniali między sobą szczerze spojrzenia niczym weterani; rozumieli sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

Było późne popołudnie. Mżyło. Byliśmy wszyscy brudni, głodni i przemarznięci, a mgła stroszyła nam włosy. Zauważyłem, że skóra naszych butów stwardniała i wywinęła się na krawędziach, i pokrył ją biały nalot z błota i soli. W minionym tygodniu drzewa zmieniły kolor. W mroźnym powietrzu zima wysyłała ostrzegawcze sygnały.

Czułem zapach pleśniejących liści i strachu. Za dużo było tych krytycznych sytuacji. Życie przypominało nocny koszmar, w którym człowiek brnie przez niezliczone nedorzeczne nieszczęścia, wiedząc, że to zły sen i że musi jak najszybciej się z niego wyrwać, a przecież nie może się uwolnić i obudzić we własnym łóżku, u boku kogoś przyjaznego, kto go uspokoi.

Nie mogliśmy pojąć, dlaczego Tenkterowie nie wykonali jeszcze żadnego ruchu. Widzieliśmy ich od czasu do czasu, jak przemykają pomiędzy drzewami. Ich obecność dawało się wyczuć ze wszystkich stron. Słyszeliśmy, jak ich wierzchowce przestępują nerwowo z nogi na nogę, słyszeliśmy pobrzękiwanie uprzęży. Raz ktoś zakasłał. Trudno nie kasłać, kiedy żyje się w oparach mgły.

Trzymali się tuż poza zasięgiem rzutu włócznią. Wydawało nam się, że stoimy tam całe wieki, wysilając zmysły, by nie przegapić pierwszego ruchu, który będzie zwiastował nasz koniec. Konie ciągle grzebały w niedawno opadłych liściach. Zmienny wiatr poruszał gałęziami nad naszymi głowami.

Wydawało mi się, że usłyszałem coś jeszcze.

Staliśmy z Justynem oparci o siebie plecami. Musiał wyczuć moje napięcie, bo obejrzał się do tyłu. Miałem twarz uniesioną ku mżawce i usiłowałem wyłowić jakiś dźwięk czy sens. Nie miałem mu nic do powiedzenia, ale ten dziwny spokojny młody człowiek przyniósł ze sobą z wieży Weledy zwyczaj samodzielnego działania. On też milcząco nasłuchiwał. A potem wydał okrzyk i zanim zdołaliśmy go powstrzymać, oderwał się od czworoboku.

Pędem przemierzył te dziesięć kroków do miejsca, w którym zostawiliśmy nasze skromne bagaże. Biegł zygzakiem i kiedy spomiędzy drzew ze świstem wystrzeliła włócznia, chybiła. Przykucnął za osłoną, jaką tworzyły nasze konie, i gorączkowo grzebał w naszych rzeczach. Wkrótce się wyprostował. Wsparł łokcie na końskim grzbiecie, a w rękach trzymał kręcony brązowy róg, który dla hecy przywiózł w swoim bagażu.

Kiedy weń zadał, usłyszeliśmy drżące dźwięki, niezbyt podobne do tych, które zagrał Brukterom, jednak pozostał w nich wyraźny ślad sygnału na drugą nocną zmianę warty. Najwyraźniej tylko tyle nauczył się grać.

Grad strzał i włóczni Tenkterów próbował go uciszyć. Justyn rzucił się na ziemię, zakrywając głowę rękoma. Mimo to na pewno usłyszał, tak jak i my wszyscy, inny dźwięk: czysty, wysoki i profesjonalnie przeciągnięty. Gdzieś, gdzieś niedaleko, inna rzymska trąbka z brązu odpowiedziała gładko na jego wezwanie.

Nie widzieliśmy, jak Tenkterowie się oddalają. Rozpłynęli się pośród drzew.

Niedługo potem z lasu wyłonił się oddział legionistów z XIV Legionu *Gemina*. Wszyscy byli ochotnikami. Sformowano ich i przewieziono w dół rzeki z inicjatywy człowieka, który teraz nimi dowodził. Pomimo swoich uprzedzeń nie mogę nie wspomnieć, że był nim Sekstus Juwenalis, prefekt obozu.

Szukali swojego zaginionego legata, ale XIV Legion zawsze chełpił się skrupulatnością, więc oprócz odzyskania jego ciała legioniści uratowali także nas.

62

Mogontiakum.

Most, punkt poboru myta, niedorzeczna kolumna... i dziewczyna, za którą się stęskniłem.

Podróż trwała wystarczająco długo, by dać nam czas na ponowne dostosowanie się do świata rzeczywistego. Natomiast dostosowanie się świata do nas, dzikusów, musiałyby trwać zapewne dłużej. Wzdłuż rzeki stały cywilizowane miasta z łaźniami i rzymskim jedzeniem. Znaleźliśmy się wśród cywilizowanych ludzi, których rozumieliśmy, choć przez większą część podróży trzymaliśmy się we własnym ścisłym gronie, jakby odbywając kwarantannę po przygodzie zbyt wielkiej, by rozprawiać o niej z innymi.

Kiedy zeszliśmy w końcu na ląd i wróciliśmy do fortu, z którego kiedyś wyruszyliśmy, zabraliśmy prochy centuriona na spoczynek w sanktuarium kwatery głównej. Kiedy opuściliśmy plac defilad, pożegnali się z nami rekruci. Ja miałem już wkrótce wyjechać, a ich bliski kontakt ze starszym trybunem musiał dobiec końca, kiedy Justyn wrócił do wyniosłego zachowania, jakiego oczekuje się od kogoś jego rangi. Nasze obdarciuchy niemal ze łzami w oczach zostawiały nas na *via Principia*, ale właśnie wtedy powitała ich okrzykami przechodząca grupa ich towarzyszy; zobaczyliśmy, jak nagle przepełnia ich poczucie dumy i zaczynają się przechwalać. Jedynie Lentul odwrócił się w ostatniej chwili i pomachał do nas nieśmiało. Justyn odchrząknął.

- Wstyd się przyznać, ale będzie mi ich brak.

- Nie przejmuj się. - Nawet ja czułem się przygaszony. - Znowu znalazłeś się w codziennym kieracie, Kwintusie. Będiesz miał mnóstwo powodów do irytacji...

Zaklął wesoło, w jednym z kilku języków, których się nauczył, by móc pogawędzić z kobietami.

Wpadł wcześniej na świetny pomysł, by wysłać sekretarzowi swojego legata wiadomość, że ze względu na obszerny materiał raportu, prosi o oficjalne posłuchanie... w późniejszym terminie. Ten unik pozwolił nam się udać leniwym krokiem do jego domu, jak gdyby nigdy nic.

Helena była w ogrodzie. Było tam za zimno, ale przynajmniej miała zapewnioną samotność. Opłakiwała nas. Ramię przy ramieniu pojawiłem się

wraz z jej bratem w portyku. Wyglądała tak, jakby jej twarz zdążyła się rozpromienić, zanim jeszcze usłyszała nasze kroki; jej jedynym problemem było, któremu z nas się najpierw rzucić na szyję.

Obaj zwalnialiśmy kroku, by pozwolić temu drugiemu się z nią przywitać. Wygrałem w tej konkurencji uprzejmości. Taki był mój zamiar. Chciałem pozwolić Justynowi uścisnąć ją, a potem przekazać mnie, bym mógł ją mieć dla siebie bez ograniczeń. Tymczasem Helena Justyna ominęła brata i rzuciła się na mnie.

Taktownie posłał mi uśmiech, nim ze smutkiem się odwrócił.

- Zostań, przyjacielu...

Helena była bardzo szybka. Tak jak to od początku zamierzała, oderwała się ode mnie i radośnie objęła Justyna.

- Falko, ty łotrze, coś zrobił z moim bratem?

- Wydorósł - odparłem. - To przypadłość, której większości ludzi udaje się uniknąć, ale która, kiedy już uderza, to boleśnie.

Wybuchnęła śmiechem. Już zapomniałem, że tak uwielbiam ten śmiech.

- Jak to się stało?

- Nie pytaj. Przeżycie musiało być tak okropnie, że nie powiedział ani słowa.

Helena znieruchomiała, co miało oznaczać, że młody Kwintus musi pogodzić się z tym, że jego siostra zmusi go do zwierzeń. Odsunęła go na odległość ramion, by dokonać tych swoich szalonych oględzin.

- Wygląda na wyższego! - oświadczyła.

Kwintus znowu tylko się uśmiechnął, jak człowiek, który chowa własne opinie dla siebie i zamierza się tego trzymać.

I właśnie w tym momencie uzmysłowiłem sobie, że mogłem popełnić drobny błąd dotyczący przygody trybuna w wieży Weledy. Nie miałem jednak sposobności go o to zapytać, ponieważ moja koszmarna siostrzenica i Lniane Warkoczyki zdążyły już usłyszeć o naszym powrocie. Przybiegły galopem, wywrzaskując, co miało oznaczać powitanie, potem pies trybuna poczuł się wreszcie w domu i ugryzł służącego, a potem przyszła wiadomość, że legat I Legionu jest tak uszczęśliwiony naszym powrotem, że odwołał wszystko, co miał w dzisiejszym harmonogramie, i życzył sobie natychmiast zobaczyć Justyna...

Kiedy jej brat wyszedł, spodziewałem się usłyszeć od Heleny jakieś dociekliwe pytania, jednak pomimo że on był jej ulubieńcem i bardzo go kochała, z jakiegoś powodu wolała zająć się wyłącznie mną.

Mogłem się co prawda opierać, ale dziewczę najwyraźniej było zdecydowane zaciągnąć mnie do ciemnego kąta na rundkę czegoś bezwstydnego, więc by jej nie rozczarowywać, poddałem się jej zabiegom.

Doprowadziłem swą misję tak daleko, jak mogłem... i dalej, niż Wespazjan miał prawo ode mnie oczekiwać, choć byłem przekonany, że ten tyran nie

zgodziłby się ze mną w tym punkcie. Stary skąpiec spodziewał się za swoje pieniądze wyciągnąć ze mnie tyle, ile się da, nim pozwoli mi wrócić do domu; wciąż miałem w harmonogramie wymuszenie posłuszeństwa na Cywilisie. A przecież sprawiłem się dobrze, by zasłużyć na swoje honorarium. Tymczasem moja kędzierzawa czupryna nieprędko będzie mile widziana na Palatynie, szczególnie teraz, kiedy skarb będzie musiał pokryć znacznie więcej niż tylko podstawowe wydatki.

Miałem też własne powody, żeby nie spieszyć się z wyjazdem. Czekały mnie bolesne decyzje, tym gorsze, że wiedziałem, jaki będzie wynik. Skoro Helena odmówiła podjęcia decyzji, nie pozostawało mi nic innego, jak wymusić na niej tę właściwą.

Udawałem, że siedzę w fortecy tylko po to, by dokończyć raport dotyczący XIV Legionu. Utrzymywałem, że to trudne zadanie. Całkiem wiarygodne usprawiedliwienie. Nie znoszę raportów. Bez trudu mógłbym go napisać, ale brakowało mi woli, by w ogóle zacząć.

Spędzałem mnóstwo czasu w gabinecie trybuna, ssąc koniec pióra i obserwując, jak Helena gra sama ze sobą w warcaby. Zastanawiałem się, ile czasu jej zajmie, zanim uświadomi sobie, że widzę, jak oszukuje. W końcu o tym wspomniałem. Wybiegła naburmuszona, co było irytujące, bo bardzo mi odpowiadało obserwować ją z rozmarzeniem.

Męczyłem się dalej. Pióro było teraz sporo krótsze. Kawałki wilgotnej trzciny odrywały się, kalecząc mi język. Kiedy je wypluwałem, zauważyłem, że moja siostrzenica i jej przyjaciółka wymieniają szeptem jakieś sekrety pod drzwiami. Od samego powrotu było dla mnie oczywiste, że próbują ukryć jakąś tajemnicę. Byłem tak znudzony myślą o raporcie, że tym razem podkradłem się, wyskoczyłem z rykiem i pochwyliłem tę parkę. Potem wciągnąłem je do gabinetu i posadziłem sobie każdą z nich na osobnym kolanie.

- No to mam was. Będziecie siedzieć tak długo, aż powiecie miłemu wujkowi Markowi, czemu wciąż wyglądacie zza kolumny. Szpiegujecie mnie?

Z początku nie wyglądało to na nic poważnego. Dzisiaj akurat ze mnie zrobiły osobę podejrzaną. Często się bawiły w detektywów. Nie był to komplement; na tej samej zasadzie Festus i ja zawsze chcieliśmy być szmaciarzami, to znaczy prowadzić brudny nędzny żywot, a naszej matce bardzo się to nie podobało.

- Ale nie powiemy ci, co widziałyśmy! - oświadczyła Augustynilla.

- I bardzo dobrze. Oszczędzasz mi zaprzętania sobie tym głowy - odparłem. Wyglądała na zadowoloną. Pasowało to do rodzinnej opinii, że beznadziejny wuj Marek raczej przeleży cały dzień w łóżku, niż się zmusi, żeby zarobić uczciwie jednego denara. Uśmiechnąłem się złośliwie. - Trzeba wykazać się bystrością, żeby odkryć coś ważnego. Większość detektywów spędza długie tygodnie na obserwacji i do niczego nie dochodzi...

Widziałem, że Lniane Warkoczyki jest rozdarta. W przeciwieństwie do mojej siostrzenicy była dość bystra, żeby chcieć pochwalić się swoją inteligencją... choć nie na tyle, by ją ukryć i wykorzystać dla własnych celów.

- Powiedz mu o tym chłopcu ze strzałami! - wykrztusiła wreszcie.

Coś zaczęło mi się kojarzyć. Teraz już byłem zainteresowany, wobec czego udałem znudzonego. Augustynilla była nieprzejeżdżalna i pokręciła energicznie głową. Spytałem więc Arminie wprost, gdzie widziały tego chłopca.

- W Augusta Trewerorum.

- Co wyście tam robiły? - zapytałem ze zdumieniem. Moja siostrzenica otworzyła usta i wskazała ziejącą czerwoną dziurę w miejscu, w którym przedtem tkwił ząb. - Przestań się wygłupiać, bo zajrzę ci do żołądka i zobaczę, co jadłaś na śniadanie. Kogo tam odwiedziłyście?

- Marsa Lenusa - poinformowała mnie, jakby mówiła do idioty.

- Jakiego Marsa?

- Marsa Uzdrowiciela - zgodziła się wyjaśnić po ludzku Arminia.

Była to ciężka praca. Niektóre luki musiałem wypełniać sam.

- Augustynillę bolał ząb... pamiętam to jeszcze sprzed swojego wyjazdu - powiedziałem. Ta subtelna aluzja do niebezpieczeństw, na jakie się narażałem w spowitych mgłą i pełnych dzikich zwierząt lasach, nie zrobiła wrażenia na pannicach. - Więc Helena zabrała cię do sanktuarium...

- Ząb wypadł wcześniej - oświadczyła Arminia z niejakim obrzydzeniem. - Ale i tak pojechałyśmy.

- Ciekawe dlaczego.

- Żeby się rozejrzeć! - odpowiedziały zgodnie.

- Ano tak. Jakież to oczywiste! Czy zobaczyła coś ciekawego? - zapytałem. Nie. Helena by o tym wspomniała, choć już raczej nie zawracałaby mi głowy informacją o odbyciu bezcelowej wyprawy. Przynajmniej nie wtedy, kiedy miałem do napisania raport. Uważała go za rzecz ważną. - Ale tego chłopca zobaczyłyście?

- Strzelał do nas. Powiedział, że jesteśmy Rzymiankami, a on jest na terenie wolnego imperium galijskiego i ma pozwolenie ojca, żeby nas pozabijać. Więc wtedy dowiedziałyśmy się...

- Powiedz mi, Arminio... - poprosiłem.

- ...kto to taki - dokończyła. Wiedziały więcej niż ja sam. - To syn wodza - szeptała nerwowo. - Tego, co strzela do jeńców.

Powstrzymałem chęć, by przygarnąć je mocniej do siebie obronnym gestem. To były dwie twarde kobietki; żadna z nich mnie nie potrzebowała.

- Mam nadzieję, że uciekłyście?

- Oczywiście - rzuciła pogardliwie Augustynilla. - Wiedziałyśmy, co należy zrobić. Był żałosny. Zgubiłyśmy go, potem zawróciłyśmy, żeby go śledzić.

Zachichotały zachwycone łatwością, z jaką go wystrychnęły na dudka. Żaden

chłopak nie mógł być bezpieczny, kiedy te dwie małe czarownice deptały mu po piętach. Na różne sposoby przeznaczeniem obu było zostać pożeraczami mężczyzn.

Pozwoliłem, by zobaczyły, jak przełykam ślinę.

- I co potem? - spytałem.

- Zobaczyłyśmy tego mężczyznę z jednym okiem.

- Mężczyznę z czerwoną brodą. Ta broda jest farbowana - sprecyzował mały skarb o lnianych włosach. Na wypadek gdybym nie wiedział, jak niesamowicie błyskotliwe pomocnice mi się trafiły.

Helena ofiarowała się, że napisze za mnie raport.

- Przecież nic na ten temat nie wiesz!

- To co? Większość mężczyzn piszących raporty wie jeszcze mniej. A co powiesz na: „XIV Legion *Gemina Martia Victrix* to solidna jednostka operacyjna, wymagająca tylko silniejszego dowódcy niż ten, którego ostatni raz otrzymali w ramach struktur dowodzenia. Bez wątpienia priorytetem jest mianowanie nowego legata o znacznych talentach przywódczych. Legion ten wydaje się gotów na przeniesienie, na stałe albo tymczasowo, w jakieś inne miejsce na terenie Germanii. Umożliwi to ściślejszą nad nim kontrolę; pozwoli również na wykorzystanie w pełni ich doświadczenia we współżyciu z ludami celtyckimi, co byłoby szczególnie przydatne w tej delikatnej politycznej sytuacji, jaka zaistniała w korytarzu nadreńskim...”

- Toż to stek bzdur! - przerwałem jej.

- Właśnie. Dokładnie to, co chce usłyszeć sekretariat.

Dałem jej wolną rękę. Obiecała, że zanim wrócę, wymaluje kilka stron takich właśnie pretensjonalnych uwag. Trzeba przyznać, że ma dużo ładniejszy charakter pisma niż ja.

Chciałem zabrać Helenę ze sobą, jednak Augusta Treverorum była odległa o dziewięćdziesiąt mil i musiałem nieźle poganiać konia, jeśli zamierzałem wrócić do Mogontiakum na urodziny cesarza i planowaną paradę.

Człowiekowi w podróży potrzebny jest jednak towarzysz, wobec tego zabrałem kogoś innego. Ksantus, który tak rwał się do oglądania świata, był oczywistym kandydatem.

63

Augusta Treverorum, stolica prowincji Belgika.

Założył ją August w pustej okolicy, na strategicznym skrzyżowaniu dróg nad Mozellą i jak każdy rozsądny człowiek budowę rozpoczął od mostu. To był porządny most, z siedmioma filarami z ciosanego kamienia. Cała konstrukcja musiała być masywna, rzeka bowiem w tym miejscu bywa kapryśna. Miasto zaplanowano należycie. Otaczały je nowe winnice, a także pola uprawne, jednakże miejscowa gospodarka opierała się na dwóch podstawach: ceramice i

wełnie. Owce dostarczały wełny, z której w miejscowych warsztatach tkano materiał na wojskowe mundury, wypalano tu naczynia z czerwonej gliny kontraktowane dla legionów. Dlatego nie zdziwiło mnie, że grubym rybom z Augusta Treverorum udało się zapewnić sobie jedne z największych i najlepiej zaprojektowanych domów, jakie oglądałem od wyjazdu z Italii. Było to miasto zdolne przyciągać uwagę każdego, kto nauczył się doceniać rzymski styl życia w jego najbardziej cywilizowanych przejawach (zamożność i wystawność). Kogoś takiego jak, powiedzmy, wysoko postawiony zromanizowany Bataw.

W świątyni Marsa Lenusa czczono zarówno naszego boga, jak i jego celtycki odpowiednik o imieniu Tiw. Nie był to Mars wojownik, ale Mars uzdrowiciel... naturalna kolej rzeczy, skoro bóg żołnierzy musi także leczyć ich rany, jeśli chce jak najszybciej wysłać ich ponownie na pole walki. Mars, bóg młodości (młodego mięsa dla włóczni), też był tam reprezentowany.

Świątynia była centralnym punktem kwitnącego sanktuarium przeznaczonego dla chorych. Znajdowało się tam też wiele pustawych tawern i kwaśno pachnących pokoi do wynajęcia oraz mnóstwo klitek i kliteczek, gdzie handlarze świecidełkami i różnymi drobiazgami zacięcie starali się wzbogacić, nim ich klienci powymierają. Oferowano przygnębiające wotywno modele każdego z anatomicznych organów, od narządów płciowych (obu płci) poczynając, poprzez stopy (lewą lub prawą), na uszach (nieokreślonych) kończąc, a także szeroki asortyment pazernych aptekarzy, dentystów i medyków szarlatanów, dietetyków, wróżbitów i wekslarzy. Wszystkie te typki gromadziły się w okolicy, żerując w równej mierze na nadziei i rozpaczach i czerpiąc ze swojego procederu znaczny zysk. Sporadycznie dostrzegałem kogoś chromego czy chorego, ale tych zniechęcano do pętania się na widoku. Błede, smutne twarze nie sprzyjają interesom.

Jak we wszystkich tego rodzaju miejscach prowadzący podejrzanym interesom nieustannie się zmieniali. Ludzie mogli się tam pojawiać i zniknąć, niewiele mówiąc. Nie zadawali raczej pytań ci, którzy sami woleli nie zwracać na siebie uwagi, żeby przypadkiem nie pojawił się jakiś urzędnik, by spytać o pozwolenie na handel. Człowiek, który chciał się ukryć, mógł sobie mniej lub bardziej jawnie mieszkać w tej nędznej dzielnicy.

Nie zauważyłem jego syna. Tego chłopca ze strzałami. Może i lepiej. Bo zamierzałem złocić mu skórę za to, że tak marnie celował, kiedy strzelał do mojej siostrzenicy.

Kiedy zobaczyłem Juliusza Cywilisa, wyglądał na człowieka klepiącego biedę; siedział na stołku w chacie za miastem i niespokojnie strugał patyk. Wypatrywał czujnie oznak kłopotów, no ale miał tylko jedno oko. Moi informatorzy byli dokładni: wiedziałem, przy której z tych zakurzonych drózek mieszka i jak wygląda. Zatoczyłem koło po miejscowych polach i cichutko zaszedłem go od strony ślepego oka.

- Gra skończona, Cywilisie! - rzuciłem.

Obrócił się szybko i zobaczył mnie tuż obok. Wyjąłem powoli miecz i położyłem na ziemi pomiędzy nami. Miało to oznaczać rozejm na czas rozmowy. Na pewno się domyślał, że mam jeszcze sztylet, a ponieważ sam był dowódcą jazdy, bez wątpienia miał bzik na punkcie noży do wydłubywania kamieni z końskich kopyt... albo nacinania karbów na żebrach agentów cesarskich. Żeby mnie zaskoczyć, musiałyby działać szybko; tymczasem robił wrażenie zbyt zniechęconego, by choć spróbować.

Był starszy ode mnie, wyższy i o wiele bardziej masywny. I chyba jeszcze bardziej przygnębiony ode mnie. Miał na sobie sięgające poniżej kolan skórzane spodnie i płaszcz wykończony wyleniałym futrem. Z twarzą pokrytą bliznami poruszał się sztywno, jak człowiek, który o jeden raz za dużo spadł z konia. W miejscu jednego oka, w które musiał trafić jakiś pocisk, widniał głęboki supeł szramy. W drugim było widać błyskotliwą inteligencję. Zarówno sięgająca do zapinki płaszcza broda, jak i długie kosmyki falujących włosów były czerwone. Nie jaskrawoczerwone, jak się spodziewałem; miały smutny, wyblakły odcień, który zdawał się odzwierciedlać to, co pozostało z życia rebelianta. Na dodatek odrosty były siwe.

Pozwolił mi się przedstawić.

- Więc tak to wygląda, kiedy człowiek spotyka żywy przypis do dziejów! - zadrwiłem.

- Darujmy sobie przypisy! - burknął. Stwierdziłem, że zaczyna mi się podobać. - Czego chcesz?

- Przejeżdżałem tędy. Pomyślałem sobie, że wpadnę. Nie bądź taki zdziwiony. Dziecko by cię tu odnalazło. Prawdę mówiąc, tak właśnie było... ośmiolatka, i to nieszczególnie rozzębiona, choć miała pomoc o wiele bystrzejszej koleżanki z plemienia Ubiów. Zmartwiony? - spytałem łagodnie. - Wiesz, co to oznacza. Jeśli dziecko jest cię w stanie odnaleźć, to może to uczynić płonący nienawiścią legionista, którego towarzysza zabiłeś w Weterze. Czy, skoro już o tym mowa, jakiś niezadowolony Bataw może na to wpaść.

Juliusz Cywilis poradził mi, co mam ze sobą zrobić; było to bardzo pomysłowe i zwięzłe sformułowane.

- Ujmujesz to mniej więcej tak samo jak ci ze sławnego Czternastego Legionu *Gemina* - powiedziałem - którzy też uważają, że jestem śmierdzielem. Najwyraźniej w twoim przypadku to te rzymskie wpływy. Brakuje ci tego wszystkiego?

- Nie - odparł, choć z pewnym żalem. - Czternasty, powiadasz? Te samochwały! - On sam dowodził oddziałem pomocniczym w Germanii, zanim sięgnął po chwałę; zapewne słyszał o ich macierzystym legionie od współplemieńców z tych sławnych ośmiu batawskich kohort, które zdezerterowały. - Chyba rzeczywiście musimy pogadać. Chcesz usłyszeć

historię mojego życia?

Miał odpowiedni życiorys; zapowiadało się na rzeczową rozmowę. Zupełnie jakbym miał do czynienia z jednym z naszych. Cóż, właściwie tak było.

- Przykro mi. - Miałem nadzieję, że mój głos zabrzmiał szczerze. Chętnie wysłuchałbym pełnej historii z ust samego buntownika. - Muszę wrócić do Mogontiakum na paradę z okazji urodzin cesarza. Nie mam czasu na wysłuchiwanie bredni o dwudziestu latach spędzonych w rzymskich obozach wojskowych, za co nagrodą były fałszywe oskarżenia i groźba egzekucji... Przejdźmy od razu do rzeczy, Cywilisie. Wzięłeś pieniądze. Cieszyłeś się życiem. Byłeś wdzięczny za zwolnienie od podatku i za korzyści, jakie przynoszą regularne dochody i pewna kariera. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, odebrałbyś świadectwo zwolnienia ze służby i przeszedł w stan spoczynku jako rzymski obywatel. Popierając dalej Wespazjana, zanim został cesarzem, pławiłbyś się w jego przyjaźni i miał wielkie wpływy na swoim terenie. Odrzuciłeś to dla mrzonek. Teraz nie masz ani państwa, ani nadziei.

- To czyste banialuki! Skończyłeś już? - fuknął. Jego jedyne oko przyglądało mi się zbyt rozsądnie jak na mój gust.

- Nie, ale ty owszem. Wydarzenia cię już omijają. Widzę przed sobą człowieka znużonego. Masz na karku liczną rodzinę; ja też. Teraz, kiedy twoje zmagania z losem zakończyły się klęską, domyślam się, jak ci suszą głowę. Bolać cię nie tylko uszy, ale i krzyż, i serce. Masz dość kłopotów i zmęczyły cię kampanie...

- Zrobiłbym to raz jeszcze - oświadczył.

- Och, nie wątpię. Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Dostrzegłeś szansę i wykorzystałeś ją, jak umiałeś. Ale ta szansa się skończyła. Nawet Weleda przyjęła to do wiadomości.

- Weleda? - Zerknął na mnie z nagłą podejrzliwością.

- Agenci cesarscy - oświadczyłem gładko - właśnie przeprowadzili z tą panią rozmowy w jej wieży sygnałowej. A przy okazji, uważam, że powinna płacić nam czynsz... Weleda zgadza się na pokój, Cywilisie.

Obaj wiedzieliśmy, że zryw Batawów niewiele znaczy bez poparcia *Germania Libera* i Galii. Ta ostania już od dawna była stracona dla rebelii; trochę za bardzo lubiła wygodę. Teraz Germania też chciała się wycofać.

- No i tyle zostaje z wolności! - wymamrotał czerwonowłosy.

- Masz na myśli wolność do szaleństw? Przepraszam. Zaczynam mówić jak każdy ojciec, który ruga dziecko, kiedy ono włóczy się do późnej nocy w nieodpowiednim towarzystwie.

- Nic na to nie poradzisz. Rzym to społeczeństwo paternalistyczne - odparł sucho.

Miałem dziwne uczucie, kiedy zwracał się do mnie wytworną, nieco satyryczną łaciną człowiek, który wyglądał, jakby spędził cały miesiąc skulony

na pustkowiu pod krzakiem kolcolistu.

- Nie zawsze - zwierzyłem się. - Mój ojciec uciekł z domu i zostawił kobiety, żeby sobie same radziły.

- Powinieneś być Celtem - zauważył.

- Wtedy walczyłbym u twojego boku.

- Dzięki - powiedział. - Dziękuję ci za te słowa, Falkonie. Więc kolejne zwolnienie? - Mówił o czasach, kiedy inni cesarze go ułaskawiali. Chyba zdawał sobie sprawę z tego, że ten cesarz pozostanie tu dłużej. - Czego się po mnie oczekuje?

- Ty i twoja rodzina zamieszkacie w Augusta Treverorum, pod ustalonym adresem. Na początku otrzymacie ochronę, choć sądzę, że bardzo szybko wtopicie się w miejscową społeczność. Nie wydaje mi się, by Wespazjan zechciał powierzyć ci nowe dowództwo w jakimś legionie! - Uśmiechnąłem się. Był za stary, by się tym przejmować. - A oprócz tego wszystkiego jest tutaj ktoś, kogo specjalnie zaprosiłem na spotkanie z nami...

Zbliżyła się do nas dobrze mi znana postać, absolutnie nie pasująca do nędznych chat, pośród których przycisnął się Cywilis. Najwyższy kunszt fryzury robił wrażenie, a odpychający krewetkoworóżowy kolor bucików aż kłuł w oczy. Nieprzejęty swoim teatralnym wejściem przybysz przyglądał się Cywilisowi z widocznym współczuciem.

- Ależ Falkonie! Gąszcz listowia szpeci twojemu przyjacielowi cały fronton! Westchnąłem.

- Ten osobnik, od czasu kiedy mnie spotkał, wypracował sobie odstręczający rodzaj retoryki... Juliuszu Cywilisie, książę Batawii, pozwól, że ci przedstawię Ksantusa, byłego golarza cesarzy... najlepszego fryzjera na Palatynie. Golił Nerona, Galbę, Othona, Witeliusza i prawdopodobnie Tytusa, choć nigdy nie ujawnia imion swoich aktualnych klientów. Myślę, że ma coś wspólnego z Celtami; kolekcjonuje głowy ludzi sławnych. Ksantus - wyjaśniłem łagodnie wodzowi buntowników z upiornymi strakami na głowie - przybył do Augusta Treverorum aż z Rzymu, aby cię elegancko przystrzyć i ogolić.

64

Udało mi się porozmawiać z Heleną podczas parady. Liczyłem na to, że w publicznym miejscu uprzejmość każe jej powściągnąć ostrzejszą reakcję na to, co miałem jej do powiedzenia. Cóż, warto było spróbować. W każdym miejscu mogłem się spodziewać kłopotów, jeśli już zdecydowałem się poruszyć ten delikatny problem. W żadnym razie nie mogły jej się spodobać moje słowa, ale, jak sądziłem, nie będzie mogła odmówić im słuszności. XIV Legion jasno dał do zrozumienia, że ta uroczystość, podobnie jak wszystko inne w Mogontiakum, będzie należała do niego. Jak zawsze była to nużąca impreza. Brak gotówki i nadmiar cynizmu oznaczał, że rzadko bywały to przyzwoite spektakle, nawet

w samym Rzymie. Byliśmy w Europie i druga połowa listopada nie była odpowiednią porą na organizowanie uroczystości na świeżym powietrzu. Powinna istnieć zasada, że cesarzem zostaje tylko ten, kto obchodzi urodziny w środku lata. Jedyne wyjątek można by zrobić dla urodzonych na Awentynie przed trzydziestu laty, w marcu...

Jak się spodziewałem, i ludzi, i blasku było za mało; pogoda mroźna; jedzenie kiepskie... o ile w ogóle udało się jakieś dorwać. Oficjalna uroczystość miała miejsce na placu defiladowym, który w przeciwieństwie do przyzwoitego amfiteatru nie miał łatwo dostępnych wyjść. Ta garstka kobiet rzymskiego pochodzenia, która była tu obecna, stosowała się do obowiązujących przy takich okazjach zwyczajów. Trzy, które znałem, w towarzystwie jakichś innych zaproszonych siedziały na podwyższeniu, odziane w jedwabie, obsypane klejnotami, podczas gdy dwanaście tysięcy mężczyzn ostentacyjnie się w nie wpatrywało. Przyjemna sprawa, jeśli się to lubi. Wiedziałem, że jedna z nich tego nie znosi.

Uroczystość miała trwać cały dzień. Ja czułem się w obowiązku uczestniczyć jedynie w prezentacji Ręki. Kiedy zostanie dokonana, zamierzałem wygłosić swoją mówkę do Heleny - zakładając, że dotrę w jej pobliże - a potem się ulotnić.

Obecne były obydwie legiony, co mocno spowolniło przebieg imprezy. Defilowanie, nawet w wykonaniu żołnierzy w galowych mundurach z pióropuszcami przy hełmach, nigdy nie stanowiło dla mnie stymulującej teatralnej rozrywki. Akcja się przeciąga, a dialog jest okropny. Organizator nie zapewnił udziału orkiestry; mieliśmy wyłącznie wojskowe instrumenty dęte. Oglądanie wszystkiego dwukrotnie, żeby obie jednostki mogły potwierdzić swoją lojalność wobec cesarza, przemieniło nudę w torturę. Tym bardziej że już od początku czułem się nieszczęśliwy.

Zaczęło padać.

Właśnie na to czekałem. Panie na podium wpadły w popłoch, ponieważ szaty mogły się skurczyć, a malunki spłynąć z twarzy. Grupa niewolników, która zaczęła instalować płócienny daszek, spowodowała tylko dodatkowy bałagan. Zauważyłem, że Helena traci cierpliwość, jak zawsze wtedy, kiedy widzi, że inni są zdezorganizowani, a jej nie wypada się wtrącać. Wiedząc, że mi wybaczy, jeśli uratuję sytuację, wskoczyłem na podwyższenie, chwyciłem jeden ze słupków i pomogłem niewolnikom podnieść daszek. Kobietami, które ratowaliśmy przed deszczem, były: Menia Pryscilla, czyli małżonka legata XIV Legionu, jakaś starsza, dość rozsądnie wyglądająca niewiasta, zapewne matkująca I Legionowi *Adiutrix*, Helena Justyna, jeszcze jedna przyjezdna pani, która była szkolną przyjaciółką tej matkującej, oraz Julia Fortunata. Zapewne zaproszono ją, gdyż jej status był zbyt wysoki, by można go zignorować, a jej pozycja w życiu nieżyjącego od niedawna Gracylisa zbyt niska, by ją oficjalnie

uznać. W każdym razie Menia Pryscilla, odziana wdzięcznie w żałobną biel, świetnie grała swoją rolę, podczas gdy Julia wykorzystywała każdą okazję, by ją pocieszać. Nie przewidziano żadnego publicznego oświadczenia w sprawie niezbyt przykładnego postępowania nieżyjącego legata, ale obu jego kobietom o nim powiedziano. W rezultacie żadna nie czuła się zobowiązana szczerze go opłakiwać. Miło mi było zobaczyć, że wdowieństwo, czy też jego ekwiwalent, wydobywa z nich to, co najlepsze. Cudownie było oglądać, jakie są dzielne.

Przestało padać. Panie się odprężyły. Zwinęliśmy tymczasowy daszek, a potem ja przykucnąłem u boku Heleny, gotowy natychmiast zabrać się do jego ponownego instalowania, kiedy tylko nastąpi kolejny kataklizm. Wydawało mi się, że szlachetna pani zerknęła na mnie z zaciekawieniem.

Na placu skomplikowany ceremoniał osiągał punkt kulminacyjny. Pojawiły się kohorty kawalerii, by stoczyć ze sobą pozorowaną bitwę. Wystawił je I *Adiutrix*, jako że XIV Legion nie zastąpił jeszcze swoich utraconych Batawian innymi jeźdźcami, co wreszcie dało Pierwszemu okazję do drwinek, kiedy ich kawaleria zapełniała plac. Wydawało mi się, że to Iberowie. Niewielkie, silnie zbudowane wierzchowce były świetnie do siebie dopasowane i paradnie wystrojone, włącznie z migoczącymi krążkami na skórzanym rzędzie, złożonymi osłonami na oczy i ogromnymi kokardami pod szyjami. Jeźdźcy mieli błękitne mundury, kontrastujące z jaskrawoszkarłatnymi czaprakami. Rozsypali się po placu, zataczając koła i wirując. Potrząsali przybranymi w pióra włóczniami i dzierżyli tarcze o umieszczonych centralnie spiczastych guzach na tle obcych Rzymowi, egzotycznych wzorów. Atmosferę tajemnicy wzmagaly ceremonialne hełmy paradne, które zakrywały im twarze jak obojętne, nieruchome maski teatralne. Przez pół godziny ten szlachetny konny balet krążył po omiatanym wiatrem placu niczym oddział wyniosłych bogów, a potem raptownie opuścił go wielką bramą prowadzącą na *via Principia*, pozostawiając widzów z uczuciem osamotnienia i niepokoju.

Na podium podano ciepłe napoje.

Najwyższy czas.

Zastanawiałem się, czy mam teraz przemówić do Heleny. Raczyła się poczęstunkiem, więc na razie dałem jej spokój.

- Zobacz, tam jest Juliusz Mordantyk! - zawołała do mnie, machając ręką w stronę tłumu miejscowych. Jedna osoba z grupy odzianej w spiczaste kaptury w odpowiedzi pomachała do niej. Mężczyzna i jego przyjaciele robili wrażenie zadowolonych. Odbyłem z namiestnikiem prowincji rozmowę w sprawie oszustwa związanego z zamówieniami na wyroby ceramiczne i potem zaniósłem miejscowym producentom dobrą nowinę. - Zapomniałam ci powiedzieć - oświadczyła Helena tonem usprawiedliwienia - że kiedy byłeś w Augusta Treverorum, on podarował nam cudowny komplet naczyń stołowych. Jaka szkoda - zauważyła dowcipnie moja nietaktowna ukochana - że nie mamy

jadalni, w której moglibyśmy go użyć!

Teraz już nigdy jej nie będziemy mieli. Odwróciłem wzrok.

Przerwa w oficjalnych uroczystościach się przeciągała, podczas gdy ludzie ściskali gorące kubki, próbując sobie ogrzać od nich dłonie. Helena plotła dalej:

- Czy to prawda, że Ksantus ogolił tego rebelianta, a ty w małej torebce przywiozłeś włosy, które mu poobcinał, żeby zrobić wrażenie na cesarzu?

- Prawda.

- Jak przekonałeś Ksantusa, żeby wziął w tym udział? - dopytywała się. Obecnie Ksantus był gotów zrobić dla mnie wszystko; podarowałem mu autentyczny róg tura. Jeśli przerobi go na kielich do trunków, to się w nim pewnie utopi, taki jest duży. Powiedziałem mu, żeby o niego dbał, bo poza tym drugim, który stanowi moją własność, już więcej ich nie będzie. - Bo wydaje mi się dość dziwną osobą do nadzorowania buntownika - zwróciła mi uwagę Helena.

- Ksantus zamierza osiąść gdzieś na stałe i zbić majątek w takim mieście, w którym imię Nerona przyda mu wielkiego prestiżu, i będzie mógł zapomnieć o tym, że kiedyś wiódł żywot niewolnika. Augusta Treverorum wydaje się odpowiednie: wytworne, ale niezbyt snobistyczne. Będzie na swoim portyku golił szykownych nobileów z Belgiki, podczas gdy ubogie kobiety ustawiają się w kolejce przy drzwiach od tyłu, by dać sobie ściąć złociste loki, z których robi potem kosztowne peruki dla dam z towarzystwa w Rzymie.

- Wcale mi się to nie podoba - oświadczyła Helena.

- Mogłyby sprzedawać coś znacznie gorszego, skarbie. Tak czy owak, założę się, że nasz młodzian z fioletowo-brązowymi sznurowadłami skończy jako zamożny obywatel, razem z tymi najlepszymi fundujący świątynie i kolumny miejskie.

- A co z Cywilisem?

- Ksantus ufarbował mu włosy na hebanowo, żeby go nikt nie rozpoznał. Będzie bezpieczny od skrytobójców i niegroźny dla nas. Golarz codziennie odwiedzi go z brzytwą. Jeśli Cywilis zbiegnie, jego nieobecność zostanie natychmiast zauważona.

Było to idealne zwolnienie za kaucją. I nieszczęsny wódz nigdy nie zyska szansy na podżeganie, skoro przez większą część dnia, z twarzą przykrytą gorącymi chustami, wysłuchiwać będzie plotek.

Helena uśmiechnęła się. Uwielbiałem ten uśmiech.

- Marku, jesteś cudowny - zaszczebotała. Kpina była ledwo wyczuwalna.

Tymczasem na placu namiestnik prowincji z nakrytą głową przygotowywał się do kolejnej serii wróżb. Z ramienia XIV Legionu asystował mu starszy trybun, Makrynus, który zastępował w tej roli nieżyjącego legata. Widziałem, jak Menie Pryscillę ekscytuje zaistniała sytuacja. Nie miała teraz żadnej szansy. Ambicja wzięła górę nad wszystkim innym. Uzyskawszy tę możliwość

zastępstwa, Makrynus myślał wyłącznie o swojej karierze publicznej.

Nie musiałem zerkać na obrzydliwą owczą wątrobę, żeby wiedzieć, że dla mnie znaki są niepomysłne.

- Co się stało? - spytała cicho Helena.
- Muszę ci coś powiedzieć.
- No cóż, to lepiej zrób to od razu.

Chorążowie wnosili drzewce ze znakami. Ogromni mężczyźni, odziani w skóry niedźwiedzie lub wilcze, ze zwierzęcymi głowami na hełmach i łapami skrzyżowanymi na piersi. Dostojnym krokiem otoczyli kołem namiestnika i wbili w ziemię ostro zakończone szpice solidnych drążków. Szpice się trzymały... bogowie byli łaskawi. Znalazły się tam wszystkie znaki XIV Legionu *Gemina Martia Victrix*. Złoty orzeł z numerem legionu. Znaki wszystkich kohort piechoty i zakończone frędzlami sztandary używane przez jazdę. Portret cesarza na honorowym miejscu. Odznaczenia bojowe z ostatniego półwiecza. Ich posąg Marsa. Aż wreszcie, w obecności wszystkich zebranych, przekazano legionowi ich potężną Rękę. Otwarta dłoń mogła być uznana za symbol władzy lub przyjaźni.

Kłęcząc wciąż obok Heleny, bardzo uważnie przyglądałem się ceremonii.

- Zakończyłem swoją misję. Czas wyjechać. Tak sobie myślałem. Niektóre kobiety mogą zrobić znacznie więcej dobrego dla świata niż mężczyźni - zacząłem. Jej palec łaskotał mój kark; za chwilę zorientuje się, że jest to zupełnie niestosowne, i przestanie. Zmusiłem się, żeby mówić dalej. - Heleno, dla dobra Rzymu powinnaś wyjść za Tytusa. Kiedy odpowiesz na jego list...

Przerwał mi ryk trąbek.

Cudownie. Wspaniałomyślny gest mojego życia zmarnowany przez pozbawione wycucia chwili trąbienie.

Chorąży z Ręką uzyskał aprobatę namiestnika i pomaszerował przed frontem całego legionu, żeby pokazać wszystkim żołnierzom dar Wespazjana. Zbliżył się do kohort. Przy każdej z nich grupa wyznaczonych legionistów dokonywała krótkiej ceremonii przyjęcia znaku, po czym Ręka wędrowała dalej. Podczas tego całego powolnego przemarszu grzmiąły wszystkie trąby legionu.

Dłoń Heleny znieruchomiła na moim karku. Wydawało mi się, że nie będę mógł żyć bez tego krzepiącego dotyku. Byłem jednak twardy. Zrobię to. Zmuszę się, żeby to zrobić. Jeśli Helena Justyna wybrała jako swój obowiązek cesarstwo, odeślę ją do Rzymu, a sam udam się na wygnanie, wędrowkę po dzikich rubieżach cesarstwa, a nawet jeszcze dalej, jak jakiś nieszczęsny duch...

Kiedy już miałem zeskoczyć z podium i oddalić się niczym bohater, Helena nachyliła się ku mnie. Jej włosy musnęły mi policzek. Owionął mnie obłok cynamonowego pachnidła. Jej wargi poruszały się miękko przy moim uchu:

- Przestań mieć taką żalostną minę. Napisałam do niego już tego dnia, kiedy

opuściłeś Colonię.

Usiadła prosto. Nie podniosłem się z kucek. Patrzyliśmy, jak niosący znak pewnym krokiem obchodzi dwie kolejne kohorty piechoty, po czym trąbki umilkły.

Podniosłem wzrok. Helena Justyna postukała mnie delikatnie po nosie palcem, tym ze srebrnym pierścieniem, który kiedyś jej dałem. Nie patrzyła na mnie, lecz na plac defiladowy z dystyngowaniem zainteresowaną miną, jak każda inna wysoko urodzona pani zastanawiająca się, kiedy wreszcie będzie mogła się udać do domu. Nikt oprócz mnie nie miał pojęcia, jaka uparta i jaka piękna jest Helena.

Moja dziewczyna.

Główny chorąży XIV Legionu *Gemina* przekazał starszemu trybunowi Żelazną Rękę, dar cesarza. Był to niebrzydki przedmiot, ponad półmetrowy, i ten człowiek w niedźwiedziej skórze na pewno się zadyszał, obnosząc taki ciężar. Zbrojmistrz pozłocił ubytki w ozdobach, ale ja i tak wiedziałem, że ma wgłębienie w kciuku, gdzie rąbnąłem nią o ramę łóżka w jakimś ciasnym zajeździe podczas wędrówki przez Galię.

- Czy to znaczy, że zostajesz ze mną, Heleno? - ośmieliłem się spytać potulnie.

- Nie mam wyboru - odparła (po chwili namysłu). - Połowa czerwonego serwisu należy do mnie i nie zamierzam z niego rezygnować. Więc przestań pleść bzdury, Marku, i podziwiał paradę.



KONIEC
tomu czwartego

Księgozbiór DiGG



2012